

NR 12 (2024)

Format Literacki

ISSN 2720-0892

Poezja – Proza – Eseje – Sztuki Wizualne

Temat numeru: Światło

Format Literacki

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie
pod patronatem: Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta
we Wrocławiu, Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu
Wrocławskiego

Adres pocztowy:
Rynek-Ratusz 26, 50-101 Wrocław
Preferowany adres e-mail:
redakcja@formatliteracki.pl

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział
we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Klub Muzyki i Literatury
Dyrektor: Ryszard Sławczyński | plac Kościuszki 10,
50-028 Wrocław
www.klubmil.pl | klubmil@wp.pl

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu |
Instytucja Kultury Samorządu Województwa
Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24,
50-101 Wrocław
www.okis.pl | sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor naczelny
Waldemar Okoń
e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. Naczelnego
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz redakcji
Robert Gawłowski
e-mail: adr@post.pl

Urszula M. Benka
e-mail: urszula.m.benka2@wp.pl

Krzysztof Rudowski
e-mail: krzysztofrudowski@op.pl

Stali współpracownicy:
Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski,
Gabriel L. Kamiński, Stanisław Karolewski,
Bogusław Klimsa, Bogdan Koca, Leszek Koczanowicz,
Andrzej Kostołowski, Zbigniew Kresowaty,
Roger Piaskowski, Henryk Waniek, Igor Wójcik,
Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Justyna Żak

Okładka (przód): Krzysztof Saj, *Cornered*, Jezioro Garda,
Włochy, 2023

Okładka (tył): Janusz Leśniak, *Mandala*, 2018

Korekta: Monika Wójtowicz

Druk i oprawa: PRINT GROUP Sp. z o.o.
ul. Cukrowa 22, 71-004 Szczecin

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa
Dolnośląskiego

WWW.FORMATLITERACKI.PL

Kwartalnik bezpłatny

Spis treści numeru 12

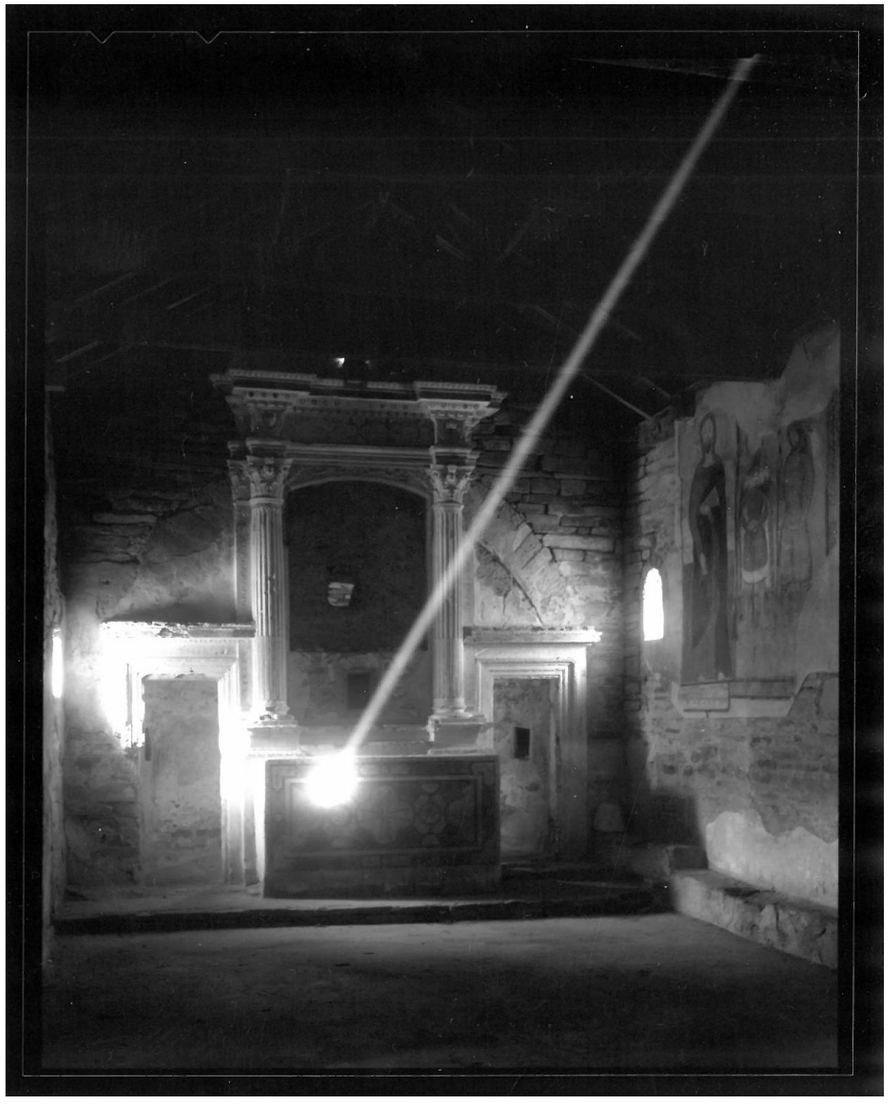
Waldemar Okoń Wstęp **— 4**
Marek Rapnicki Pocztówka nielukrowana **— 8**
Cezary Wąs Światło w filozofii i sztuce **— 10**
Andrzej Saj wiersze **— 16**
Czesław Sobkowiak Cztery medytacje o świetle **— 20**
Marigloria Palma Twilight **— 24**
Bogusław Jasiński Trzy psalmy i jedna wojna **— 26**
Robert Gawłowski Z „Boskiego światła" **— 46**
Henryk Waniek SILESIUS Tajemny dom śmierci **— 52**
Krzysztof Kasprzyk Miejsca **— 70**
Andrzej Saj Tropy poezji II - od blasku do cienia **— 72**
Lesław Wolak wiersze **— 80**
Janusz Krupiński Błyskotki słów. Świat bez światła i ciemności **— 86**
Agnieszka Kłos Gdyby szła jak teraz **— 98**
Stanisław Karolewski Wyznania antykwariusza **— 100**
Ernest Bryll Póki dla nas światełko się pali **— 114**
Elżbieta Wojnarowska Ostatnia rozmowa z Ernestem Bryllem **— 116**
Andrzej Saj Recytator **— 122**
Czesław Miłosz Dar **— 124**
Adam Lizakowski Na 20. rocznicę śmierci Czesława Miłosza **— 126**
Czesław Miłosz To **— 138**
Format Literacki nr 13 — 140

WALDEMAR OKOŃ

Wstęp

W pięknym wierszu Mariglorii Palmy „Twilight" światło ulega personifikacji, przenika do duszy obserwującej go osoby i pamięta, że jest świadkiem własnego powolnego zanikania, przez co staje się po ludzku zamyślone i czułe. Moment przejścia, przekroczenia bariery ciemności jest momentem wtajemniczenia w to, co musi nieuchronnie nadejść i co stanie się elementem ostatecznego zrozumienia istoty świata, ponieważ „wszystko zdarzy się dopiero o zmierzchu". Pisząc „Wstęp" do najnowszych numerów naszego kwartalnika, przedzieram się poprzez kolejne teksty starające się nie tylko mnie przybliżyć do poetyckiej potrzeby dotarcia do granic, które mieszczą się gdzieś „pomiędzy": pomiędzy światłem i ciemnością, dniem i nocą, jasnością i cieniem, mistyczną i filozoficzną *claritas* i będącą jej przeciwieństwem czarną otchłanią, niebem i piekłem, ale też pomiędzy dobrem i złem, prawdą i kłamstwem. Jednocześnie, jak trafnie ujął to Fred Kelemen: „Potrzebujemy mroku, by doświadczyć światła / Ciemność objawia, uwalnia ukryte światło". Żyjemy zatem w przestrzeni wypełnionej sprzecznymi wektorami, które niekiedy spotykają się, aby ujawnić swoje przeciwieństwa i dzięki temu stać się czymś bardziej materialnym i konkretnym. Obok skrajnych, wzajemnie od siebie zależnych sprzeczności, istnieje też obszar nie tylko malarskiego sfumato, kraina światłocienia sprzyjającego niuansom i kompromisom, gdyż „życie dzieje się w półmroku" (P. Lagerkvist). Półmrok ów sprzyja bowiem poetyce snu, tak bliskiej każdej wybitnej sztuce, potrafi rodzić demony, ale też może być miejscem oczyszczenia z naleciałości nadmiernie trywialnej jawy, gdyż jak zauważał M. Heidegger: „poezja to raczej sen niż rzeczywistość". Artyści – wieczni tkacze snujący swoją nieskończoną nić życia i śmierci – niekiedy zaplątują się w niej, starając dostrzec to, co jest niepoznawalne, jak Roger Piaskowski ów „cień ptaka w locie" lub jak Roman Opałka sacrum w każdym calu swoich nieskończonych obrazów.

W słynnym fragmencie Pisma Świętego czytamy: „A światłość w ciemności świeci, a ciemności jej nie ogarnęły" (*Et lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt*), co być może dla nas, mieszkańców tego padołu bywa pocieszające, co jednak wskazuje także na to, że na początku była ciemność, poprzez którą światło musiało się przebijać, aby ją nieustannie pokonywać i zwalczać. My – dzieci Słońca – nie zawsze możemy pogodzić się z tą konstatacją, ponieważ wolimy



Bogdan Konopka, *Kaplica Santa Maria di e Neve*, Brandy Corse, lata 90

sądzić, że Bóg rozdzielając światło od ciemności, osiągnął samowiedzę i „stwarzając świat, uzyskiwał pewność (po ludzku rozumując) i pełne widzenie tego, co stwarza. Potrzebował w swojej immanencji takiego potwierdzenia […] Światło musiało od samego początku być nieskończone. Recz bowiem w tym, że w innym przypadku skończoność światła byłaby naznaczona defektem. Doraźnością. Wieczność dzięki światłu jest wieczna. Te dwie istotności spajają się i mogą trwać. Stanowią tajemnicę" (C. Sobkowiak).

Wizja Boga, który dopiero po stworzeniu światła mógł ujrzeć to, co sam stworzył, jest bardzo intrygująca, choć być może nadmiernie uczłowieczająca Stwórcę i przydająca mu cechy, do których zapewne nie bardzo chciałby się przyznać, ponieważ sugeruje Jego Niedopełnienie i Niepewność w zrozumieniu istoty samego stworzenia. Piszę o tym, aby zachęcić Państwa do wnikliwej lektury tekstów zamieszczonych w podwójnym numerze naszego „Formatu Literackiego", w którym refleksja natury teologicznej, teozoficznej, mistycznej, filozoficznej, literaturo- oraz mitoznawczej (między innymi teksty B. Jasińskiego, C. Wąsa, U.M. Benki, R. Gawłowskiego, M. Braun, A. Saja, A. Matuszkiewicza, J. Krupińskiego) spotyka się z pięknem i dostojeństwem słowa poetyckiego (M. Rapnicki, A. Saj, K. Kasprzyk, L. Wolak, A. Kłos, M. Kisiel, M. Kamiński, A. Bąkowski, D. Sas, J. Strządała, M. Kamiński, A. Lizakowski, J. Petrowicz) i znakomitymi tekstami prozatorskimi oraz eseistycznymi tak stałych (S. Karolewski, H. Waniek, P. Mras, K. Rudowski, E. Wojnarowska), jak i nowych autorów, którzy dotąd nie publikowali swoich utworów w naszym kwartalniku (S. Nowicka, M. Skłabania, P. Znojek, S. Idiatulin).

Osobną uwagę poświęciliśmy w najnowszym „Formacie Literackim" przypomnieniu, że rok 2024, o czym w przeważającej mierze we Wrocławiu zapomniano, jest Rokiem Czesława Miłosza (A. Lizakowski, wiersze Noblisty), oraz nieznanym szerzej, a jakże istotnym nie tylko historycznie wierszom Jerzego Grotowskiego, które wydobyte z niepamięci przez Zbyszka Ikonę Kresowatego świecą nadal tajemniczym, ciemnym, poetyckim światłem. Bowiem nad dychotomią światła i ciemności nieustannie unosi się Anioł Paradoksu, który chciałby być Aniołem Prawdy, niosącym w swoich anielskich, przeźroczystych dłoniach przygarście oksymoronów i rozbudowanych metafor sprzyjających Wielkiej Sztuce oraz naszemu ludzkiemu samopoznaniu, gdyż – jak ujmują to Monika Braun i Roland Barthes – „Nie chodzi o to, by po prostu widzieć, ale by dostrzec istotę rzeczy. Bywa, że i światło do tego jest zbędne, wystarczy «zamknąć oczy i pozwolić szczegółowi, by sam wychynął na powierzchnię uczuciowej świadomości»".



Bogdan Konopka, *Elementarna 3*, lata 80

MAREK RAPNICKI

Pocztówka nielukrowana

– Dlaczego umieściłeś konia w centrum?
– Bo tak!
– Czy koń jest Bogiem?
– Nie, ale stoi w Bożym świetle.

Caravaggio do zleceniodawców

Na Piazza del Popolo w kościele z morelowej mgły i popiołu
łaknący światłocienia zlatują się na lekcję religii i anatomii
upragniony port baroku otwiera ramiona
minuta iluminacji za pięćdziesiąt centów na tyle nas stać

Tiberio Cerasi w tysiąc sześćsetnym wynajął wziętego mistrza
i teraz stoimy między nawróceniem i męczeństwem
zamieszani w los Piotra i Pawła
oni już wiedzą żyć to najpierw umrzeć

przez zad konia i tyłki oprawców brud ziemi i ramiona świętych
wsiąkamy w ciemność brniemy w tę opowieść
aby wynurzyć się w świetle spoza tej kaplicy
wtedy wiemy żyć prawdziwie to najpierw umrzeć



Marek Liksztet, *Byłem kiedys w teatrze… ale był remont*, 2018

CEZARY WĄS

Światło w filozofii i sztuce

Światło w kulturze jest przede wszystkim metaforą używaną w zależności od swych potrzeb przez fizyków, metafizyków, poetów i artystów sztuk wizualnych[1]. Niejasny status jasności (*claritas*), zawieszonej między pojmowalną tylko rozumem idealnością a doświadczalną zmysłowo realnością, niejednokrotnie był problemem dla filozofów. Pełny wewnętrznego napięcia ukazuje się między innymi traktat *De luce*, dzieło XII-wiecznego filozofa Roberta Grosseteste'a, w którym autor dokonuje próby przejścia od biblijnej kosmogonii do rozważań o świetle naturalnym. Budzącym szczególne zastanowienie problemem jest dostrzeżenie, że jeżeli światło jest kwestią językową, to być może nie istnieje sens mówienia o świetle jako zjawisku zewnętrznym, często symbolu bytu transcendentnego, lecz raczej rozważać należy „światło wewnętrzne", czyli świadomość oświetlającą przedmioty, które tak samo jak światło świadomości jest wyłącznie wytworem ludzkiej rozumności. Przynajmniej od czasów Immanuela Kanta, a może już wcześniej – od biskupa George'a Berkeleya, ludzką myśl prześladuje przeświadczenie, że świat, a zatem też światło, to tylko wytwór świadomości. Świat, światło, świadomość połączone są wewnętrznie, lecz żeby to wyrazić w języku, potrzebne jest rozdzielenie tych rzeczywistości. Rzeczywistość jednak to widzialność rzeczy dyktowana przez rozum, to zbiór tego, co oświetla rozum. Wszelkie wyjaśnianie czy objaśnianie to projekcja wewnętrznego światła wytwarzającego cienie uznawane za rzeczywistość. Światło istnieje, by mogły być wytwarzane różnice w jego artykulacji uznawane za refleksy twórczej aktywności. Światło jest narzędziem działającego rozumu, który aktywując świadomość, powołuje zjawianie się zjawisk w jego zasięgu. Sztuka zapisuje historyczne przemiany świadomości/światła, zachodzące pod nazwami odchodzącymi dalece od swych pierwotnych określeń. Zadaniem historyka jest ujawnianie nieoczywistych synonimów *claritas*. Na podstawowym etapie jasność jest niezorganizowaną całością, która może być utożsamiana z boskością, lecz nieosobową i po części mroczną. Do wielu, również antycznych filozofów, którzy dostrzegli trwałe połączenie światła i ciemności, w późniejszych czasach dołączył Georg Wilhelm Friedrich Hegel stwierdzający: „Światło i ciemność pozostają ze sobą w zewnętrznym związku"[2]. Takiego związku nie objaśni jednak czysta filozofia, ponieważ prawdziwie zrozumiały jest on jedynie w poezji, najgłębszej z form myślenia, będącej też podstawą wszelkich sztuk.

Sztuki piękne umożliwiają uzmysławianie jasności w jej aspekcie estetycznym i dają zarazem niejasne poczucie, iż *claritas* jest znamieniem pełni, określanej od czasów Mikołaja z Kuzy jako absolut. Myślenie ludzkie nieustannie projektuje taką formę bytu i dopiero filozofia współczesna przeniosła ponad pragnienie całości dostrzeżenie w świecie pozycji różnicy, która jednakże na bardziej zaawansowanym etapie refleksji zaczęła przyjmować cechy tradycyjnej, niepodzielnej podstawy bycia. W filozofii Derridy *differ(e)nce* (różnica) przemieniła się w *differ(a)nce* (różnię) i mimo wszelkich prób uczynienia z niej kategorii odmiennej od dawnych tradycji metafizycznych nabrała właśnie cech fundamentu wszelkiego istnienia. Zawarte w niej zaprzeczenia skojarzone zostały z negatywnością o przekraczających rozum wymiarach, a zatem z nicością czy bezgruntem, które w teologiach apofatycznych odnoszone były do boskości. Połączone z myślą dekonstrukcji próby krytyki logocentryzmu były z konieczności także próbami obalenia wzrokocentryzmu, wszak bowiem rzeczywistość (rzeczy-wistość) to widzialność rzeczy w świetle rozumu. Tradycyjna metafizyka o twarzy Platona i Plotyna przyswoiła zatem kolejną próbę jej negacji. Czy jednak następne dekompozycje platońskiej metafizyki nie pozostawiają na niej głębokich rys? Jeżeli zamiary także wcześniejszych polemistów z systemem Platona i Plotyna miały sens, to warto prześledzić ich zabiegi w poszukiwaniu ewentualnych skutków czy pozostałości. Przypomnienie, że jeden z najbardziej wpływowych systemów o antyreligijnym nastawieniu, jakim była filozofia Hegla, obecnie interpretowana jest jako jedynie powierzchownie zeświecczony schemat Platońsko-Plotyński, uprzytamnia jednak głęboką niezmienność intelektualnych podstaw cywilizacji Zachodu.

Historia filozofii od jej greckich początków nie była w stanie ustalić pierwszeństwa całości nad różnicą czy też różnicy nad całością. Podczas gdy wariabilizm Heraklita czy poglądy pitagorejczyków skłaniały się ku koncepcji świata uwzględniającej istnienie pierwotnych przeciwieństw, to już Parmenides zakładał istnienie wyjściowego bytu pozbawionego sprzeczności. W swoim poemacie dydaktycznym, któremu nadano tytuł *O naturze*, uczynił światło zasadą świata. Dzieło jest zapisem objawienia udzielonego przez nieznaną boginię, w którym zawiera się myśl o jedności bycia i myślenia będącego wychodzeniem z cienia ku jasnej wiedzy. Światło jest w tym dziele metaforą prawdy, zaś prawda metaforą świata[3]. Jasność wiedzy ma udział w fundamentalnej właściwości świata.

Myśl o związku światła świata ze światłem umysłu podjął też Platon, który także nie był w stanie kontynuować swych rozważań bez rozległej metaforyki i religijnych podtekstów. Światło słońca oświetla przedmioty podobnie jak światło umysłu wydobywa prawdę. W tej koncepcji dochodzi jednak do znamiennej dla Platona transcendentalizacji pojęć: światło rzeczywiste jest fenomenem daleko

1 J. Kreuzer, *Das Licht als Metapher in der Philosophie*, Heidelberg 2016, s. 63–84. Zob. także: B. Wirz, *Licht und Dunkel als Denkfiguren der Philosophie. Philosophisches Denken zwischen Affirmativität und Negativität*, Tübingen 2021. Wokół historiozoficznego systemu Hegla skupiona jest książka Pauliny Tendery (P. Tendera, *Od filozofii światła do sztuki światła*, Kraków 2014).

2 G.W.F. Hegel, *Enzyklopädie der philosophischen Wissenschaften*, § 277: „Licht und Finsternis haben ein äußerliches Verhältnis zueinander".

3 J. Kreuzer, dz. cyt., s. 68.

zewnętrznym wobec jego użycia. Ludzki intelekt jest korelatem bytu transcendentnego. Podobnie jak w późniejszych systemach religijnych powołaniem człowieka jest dostrzeżenie rangi bytu transcendentnego wobec bytu zjawiskowego i zdolność przejścia do kultu rzeczywistości źródłowej. Również w tej sprawie Platon podążył drogą Parmenidesa głoszącego konieczność porzucenia potocznych ludzkich mniemań i podążenia w stronę „wiary prawdziwej”[4].

W poglądach Platona świat zjawiskowy jest niedoskonałym odbiciem świata idei, które mogą być poznawane tylko drogą intelektu. Poznanie zmysłowe, skupione na możliwościach zapewnianych przez wzrok, poznaje jedynie świat utrwalony w materii. Właściwości świata fizycznego, w tym zwłaszcza piękno, mogą prowadzić ku rozważaniom nad światem źródłowym. Władze wzroku zawierają światło umożliwiające rozpoznanie światła właściwego i doświadczenie jego piękna. Piękno świata daje wgląd w istnienie idei, których przejawianie ma aspekty estetyczne i etyczne. Człowiek przez miłość i dostrzeganie piękna zwraca się do boskości, jakimi są doskonałe idee. Platon relacjonując w *Uczcie* poglądy Diotymy, omawia drogę przechodzenia od piękna pobudzającego zmysły do piękna światła, którym emanują idee. Wbrew logicznej prostocie takie podążanie wymaga cierpienia, bowiem „to, co piękne, jest trudne” (*Państwo*, 497d). Ciemność jest naturalnym stanem człowieka i jego porzucenie wymaga umysłowego wysiłku i przemiany zmysłowych doznań w ich wyższy rodzaj. Zmysłowe upodobania są rodzajem miłości, która dopiero z dozą przemocy może być skierowana ku ich istocie. Platon nie uwzględniał w tych zabiegach roli sztuki, lecz ten aspekt został dostrzeżony przez wszystkich jego następców, poczynając od Plotyna, przez filozofów chrześcijańskich epoki wczesnego chrześcijaństwa (m.in. Pseudo Dionizego Areopagitę) i średniowiecza, aż do neoplatoników czasów renesansu (m.in. Marsilia Ficino).

W filozofii Plotyna piękno zmysłowe przestało być oddzielane od piękna idei, lecz zaczęto je postrzegać jako z nich wypływające, mające w nich udział i do nich powracające. Schemat emanacji (zstępowania) i powrotu (wstępowania) w zalążkowej postaci tkwił już w systemie Platona, lecz w tamtym przypadku przeważało rozdzielenie odbitego i gorszego rodzaju piękna w świecie materii od piękna doskonałego. Wypływanie piękna z pełni i zawieranie jego cząstki także w niższych sferach bytu znalazło zastosowanie między innymi w teologii ikony, w której przyjęto pogląd, że wizerunki boskości nie są jedynie zwykłymi obrazami, lecz istotowo złączone są ze swym źródłem. Substancjalność piękna może jednak budzić wątpliwości, ale myśl o jego użyteczności w zwracaniu się do bytu źródłowego z pewnością podniosła rangę sztuki. Możliwość rozumienia dzieł artystów jako narzędzi kultu i kontemplacji pierwotnej pełni oraz sposobu powrotu do niej stały się trwałym i powszechnym motywem myślenia o sztuce. W romantycznej teorii sztuki, jak doszło do tego w myśli Wilhelma Wackenrodera, artysta mógł zostać zinterpretowany jako mnich niewychodzący ze świątyni podczas tworzenia swych dzieł, zaś oglądanie przedmiotów sztuki zrównano z modlitwą. Uczynienie z koncepcji Plotyna formy religii wyraźnie zaznaczyło się już u Jamblicha i Proklosa, którzy rozwinęli jego myśl w duchu teologii. W myśli chrześcijańskiej doszło do imponującego stopienia tradycji Platona i Plotyna z nową religią w twórczości Pseudo Dionizego Areopagity.

Historia sztuki, w osobie Erwina Panofsky’ego, przedstawiła zarys wpływu Pseudo Dionizego na specyficzne ujęcie sztuki jako zbioru formuł posługiwania się światłem, zwłaszcza przy kreowaniu sakralnej architektury i religijnych parafrenaliów w XII stuleciu. Obecnie podważana jest myśl o bezpośrednim wpływie pism Pseudo Dionizego na opata Sugera, odpowiedzialnego za stworzenie prezbiterium opactwa Saint Denis pod Paryżem, pierwszego z dzieł sztuki gotyckiej, lecz trudno jest jednocześnie zaprzeczyć, że myśl nieznanego bliżej greckiego mnicha z Syrii, tworzącego na przełomie V i VI wieku, stała się jądrem niezliczonych metafor światła w języku religii chrześcijańskiej. Niewątpliwie opactwo Saint Denis, gdzie przechowywano i tłumaczono dzieła Pseudo Dionizego, miało znaczny wpływ na upowszechnienie jego sposobu myślenia, lecz stwarzało to przede wszystkim podstawy do niezliczonych rozwinięć tej filozofii, bez konieczności bezpośredniego studiowania zgromadzonych tam dzieł. Scholastyka i próby w gruncie rzeczy racjonalnego uporządkowania myśli religijnej dopiero się rodziły, lecz jednocześnie przechowała się charakterystyczna dla okresu wczesnego średniowiecza tradycja swobody twórczej w kreowaniu wzniosłych metafor w myśleniu o Bogu. Jakkolwiek powoli zwyciężał duch rygorystycznych syntez, to zachowała się przestrzeń do nowych alegorii Boga w duchu filozofii światła.

Dla Pseudo Dionizego Bóg był dla ludzkiej duszy tym, czym słońce dla świata, a jego niepoznawalność zachętą do językowej inwencji. Liczba imion Boga może być nieskończona, podobnie jak jego przebłyski w stworzeniu. Świat jest przez Boga iluminowany, a obowiązkiem człowieka jest odkrywanie i nazywanie ukrytego światła. Każda dusza ludzka trwa w ekstazie i nieustannych próbach zrozumienia natury światła. Prowadzi to jednak także do rozwoju metafor naukowych światła rzeczywistego. Pseudo Dionizy stawiał na równi poznanie Boga przez poznanie świata, co jest przedmiotem teologii naturalnej czy pozytywnej, z poznaniem symbolicznym i mistycznym. Z jednej zatem strony opat Suger mógł zrównywać blask złota, szlachetnych kamieni i pereł z przejawianiem się Boga, zaś z drugiej strony, także w oparciu o Pseudo Dionizego, Robert Grosseteste rozwijał język metafor naukowych.

Dla Grosseteste’a światło materialne jest pierwszym tworem Boga, a jego rozchodzenie się ma naturę podlegającą rozumowemu opisowi. Rozum jednak tworzy tylko przez język i jego poetyckie możliwości. Kosmogonia biblijna, gdzie światło zostało powołane na początku stworzenia, może przechodzić w badania, które rozwijają wiedzę o świetle, ale wyłącznie na poziomie możliwości ludzkich. Z powodu ograniczonych możliwości ludzkiego pojmowania, pochodzące od Boga oświecenie (*iluminatio*) nie dociera doskonale do człowieczych umysłów. Poznanie zasięgów myśli kieruje ją ku światu naturalnemu. Niemożliwa do zaciemnienia pozostaje jednak konstatacja, że poznanie naukowe ma sens jedynie jako nowa forma teologii pozytywnej. Późne odkrycie nauk przyrodniczych, że światło nie jest wyłącznie materialne, uprzedzone zostało wszakże rozbudowaną metaforyką filozoficzną i teologiczną, w której światło ma przede wszystkim naturę boską,

4 Parmenides, Fragment B1, wiersz 30: ἡδὲ βροτῶν δόξας, ταῖς οὐκ ἔνι πίστις ἀληθής, zob. http://philoctetes.free.fr/parmenidesunicode.htm bądź https://www.loebclassics.com/view/parmenides-doctrine/2016/pb_LCL528.37.xml.

duchową i intelektualną. Światło ma też wartości estetyczne, a złączenie jego aspektów może przywodzić do myślenia o boskiej pełni, co usuwa przeszkody, by fizyk był jednocześnie mistykiem. Odkrycia matematyczne Mikołaja z Kuzy były pochodną jego rozważań metafizycznych i teologicznych, a ostatecznie prowadziły do apologii oświeconej niewiedzy, ciemniej wiedzy o mrocznej jasności.

Formuły filozofii światła o odległych tradycjach i wątki mistyczne wykrywane są nie tylko u zdeklarowanych ateistów, jak u pełnego pogardy dla katolicyzmu Hegla, lecz także u rozczarowanego tym odłamem chrześcijaństwa Martina Heideggera. Metafory związane ze światłem okazują się najtrwalszym dziedzictwem zachodniej metafizyki. Byt, prawda, dobro, piękno ujmowane były w poetyckie zwroty związane ze światłem, które zapisywały także doświadczenia mistyczne. W filozofii Heideggera nawiązaniem do tej bogatej spuścizny filozoficznej i teologicznej jest termin *Lichtung*, który pierwotnie odnosił się do leśnej przecinki rozświetlonej światłem, jednak w polskim tłumaczeniu oddawany jest jako „prześwit". Heidegger po raz pierwszy posłużył się tym pojęciem w swym dziele *Bycie i czas*, gdzie świadomość ludzka świata i samej siebie jest formą iluminacji. Również w pracy *Źródło dzieła sztuki* filozof powraca do tej myśli i głosi, że prześwit udziela jednostce ludzkiej wiedzy o tym, co jest, i o tym, co nie jest, a może być też poznane. W omówieniu można odnaleźć tony typowe dla opisu objawień i ekstazy, zwłaszcza że w innych pracach prześwit odnoszony jest do wymiarów przekraczających zwykłe możliwości rozumienia. Będąc przeciwnikiem metafizyki Platona, Heidegger powrócił jednak do Platońskich rozważań o pozaracjonalnych źródłach wiedzy i odnosił się nie wyłącznie do światła pojmowanego jako rozumne odsłanianie podstaw świata i człowieka, lecz także jako sposób odkrycia ciemnego światła ciemności[5].

Ciemne światło było źródłem wiedzy melancholików i poetów, chociaż Julia Kristeva w pracy *Czarne słońce. Depresja i melancholia* ukazała egzystencję każdego człowieka jako boleśnie uwikłaną w nierozwiązywalne sprzeczności, chociażby zmysłów i intelektu. Romantyczni poeci bliscy obłędu, jak budzący fascynację Heideggera Friedrich Hölderlin, to właściwie figury reprezentujące aktualny stan ducha, jego splątanie i utratę wiary w dotąd fundamentalne wartości. Tęsknota za metafizyczną stabilnością i jednocześnie aprobowane poczucie rozproszenia stanowią obecnie dwa bieguny, między którymi zawieszona jest świadomość nawet najbardziej przeciętnej persony.

Rozproszenie nie może istnieć bez swego zaprzeczenia, jakim jest skupienie, podobnie jak światło nie istnieje bez ciemności. Zdezintegrowane osobowości współczesne z upodobaniem zwracają się ku dziełom, które rozproszone światło zbierają w jedność, co czynione jest również w dziełach architektury. Podsumowaniem różnorodnych religijnych tradycji zastosowania światła w kościele katolickim była kaplica w Ronchamp Le Corbusiera, autorstwa osoby deklarującej niereligijność, a zbierającej wiedzę o budowlach kultowych od czasów struktur

5 L. Amoroso, *Heideggers „Lichtung" als „lucus a (non) lucendo"*, „Philosophisches Jahrbuch Freiburg" 1983, nr 90, s. 160.

megalitycznych[6]. Podobnie konserwujące odległe tradycje sakralne są budowle Mario Botty, w tym szczególnie górski kościół w Mogno czy Kościół Światła Tadao Ando w Ibaraki. Artystycznemu zgłębianiu i zagłębianiu światła poświęcony jest krater Roden usytuowany w północnej Arizonie i przystosowany przez Jamesa Turrella do doświadczania zjawisk świetlnych, zmian położenia słońca na niebie i obserwacji gwiazd.

Światłość i ciemność jako narzędzia poznania własnej egzystencji, kontemplacji bytu bądź kultu Boga pozostają niezmienne od czasów Parmenidesa czy Platona. Kultura jest w tym względzie obszarem krążenia metafor wokół odkryć dawno już poczynionych, lecz niemożliwych do językowego domknięcia.



Andrzej Jerzy Lech, *Valencja*, Hiszpania, 1981

6 C. Wąs, *Inspirations by old art in Le Corbusier's Ronchamp Chapel,* [w:] *The inspiration from the past in the art of the 20th and 21st centuries,* red. M. Geron, J. Malinowski, Kraków 2013, s. 21–28.

ANDRZEJ SAJ

Istoty Cienia

A. i J. Leśniakom

Skąd przybywają te mroczne istoty
wnoszące w nasze otoczenie swą ciemną energię?
Co sprawia, że tamten świat znów się objawia
w swej nieoczywistości innego wymiaru?

Być może przybywają one ze szczelin trwałości,
co trzyma naszą ziemię imadłem grawitacji,
a może przenikają do nas w snach – niesione
mrocznymi promieniami drugiej strony księżyca?

Albo emanują one swą czarną mocą
antysłońca? Tego skrytego za tarczą jasnego oblicza:
naszego pradawnego boga wszelkiego życia;
który był źródłem praw natury i oświecenia…

A jeśli są to lustrzane odbicia naszej duszy,
co się zapadła w sobie tak zwrotnie,
że właśnie w ten sposób trwa pospołu
ciemny i jasny jej podwojony w nas obraz?

Inny wymiar

To może w nas, w naszej duszy się otwiera
ten portal do innego wymiaru?
Ten, co się grzesznie w nas usadowił
i zaprasza do podróży w nieznany świat.
Który tuż, skryty za błoną widoczności,
uparcie – wbrew nam – tkwi w zaślepieniu.
I tylko czasami – swym lśnieniem – daje znaki
i dosięga nas w naszej tkliwości i uwadze.

Ale być może jesteśmy, jak te owady, zamknięci
w kropli bursztynu czasu, która się zestaliła
w trwałej postaci światła; godnego podziwu
dla tych, co przyjdą po nas i doświadczą głębi
tego, co skryte za zasłoną iluzji widzenia,
stanie się tak oczywiste i odczuwane
jak powiew wieczystej przestrzeni: ujawnionej
i dla wiarygodności danej nam w jej kopii.

W kropli pocieszenia… co spływa po twarzy
naszego – tam obecnego – sobowtóra?

Wątpliwości

„Poezja jest poszukiwaniem blasku”
Adam Zagajewski

Czy można poezją poszukiwać blasku – gdy
ciemności spowijają nasz świat coraz szczelniej;
i nikną kształty, cichną śpiewy ptaków, mrą sny,
a kobiety zwrócone w stronę swego pożądania
szlochają za kwileniem nienarodzonych dzieci?

Więc co się stanie z tymi niepoprawnymi,
co się wdrapują na szpic swej niemej rozpaczy,
skąd wypatrują prześwitu między przestworzami,
a ich oczy nie błyszczą, nie mają siły, by odbić
ten wątły promyk nadziei, który jeszcze tli się…

By ta cienka strużka wymowy, co spękana,
z ust naszych wyżłobienia ledwie spływa:
wyjawiała i nazywała, i sama sobą poświadczała,
że nie odeszła na zawsze do raju milczenia,
a jej odbity blask – jeszcze do nas dociera; nikły

jak zmierzch cienia…



Krzysztof Saj, *Batumi*, Gruzja, 2017

CZESŁAW SOBKOWIAK

Cztery medytacje o świetle

Pierwsza (metafizyka)

Popsuł się zegar i mowa człowieka. Miary odmawiają posługi. Nazywanie rzeczy się popsuło. Jedynie światło się nie popsuło, codzienne światło, którego refleksy w zakamarkach umysłu czynią odnowienie obrazu.

Ciemność. W ciemności niczego nie można. Nieruchoma unieruchamia. Osacza samą siebie. Światło prowadzi i wskazuje punkty, linie i daje odniesienia. Otwartość i wolność są jego istotą. W jasność widzenia wchodzi się jak do domu, który niczego nie ogranicza, pozwala otworzyć kolejne pokoje. Światło pozwala komukolwiek sprawdzać jego właściwość.

Światło jest podzielne, niejednorodne, odsłania wszystkie tonacje, wchodzi jako uczestnik i spoiwo do każdego budowania. Ciemność nie jest podzielna, jest jednorodna, niczego nie objawia. Nigdy niczego nie buduje.

Bóg rozdzielił światło od ciemności. Stwarzając świat, uzyskiwał pewność (po ludzku rozumując) i pełne widzenie tego, co stwarza. Potrzebował w swojej immanencji takiego potwierdzenia. Samowiedza, że światło warunkuje istnienie bytu, uzyskała znamiona oczywistości. Światło musiało od samego początku być nieskończone. Rzecz bowiem w tym, że w innym przypadku skończoność światła byłaby naznaczona defektem. Doraźnością. Wieczność dzięki światłu jest wieczna. Te dwie istotności spajają się i mogą trwać. Stanowią tajemnicę. Pamiętam jesienne, polne orki. Końskie zaprzęgi. Gospodarskie zawołania wśród pól. Pługi odkładające równomiernie skiby wilgotnej ziemi. Na czarnych skibach blask. Z daleka dostrzegany przez zlatujące się ptaki. Ten blask widniał jak miłość. Jak czułość dawana ziemi. Byłem wtedy chłopcem.

Miarę światła można przyłożyć do każdej myśli, by ją w pełni rozpoznać w perspektywie nieskończonej otwartości. Kontemplowanie ma w sobie taką wtajemniczającą wartość. Jest osiąganiem, gotowością przyjęcia i przejścia przez wszystkie zasłony bytu, aby doznać w pewnym momencie Tego. Utożsamić się z objawiającą się Pełnią. Taką, jaką ona jest w natchnieniu. Jakie to proste. Mówię.

Jeśli komuś wydaje się, że metafizyka nie dotyczy powszednich spraw, powszedniego życia, to życie ujmuje jako fenomen bez znaczenia, odbiera w swojej intencji światu sacrum.

Światło niczym się nie zasłania. Jest całkowicie oddane. Czerpie z niego człowiek tylko po części. I doznaje siebie, co bywa nieuniknione. Do tego, co więcej, nie mamy dostępu, dlatego jesteśmy nieszczęśnikami.

Każde ograniczanie światła jest przestępstwem. Ale bywa, że jego obrona we wnętrzu zyskuje znamiona heroicznej odwagi. Wydarzenia w Polsce (i nie tylko) są tego dramatycznym dowodem.

Druga (oddech)

Śnię, wędruję, czasami jestem w jakiejś sali, w środku miasta szukam drogi, spotykam znajomych, błądzę. Teraz spotykam światło, które pomaga mi w odkrywaniu piękna istnienia. Jest czyste, idzie z nieba, na śnieg się kładzie, na kartkę, na przedmioty w pokoju. Na drzewa, kałuże, trawę. Mam wrażenie i odczucie, że nim oddycham. Na pewno nie stanowi żadnego ciężaru. Tylko przyjąć jego postać i trwać. Tym światłem pozdrawiam, tak, i tylko tyle, ile to jest możliwe.

Wchodzą mędrcy mąciciele. Widać to przy próbie odnowienia sytuacji społecznej, prawnej, politycznej. Weszli w ciemności i chcą w nich tkwić. Jeszcze tylko zwierzęta leśne, łąkowe, wodne żyją według swojej miary, ale i dla nich coraz mniej miejsca.

Kobieta. Zacznę od włosów. Są zauważalnie proste, dyskretnie zmysłowe, długie, niezmącone, opadają, a raczej kładą się na plecach, na włosach światło. Nie opadają na czoło ani na twarz, ale uwypuklają w całości urodę tej kobiety. Ucho jest w połowie odsłonięte i widać biały kolczyk, zapewne ze srebra, w kształcie ciekawie uformowanym, jakby lilijki. Policzki delikatne, nie płaskie, nie przebarwione, naturalnie blade, podkreślają w tej twarzy wewnętrzny spokój i dozę pewności, ale i łagodność. Linia nosa utrzymana jest w dobrej proporcji. Jest nie za duży, nie za mały. Wargi wystarczająco duże i nabrzmiałe. Zachowują się należycie razem z podbródkiem. Ale dwie mocne linie idą wyraźnie od nosa ku ustom. Są czegoś znakiem. W oczach, osadzonych dosyć głęboko, można dostrzec jednak cień niepokoju, który wyostrza ich wyrazistość. Ujęcie twarzy z profilu dodaje jej subtelności. Szyja odsłonięta, granatowa bluzka odchyla się od ciała. Gdyby nie światło, nie mógłbym tych zdań napisać.

Myślę o moim ojcu. Pięć bez mała lat spędził na robotach przymusowych w Niemczech, podobnie było z mamą. Pamiętam, jak wieczorami podczas kolacji często do tych lat rodzice wracali. Ściszonym głosem przywoływali zdarzenia i nazwiska. Z początku Niemcy okazywali ojcu niechęć, a nawet więcej niż niechęć. Kiedy z czasem dostrzegli, że jest człowiekiem uczciwym, słownym, przestrzega zasad, wtedy nawet sekretnie zwierzali się, co myślą o wojnie. Musieli mieć czas, by nabrać zaufania. Wracam od czasu do czasu do tych domowych wspomnień przy stole. I wtedy coś we mnie się rozjaśnia. Nie trafiła go seria z karabinu maszynowego przed bramą pałacu w Zatoniu ani kula pistoletu. Mogłem się urodzić. Kontempluję tajemnicę ich losu.

Trzecia (doświadczenie)

Gloryfikacja wspólnoty ze wszystkim, co istnieje, stanowi odczytywanie elementarnego boskiego sensu. Piszę ten hymn powoli i cząstkowo.

Znalazłem obraz namalowany dawno, cały wiek temu. Jest to widok holenderskiego miasteczka. Domy jednopiętrowe po dwóch stronach ulicy. Dachy wysokie. Jedne fasady w cieniu, drugie mocno oświetlone. Na chodniku postacie. Po środku kanał z kilkoma żaglówkami. Dwaj mężczyźni przystanęli przy barierce i patrzą na wodę. Obraz w tonacji ogólnie ciemnej, mocno skontrastowany. Światło ustaliło rację tego kontrastu na malarskim płótnie.

W ostatnich kilku latach w Polsce nie było otwartej wizji świata, była niejasna propaganda polityczna, która zawężała szerokość przestrzeni wspólnoty. Kłamstwo i egotyzm wprowadziły ciemną wizję.

Być w życiu uczciwym, nie krzywdzić, nie sprawić zawodu. Współczuć. W takim duchu kształtował mnie mój ojciec, matka. I to mam w sobie jako przekaz światła.

To wyznaję. W poezji staram się poszerzać obszar widzenia. Nie pomijać, nie omijać, nie zakrywać żadnych rzeczy. To jest moje zadanie. Wyznaję, że chodzi mi o ustanawianie wiary w sens istnienia i w prawo do bycia człowiekiem świadomym, na miarę zwyczajnego życia. Chcę uzyskiwać dostęp do przejawów światła, które ma niejedno imię.

Niejednokrotnie doświadczam ciemności w kontakcie z ludźmi, którzy zasłaniają swoje wnętrze, nie wyjawiają siebie. Są niemal incognito. Nie wiem, jaki jest kształt ich świata. Jednak bywa, że sprawia mi ból.

Chcą wszelkimi sposobami zabić światło. Zagarnąć je i mieć je wyłącznie do swojej dyspozycji. Dla swoich wyroków i obwieszczeń. Głośno świadczą przeciw światłu. Negują jego powszechność i prawomocność. Wyśmiewają, kpią, drwią. Grożą. Podnoszą swoją pychę. Gotowi postawić mury między ludźmi. Sprzedać światło, ukraść światło, zostawić tylko marność.

O co chodzi? Chodzi o świętość istnienia. O wejście w jego rozległy krąg. Ale to zrobiło się trudne. I już bardzo odległe.

Czwarta (światło)

Twarz starej kobiety. Wysuszona, pokryta bruzdami, jednolita szarość skóry. Patrzy, ale nie wiadomo, co widzi i czy w ogóle widzi. W bruzdy jej twarzy już nie wnika światło, nie daje jej życia, jest bezradne. Matowe.

Świętość przy pomocy światła niesiona jest wszędzie. Prosty człowiek, pracujący w lesie lub w polu, lub w domu, sobie ten fakt uświadamia. Mimowolnie dorasta do tej intuicji. Nabywa tę świadomość całym sobą. On nigdy nie powie, że światło znaczy tyle samo, co ciemność. Od relatywizmu trzyma się daleko. Nie powie, że nie wie, co jest jedno, a co drugie. Sprawdza i potwierdza realnie życie kroplami potu na czole, łzą, zmęczeniem. Ci, którzy niczego nie doświadczają, ważą sobie lekko wszelkie różnice. Są poza prawdą. Więc drwią ze wszystkiego. W tym kierunku zmierza epoka. Jej celem jest zaprzeczenie prawdzie.

Codziennie łączę światło, nieskończoność i wszechświat. Czy są te wielkości, fundamenty, filary, stworzone ze względu na człowieka? Nie tylko ze względu na człowieka. Tylko wobec nicości. Metafizyka istnienia jest we wszystkim. Wszędzie. W kamieniu. Trudzimy się, maleńki rąbek tajemnicy odsłaniamy i wydaje się, że złapaliśmy Pana Boga za nogi. Śni się szafowanie osądami. Także osądami ludzi. Wyłączaniem siebie. Nie dając szansy życiu na prawdziwe życie.

Kontemplacja jabłka, które leży na talerzu, na stole w pokoju, to moja kontemplacja wszechświata. Cokolwiek powiesz, nie zmienisz tego faktu.

Słowa są, mogą być światłem. Także słowa, najwięcej, niekoniecznie przyzwalające lub wyzbyte sprzeciwu, mogą stanowić wielki argument na obronę jasności we wnętrzu.

A teraz, jak codziennie w zimie, w popołudniowej porze, idę palić ogień w piecu, bo zimno doskwiera.

Czarny ptak, kos zapewne, w sympatycznej czerni, której nie należy się bać ani czuć jej złowrogości, usiadł na gałązce brzoskwini i trzyma coś w dziobku, by tym się pożywić.

Czerwienie dachów, zielenie łąk, błękity nieba i inne tonacje. Stóg siana, kilka wierzb, obok stogu dom, nad domem korona drzewa, nad drzewem gęste, liczne obłoki, przestrzenie nieba. Jest kanał ze wszystkimi blaskami na wodzie, na kanale łódka, w łódce mężczyzna, obok wysoki brzeg, utkany zielskiem, nad kanałem most, ku któremu nadbrzeżną ścieżką zmierza kobieta. Patrzę na światło tego obrazu, które wiele lat temu, jeszcze przed moim urodzeniem się, ustanowił malarz. Stał przed nim niejeden raz. Był zmęczony. Pracował na chleb. Nie wiedział, że także dla mnie. Potrzebne mu było samo ustanowienie światła.

W twarzy człowieka widać świat. Jeśli darzy przyjaźnią, który daje dobrą radę, emanuje uczciwością i bezinteresowną życzliwością, to odgaduję jego światło.

Południe. Zima. Śnieg na chodniku, na śniegu ślady butów i odciski łapek kota. Kładzie się wszędzie światło słońca, tam, gdzie to możliwe.

Cokolwiek czynię, idę do sklepu kupić owoce, odpoczywam w fotelu. Włączam elektryczny czajnik. Zapalam świeczkę. Piszę mail albo przekręcam klucz w drzwiach. Albo śpię. Światło nie kończy się ani nie odstępuje.

Światło jest. Jest niesamowicie obecne, tak niesamowicie wsączone w świat, że codziennie patrząc, nie dostrzegamy tej jego oczywistości. Jego mistycznej treści. Piszę to.

MARIGLORIA PALMA
(1917–1994)

Twilight

Zamyślone światło.
Światło ze złożonymi rękami,
tulące w ramionach
drżącą krótką piosenkę.
Światło, które przysłania morze
niczym nocna koszulka podczas fiesty.
Piana toczy się po nim na oślep.

Zgubiłam talię
moich fioletowych szczytów
w ustach nieba
El Yunque to starożytny flet;
retrospektywne salto.
Niebieska przekąska, która tonie.

Tutaj żyje San Juan.
To jest światło, które może uratować
złotego gołębia, wszak jego brzuch
wykonany jest ze szkła.
Tutaj rosną kolczaste promienie słońca
w gęstniejących oczach
białej harmonii.

Podniecona
z balkonu obserwuję
śmiertelny żywot słońca
wysoko
ponad ramionami
martwej chwili.
Trąbką duszy
bronię swoich emocji
przed szarym ukąszeniem
rozczarowania.

I dzień dla mnie rośnie
jak magiczne drzewo
z niczego w nic –
rośnie i śpiewa,
pachnący, drżący,
wypełniony obietnicami
i godzinami.

Nic się nie zmienia.
Wszystko zdarzy się dopiero o zmierzchu.
Prawo fizyki.
Sprawiam, że to światło
mnie kocha.
Jest moje, ponieważ prowadzimy
od spojrzenia do spojrzenia,
cichą korespondencję.

Jesteśmy *twilight*, moje światło,
po prostu *twilight*.

Tłumaczył Andrzej Kosmowski



Andrzej Jerzy Lech, *New York*, New York, 2000

BOGUSŁAW JASIŃSKI

Trzy psalmy i jedna wojna, którą od początku świata toczą synowie światłości z synami ciemności

Początkowo miał to być tylko komentarz do wielu skądinąd znanych obrazów, tych literackich, jak i tych malowanych na płótnie, traktujących o wiecznych zmaganiach dobra ze złem oraz światła i ciemności. Natychmiast też skojarzyłem je z przejmującymi obrazami wojny i apokalipsy, zapisanymi w Starym Testamencie. A obrazy te zaiste odbiegają od naszych potocznych skojarzeń zarówno z wojną, jak i apokalipsą, albowiem nie ciąży na nich wersja św. Jana. Czyli jaka? Otóż ta apokalipsa niewiele ma wspólnego z powszechną zagładą, albowiem kładzie akcent na odrodzenie i powstanie świata nowego – wprawdzie na gruzach i zgliszczach poprzedniego, ale motywem przewodnim jednak staje się tu nadzieja. A to coś nowego w kontekście naszych powszednich wyobrażeń.

I kwestia następna, równie ważna. Mianowicie obraz taki rozdarty jest opozycją, jako żywo jeszcze przedchrześcijańską – bo zoroastriańską: dobro nieustannie walczy ze złem, jasność z ciemnością, czarne z białym etc. To świat, w którym jeszcze nie odkryto Jedni – jednego Boga i jednego bytu powszechnego, nie tylko przenikającego wszystko, ale takiego, który jest wszystkim. Dlatego jest wojna – rzekłbym: odwieczna i sama w sobie zaiste beznadziejna. Czy naprawdę jesteśmy na nią skazani? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista: dopóty nie wyzwolimy się z tych zniewalających podziałów i będziemy nieustannie kreować coraz to nowe wojny, *rund um die Uhr*, jak powiadają Niemcy albo jak moja śp. babcia: „w koło Wojtek", dopóki nie odnajdziemy owej jedni, harmonii, ładu i pokoju. I nikt już nie zauważa, że ta pętla zarzucona jest przez nas samych na własną szyję i zaciska się coraz mocniej, aż w końcu zadusimy się własnymi myślami i fantazjami, głusi na to, co naprawdę jest. Oto front prawdziwej wojny, a nie tej wymyślonej przez nasz umysł. Przedziwne tylko jest to, że o ile w tej pierwszej nie ma ofiar poza trudem myślenia, o tyle w tej drugiej trup ściele się gęsto mimo urojonych przesłanek. Oto ostateczne konsekwencje stwarzania przez nas świata po swojemu wedle własnego rozumu i wyzwolonej wyobraźni.

Spróbujmy zatem opowiedzieć o tej wojnie, której końcem jest apokalipsa – słowami, obrazami i mądrością tekstów starotestamentowych. A nie ma nad nimi piękniejszych niż słowa psalmów. Ważne jest jednak uprzedzenie czytelnika, że cały nasz wywód prowadzony będzie w określonym porządku: od wojny do pokoju, który jest na końcu apokalipsy. A jest on w urzekający sposób przedstawiony najpierw obrazem dziecka, spoczywającego na piersi matki z Psalmu 131, oraz triumfalnym wejściem Pana do świątyni (w Psalmie 24) , którą jest każdy z nas.



Andrzej Jerzy Lech, *Jelenia Góra*, 1983

Psalm 83: Boże, upokórz sprzymierzonych wrogów!

O Boże, nie trwaj w milczeniu,
nie milcz i nie spoczywaj, Boże!
Bo oto burzą się Twoi wrogowie
i podnoszą głowę ci, którzy Cię nienawidzą.
Knują spisek przeciwko Twojemu ludowi,
zmawiają się przeciwko tym, których strzeżesz.
<Pójdźcie – mówią – wytraćmy ich spośród narodów,
by więcej nie wspominano imienia Izraela>.

Zaiste, zmawiają się jednomyślnie
i przeciw Tobie zawierają przymierze:
Namioty Edomu z Izmaelitami,
Moab i Hagryci,
Gebal, Ammon i Amalek,
kraj Filistynów i mieszkańcy Tyru.
Także Asyryjczycy połączyli się z nimi,
dla synów Lota stali się ramieniem.

Uczyń im jak Madianitom i Siserze,
jak Jabinowi nad potokiem Kiszon,
którzy polegli pod Endor,
stali się nawozem dla ziemi.
Z ich książętami postąp jak z Orebem,
jak z Zeebem, z Zebachem i z Salmunną,
z wszystkimi ich przywódcami,
którzy mówili: <Zagarnijmy
dla siebie kraj Boga!>.

O Boże mój, uczyń ich podobnymi do źdźbeł ostu,
do plew gnanych wichurą.
Jak ogień pożera lasy,
jak pożoga wypala góry,
tak ich ścigaj Twoją nawałnicą
i burzą Twoją wpraw ich w zamieszanie!
Okryj hańbą ich oblicze,
aby szukali imienia Twego, Panie!
Niech wstyd i trwoga ogarną ich na zawsze,
niech będą pohańbieni i zginą!
Niechaj poznają Ciebie i wiedzą,
że tylko Ty, który sam jeden masz Jahwe na imię,
jesteś Najwyższy nad całą ziemią.

Gdyby psalm ten czytać wyłącznie jako zapis historii narodu wybranego, to jest Izraela, to nie tylko byśmy pozbawili go pierwiastka metafizycznego, ale również nieuchronnie natrafiamy na trywialne spostrzeżenia: oto wrogowie są zawsze źli, a z Boga robi się żołnierza tylko naszej armii i dlatego racja jest po naszej stronie. Krótko mówiąc, taka interpretacja rządzi się wyłącznie prawami życia i tylko ten jeden porządek dopuszcza. Trzeba zatem uchylić historię wydarzeń na rzecz ich logiki, bo dopiero wtedy sam przekaz staje się uniwersalny i trafia także do nas.
Nic dziwnego, że Bóg *trwa w milczeniu*, skoro ci, co *Go nienawidzą*, stają się jednocześnie wrogami narodu wybranego; bo zaiste nic Mu innego nie pozostaje. W takim rozumowaniu mamy bowiem świadome pomieszanie porządku wertykalnego z horyzontalnym, ponieważ dzięki temu bierze się Boga jako zakładnika własnej sprawy. Zazwyczaj przyjmuje się, że ten i inne psalmy błagalne narodu (por. Ps 44; 74; 79; 80) powstawały w szczególnej sytuacji społecznej, a mianowicie wtedy, kiedy trwały dni pokuty całego narodu. Chodziło o odkupienie win nie poszczególnych jednostek, ale właśnie całej wspólnoty. Dokładny opis takich dni wraz z nakreśleniem ich podniosłej atmosfery znajdujemy w Księdze Nehemiasza: *A w dwudziestym czwartym dniu tego miesiąca zgromadzili się Izraelici, skruszeni postem i odziani w wory, z głowami posypanymi ziemią. I odłączyło się potomstwo Izraela od wszystkich cudzoziemców. Wtedy stojąc wyznali swoje grzechy i wykroczenia swych ojców. Stali więc na swoim miejscu, a [lewici]czytali z księgi Prawa Pana, Boga swojego, przez ćwierć dnia, a przez drugą ćwierć wyznawali swe grzechy klęcząc przed Panem, Bogiem swoim* (Ne 9, 1-3). Prawdopodobnie nie były to jednak jakieś stałe obrządki liturgiczne, lecz sprawowane sporadycznie na okoliczność jakichś kataklizmów lub nieszczęść całej wspólnoty. Wydaje się, że właśnie w takich uroczystościach szukać należy źródeł psalmów błagalnych narodu wybranego.
Psalm ten zatem można czytać jako błagalną modlitwę wspólnoty, w której przede wszystkim podkreśla się jej związek z Bogiem oraz milcząco przyjęte założenie, iż jest On jej wierny – w domyśle: na podstawie przymierza, które kiedyś z nimi zawarł. Czy to jednak oznacza, że Bóg posiada wobec ludzi jakieś „zobowiązania"? W samym tym pytaniu tkwi już pewne nieporozumienie, a mianowicie mimowolnie miary i wartości życia w sposób zupełnie nieuprawomocniony przenosi się do zupełnie innego porządku, tak jakby Bóg był elementem tego życia. Dlatego właśnie mówi się o Jego „zobowiązaniach" i „wierności", a w konsekwencji oczekuje się z Jego strony działania w gruncie rzeczy bardzo po ludzku zdefiniowanego: oto ma On ścigać wrogów Izraela, okryć ich hańbą i wreszcie ma z nich uczynić nawóz dla ziemi. Krótko mówiąc, są to działania i reakcje po ludzku zrozumiałe, ale jednak zupełnie nie do pojęcia z perspektywy Stwórcy Najwyższego. Ale skąd o tym wiadomo? Czy czasami twierdzeniem tym nie powtarzamy tego samego błędu, tyle tylko, że tym razem miast w prosty sposób antropomorfizować samego Boga, jak w przypadku psalmisty, przypisujemy mu wprawdzie inne przymioty, ale mimo wszystko także z naszej perspektywy? O ile jednak w pierwszym przypadku posiadały one całkiem wymierne znaczenia, takie jak „gniew", „kara", a może nawet „odwet", o tyle teraz – rzec można – są pustymi desygnatami, albowiem nie możemy nic powiedzieć o tym, jak Bóg naprawdę myśli. Nie można zatem dać się złapać w tego rodzaju pułapkę.

Należy raczej odsłaniać okoliczności założone tego typu pytań, czyli badać, jak się rodzą, na jakich przesłankach są oparte i jak działają w naszym życiu. Innymi słowy bynajmniej nie występować „w roli" Boga (dając „puste" odpowiedzi), lecz ujawniać własne myślenie.

I cóż z takiego doświadczenia wynika? Przede wszystkim widzimy, że w takiej postawie, jaką prezentuje sam psalmista w powyższym tekście, dokonuje się dwóch nader dyskusyjnych operacji myślowych. Po pierwsze, występuje się w roli sędziego, piętnując wrogów oraz wynosząc własny naród, naznaczony rzekomo umową z Bogiem. Każde jednak takie osądzanie dotknięte jest podstawowym błędem, a mianowicie z perspektywy życia ocenia się zdarzenia i fakty tego życia. Tego błędnego koła nie da się tu rozerwać i dlatego wikłamy się w pozorne rozstrzygnięcia, które co najwyżej mogą mieć znaczenie dla osiągania własnych celów w tym życiu, lecz same w sobie ani niczego nie rozstrzygają, ani też nie są prawdziwe lub fałszywe. Tak jak wyniki tego rozumowania stają się pozorne, tak też i cały proces do nich prowadzący jest pozorny, albowiem poruszamy się przez cały czas w materii życia. I po drugie, prezentuje się tu myślenie dualne: my oraz oni, wrogowie i przyjaciele, dobrzy i źli etc. Konsekwencją tego jest postawienie Boga po jednej ze stron, tak jakby Bóg w ogóle był „stroną" kogokolwiek lub czegokolwiek w tym życiu.

Tymczasem zarówno jedno, jak i drugie trzeba wziąć w cudzysłów: nie chodzi więc o to, czy oni mają rację, czy też my lub też kto tu jest dobry, a kto zły, lecz „dlaczego" innych uważamy za wrogów i „dlaczego" w naszym życiu prawda staje się fałszem, a fałsz prawdą. Jednym słowem stajemy na obrzeżach tego świata i badamy jego zawartość. Dopiero wtedy czytanie tego psalmu staje się wyzwaniem do porzucenia jego „historycznej" treści i autentycznym doświadczeniem prowadzonym na własny użytek i na pewno tylko po swojemu.

Bóg zatem nigdy *nie milczy*, jak zauważa psalmista, lecz tylko my ogłuszeni zamętem i hałasem powszedniego dnia nie potrafimy Go słuchać. Trudno nam bowiem porzucić rolę bycia przeciwnikiem kogoś, a jeszcze trudniej porzucić raz ustalone nastawienia i dlatego wikłamy się w nieistniejące problemy i stawiamy pozorne pytania, miast trwać w ufności w Panu.

Dopiero teraz widać, że niniejszy komentarz do tego psalmu opiera się na sprzeciwie wobec jego wymowy. Może nieraz i tak trzeba czytać „Psalmy", wydobywając to, czemu sam psalmista przeczy. Jeśli bowiem górę bierze fala uczuć i emocji płynących z samego życia, to jakże często zakrywa to, co ją powoduje. I tak jak widzimy ów przysłowiowy las, a nie widzimy drzew, tak też i podobnie widzimy rozbryzgujące się fale, a nie widzimy samej wody. Jest to jeszcze jeden dowód na ów głęboko ludzki wymiar wszystkich tekstów w „Psalmach", które zawsze wychodzą od czysto egzystencjalnego doświadczenia, a nie od konceptualnych rozważań. Bo ostatecznie tylko to naprawdę jest. I choć jakże często historia triumfuje w nich nad logiką i metafizyką, to jednak uważny czytelnik potrafi precyzyjnie oddzielić jedno od drugiego i obie te sfery prześwietlić własnym doświadczeniem.

Glosa o wojnie, którą od początku świata toczą synowie światłości z synami ciemności

A jednak jest w powyższym psalmie fragment, który niewątpliwie wyskakuje z porządku całej narracji i uruchamia autentyczną wyobraźnię eschatologiczną. Psalmista opisując Boże działanie wobec wrogów ludu wybranego, kreśli obraz, którego nie powstydziłby się autor „Apokalipsy": jak ogień pożera lasy, jak pożoga wypala góry, tak ich ścigaj Twoją nawałnicą – powiada. I niewątpliwie od razu też przywołany tu zostaje obraz odwiecznej wojny, którą toczą ze sobą już nie jedne ludy przeciwko innym, ale po prostu dobro ze złem, światło z ciemnością, cnota z grzechem, łaska miłosierdzia z demonem zagłady. I tak rozpoczyna się zupełnie inne czytanie tego psalmu…

Jesteśmy bardzo blisko atmosfery opisów proroka Izajasza: *Bo Pan kipi gniewem na wszystkich pogan i wrze z oburzenia na wszystkie ich wojska. Przeznaczył je na zagładę, na rzeź je wydał* (Iz 34, 2). Idźmy jednak dalej, bo oto *odkupieni przez Pana powrócą, przybędą na Syjon z radosnym śpiewem, ze szczęściem wiecznym na twarzach: osiągną radość i szczęście, ustąpi smutek i wzdychanie* (Iz 35, 10). O czym tu w ogóle mowa? Co to jest? Tak, to po prostu prolog Apokalipsy według właśnie Izajasza. Oto Bóg sądzi świat, pustoszy miasta pogan, a wybranych zaprasza na ucztę mesjańską: *Wtedy Pan Bóg otrze łzy z każdego oblicza, odejmie hańbą od swego ludu na całej ziemi, bo Pan przyrzekł* (Iz 25, 8). Te porównania nie są bynajmniej przypadkowe. Zwróćmy bowiem uwagę, że nie tylko samo wyliczenie w psalmie owych nazw ludów, które zwracają się przeciwko Izraelowi, ale nawet ich odpowiednia kolejność jest dokładnie taka sama, jak u Izajasza (Iz 11, 14), Jeremiasza (Jr 9, 25; 25, 21), a nawet wspomina się o tym w Księdze Daniela (Dn 11, 14)[1]. Nie jest to przypadek. Prawdopodobnie ten zestaw ma uosabiać wszelkie siły ciemności i dlatego może być tu traktowany symbolicznie. A zatem jesteśmy na wojnie ciemnych sił w historii z siłami jasności, która ostatecznie jednak triumfuje.

Widzimy więc **wojnę świętą**. Nic dziwnego, że musi w niej być zaangażowany sam Bóg. Dopiero w takiej perspektywie możemy na nowo spojrzeć na poszczególne strofy tego psalmu. Wyzwalamy je z niejasnych kontekstów historycznych i wkładamy w horyzont wielkiej eschatologii. A wtedy rzeczywiście nabierają one nowego blasku i skrzą się nowymi znaczeniami.

Oto zatem z jednej strony mamy wojska synów światła, którzy są potomkami pokoleń Lewiego, Judy i Beniamina, z drugiej zaś wojska synów ciemności, często przyrównywane do zastępów Beliala. W świecie Starego Testamentu prowadzenie

1 Co ciekawe, nawet w zwoju „Reguły Wojny" odnalezionym w pierwszej grocie w Qumran również wymienia się dokładnie te same nazwy i w tym samym porządku, co może oznaczać, iż mamy do czynienia raczej z archetypowym określeniem sił zła i ciemności, niż li tylko z nazwami ściśle historycznymi. Aczkolwiek w każdym z tych źródeł ilekroć mówi się o ludach Asyrii, to zazwyczaj ma się na myśli wręcz uosobienie okrucieństwa, przemocy i po prostu mordu, jakich dopuszczano się na narodzie wybranym; można więc zaryzykować twierdzenie, iż w tym wypadku mamy do czynienia z pierwiastkiem demonicznym niemal w czystej postaci. Tajemniczy autor „Reguły Wojny" oparł się na Księdze Liczb oraz Księdze Ezechiela, które były w kanonie Starego Testamentu, a sam ten tekst był jednym z fundamentów doktrynalnych gminy esseńskiej. Wynika z niej, że prowadzenie świętej wojny z siłami zła i ciemności było uważane za podstawowy obowiązek członka gminy.

świętej wojny wynikało wprost z zawartego z Bogiem przymierza. Skoro bowiem lud Izraela stał się wybrany, to zarazem spoczywał na nim obowiązek przeciwstawiania się złu tego świata. Często zatem ów obcy mu świat nazywany był światem pogan, a tych trzeba było po prostu nawracać. Pamiętajmy również o tym, że to właśnie dzięki przymierzu zawartemu z Bogiem Izrael z amorficznej i w sumie dość przypadkowej grupy etnicznej stał się wspólnotą, narodem i rzeczywiście ludem naznaczonym przesłaniem eschatologicznym. Jak czytamy w Księdze Wyjścia: *Wrócił Mojżesz i obwieścił ludowi wszystkie słowa Pana i wszystkie Jego zlecenia. Wtedy cały lud odpowiedział jednogłośnie: <Wszystkie słowa, jakie wypowiedział Pan, wypełnimy>. Spisał więc Mojżesz wszystkie słowa Pana* (Wj 24, 3-4). A potem – jak dalej czytamy – *jedli i pili*. Powstał więc ryt uczty i ryt krwi (por. Wj 24, 3-8; Za 9, 11). To właśnie Zachariasz wspomina o *krwi przymierza*, która dodatkowo jeszcze zespoliła cały naród Izraela.

Tak więc święta wojna była poniekąd mitem założycielskim dla Izraela, a była możliwa tylko w takim świecie, w którym nie nastąpił jeszcze podział na sacrum i profanum. To właśnie poprzez nią niejako wiodła droga do całkowitego wyzwolenia z grzechu i upadku oraz do – paradoksalnie – stanu pokoju. Widzimy więc, że istotny sens „świętej wojny" niewiele ma wspólnego z pospolitym rozumieniem wojny, albowiem dotyka bezpośrednio kwestii eschatologicznych. Przede wszystkim zaś zawsze w niej obecny jest sam Jahwe i wystarczyło tylko stanąć po Jego stronie, by był On nie tylko sprzymierzeńcem, ale wręcz walczył za swój lud wybrany. W stwierdzeniu tym ważna jest kolejność wypadków: Bóg o tyle tylko będzie po naszej stronie, o ile my wcześniej uznamy i zachowamy Jego prawa, porzucając drogę występku, grzechu i pychy. A zatem ostatecznie wszystko rozgrywa się w naszym własnym wnętrzu – oto prawdziwy front tej wojny! Cała reszta zaś, to znaczy nazwy wrogów i imiona ich przywódców, to tylko kryptonimy naszych własnych słabości. Jeśli tak rzeczywiście jest, to w takim razie każde sprzeniewierzenie się duchowi przymierza i prawa musi nieuchronnie sprowadzać karę i potępienie. Stąd wszelkie wzmianki o takiej wojnie bardzo blisko sąsiadują z duchem apokaliptycznych rozważań. Ważne przy tym jest jedno: potępienie i kara, które w takim wypadku spadają na lud wybrany, nie są bynajmniej powodowane aktem zemsty lub jakichkolwiek emocji samego Boga, lecz wynikają z bezwzględnie koniecznej mechaniki działania samego bytu stworzonego. A zatem – wbrew pozorom – to nie Bóg „karze" (bo wszak nie jest, jak człowiek, ani złośliwy, ani pamiętliwy), lecz określony skutek rodzi się z zawsze konkretnej przyczyny. Stąd jego nieuchronność i swoista bezwzględność, bo działa niczym ów ostry miecz wymierzający sprawiedliwość – a od takich wszak obrazów aż się roi pośród strof apokaliptycznych.

Życie całe więc jawi się jako nieustanne *bojowanie codzienne* i w tym sensie apokalipsa trwa przez cały czas. Mroki ciemności napierają na synów światła, a ten, kto nie zdaje sobie z tego sprawy, już poległ.

Konkludując, stwierdzić musimy, że mamy do czynienia w istocie z dwoma sposobami rozumienia wojny: pierwsza to ta zwyczajna, którą ludzie wywołują pomiędzy sobą (o wpływy, bogactwa, terytoria), druga zaś, zwana „świętą", którą toczy dobro ze złem.

O ile pierwsza, choć krwawa, jednak wynika z pobudek wymyślonych przez człowieka, o tyle druga, choć bezkrwawa, to jednak – rzekłbym – toczona jest nie z powodów wymyślonych przez umysł kogokolwiek z nas, lecz z racji przenikających całą naturę świata, to jest w imię dobra lub zła. Dlatego jest „święta". I – dodajmy – jak najbardziej rzeczywista. Na takie rozumienie wojny nakłada się perspektywa jako żywo apokaliptyczna. Obrazy wojny światła z mrokiem kończą się cudownym obrazem pokoju, opisanym wspaniale w poniższym psalmie.

Psalm 131: Spoczynek w Bogu

Panie, moje serce się nie pyszni
i oczy moje nie są wyniosłe.
Nie gonię za tym, co wielkie,
albo co przerasta moje siły.
Przeciwnie: wprowadziłem ład
i spokój do mojej duszy.
Jak niemowlę u swej matki,
jak niemowlę – tak we mnie jest moja dusza.
Izraelu, złóż w Panu nadzieję
odtąd i aż na wieki!

To jeden z najpiękniejszych psalmów i słusznie uchodzi za klejnot całego „Psałterza". Wzruszający obraz dziecka całkowicie zdanego na opiekę matki otwiera jednocześnie głębię metafizycznej interpretacji. I być może to wyjątkowe połączenie uczuć i wartości serca z intelektualnym przesłaniem i wartościami rozumu powoduje właśnie taki efekt. Bo ostatecznie i serce, i rozum stapiają się tu w jeden organiczny monolit ducha, który wyrasta ponad tymi podziałami.

Co ciekawe, psalm ten zaliczamy do pieśni stopni, co jednoznacznie wskazuje, że towarzyszył on prawdopodobnie pielgrzymkom pobożnych Żydów. Ale przecież swą wymową i horyzontem duchowym przekracza wymiar tej modlitwy nogami i odsłania niezwykłe pokłady samej tajemnicy istnienia. Bo choć jest bez wątpienia pielgrzymkową inkantacją, czyli towarzyszył ludziom w drodze, to jednak jest także wyrazem tęsknoty za miejscem, w którym znajdujemy spokój i odpoczynek.

A nawet powiedzieć możemy więcej: ten wyjątkowy psalm traktuje wręcz o odnalezieniu przez człowieka swojego miejsca w porządku całego bytu. Oto bowiem jesteśmy w drodze właśnie dlatego, że to miejsce utraciliśmy i szukamy go. A przyczyną zagubienia tego wybranego i jedynego dla każdego z nas miejsca jest pycha, która każe nam szukać nie tam, gdzie ono bez wątpienia jest, lecz tam, gdzie nam się wydaje, na podstawie tylko naszego myślenia. Ruszamy zatem w drogę poza siebie, a jej cel i jej wizję podsuwa nam wyłącznie nasz umysł i nasza wyobraźnia. Ale tak wyznaczona droga zawsze skazana jest na klęskę. Wszak od samego jej początku opuszczamy coś, co otrzymaliśmy w darze, a mimo to tego nie doceniliśmy. Musi więc towarzyszyć nam niepokój – nasz stały towarzysz i kompan na tym szlaku. A jest to zaiste szlak życia. I nieusuwalny jego paradoks polega na tym, że tak naprawdę niczego sami tu nie osiągniemy, jeśli wcześniej nie dotkniemy chociaż raz tego jedy-

nego, twardego gruntu, fundamentu, którym jestem właśnie ja sam „spoczywający" w „moim" miejscu, tylko mi przeznaczonym w całym porządku wszechświata.
A zatem jeśli mówimy tu w ogóle o drodze i o pielgrzymowaniu, to raczej powinna ona prowadzić w kierunku odwrotnym, czyli ku sobie, a nie od siebie – uzasadnień wszelkich szukać trzeba wewnątrz siebie, a nie na zewnątrz. I psalmista wyraźnie wskazuje, że tylko tu odnaleźć możemy ciszę i spokój, a nie gwar i miraże świata życia. A jest to strategia i „filozofia" dziecka, które ufa logice całego stworzenia, „cicho" spoczywając w miejscu, które ono jemu przeznaczyło. Co ciekawe, psalmista dwukrotnie powtarza: *jak dziecko na łonie swej matki, jak ciche dziecko…*, co nieraz uchodzi uwadze tłumaczy. Mimo niewątpliwego uroku tego zwrotu jest wszak w nim i głębsza treść, podkreślona nieprzypadkowym przecież powtórzeniem.
Warto też zwrócić uwagę na ten głęboko osobisty stosunek i tę niezwykle ciepłą relację, jaka łączy matkę z własnym dzieckiem, na którą wskazuje psalmista. Wydaje się, że dostrzec w tym można pewną analogię z podobną relacją, utkaną niemal z takich samych jakości, o jakiej mówimy w Modlitwie Pańskiej, kiedy pozwalamy sobie wołać do Boga słowami „Ojcze", a nawet „Abba". I w jednym, i w drugim przypadku potwierdzamy tym samym nasze synostwo, bycie dziećmi Bożymi – i to bez względu na czyjąkolwiek wolę w tej kwestii, albowiem nasze istnienie jest zarazem uczestniczeniem w istnieniu powszechnym, a to jest jako żywo niezależne od jakiejkolwiek ludzkiej woli i intencji.
Dziecięctwo Boże działa jednak w dwóch kierunkach: wertykalnie, kiedy uświadamiamy sobie, poprzez sam fakt istnienia, uczestniczenie w Istnieniu Najwyższym i powszechnym, oraz horyzontalnie, kiedy uznajemy podobne uczestnictwo innych, co także powinno określać nasz stosunek wobec każdego drugiego człowieka. Potwierdzają to słowa samego Jezusa Chrystusa przytaczane przez św. Mateusza: *<Zaprawdę powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. Kto się więc uniży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim. I kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje>* (Mt 18, 3-5). Przyjmujemy zatem drugiego człowieka dokładnie tak samo, jak siebie samego – czyli jako równie istniejącego: towarzysza w tym samym misterium całego wszechświata. Rzecz jasna płyną z tego faktu określone wnioski, a są nimi w gruncie rzeczy słowa pomieszczone nie tylko w tym psalmie.
Znamienne jest również, że znajdujemy w ostatnich strofach tego psalmu słowa o nadziei, albowiem oznacza to, że szukać jej winniśmy właśnie wewnątrz nas, a nie na zewnątrz – w tej właśnie ufnej relacji wobec Istnienia Najwyższego, „spoczywając" w swoim miejscu. I znowu mamy ten sam kierunek szukania: raczej pod własnymi nogami, a nie ponad głową. Bo ona także jest, tyle tylko, że musimy ją odgrzebać spoza form życia, które ją nieustannie przykrywają.
Psalm ten bardzo często określany bywa jako pieśń ufności. Niewątpliwie też może służyć jako przykład postawy dokładnie przeciwstawnej wobec pychy, jakże często piętnowanej w „Psałterzu". I jeśli ta ostatnia łączy się ze swoistą wiarą w moc ludzkiego rozumu, to ufność bez wątpienia polegałaby na akceptacji porządku nas przerastającego, to jest potęgi i logiki samego istnienia.

Prowadzi to nas wprost do rozważań nad pojęciem pokory, które jednak nie polega na tym, że – według powszednich wyobrażeń życiowych – pochylamy głowy i ustępujemy każdemu z drogi. Bo to kolejny przykład tego, jak życie wywraca do góry nogami pojęcia i słowa naprawdę ważne, a następnie przenicowuje po to, aby je niejako obezwładnić i pozbawić pierwotnej siły, czyniąc bezbronnymi wobec form życiowych. Pokora jednym słowem nie polega wyłącznie na poddaniu się woli innych i zajęciu postawy całkowicie biernej. Takie bowiem rozumowanie możliwe jest wyłącznie w płaszczyźnie życia, czyli horyzontalnej – rozciągniętej na wysokości ludzkich oczu. To tu właśnie działa ów mechanizm odwracania znaczeń pojęć i słów ważnych po to, by uczynić je pustymi i wypranymi z treści.
Pojęcie pokory nie ma zatem nic wspólnego z takim rozumowaniem. Jej rdzenny i organiczny sens wywodzić trzeba z ufnego wsłuchania się w głos i rytm całej natury świata, a następnie postępowania zgodnie z nią. Wtedy też działam z jej mocą i w sposób konieczny. I jeśli w ogóle możemy tu jeszcze mówić o jakimkolwiek „poddawaniu się", to tylko i wyłącznie porządkowi i logice całego istnienia, aczkolwiek w tym wypadku o wiele bardziej właściwym określeniem byłoby powiedzenie, że znalazłem swoje miejsce w nim. A działanie, które wówczas się rodzi, jest organiczne i właściwe, a zatem pełne mocy. Jaka to moc? To moc, jaką ma w sobie „pokorna" woda: łagodnie wprawdzie spływa tam, gdzie może, a mimo to bywa potężnym żywiołem, którego nie jest w stanie ogarnąć „niepokorny" umysł człowieka.
Z pojęciem pokory łączymy często rozumienie pokoju – wszak równie często przywoływane w „Psalmach" i nie tylko. Szczególnie zaś doświadczamy go właśnie w tym psalmie.
I jest sprawą oczywistą, że ów starotestamentowy pokój to bynajmniej nie to samo co spokój – nawet gdyby był święty. Nie jest to jednym słowem życzeniowe oderwanie się od wszelkiego frasunku, zmartwień i przeciwności. Przeciwnie: o ile „pokój" w świecie „Psalmów" raczej odnosi się do pewnego sposobu samego istnienia, o tyle ów „spokój" jest raczej relacją wobec form życia. A to jest jednak zupełnie inny poziom rozważań.
Pokój w znaczeniu starotestamentowym to taki dystans wobec życia, dzięki któremu można osiągnąć siłę do przezwyciężenia go. Tylko wtedy bowiem moc wynikająca z obcowania z istnieniem samym nie jest niczym blokowana, a w szczególności żadnymi „życiowymi" formami, i dlatego płynie swobodnie, uderzając tam, gdzie trzeba. Podobnie zapewne jest ze sportowcem, który tylko wtedy osiąga dobry wynik, kiedy przed zawodami potrafi tak się rozluźnić, pokonując napięcie i stres, aby energia mogła swobodnie płynąć do jego mięśni i umysłu. Czy zatem „spoczywanie w pokoju" to warunek zwycięstwa? Czy prze-żyć dobrze życie oznacza czerpać z tego oceanu jak najwięcej?
Zwróćmy tylko uwagę, że sam Jezus Chrystus nie bez powodu zapewne tak często do kwestii pokoju wracał i świadomie nawiązywał do przekazów starotestamentowych, a więc wtedy, kiedy tym słowem witano się (por. w ST Sdz 6, 23; Ezd 5, 7; Dn 4, 1) lub żegnano (także por. Wj 4, 18; 2 Sm 15, 9), nawiązując tym samym niewątpliwie do wskazanych tu przekazów Prawa. Co ciekawe, to właśnie szczególnie w świecie starotestamentowym z osiągnięciem stanu pokoju łączy się także pojęcie prawdy

rozumianej jako wierność (Est 9, 30; Za 8, 16.19), ale również pojęcie sprawiedliwości (Iz 32, 17). Chrystus zatem pozdrawiał i żegnał słowem „pokój", bo zależało Mu na tym, aby moc Ducha mogła bez przeszkód krążyć pomiędzy Nim a tymi, których spotykał na swej drodze.

Pokój w takim ujęciu to spoczywanie w swoim miejscu – tym jednym w całym porządku bytu. Ale to także poczucie bycia u siebie i zarazem w pełni sobą. I to stąd właśnie wypływa ta siła, której nie sposób się oprzeć, albowiem jest naturalna i obiektywna. Jej działanie nie doprowadza jednak do jakiegokolwiek konfliktu, lecz raczej wszelki możliwy konflikt wyprzedza i eliminuje. Wygrywa się zatem bez walki. Prawidłowość ta obca jest dla sfery życia, bo życie – na odwrót – stwarza nie tylko konflikt, ale także przesłanki do tego, by wygrywać. To jest jego strategia. Tymczasem tu idzie nie tyle o walkę, ile raczej o jej eliminowanie. Nie ma bowiem w takim porządku przesłanek do jej zaistnienia. Jednym słowem poruszamy się tu w zupełnie innej przestrzeni pojęć i rozumowań, zgoła obcej dla materii życia.

W świecie tym niewątpliwie warunkiem niejako posiadania pokoju jest „odpuszczenie grzechów", a zatem uspokojenie serca i wyeliminowanie negatywnych relacji wobec kogokolwiek. Warto w tym miejscu przywołać ów znany fragment z Ewangelii o deszczu tak samo spadającym na głowy dobrych i złych ludzi. A jest to bez wątpienia ustęp zdumiewający i niemożliwy do pełnego zrozumienia bez odczytania go właśnie w kontekście poczucia oczywistości istnienia. Tak bowiem jak dar istnienia mnie samemu przysługuje i jest oczywisty, tak też i podobnie dzieje się z tym drugim, spotykanym przeze mnie człowiekiem, bez względu na to, czy jest on grzesznikiem i winowajcą, czy też nie. Dobrych i złych po równo obdziela tym darem Stwórca i tak samo też skrapia ich głowy deszczem. Możemy powiedzieć, że jest to „naturalne".

Stan prawdziwego pokoju nie jest możliwy do osiągnięcia bez odsłonięcia oczywistości istnienia, co jest podstawą do oderwania grzechu od grzesznika. I dopiero na tej niejako bazie może dokonać się radykalne odpuszczenie grzechów: widzę czyjąś winę, ale lituję się nad winowajcą. I jeśli „po ludzku" trudno to zrozumieć, to tylko dlatego, że zawładnięci jesteśmy życiowymi wyobrażeniami winy oraz grzechu i dlatego stajemy przed ścianą bezsilności.

Chodzi zatem o odnalezienie tego wspólnego mianownika dla wszystkich żyjących, jakim jest samo istnienie. I to jest zarazem droga do osiągnięcia stanu pokoju. Przy czym wyraźnie trzeba podkreślić: nie stworzenia go, ale właśnie odkrycia jako już istniejącego. Bo jest bardziej realny, niż nam się wydaje. Trzeba więc płynąć pod prąd powszedniej wyobraźni i czysto życiowych mniemań, czyli wychodzić poza granice własnego umysłu.

Musimy także wspomnieć o jeszcze jednej kwestii związanej ze stanem pokoju, do którego wszak tak często wzywał nas sam Jezus Chrystus, nawiązując do starotestamentowych przekazów, które wyżej przytoczyliśmy. Otóż bardzo często wskazuje On, że warunkiem jego osiągnięcia jest oczyszczenie serca (por. Ps 51, 12), a niewątpliwie źródłowym zawołaniem jest to, które zawarte zostało w ośmiu błogosławieństwach: *Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą* (Mt 5, 8). Cóż jednak może oznaczać owo serce czyste? Wydaje się,

że chodzi tu o pozbycie się i opróżnienie świadomości z wszystkich życiowych nastawień po to, by zrobić miejsce na działanie odwiecznego prawa i zasady samego bytu – Istnienia Najwyższego. Możemy to także określić jako oderwanie się od materii życia i w tym sensie obcowanie z pustką. Warto przy tym jednak zauważyć, iż jest to pustka dla życia, która jednakowoż staje się pełnią dla objawienia się samego istnienia. W jej przestrzeni oczekujemy na działanie Boga. I niewątpliwie też dopiero w niej niejako lepiej jest widzieć i doświadczać Jego działania. Tak jak światło, które lepiej jest widoczne w ciemności, tak też i byt sam widoczny jest bardziej na tle niebytu, coś na tle niczego, a jego głos zaś najbardziej słyszalny jest w ciszy. Krótko mówiąc, czystość serca poprzedzona jest taką pustką, która odsłania się po oderwaniu się od życia. W jakimś sensie mamy tu przełożenie zasady działania „wielkiej" *pleromy*, na którą wskazywał św. Paweł, na „małą" – czyli tę, która jest przestrzenią mojego umysłu i mojego życia. I to właśnie w niej mogę dopiero w pełni oglądać Boga. Ale cóż to może znaczyć? Otóż oglądać Boga znaczy tu tyle, co posiadać Go, czyli w pełni świadomie i w sposób całkiem oczywisty brać udział w niebywałym misterium Jego istnienia. Skoro jednak poruszam się tu w pustce – z życiowego rzecz jasna punktu widzenia – to w takim razie nie mam żadnych środków i narzędzi, by o tym opowiedzieć: tak oto oglądanie Boga, a także posiadanie Go, staje się zupełnie niekomunikowalne dla życia. Oznacza to ostatecznie, że również „spoczywanie w pokoju" bardziej jest doświadczeniem niż słownym komunikatem.

Glosa o bojowaniu i bycie podniebnym

Biblijny Hiob, tak bardzo doświadczony cierpieniem po to, by móc w całej pełni odkryć wartość istnienia, zniechęcony ostatecznie do całego życia, tak skarży się Bogu: *Czyż nie do bojowania podobny byt człowieka? Czy nie pędzi on dni jak najemnik? Jak niewolnik, co wzdycha do cienia, jak robotnik, co czeka zapłaty. Zyskałem miesiące męczarni, przeznaczono mi noce udręki. Położę się, mówiąc do siebie: Kiedyż zaświta i wstanę? Lecz noc wiecznością się staje i boleść mną targa do zmroku* (Hi 7, 1-4). Fraza ta zostanie potem powtórzona w poetyckiej formie przez wybitnego polskiego poetę barokowego Mikołaja Sępa Szarzyńskiego w sonecie IV zatytułowanym „O wojnie naszej, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem": *Pokój – szczęśliwość; ale bojowanie / Byt nasz podniebny*. W obu jednak ujęciach myśl pozostaje ta sama: cała dramaturgia życia człowieka rozpięta jest pomiędzy upadkiem a podnoszeniem się z niego, a sinusoida ta ani nie ma końca, ani też nigdy się nie wypłaszcza. Stąd to pełne smutku westchnienie metafizyczne poety, iż szczęście to zapewne synonim właśnie owego pokoju, czyli stanu jakiejś równowagi i stabilności. Ale przecież jakże znamienne również jest i to, że poeta niemal automatycznie, bo na zasadzie wylewającego się strumienia świadomości, utożsamia wręcz jedno z drugim, nawet bez potrzeby jakiegokolwiek nazywania lub orzekania, tak jakby po prostu stawiał pomiędzy nimi oczywisty znak równości. Ten swoisty automatyzm wprost odwołuje się do sfery podświadomej – to tu wszak odnajdujemy pragnienia nie poddane jeszcze umysłowej obróbce analizy lub syntezy, *definiendum* i *definiens*, rozrywania na poznające i poznawane. A zatem odsłaniamy w tym lapidarnym

skrócie poetyckim stany niejako tożsame. I w tym też sensie zaryzykować możemy stwierdzenie, że poeta robi w stosunku do lamentu Hioba krok naprzód, albowiem biblijny bohater wyłącznie póki co na lamencie poprzestaje. Aczkolwiek myślę, że i tak na próżno by szukać gdzie indziej bardziej dramatycznych słów na oddanie nędzy i tragedii losu człowieka pod niebem życia, gdzie niczego innego nie widać oprócz kłębiących się chmur.
Nie jest też przypadkiem, że to właśnie tragedię Hioba przywołuje Carl Gustav Jung, by na jej przykładzie ukazać rzekomą dwoistość natury Boga: z jednej strony jest On uosobieniem niewzruszonego prawa, które działa z mocą konieczności, a zatem Hiob nie znajduje żadnych racji, by z nim dyskutować, albowiem może tylko pochylić przed nim głowę, z drugiej zaś, całkiem po ludzku, nie może się pogodzić z Jego surowością, a nawet okrucieństwem. Hiob zatem, w tym ujęciu, widzi tylko częściowo, jakby tylko na jedno oko: rozumie Boga działającego poprzez prawo, ale kiedy przychodzi mu pojąć Jego osobę, to w gruncie rzeczy dokonuje antropologicznej ekstrapolacji, albowiem sprowadza bóstwo Pana do realiów ludzkich. Stąd powstaje syndrom poczucia kary za czyny niepopełnione albo też – w wersji łagodniejszej – poczucie kary nadmiernej wobec występku. Logika ludzka wdziera się tu w logikę Bytu Najwyższego i dlatego powstają problemy, których faktycznie nie ma.
Soren Kierkegaard pisząc o rozpaczy, również poddaje się dusznej atmosferze lamentów Hioba, albowiem i tu Bóg nie jest odczytywany w perspektywie Tego, Który Jest, a więc wikłamy się w pozorne problemy i stawiamy pytania na podstawie urojonych przesłanek, a zatem nie do rozwiązania – chyba że na drodze literackiego wywodu, ale to już jest bardziej kwestią licentia poetica niż wywodu stricte metafizycznego. Dopiero chyba – tak to możemy ująć – w sukurs odczuwaniu i myśleniu Sępa Szarzyńskiego przychodzi uważna lektura słów św. Augustyna z jego komentarzem do Księgi Hioba, zawartego w „Wyznaniach". Otóż św. Augustyn owych znamion pokoju w życiu człowieka, o których tak lapidarnie wspomina poeta, poszukuje w niezmierzonym miłosierdziu Boga. Innymi słowy, jeśli rzeczywiście gotów jestem odkryć i przyjąć w pełni Boże miłosierdzie, to mogę zarazem odzyskać pokój i równowagę w swoim życiu – do tego, mówiąc skrótowo i na nasz użytek, można sprowadzić całe rozumowanie św. Augustyna. Ale przecież przyjęcie tego miłosierdzia nie jest tylko kwestią wiary, lecz przede wszystkim odkrycia go w oczywistości samego istnienia – jako już istniejącego.
Czymże jednak jest ta równowaga i pokój, o których tu mowa? A czymże owo „bojowanie", jakże często określane jako nieustanne wychylanie się raz w jedną, a raz w drugą stronę wahadła życia? Wszak to wszystko jest tylko zbiorem określeń przypływających do nas ze świata życia! To właśnie logika życia wplątuje nas w to egzystencjalne drżenie, falowanie na sinusoidzie losu, który jawi się przeważnie jako ślepy i bezwzględny. Mówiąc inaczej, zarówno to pojęcie równowagi, jak i samo pojęcie pokoju stanowią w gruncie rzeczy sposoby objawiania się życia, a zatem i one są kolejnymi ułudami i kolejnymi formami wytwarzanymi przez nasz umysł. Odsuwając jednak na bok taką logikę, czyli formy życia, uchylamy w pewien sposób nie tylko cały dramat Hioba (jako pozorny), ale także i pojęcia równowagi oraz pokoju mu towarzyszące.

Cóż w takim razie pozostaje? Pozostaje – i tu wracamy do słów i duchowej atmosfery psalmu – ufne spoczywanie w oczywistości istnienia. W pewnym też sensie nawiązujemy tu do Janowego „spoczywania w Panu". Tymczasem Hiob był – rzekłbym – bezgranicznie uwikłany w życie i dlatego właśnie pogrążał się w odmętach własnej rozpaczy.
Wydaje się, że w rozumowaniu anonimowych twórców Psalmów zwieńczeniem odwiecznej wojny światła z ciemnością jest nie tylko apokalipsa, z której wszak wyrasta nadzieja, i nie tylko pokój tak pięknie i wzruszająco opisany w powyższym psalmie, ale również oczywisty triumf samego Boga, który ostatecznie wkracza nie tylko do świątyni zlokalizowanej na świętej górze Horeb, ale przede wszystkim do świątyni serca każdego z nas.



Andrzej Jerzy Lech, *Bari,* Włochy, 1979

Psalm 24: Pan uroczyście wkracza do świątyni

Do Pana należy ziemia i to, co ją napełnia,
świat i jego mieszkańcy.
Albowiem On go na morzach osadził
i utwierdził ponad rzekami.

Kto wstąpił na górę Pana,
kto stanie w Jego świętym miejscu?
Człowiek o rękach nieskalanych i o czystym sercu,
który nie skłonił swej duszy ku marnościom
i nie przysięgał fałszywie.
Taki otrzyma błogosławieństwo od Pana
i zapłatę od Boga, Zbawiciela swego.
Takie jest pokolenie tych, co Go szukają,
co szukają oblicza Boga Jakubowego.

Bramy, podnieście swe szczyty
i unieście się prastare podwoje,
aby mógł wkroczyć Król chwały.
<Któż jest tym Królem chwały?>
<Pan, dzielny i potężny,
Pan, potężny w boju>.
Bramy, podnieście swe szczyty
i unieście się, prastare podwoje,
aby mógł wkroczyć Król chwały!
<Któż jest tym Królem chwały?>
<To Pan Zastępów: On sam Królem chwały>.

Wiele komentarzy do tego psalmu wprowadziło zamęt wokół jego podstawowego przesłania. Nie wchodząc jednak w szczegółowe polemiki, przytoczmy najbardziej typową interpretację: otóż zazwyczaj przyjmuje się, że jest to hymn wychwalający zwycięskiego Stwórcę. Wydaje się jednak, że w takiej perspektywie interpretacyjnej dokonuje się całkiem nieuprawnionej ekstrapolacji z czysto życiowego rozumienia zwycięstwa, w domyśle: nad jakimś przeciwnikiem, na rozumienie dotyczące samego Boga. Ale w takim razie – konsekwentnie – trzeba by zapytać: z kim mógłby walczyć Ten, który jest wszystkim? Widać aż nadto wyraźnie, że taka siatka pojęć i kategorii kompletnie nie odpowiada swemu przedmiotowi, a nadto prowadzi do sprzeczności: jeśli Bóg stworzył cały świat, to w takim razie stworzył także swojego przeciwnika, a zatem walczy sam ze sobą. Jednym słowem trzeba odrzucić czysto życiowe pojmowanie chwały, zwycięstwa i samego Stwórcy i skupić się na znaczeniach metafizycznych, czyli prowadzących do istoty bytu.
Nasz punkt widzenia umieszczamy zatem wewnątrz samego bytu i z pozycji uczestnika mówić będziemy o chwale, która kulminuje w obrazie Boga wkraczającego do świątyni. Bo to On zechciał, dzięki swej łaskawości, czyli sam z siebie, a nie z powodu zwycięstwa nad kimkolwiek, nazwać się Królem dla ludzi i zająć swe miejsce na wysokiej górze, aby być widocznym dla wszystkich – że jest.

W psalmie powtarzany jest też obraz góry, z wysokości której Bóg spogląda na człowieka i jego życie. Ta metafora pełni nie tylko funkcję czysto literacką, ale przede wszystkim podkreśla, iż mówiąc sensownie o życiu, trzeba się od niego oddalić i spojrzeć na nie z wysoka. Tylko wtedy bowiem bierzemy je niejako w nawias i stawiamy pytania fundamentalne. Tak też następuje oczyszczenie z form życia, albowiem tylko *człowiek rąk nieskalanych* i człowiek *czystego serca* może wejść na ten szczyt. Jest to poniekąd warunek wstępny rozmowy o formach życia.
I nie przypadkowo też święte miejsce psalmista umieszcza na górze, a nie w materii życia powszedniego. Dopiero z takiej perspektywy możliwe stają się wszelkie osądy: kłamstwo jest rzeczywiście kłamstwem, a wszelka marność życiem naznaczona naprawdę marnością. Nie da się bowiem z wysokości ludzkich oczy wyrokować o życiu. To bardzo znamienny ciąg wynikania i warto go tutaj wydobyć. Psalmista jest w tym względzie precyzyjny i logiczny.
W takiej perspektywie interpretacyjnej cały świat jawi się jako świątynia Boga, w której niejako przygląda się On sobie. A zatem i chwała Mu oddawana jest całkiem naturalna i oczywista. Bóg nieustannie wchodzi do swojej świątyni, a nie tylko od czasu do czasu, i to bardziej od święta, a nie na co dzień. To *wkraczanie do świątyni* trwa przez cały czas i jest to jedna z form obecności Boga w świecie. Ważne jest jednak, aby to człowiek otworzył bramy swoich zmysłów i w pełni dostrzegł to misterium pochodu Boga, które dokonuje się każdego dnia. Oddał to intuicyjnie w swym przekładzie ks. Jakub Wujek: *Podnieście, książęta, bramy wasze… i wnidzie Król chwały*. Jednym słowem zwraca się tu uwagę na wolę człowieka i intencje jego działania, bo wszak wolnością został obdarzony. Warto to szczególnie podkreślić, albowiem w takiej metafizycznej interpretacji tego psalmu pojawia się pewna pułapka: jeśli Bóg stworzył cały świat i uznajemy go za Jego świątynię, to czy czasami również i chwała, której On doznaje, nie pochodzi od Niego samego? Innymi słowy, to Bóg wychwala ustami człowieka sam siebie? I właśnie dopiero podkreślenie wolnej woli człowieka chroni nas przed takim myśleniem. Bo Bóg w swej wspaniałości obdarzył nas wolnością i to od nas zależy, co uczynimy z tym darem. Wyznanie chwały Panu jest więc świadomym wyborem, a nie koniecznością.

Glosa do spokoju, jaki nastaje po świętej wojnie

A jednak – prawdopodobnie – można również powyższy psalm czytać w zupełnie innej perspektywie, umieszczając go w kontekście innych tekstów „Psałterza". Kiedy raz jeszcze pochylamy się nad jego kolejnymi strofami i – tym razem – dajemy unieść się pewnym emocjom i nastrojom, pozostawiając na uboczu sam przekaz, to ogarnia nas tchnienie spokoju i wytchnienia: oto bitwa stoczona, jest już czas na odpoczynek i smakowanie triumfu i zwycięstwa. Ale nie ma tu żadnej euforii, tak jak to bywa po wygranej walce, lecz właśnie spokój – tak jakby wszystko wróciło po prostu na swoje miejsce i równowaga raz jeszcze została odzyskana. Oto znowu jest *góra Pana*, a z jej wysokości widać wyraźnie, że morze zajęło swoje miejsce, rzeki płyną jak płynęły od wieków, a my wszyscy wiemy, że to wszystko jest Jego dziełem. Góra jest oddzielona od dołu, woda od piachu pustyni, wschód

od zachodu, a poprzez wszystko wiedzie owa *brama do Pana*. Cały czas jednak nad tym krajobrazem wisi zawieszone w powietrzu wielkie pytanie: kto przez nią przejdzie i *wstąpi na górę Pana*?
Jednym słowem smakujemy w takiej lekturze spokój, który niewątpliwie nastał po burzy. Jakiej? I tu spoglądamy na ów psalm z perspektywy psalmu 83, gdzie z gardła psalmisty wyrywa się chwilami głos niemal apokaliptyczny, bo oto trwa śmiertelna wojna synów światła z mocami ciemności, a wtóruje mu odbijający się od mroku dziejów krzyk proroka Izajasza z jego Wielkiej Apokalipsy. Świat staje na głowie, a największe obrzydliwości wypływają na powierzchnię i uderzają w resztki światła tego dnia, by ostatecznie pochłonąć je mrokiem nadchodzącej nocy[2]. A zatem mamy krajobraz po bitwie, dlatego podnoszą się *prastare podwoje, aby mógł wkroczyć Król chwały*, albowiem walka została wygrana po raz kolejny. Nie ma jednak tu żadnego triumfalizmu, lecz wyłącznie spokojne odnotowanie faktu oczywistego: On jest, bo jest. Trzeba nawet w tym myśleniu zrobić jeszcze jeden krok: ta wojna też była wymyślona, bo ostatecznie jest tylko to, co jest! Krótko mówiąc, front tej wojny przebiega w nas samych, a więc i apokaliptyczne wizje także są wymyślone przez nas samych. To w naszym wnętrzu nieustannie toczy się owo zmaganie dobra ze złem, światła z ciemnością, a kiedy tylko to sobie uświadomimy, to okazuje się, że tak naprawdę nic się nie stało: jest *góra Pana*, jest owo morze i są te rzeki, drzewa tak samo słaniają się przed wiatrem, a słońce wzeszło jak co dnia. To my produkujemy podziały, antagonizujemy cały świat, wymyślamy wojny, a spektakl ten trwa od wieków, zaś jego aktorzy tak bardzo się tym przejmują, że nawet od czasu do czasu upuszczają z oka prawdziwą łzę.
Tymczasem w rzeczywistości przez cały czas kroczy *Pan chwały*, podnoszą się mgły znad gór i odsłaniają swe szczyty, a w Jego majestacie wszelkie bitwy i wojny zostają wygrane, zanim się jeszcze rozpoczęły. A ten, kto widzi naprawdę, powtarza za prorokiem Danielem: *A panowanie i władzę, i wielkość królestw pod całym niebem otrzyma lud święty Najwyższego. Królestwo Jego będzie wiecznym królestwem; będą Mu służyły wszystkie moce i będą Mu uległe* (Dn 7, 27). Dlatego właśnie psalmista po raz kolejny intonuje swą pieśń:

Wysławiajcie Pana, Boga naszego,
oddajcie pokłon przed świętą Jego górą:
bo Pan, Bóg nasz, jest święty (Ps 99, 9).

Wydaje się, że taki właśnie spokój płynie również z owego, przytoczonego wyżej, psalmu. A nawet więcej: niczym złota nić przewija się w całym „Psałterzu" i tka materię świata, którego już nie ma. Dlatego właśnie czytamy „Psalmy" – ciągle od nowa.

2 Nawiasem mówiąc, taki też obraz wyłania się z uważnej lektury tekstu „Reguły wojny", odnalezionego w roku 1947 w pierwszej grocie w Qumran, nad Morzem Martwym (patrz: kolumna XII). I być może nieprzypadkowo też wyraźnie widzimy tam nawiązania do psalmu 24. O ile jednak świat cały u esseńczyków rozpadał się na zwalczające się siły dobra i zła (co prawdopodobnie było śladem nieprzezwyciężonych jeszcze sprzeczności zoroastriańskich), o tyle w świecie naszego psalmisty następuje wielka synteza i jakby na nowo odzyskana harmonia, bo oto odkryty zostaje Ten, który jest – niezróżnicowany, wieczny, nieskończony, w którym zanurzone są nawet wszelkie sprzeczności, podziały i dualizmy. Bo tu jest tylko to, co jest, cała reszta zaś staje się umysłową abstrakcją. A ściślej: pozorem…

Glosa o świątyni, którą jest każdy z nas

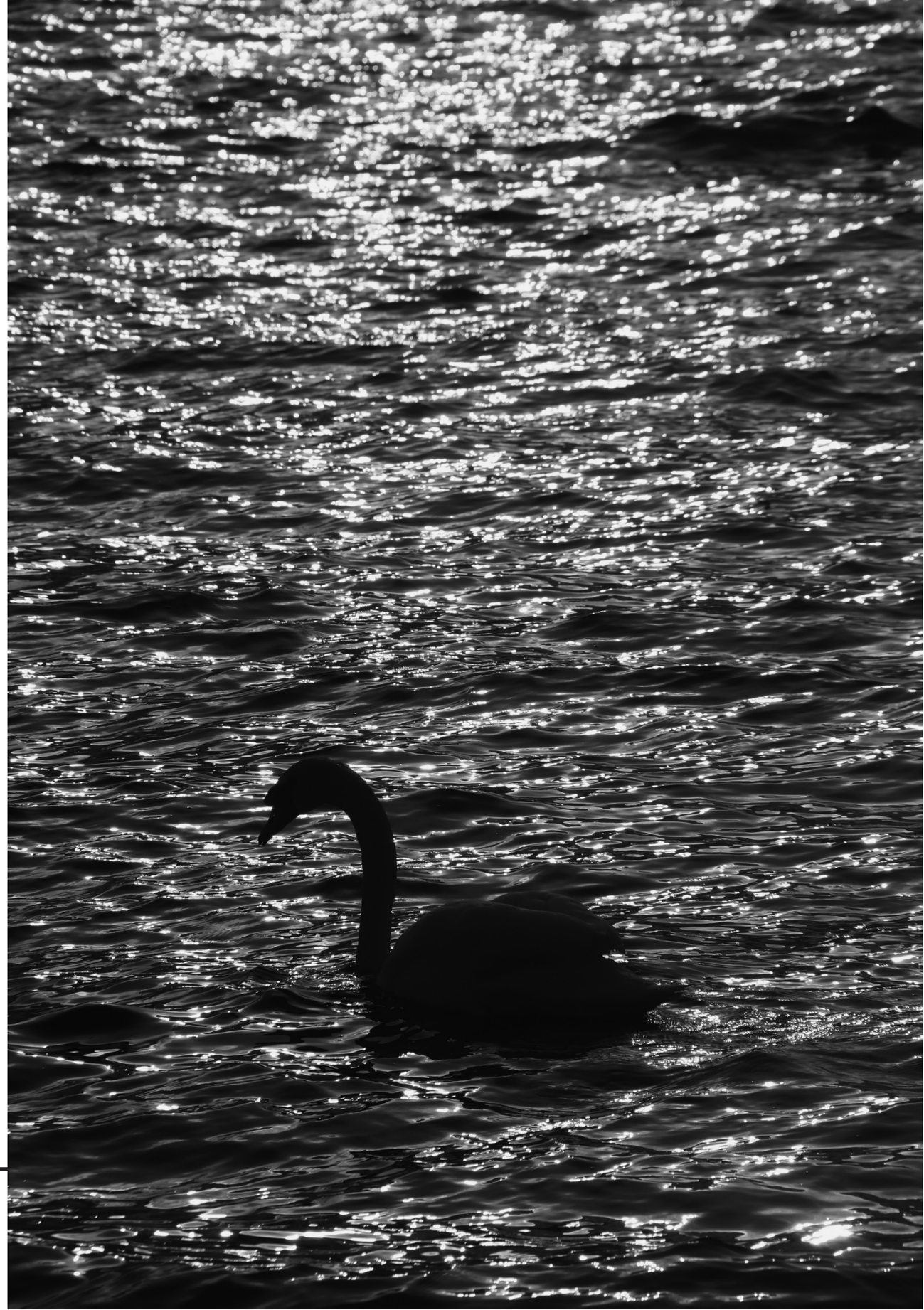
Oprócz czytania powyższego psalmu z – rzekłbym – dużym kwantyfikatorem, czyli odnosząc go do świata życia i świata stworzonego w ogóle, można także i zapewne należy przekładać go na kwantyfikacje małe, czyli odnosząc jego słowa do każdego poszczególnego człowieka i jednocześnie tu i teraz. Można rzec, że tym razem mamy na uwadze jego stricte antropologiczny sens.
Jest też raczej kwestią oczywistą, że tak właśnie precyzując czytanie tego psalmu, natychmiast otwieramy lekturę zarówno Pierwszego Listu do Koryntian św. Pawła, w którym wyraźnie mówi się o tym, że to sam człowiek jako byt stworzony jest świątynią Boga, jak i fragmentu z Ewangelii św. Jana (J 2, 13-15), gdzie Jezus, którego przepełnia *gorliwość o świątynię*, wypędza z niej kupców, bankierów i pospolitych handlarzy.
W każdym razie jest kwestią nader interesującą badać tę niewątpliwie dwutorowość w interpretacji owej świątyni: z jednej strony z perspektywy indywiduum, z drugiej zaś niejako metafizycznie, jako obraz całego świata stworzonego. I raz jeszcze sprawdza się owo doświadczenie odnajdywania wielkiego w małym i na odwrót – w jednostkowym ogólnego. Widzimy wszak po raz kolejny całkowicie inną czasoprzestrzeń, do której odwołuje się świat „Psalmów" – albowiem zawieszony zostaje nie tylko bieg czasu życia, ale i złamana zostaje tradycyjna (Newtonowska?) przestrzeń. Wkraczamy w rzeczywistość doświadczenia, które dzieje się teraz i zawsze oraz tu i wszędzie. Pod jednym tylko warunkiem, a mianowicie o tyle, o ile naprawdę autentycznie w nim uczestniczymy, czyli jesteśmy. Do tego bowiem zaprasza nas każde zdanie, wyraz, a nawet kropka dowolnego psalmu tej księgi. O tym właśnie tu piszemy.
Bycie świątynią w wymiarze jednostkowym oznacza przyjęcie w pełni dziecięctwa Bożego, innymi słowy – przyjęcie od Pana bezinteresownego daru istnienia. Jego zaś swoistą pieczęcią staje się sakrament chrztu świętego. Wszystko to w gruncie rzeczy prowadzi nas do tego źródłowego *jestem*, a ściślej: do jego pełnego i nader oczywistego doświadczenia. I w tej oczywistości zawiera się zarówno byt jednostkowy, jak i powszechny – oba w równej mierze obdarzone przez Stwórcę łaską istnienia. Dokładnie też ta sama *gorliwość* winna odnosić się do obu wymiarów naszego podążania za odkrywaniem owej świątyni.
Spróbujmy przez chwilę zastanowić się nad tą przywołaną przed chwilą kategorią. Otóż tak źródłowo, czyli organicznie i w sensie filozoficznym nader ontycznie rozumiana *gorliwość* niewiele ma wspólnego z jakąkolwiek intencjonalnością lub też z jakimś szczególnym aktem woli człowieka (notabene dyktowanej rozumem i wiedzą), lecz przede wszystkim z tym, że jest po prostu odsłaniana w samym bycie jako takim. Innymi słowy – aktem pierwotnym jest ufność i całkowite powierzenie się Panu, bo dopiero wtedy czytelne staje się to, co nie jest czytane przez materię życia i jego logikę oraz jego język. Taka *gorliwość* jawi się jako po prostu oczywista. To oznacza, że byłoby absurdem niedbanie o ową świątynię – zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i ogólnym. Dokładnie tak, jakby nagle żądać, aby rzeki płynęły do swego źródła lub słońce zachodziło na wschodzie. O taką oczywistość tu chodzi.

I to ona wyświetla miarę absurdu, na który jakże często decydujemy się, ulegając formom życia oraz jego logice i porządkowi. Do takiej też oczywistości dochodzimy, *trwając ufnie* w Panu. I niewątpliwie też z niej dopiero wyprowadzamy organiczny sens owej *gorliwości o świątynię*, którą całkowicie przesiąknięty był Jezus w scenie przywołanej przez św. Jana.

Warto również w tym kontekście *gorliwości* o świątynię, do której poniekąd zobowiązany jest każdy z nas, powrócić na chwilę do tej deklaracji Jezusa, który na pytanie o Jego stosunek wobec samej świątyni, z której właśnie przepędza kupców i bankierów, powiada, iż jest w stanie nie tylko ją zburzyć, ale i w ciągu trzech dni odbudować. Liczni komentatorzy tych słów słusznie zwracają uwagę, że ma na myśli swoje przyszłe zmartwychwstanie, które wszak dokonuje się także po trzech dniach. Ta zbieżność prowadzi jednak do niezwykłych wniosków.

Po pierwsze, oznacza to, że Bóg Stworzyciel nigdy nie przestaje troszczyć się o to, co sam stworzył. Troska ta jest wręcz przypisana samemu stworzeniu i tylko ten, kto naprawdę autentycznie doświadczy oczywistości istnienia, jest w stanie ją odsłonić (jako już istniejącą). A taką troską w wymiarze absolutnym i granicznym jest niewątpliwie odkupienie grzechów tego świata i życia całego na wzgórzu Golgoty, dokonane przez Zbawiciela na krzyżu.

Po drugie, zatroskanie Boga wymiata z pola naszej egzystencji wszelki strach. A nawet więcej: wskazuje, iż jest on wytworem materii życia, a nie istnienia jako takiego. Do tego właśnie odnosi się znane zawołanie *nie lękajcie się*. Niemniej jednak nie odejmuje z człowieczej egzystencji trwogi, która wiąże się z odrzuceniem form życia i całkowitego zdania się na istnienie. Ten dreszcz towarzyszy nam bowiem zawsze wtedy, kiedy zamykamy w nawias całą materię życia i ufnie powierzamy się rytmowi i prawu samego bytu. I znowu natrafiamy na wielokrotnie komentowane słowo *zawierzenia Panu*, które jednak nie jest niczym innym jak Janowym *trwaniem w Panu*. Tu jedno wynika z drugiego i tylko we wtórnej abstrakcji da się je oddzielić. Droga ku takiej *ufności* i ku takiemu *trwaniu* jest otwarta dla każdego. Oznacza to, że nawet dla skrajnego grzesznika, który wszak również korzysta z daru istnienia. Być może właśnie gdzieś tu wybija na powierzchnię życia źródło miłosierdzia, a potem pokoju, który nastaje po czasie wojny: dobra ze złem, światła z ciemnością i ostatecznie prawdy z fałszem.



Krzysztof Saj, *Jezioro Garda,* Włochy, 2023

ROBERT GAWŁOWSKI

Na poblask
1652

Światło Świateł
niewypowiedziane.

Miłość Miłości
niewypowiedziana.

Niewypowiedziane
Niewypowiedzialnego.

Na ścieżkę stromą ku Ślęży
1661

Z dala od spraw i gwaru stromą ścieżką
piąłem się samotny,
ku Ślęży.

On we mnie, ja w Nim, i kostur przyrosły
do dłoni; byliśmy Jednym
i Tym Samym.

Tak jak świat w świecie, las w lesie,
stworzenie w stworzeniu,
kropla w kropli.

I jak zarośla w zaroślach, strumień
w strumieniu, światło
w świetle.

Co było oddzielone, krok za krokiem,
wracało i stawało się
Bogiem.



Jan Mikołajek, *Anioł,* 2015

Na obraz Michaela Willmanna
Męczeństwo świętego Szymona
1662

Światło ciemne, w tle kryją się gapie, doglądają,
czy zbrodnia idzie, jak należy.

Ofiarę przytroczono głową w dół, nogi i ręce
rozpostarte, wycieka krew.

Tną go piłą, lecz nie słychać zgrzytu, a jęki,
bo to nie pień, lecz ludzkie ciało.

Jeszcze chwila, a będą w połowie, wypadną zeń
trzewia, jeździec na to czeka.

Nie zsiadł z konia, jego głowa pochylona, śledzi
ruch ostrza, wypatruje serca?

Kary ogier jakby przed śmiercią się cofa, drobi
kopytami, wyrywa się i rży.

Oprawcy klną pod nosem i sapią, bo trudna jest
sprawa, na co to im przyszło?

Niebo płonie, może gdzieś palą się tabory, wraca
wojna i ta śmierć mało znaczy?

Na kometę, pszczoły i enigmat człowieka
1664

To, co jest na ziemi, odbija się w zaświatach cieniem,
i ten deszcz ożywczy, warkocz komety, i gwiazdy
ponad nami.

Pszczoły złociste, pracowite pszczoły, dadzą ciemny
miód z tymianku, albo gryki, pełne go będą pasieki,
misy, dzbany.

Pszczoły pijące światło prosto z Nieba i ta przestroga,
niby zły znak, „unikaj nasion, rudy i nektaru", i dęby
w błyskawicy.

To, co jest na ziemi, odbija się w zaświatach cieniem,
i ten deszcz ożywczy, warkocz komety, i gwiazdy
ponad nami.
Żaden człowiek nie uciekł swemu przeznaczeniu, jak
moja Matka nie umknęła astmie; widziałem śmierć
w jej oczach.

Żaden człowiek nie odkrył swojej tajemnicy, nawet
gdy mniemał, że jest u progu, poznawał ledwie
sekret zdrajcy.

To, co jest na ziemi, odbija się w zaświatach cieniem,
i ten deszcz ożywczy, warkocz komety, i gwiazdy
ponad nami.



Na śnienie i lśnienie
1670

Śniłem
Boga, bez twarzy, bez kształtu
i oczu, co sam był błogosławioną ziemią.

Śniłem
Słowo, którego Światłość oślepia
i wybucha jak modlitwa całego Stworzenia.

Śniłem
Ogrójec i drzewa migdałowe,
ziarenka piasku na dnie wielkiej wody.

Śniłem
Krzyż na plecach i baranka na ofiarę,
i krew, co wytryska jak nagły blask słońca.

Śniłem
Miłość, której nie sposób wymówić
i objąć jej całym sercem nawet niepodobna.

Z tomu „Boskie światło…”, Oficyna Wydawnicza AKWEDUKT, Wrocław 2024.

Jan Mikołajek, *Anioł 1,* 2015

HENRYK WANIEK

SILESIUS
Tajemny dom śmierci
(fragment)

Jak długo żyję, takiej mgły nie pamiętam. I to spotyka mnie właśnie tu, gdzie wylądowałem, w mieście prawie mi obcym. Co prawda kiedyś, dawno, byłem tutaj dwa lub trzy razy, lecz niewiele z tego pamiętam. Teraz dopiero zamierzałem je obejrzeć dokładniej, miasto, o którym tak wiele wiem. Nie mam na myśli nawet tych kilku budowli, które oparły się zniszczeniom wojennym i powojennym. Ani zabytków w muzeum, bo na pewno tu jest jakieś. Wolałbym raczej sam coś przygodnie odkryć. Trafić na coś. Poszwendać się, uchwycić okiem, uchem lub węchem coś, co zostanie w pamięci, a później będzie ożywało i powracało we wspomnieniach. Oczywiście wędrować w dzień, a nie jak teraz, wieczorem. Ale ta mgła wszystko przekreśla, nawet podziwianie urody tutejszego zmierzchu. W ogóle niczego nie widzę.

Dopiero co wysiadłem z pociągu na peron i właściwie idę po omacku. Szczęśliwie na nic ani na nikogo nie wpadam. Zresztą ludzi jakby prawie nie było. W każdym razie nie widzę dalej niż na pół metra. Posuwając się do przodu, mam nadzieję, że w końcu gdzieś dojdę. Cudem trafiam na jakieś schody, trzymam się poręczy i schodzę. Gdy jestem na dole, nie wiem, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Wybieram to drugie i dzięki temu, że tutaj mgły jest jakby trochę mniej, idę dalej, aż docieram do hali dworcowej.

Dziwna. Trochę antyczna. Cały strop opiera się na ażurowej, drewnianej konstrukcji. To chyba jakiś cudownie ocalały przykład pruskiej secesji. Poczerniałe kapitele belek są uwieńczone stylizowanymi pyskami. Końskimi zapewne, ale może kozimi? Przypominają odlegle ów drewniany norweski kościół Wang z Karpacza. Tutaj mgła też dotarła, choć jest jej mniej, bo coś jednak widać. Na przykład w głębi hali grupa milczących osób, zlewających się w jedno. Kilka okienek kasowych. Zostawiony na środku wózek do ciężkiego bagażu, a na nim skrzynia, mająca w sobie coś z trumny. A nad tym króluje tarcza zegara – jego wskazówki żartują sobie z czasu. Pokazują chyba godzinę, na której mechanizm odmówił posłuszeństwa. Zepsuty. Druga czterdzieści. Nad ranem? Po południu? Na moim zegarku dochodzi piąta. To znaczy, że przyjechałem z siedemdziesięciominutowym opóźnieniem.

Oczywiście, wszystko przez tę mgłę. Alt kobiety z głośników zapowiada spóźnienie kolejnego pociągu. Piąta. To znaczy, że najpóźniej za pół godziny powinienem być na umówionym miejscu. Może zdążę nawet pośpiesznie zrzucić osad godzin podróży, odetchnąć, napić się ciepłej herbaty i przystąpić do zadania.

Ruszam ku wyjściu z hali. Nad jego drzwiami widzę witraż, wnoszący w tę przestrzeń akcent nieco kościelny. Już kiedyś zwróciłem uwagę, że dworce kolejowe, przynajmniej te starsze, właściwie są świątyniami. Oddaje się tam cześć nienazwanym bogom podróży i odległości. Psalmy komunikatów mnożonych przez megafony, zwiastujące sacrum przestrzeni i czasu, powtarzane w kółko, jak modlitwy. Tu i ówdzie przemyka umundurowany ministrant, wikariusz czy nawet kapłan. Niesie oburącz jakieś naczynie z olejem, może kadzielnicę? Czasem wymachuje magicznym berłem lub latarką. Odprawia się tam nabożne ceremonie dla pozyskania przychylności tych bezimiennych bóstw, aby czuwały nad nami, gdy jesteśmy w drodze. Gdy jesteśmy pomiędzy *tutaj* i *tam*. Na takich dworcach-sanktuariach myśli się z rozpaczą o zaświatach, do których wykupuje się bilet, i jazda.

Na każdy dworzec wchodzę jak w rejon zawieszony między początkiem a końcem czegoś. Na pewno wielu, którzy kiedyś znaleźli się w zakamarkach praskiego *hlavní nádraží*, odniosło wrażenie, że przez nieuwagę weszli do synagogi lub refektarza jakiegoś klasztoru. I dziwili się, że nie widać organów. A tamtejsi wierni zamiast zastygać w duchowym skupieniu, są w ciągłym ruchu. Gdzieś brną w pośpiechu, taszcząc swój życiowy ciężar. Na tutejszym dworcu jest – choć w mniejszej skali – tak samo. Ma w tym swój udział i mgła, która się tutaj też trochę wdziera. Co prawda nie czuje się zapachu kadzidła, choć jednak jest jakaś woń. Znam ją, choć nie wiem skąd. Coś mi przypomina. Stare drewno? Ale teraz nie będę sobie zawracał tym głowy. Nie ma czasu. Wychodzę.

Na zewnątrz znowu mgła. Miałem nadzieję, że będzie jej mniej, a tymczasem odwrotnie. Tylko mgła i nic więcej. Zakładałem, że wyjdę wprost na postój taksówek, jak to przed dworcami, ale żadnej nie ma. Może stoją gdzie indziej? Lecz również nie widzę żadnego „gdzie indziej". Robię kilka kroków w jedną stronę. Zawracam. Dalej nic. Nikogo. Słyszę jakiś głos. Męski. Gdzieś na lewo ode mnie ktoś niewidoczny rozmawia z kimś albo mówi do siebie. Możliwe, że w obcym języku, bo nic nie rozumiem. Gdy wołam w tamtym kierunku, chcąc prosić o pomoc, głos milknie. Czekam chwilę. Nic. Żadnego odzewu. Cisza nieprzenikniona, jakby ulepiona z tej mgły. Więc może urojenie? We mgle, podobnie jak w skrajnej ciszy, halucynacja jest zawsze możliwa. Bo w końcu urojenia to nasza druga natura. Mamy ich więcej, niż myślimy. Zawsze gotowe podstawić nam jakiś męski głos albo inne złudzenie. Doprawdy, nie wiem, co zrobić. Jedyne, co na razie mogę, to postawić kołnierz prochowca, w odpowiedzi na przenikliwą wilgoć powietrza.

Bezradny postanawiam wrócić do hali dworca. Może tam coś da się załatwić? Wezwę taksówkę lub choćby otrzymam poradę. Idę więc ku mizernej jasności, co ją mam przed sobą. Biorę ją za oświetlenie stacyjne, ale to tylko latarnia na wysokim słupie. W górze słup rozpływa się w mglistej jasności. A przynajmniej tak mi się wydaje. Robię jeszcze kilka kroków, ale czy rzeczywiście w kierunku stacji? Wyczuwam nogą krawężnik. To już jakaś nadzieja. Trotuar zawsze dokądś prowadzi,

chyba że – to także możliwe – nie prowadzi donikąd. Sprawdzę. Zaczynam ostrożnie posuwać się wzdłuż tej krawędzi i znowu coś słyszę. Jakby dźwięki dworcowego głośnika. Odległe. Niewyraźne. Chyba zza pleców. Zawracam więc, ale trzymam się tego krawężnika, jakby to był jedyny konkret świata ocalały w tej mgle. A w nim cała moja nadzieja.

Czuję, jak ogarnia mnie bezsilność. Przestrzeń nagle staje się ciasna. Gdzie się nie ruszę, wszędzie bariera. Można tak chodzić i nigdzie nie dojść. A powinienem być już na miejscu. Przecież czas napiera, wali konsekwentnie do przodu i groźba, że się spóźnię, rysuje się coraz silniej. Wszystko z winy tej gęstej, wręcz namacalnej, lotnej zawiesiny, dwuznacznie jasnej, lecz szczelnej zasłony. Widzę, nic nie widząc. Kompletne osaczenie. Usiłuję wierzyć, że zaraz może coś przyjść na ratunek, ale na razie nic.

I akurat teraz musi mi się przypomnieć Jerzy Prokopiuk, kiedyś deliberujący na temat diabła. Wśród jego możliwych wcieleń wymienił też mgłę. To mnie wtedy zdziwiło, bo nigdy bym tak nie pomyślał. Moje skojarzenia z diabelstwem są dość banalne. Bliższe gotycko-bułhakowskich niż meteorologicznych. Lecz zapamiętałem to i przy każdej mgle sprawdzałem, czy jest możliwym diabłem, ale nie znajdowałem niczego.

Jakiś czas później płynąłem statkiem. Na północnym Atlantyku po dziesięciu dniach ustał silny sztorm, który był nie lada przeżyciem. Dopływaliśmy już w pobliże Labradoru czy Nowej Szkocji, gdy nastała mgła. Na oceanie i tak nie ma co oglądać, więc ciekaw byłem tylko, jak sobie w tej sytuacji radzi drugi oficer. Zajrzałem na jego stanowisko. Nie wydawał się strapiony, bo to przecież fachowiec, choć w czasie rozmowy użył takiego zwrotu: „mgła jak sto diabłów". Od razu pomyślałem o Prokopiuku. Wtedy chyba nie, ale teraz, przed tym dworcem, zrozumiałem dokładniej, co miał Prokopiuk na myśli. Właśnie taką mgłę, nieporównywalną do żadnej innej. Absolutną pułapkę. Potrzask diabelski. Przy tym nie był to bynajmniej diabeł czarny, rogaty i kosmaty. Przeciwnie. Jasny i eteryczny, jakby przebrał się w strój anioła, w miękką odmianę zła. Biały i ciemny równocześnie. Jednym słowem, takiej mgły nie pamiętam, jak długo żyję. Wszystko straciło realność.

Nawet ten szum zbliżający się, a równocześnie oddalający, razem z mdłym światłem, przesuwający się ze strony lewej w prawą. Czy to jest przejeżdżający samochód? Od razu tak pomyślałem. Że może taksówka, której kierowca mnie nie zobaczył, bo sam ledwo widzi maskę swego auta. Siedzi za kierownicą zahipnotyzowany przez świat, w którym nie ma nic więcej. Jedzie wolno, bo przecież ku samym możliwym katastrofom. Nie mógł mnie zobaczyć, bo i ja to ledwo widziałem. Nic nie widziałem.

Samochód? To raczej tylko domysł, bo w końcu mógł to być również jakiś półmaterialny, wielki świetlisty ptak, szukający czegoś w głębi tej niewidzialności. Zaszumiał skrzydłami, nawet szczególnie nie udając dźwięku motoru, który sobie uroiłem. Przetoczył się nisko nad jezdnią jak krótkotrwały fantom. Zajaśniał na krótko i zniknął. A ja stoję tu i czekam, nie odróżniając przywidzenia od faktu. Co mogę zrobić? Na co mogę liczyć? Nasłuchuję, ale szum krwi w moich uszach wydaje się najgłośniejszy.

Stoję tam więc i czekam na coś zbawczego. Ale na co? Na coś, czego nie wiem, bo skąd? Może na ratunek osławionego wybawcę Hermesa, że wywiedzie mnie z tego labiryntu bez ścian. To mi znów przypomina, ale jaka z tego pociecha, że w mitach mówi się, że ciało Hermesa jest lotne. Że jest, a przynajmniej bywa widzialne, ale nie ma w nim niczego stałego. Że są to dymy rozwiewane przez wiatr. Dymy kadzideł? A może mgła? Ta lotność to warunek zręczności, z jaką porusza się w domenie Hadesa, pełnej pośmiertnych oparów. W każdym razie mgła nie jest dla niego przeszkodą. Jak własną kieszeń zna je wszystkie. Każdego przez to przeprowadzi, tak Orfeusza, jak i Eneasza. W tym położeniu mogę liczyć tylko na łaskę takiego przewodnika. Hermesie, ratuj mnie, który sam tutaj jestem jak dym. I w dodatku nagle znów czuję jakiś zapach. Podobny do tego, jaki dawniej zostawiały za sobą parowozy. Nostalgiczny. Zalatujący siarką. Jakbym był nim szczelnie oklejony, przynajmniej z zewnątrz.

Natomiast wewnątrz torpedują mnie z każdej strony słowa, myśli i obrazy, odnoszące się do tej sytuacji. Do świata zanurzonego bez reszty w pozbawionej kształtu, najciemniejszej z możliwych jasności. Szyby tak zaparowanej, że żadnej rzeczywistości już za nią nie ma. A na tej szybie odbijają się – też niewyraźnie – wyobrażenia, wspomnienia, niepokoje. Są mi teraz jedynym oparciem. Stoję tam i łapię się tych obrazów. Na przykład tej kartki szlachetnego papieru, która przed laty wisiała wśród ładnych rupieci w pracowni Andrzeja Urbanowicza. Piękna i własnoręcznie wykaligrafowana przez Zbigniewa Makowskiego. A na niej krótki opis przeprawy przez mgłę. Że miało się ją przed sobą, wchodziło się w nią, przechodziło, a później widziało jej drugą stronę. Tę opowiastkę wydrukowano w katalogu jego wystawy, chyba w roku 1969.

Gdy Makowskiemu o tym wspomniałem, potwierdził prawdziwość opisanego zdarzenia. Było to podczas jego pieszej wędrówki z Wambierzyc do Starego Wielisławia. Penetrował tamtejsze cmentarze. Szukał starych nagrobków z wymyślnymi alegoriami, dawno temu, w latach pięćdziesiątych. Szedł na przełaj przez pola i lasy, aż nagle mgła zamknęła mu drogę. Więc w nią zabrnął, bo taki obrał kierunek, i w końcu z niej wyszedł. Dokładnie tam, gdzie chciał dojść. Uważał, że stało się tak za sprawą tajemniczej siły, która go prowadziła. Kilkadziesiąt lat później sam się szwendałem po tamtych okolicach. Ale tutaj nie ma ani pól, ani lasów. Ani nawet miasta, które powinno tu być. Żadnego kierunku, w którym powinienem się udać. I co tu marzyć o Hermesie.

Znowu słyszę niewyraźne i odległe dwa głosy. Tym razem damskie. Nie rozróżniam słów, bo mówią jakby równocześnie, prowadząc żywą rozmowę. Chichoczą i nie jest to chichot całkiem przyjemny. Wydaje się, że dobrze znają to miejsce, bo poruszają się szybko i oddalają. Zanim zdążyłem pochwycić tę szansę, już ich nie ma. Słyszę tylko sygnał lokomotywy. Odległy. Skądś. Może z nieba? A jednocześnie, niemal fizycznie, czuję, jak czas biegnie przed siebie. Krok za krokiem. Sekunda za sekundą. Coraz szybciej. Odważnie zmierza ku minutom, kwadransom, godzinom. Upływa. Może już jest po piątej, a ja tu stoję bezradny. Należy bezzwłocznie na coś się zdecydować.

Żałuję, że nikt po mnie nie wyszedł na dworzec. Inna rzecz, że o to nie prosiłem, bo na ogół sam sobie radzę. Nie przewidziałem jednak, że będzie tak właśnie. Pociąg się spóźni, a ja się znajdę w pułapce mgły. A chciałem być punktualny. A nawet mieć w zapasie jakieś pół godzinki na oswojenie się z miejscem. Na herbatę. Na jakąś pogawędkę. Ale na to się nie zanosi, bo otoczenie robi się coraz gęstsze. Mgła nie popuszcza. Albo mi się tylko tak zdaje. Co robić?

Co robić – nie wiem, ale oto zaburczał w mojej kieszeni telefon. To oni. A właściwie on, gospodarz spotkania. Pan Jan. Ucieszony, że już jestem na miejscu, to znaczy, że dojechałem i pewnie zaraz u nich będę. Mówię mu, że pociąg się spóźnił, a ja stoję gdzieś przed dworcem, bez widoku na jakąkolwiek taksówkę, i coś usiłuję wymyślić. A on, jakby mnie wcale nie słuchał, martwi się tylko, że jeszcze do nich nie dotarłem, tam gdzie na mnie czekają. Trochę się denerwują, bo spodziewali się mnie już co najmniej godzinę temu. Jakby w ogóle nie wiedział, co się dzieje na świecie. Widoczność taka, że oko wykol. Nie jestem pewny, czy on mnie w ogóle słyszy. Więc mówię tak dobitnie, jak tylko potrafię, dorzucając szczyptę rozpaczy, że samodzielnie nie mogę się stąd ruszyć. Mgła. A do tego żadnej taksówki, żadnej żywej duszy, całkowity klincz.

To wreszcie do niego dociera. Zrozumiał. Ustalamy ostatecznie, że tu po mnie przyjadą. Ale jak mnie odnajdą, skoro nawet sam nie wiem, gdzie jestem? W pobliżu dworca, ale…

Przerwał mi. Chyba jest na to sposób. Z kimś na boku coś omawia i wraca do rozmowy ze mną. Nic trudnego. Znajdą mnie łatwo pod warunkiem, że nie wyłączę telefonu i aż do ich przybycia nie ruszę się z miejsca. W ten sposób zlokalizują mnie z dokładnością do co najmniej pięciu metrów. Już jadą. Może to potrwać kwadrans, najwyżej pół godziny.

Brzmi to fantastycznie, ale nie znam się na dzisiejszej technice, więc połączenia nie przerywam i stoję nieruchomo pod tą latarnią. Delektuję się różnymi odcieniami ciszy, na której dalekich planach przesuwają się akordy z pogranicza słyszalności. Słyszę odległy chór, jakby cerkiewny, co chyba jest niemożliwe. Także dźwięk przejeżdżającego pociągu, a może przetaczanie wagonów? Trwa to i trwa, a w międzyczasie jestem otwarty na wszystkie zwątpienia. Po prostu nie wierzę, żeby mnie odnaleźli. Stoję i patrzę na wyświetlacz telefonu, jakby właśnie stamtąd mieli nadjechać. Ale nawet gdybym go przytknął do oczu, widzę niewiele. Staram się wierzyć, co przychodzi mi z trudem, ale nie mam wyboru. Wierzę i czekam.

Czekam długo. Nigdy czekanie mi się tak nie dłużyło, choć może nie minął więcej niż kwadrans. I gdy już mnie opuszczają ostatnie kropelki nadziei, oto ze świata niewidzialnego wyłania się najpierw jedna sylwetka, później druga. Nawet nie wiem, który jest który. Ten pierwszy ściska mi dłoń i przeprasza, że to trwało długo, ale sam przecież widzę, jak jest. Nic nie widzę, a w dodatku jestem odrętwiały od tego stania. Drugi natychmiast łapie mnie za łokieć i prowadzi do samochodu, który gdzieś tutaj czeka. I jest rzeczywiście, choć zaledwie go widzę. Domyślam się raczej.

Ale już – niesłychane! – siedzę wewnątrz auta i dziwię się, że w tych warunkach można w ogóle jeździć. Kierowca wyjaśnia, że pomimo mgły jednak radzi sobie z jazdą. Jest z tym oswojony. Przecież dojechał. I pojedzie dalej. Podziwiam go, a on, że to żaden cud. Nie dałby rady bez automatycznej nawigacji, dla której mgła to żadna przeszkoda. No tak, myślę o statkach zagubionych we mgle, o prowadzonych przez radar samolotach w gęstwinie obłoków. W naszym świecie nic się nie gubi.

Rusza wreszcie i jedziemy. Przy okazji widzę, że telefon, który cały czas trzymam w ręce, zdążył się rozładować. Więc nie pytam już, w jaki sposób udało się im mnie znaleźć. Wkładam telefon do kieszeni, bo przecież jestem już uratowany. Tak mi się przynajmniej wydaje, choć dalej nie jestem pewny niczego.

Za szybami widać ciągle to samo, czyli jakby mleko rozlane na ciemnej powierzchni. Tylko światła samochodu wykrawają odrobinę jasności. Jakąś plamę, która równie dobrze może być drzewem, jak ścianą kościoła. Może tutaj to normalne? Może u nich mgła trwa przez cały czas, dzień w dzień i wszyscy ją uznają za rzecz oczywistą? Nauczyli się w niej funkcjonować i nawet ogarnia ich niepokój, gdy tylko jest jej trochę mniej. Tak jak podobno bywa w Londynie. Osławiony smog i spleen, z królującym w nich Kubą Rozpruwaczem. Zresztą, co tam Londyn. Sam pamiętam miesiące jesienne w Krakowie, zamglone na okrągło. Ale tego, co tutaj, nie dałoby się z niczym porównać.



Andrzej Jerzy Lech, *Opole*, 1983

II

Dojechaliśmy jednak. Tutaj jakby mglista natarczywość była nie tak bezwzględna. Wysiedliśmy. W holu wejściowym dało się więcej rozpoznać. Coś z tej mgły wcisnęło się jednak do środka, choć budynek był dobrze ogrzewany. Zamglonym wzrokiem, nawet wtedy, gdy już pozbawiony płaszcza, prowadzony przez gospodarza ku schodom nie rozpoznawałem osób przekazujących mi ukłony. Trochę mnie to peszyło, bo właściwie nie mam tu żadnych znajomych. W każdym razie te twarze, widziane w pośpiechu, czasem ocienione przez pochylenie głowy, nic mi nie mówiły. Odkłaniałem się oczywiście, uśmiechałem nie całkiem szczerze, aż uciekłem wzrokiem na dywan pokrywający schody. Tak miękki, jakbym stopami w ogóle nie dotykał ziemi.

Odtąd wszystko zaczęło dziać się z pośpiechem, jakby się rozpoczął wyścig z czasem. Czy rzeczywiście jestem tak bardzo spóźniony? Przewodnik zrobił uspokajający gest ręką. Proszę się nie obawiać. Wszystko jest w normie. Szkoda tylko, że zabrakło nam jakiejś półgodzinki. Zamierzał dopełnić jakichś formalności i chciał mi pokazać pewien dokument, jakoby mnie dotyczący. Trudno. Powetujemy to sobie później. To „później" zabrzmiało trochę dwuznacznie, nie rozumiałem dlaczego. Zrozumiałem natomiast, że na herbatę nie mam co liczyć. Wspinałem się po tych schodach z udawanym namaszczeniem.

Najpierw szedł przede mną, ale gdy już pokonaliśmy ostatni stopień, gospodarz cofnął się i chwycił mnie za ramię. Stałem przed – nazwijmy to tak – wejściem, ozdobnym i uroczystym, jak wszystko w tym budynku. Obramowane kamiennym ornamentem romańskim, wnoszącym tu akcent historyczny. Ale na podziwianie nie dał mi czasu. Uchwyt jego dłoni był wyraźnie przynaglający. Nawet nie miałem odwagi, by spojrzeć na zegarek. Jeśli się tam zatrzymaliśmy, to najwyżej na ułamek sekundy.

Piękny ten portal, zabytek pierwszej klasy, przeniesiony tu został z już nieistniejącego kościoła. Jego fotografię znam z wielu książek. W pewnym sensie był emblematem tego miasta. W każdym przewodniku po miejscowych zabytkach nie mogło go zabraknąć. Zdaje się, że był także na firmowej planszy tutejszej telewizji. Tylko że tu zamiast drzwi okalał on coś w rodzaju ekranu. Czarnego. Była to czerń piękna, absolutna i miękka. Trochę matowa. Można by powiedzieć nawet, że mglista, gdyby mgła potrafiła być czarna. Tyle że nie było tam śladu klamki. Lita ściana.

Byłem prowadzony pod ramię, wprost ku niej i zgoła naturalnie zatrzymałem się, bo ekran zamykał drogę. Ręka gospodarza dotknęła moich pleców i dla zachęty, a również z cieniem przymusu lekko pchnęła. Tak pchnięty powinienem wpaść na tę czerń. Twardą czy miękką? – zdążyłem jeszcze pomyśleć. Nic podobnego. Rozstąpiła się. W niepojęty sposób otwarła się, nie umiem tego wyrazić inaczej. Bez najmniejszego trudu ją przekroczyłem. A raczej przeniknąłem, przeleciałem przez nią, jakbym wpadał w czarną wodę. I nagle znalazłem się już za progiem, w pełnym świetle sali. Pięknej.

Dyskretny przymus i pośpiech, z jakim to wszystko się działo, nie dał mi szansy na zdziwienie. Jasność, trochę oślepiająca po tej czerni, biła z kunsztownego żyrandola, który jako pierwszy rzucił mi się w oczy. Później – rzędy krzeseł. Złocone gzymsy i sztukaterie. Trochę pretensjonalne. Elegancja tego miejsca była krzycząca.

W przeszłości musiało być pałacem miejscowego magnata. Jakiegoś von Reibnitza lub Glaubitza. A to pewnie była sala balowa. Chyba tu mam właśnie wygłosić wykład. Szliśmy po dywanie dalej tak miękkim, jak piasek na plaży. Wręcz unosiłem się nad nim. Nie stąpałem po ziemi. Tylko z podziwem myślałem o fotokomórce czy innym urządzeniu, bezszelestnie otwierającym tę czerń wejścia. Całkiem dowcipne. Gospodarze się pewnie tym szczycą. Czegoś takiego jeszcze nie spotkałem. Muszę ich o to zapytać. Później.

Takim sposobem znalazłem się w sali ociekającej uroczystym nastrojem. Omiotłem ją spojrzeniem, nie zatrzymując się na szczegółach. Ale było widać, że jest to sala dystyngowana, stylowa, w każdym detalu dobrze ułożona. Siedziało już tam kilka osób. Panował gwar stłumionych rozmów. Inni dopiero wchodzili. Wybierali miejsca. Dobierali sobie sąsiedztwo. Niby tak samo jak zwykle, w podobnych sytuacjach, a jednak inaczej. Jakby przybywający grali rolę kart pasjansowych, chcących ułożyć z siebie najlepszą możliwą całość. Takie odniosłem wrażenie. Ale mniejsza o to. Niech sobie układają.

Po długiej podróży w zacienionym przedziale, w pociągu niemal całkiem pustym, po tej mgle i tym czarnym ekranie, który – sam nie wiem jak – przekroczyłem, rzęsiście oświetlona sala trochę przypominała wrocławską *Aulę Leopoldina*. Tylko lepiej oświetloną. Wręcz oślepiająco. Jakże wyraźnie widziałem rzędy krzeseł, już w części zajętych. Gospodarz czekającego mnie tu wydarzenia, wyczuwając moje onieśmielenie, znów ujął mnie za łokieć i naprowadził na jeden z dwóch foteli, postawionych na boku, wyróżniających się spośród krzeseł. Usiadłem i gdzieś w głębi, jak skazaniec widok gilotyny, zobaczyłem coś, co uznałem za mównicę.

Prowadzącym mnie gospodarzem był pan Jan, osoba nieco apodyktyczna, surowa, choć też dobrotliwa, co już miałem okazję poznać. Posadził mnie, a sam zajął drugi fotelik. Stąd mogłem się swobodniej oswajać z widokiem sali. Stwierdziłem, że ludzi jest więcej, niż mi się w pierwszej chwili zdawało. Nadchodzili ciągle nowi, a pewnie jeszcze inni marudzą gdzieś w szatni albo korytarzach. Nad tym umiarkowanie żywym obrazem unosiło się dźwiękowe sfumato, obłok stłumionych głosów. Jego kontur nie był zbyt ostry. Czułem, jak mi się to udziela. Oczekiwanie.

Było ciepło. Rozpiąłem marynarkę. Położyłem na podłodze teczkę z notatkami i uznałem, że nie wypada siedzieć tu milcząco z panem Janem. Odwróciłem się ku niemu z całą gotowością. Ale on akurat wędrował spojrzeniem po ludziach. Niektórym przesyłał wymowne gesty. Wymieniał pozdrowienia, uśmiechy, a nawet pojedyncze słowa. Wiele było tych twarzy. Teraz widziałem je wyraźniej. Niektóre odlegle przypominały mi kogoś. Szczególnie jedna. Mężczyzna siedział w pobliżu. Lekko wyłupiaste oczy o życzliwym wyrazie. Usta jakby gotowe do wypowiadania niegłupich zdań. Ręce w kieszeniach. Podobnie jak Jurek, czterdzieści lat temu, gdyśmy się widzieli po raz ostatni.

Jerzy Gosiewski, czyli Jurek, zacny mój kompan z młodości. Spojrzałem raz jeszcze. Tak. To mógłby być on, gdyby nas tak nie przemieniał upływ czasu. A przede wszystkim to, że on już od dawna nie żyje. Umarł w wieku pięćdziesięciu czterech lat, według jednej wersji. Lub pięćdziesięciu sześciu, według innej. Bo jego śmierć otacza cień tajemnicy. Widząc, że mu się przyglądam, mężczyzna zrobił nieznaczny

grymas i przeniósł wzrok w inną stronę. W tej delikatności i w spojrzeniu też było coś z Jurka.

Załatwiwszy na migi wszystko, co trzeba, pan Jan odwrócił się ku mnie. Spytałem go więc o porządek działania. Był prosty. Zostanę przez niego zwięźle przedstawiony, a później mogę mówić, co mi się żywnie podoba. Ale wiedział, podobnie jak i ja sam, czego się po mnie spodziewać. To było z góry ustalone. Dodał tylko, że projektor co jakiś czas będzie rzucał obrazki na biały ekran w głębi. Sam je wybrał – okładki pierwszych wydań, siedemnastowiecznych starodruków, portretowe ryciny i coś jeszcze, niekoniecznie mające związek z samym wykładem. To nie powinno mi przeszkadzać, chyba że sobie nie życzę. Jednak nie miałem nic przeciw temu. Ani przeciw mikrofonowi, bez którego – tak mówi mu doświadczenie – obejść się nie można. Z akustyką nie jest tutaj najlepiej, bo sala jest jednak duża i sporo publiczności.

Zobowiązywał mnie fakt, że każda z przybyłych tu osób przedzierała się przez taką samą mgłę co ja i na dobrą sprawę mogłaby tu wcale nie trafić. Doceniałem ten trud jako dowód zainteresowania i szacunku. Bo w końcu i ja sam znalazłem się tu nie bez przeszkód, już prawie straciwszy nadzieję. Nie będę więc przybyłym sprawiać zawodu, choć lepiej, żeby się nie spodziewali zbyt wiele. Mój wykład może się wydać im nudny. Dobrze wiem, jak to jest. Ale mówiąc prawdę, nie przejmowałem się tym zanadto. Pana Jana słuchałem nieuważnie, nie byłem pewny, czy rzeczywiście powiedział, że ważne nie jest to, co mówi się na głos, ponieważ istotniejsza jest myśl.

Słuchałem go, nie słuchając, bo patrzyłem na ludzi ukradkiem. Chciałem zobaczyć raz jeszcze tę twarz przypominającą mi Jurka Gosiewskiego, ale już jej nie odnalazłem. Powoli robił się tłok i chyba dostawiano krzesła. To zły znak. Gdyby zebrało się tutaj osób – powiedzmy – piętnaście, wiedziałbym z grubsza, do kogo mówię. Widziałbym, kto słucha albo kogo to nic nie obchodzi. Ale przy takiej liczbie? Zawsze podziwiałem u Macieja Zembatego, że mając przed sobą liczną publiczność, potrafił mówić do każdego z osobna. Można się było czuć, jakbyście byli tylko we dwoje. Ale tego daru nie posiadałem i nawet najdrobniejsze ziewnięcie albo zasypiające spojrzenie słuchacza zbijało mnie z pantałyku.

No ale nie jestem tutaj po to, by w akompaniamencie gitary śpiewać ballady Leonarda Cohena lub prowokować już to salwy śmiechu, już to stan melancholii. Przebrnąłem przez tę podróż męczącą, dałem się pochłonąć przez mgłę, a nawet nie wiem, jak pokonałem to przejście ciemniejsze niż ciemność, żeby mieć przed sobą zadanie, które dla mnie wcale nie było takie trudne. Gdy tak patrzyłem na tę wzbierającą publiczność, sam nie wiedząc, co myśleć, mogłem zapytać pana Jana o ten przemyślny mechanizm z czarnym ekranem. Ale on nagle poderwał się do akcji. Mnie także przymusił, bym wstał. Gwar sali nieco ucichł, a pan Jan swoim zwyczajem znów mnie ujął za ramię.

Właściwie nie miałem nic przeciw temu, że jak dziecko, które coś zbroiło, wprowadził mnie w prostą scenografię tej sali, ku miejscu, gdzie winnego stawia się za karę. Powiedzmy – do kąta. Wspomniałem wcześniej *Aulę Leopoldina*, bo ściany tutaj też były pokryte, choć skromniej, klasycyzującymi freskami. No i w przeciwieństwie do tamtej, która jest trochę nawowa, tutaj układ był amfiteatralny. Tylna ściana sali,

gdzie znajdowały się trzy wejścia, zamykała ją łagodnym zaokrągleniem. W czymś takim jest się widzianym z każdej strony.

Pan Jan prowadził mnie ku centralnemu miejscu, wyeksponowanemu przez ekran, na którym blado majaczyła rycina przedstawiająca znane mi do znudzenia oblicze. Im bliżej – krok za krokiem – byliśmy tego centrum, stopniowo wygasał szmer rozmów. Dotarliśmy tam i pan Jan wyznaczył mi miejsce dokładnie w tej samej chwili, gdy przypomniałem sobie o teczce z notatkami. Została tam, gdzie siedzieliśmy. Położyłem je na podłodze. Te notatki właściwie nie były mi szczególnie potrzebne, ale…

III

Pan Jan nie oddalił się jeszcze – a widziałem, że ma taki zamiar – więc półgłosem powiedziałem mu o tych notatkach. Jakbym prosił o zgodę na opuszczenie go, aby odzyskać swoją teczkę. Sądzę, że nie zrozumiał albo nie dosłyszał, bo tylko uśmiechnął się do mnie kurtuazyjnie i znów mnie złapał za łokieć. Jak ktoś, komu w przelocie rzucono komplement, ale nie dość głośno, więc się tylko domyślał i nie bardzo wiedząc, o co chodzi, przez grzeczność dziękuje. W każdym razie nie zamierzał mnie puścić. Przeto uznałem, że notatki nie są mi potrzebne, dałem spokój tej sprawie, tym bardziej że pan Jan zrobił kilka kroków do przodu, ciągnąc mnie za sobą, aby naszym widokiem uśmierzyć żywość obecnych.

Nic się jeszcze nie wydarzyło, ale zrobiło się cicho. Teraz, gdy mnie już wszyscy zobaczyli, przestał mnie łaskotać w okolicy łokcia i wysunął się o jakieś dwa kroki przede mnie. I stał.

Sekundy wyczekiwania wydawały się nienaturalnie długie. Każda liczyła się co najmniej podwójnie. Akurat tyle, by teraz, zanim wszystko ruszy do przodu, pan Jan mógł wyjawić, o czym będzie wykład. Nawet dobrze, że nie zrobił tego wcześniej, bo to jest wątek uboczny dla całej sprawy. Zatem, zgodnie z moim życzeniem, w zapowiedziach i zaproszeniach napisano, że temat wykładu brzmi: *Angelus Silesius i jego języki*. Pierwotnie pan Jan chciał, by to był *Anioł Ślązak*, ale odrzuciłem tę wersję, dość bezpodstawnie spolonizowaną. Gdyby Johannes Scheffler chciał się zdefiniować przez język lub narodowość, kazałby się zapewne nazywać *Schlesischer Engel* i byłoby jasne, że jest Ślązakiem niemieckim. Natomiast *Anioł Ślązak* w ogóle by mu nie przyszedł do głowy, bo nie znał polskiego. Z całkowicie jasnych powodów wygodniej mu było odwołać się do łaciny – *Angelus* i *Silesius*. I to chcę uszanować. Więc żaden tam *anioł*. A tym bardziej *Ślązak*. Jeśli już, to raczej *der Schlesier*.

Ale o co w tym wszystkim chodzi, to będzie później, bo tymczasem pan Jan skłonił się uroczyście i powitał zebranych. Okrągłymi słowami, trochę je przeciągając, zrobił uwagę na temat pogody, uznając ją za nader pomyślną. Rzucił jakiś żart, wyraził też radość, za coś przeprosił i przerwał. Milczenie, jakie teraz nastąpiło, było wystarczająco długie, by pomyśleć, że po prostu zapomniał, co ma mówić dalej. Albo wręcz wyczerpała się jego oratorska amunicja i teraz nic, tylko coś pokręci i będzie lawirował. A jeśli nie odzyska weny, powie coś, co uznam za nie całkiem

dorzeczne. Zdaje się, że obecni pomyśleli tak samo. Że pan Jan już nic więcej nie zdoła powiedzieć od siebie. Wszystkie spojrzenia wbiły się w niego z napięciem.

Ale – wolne żarty. To niepodobne do niego. Pan Jan ma swój fach w małym palcu. Lata doświadczeń i zmysł teatralny uczynił go rutyniarzem w takich sytuacjach. Panuje nad wszystkim. I gdy już obie strony, publiczność i ja, byliśmy pewni, że nie powie nic więcej, wtedy on, uznając, że nadszedł czas na to, co najważniejsze, powitał mnie w imieniu wszystkich obecnych i w swoim własnym. A tym, którzy mogli nie mieć pojęcia, kim właściwie jestem, zwięźle mnie opisał.

W takich sytuacjach czuję się nieswojo, więc chrząknąłem na znak, że wystarczy już tego wyliczania tytułów, zasług i zaszczytów. Zrozumiał to i zaczął wyrażać tylko nadzieję (w imieniu własnym oraz tutaj zebranych), że po wysłuchaniu mojego wykładu on sam oraz wszyscy obecni będą wiedzieć znacznie więcej o Angelusie i językach, jakich używał. Raz się pomylił i powiedział o Aniele Ślązaku, ale się zaraz poprawił, rzucając mi przepraszające spojrzenie. Natomiast – to dalej pan Jan – po wykładzie będziemy wdzięczni za pytania i swobodną, nieformalną rozmowę na temat, który nas tutaj zgromadził.

– Mam nadzieję, że tak właśnie będzie – przerwałem mu, bo obawiałem się, że tym razem nie skończy tak szybko. To także zrozumiał prawidłowo i (znowu za łokieć), jak jakiegoś niegrzecznego bachora, poprowadził mnie w kierunku mównicy. Tutaj mnie puścił, jakby na znak, że odtąd wszystko już będzie na mój rachunek. I choć wcześniej machnąłem w myślach ręką na tamte notatki, leżące pod fotelem, bez których mogę się obejść, to jednak mównica zdecydowanie źle mi się kojarzyła.

Gdyby to był jakiś wiec polityczny, konferencja jakaś albo akcja o szczególnej ważności, mógłbym od biedy zaakceptować mównicę. Lecz nie miałem ochoty być mówcą, stać tam i gadać tak długo, aż uznam, że więcej już nie dam rady. Pana Jana zapewne obligował zainstalowany tam mikrofon, bo to dla niego rzecz święta. Nie liczył się z tym, że gdy mnie już tam doprowadzi, wyjmę mikrofon ze statywu i stuknięciem palca sprawdzę, czy działa. Działał. Więc raczej stanę nie za mównicą, ale obok. A może przed nią? Lub w ogóle będę sobie chodził wzdłuż i wszerz tego podium z mikrofonem w ręce i swobodnie wygłoszę to, co jest w leżących tam pod fotelikiem notatkach, które znam zresztą na pamięć.

Na razie mniejsza jeszcze o wykład, bo na to jest czas. Z góry chcę tylko wyjaśnić, o jakie tu chodzi języki zacnego Angelusa. W istnienie języka aniołów nie wierzę, choćby nie wiadomo jak o tym przekonywał mnie Swedenborg, Kircher czy Agricola. Anioły – które niewątpliwie istnieją, choć może wcale nie są skrzydlate – mówią wszystkimi językami. Dla nich to żaden problem – porozumiewać się w dowolnym języku, żywym lub martwym. Inaczej jest z samozwańczymi aniołami ludzkimi, które być może wcale aniołami nie są. Bo jeśli o te chodzi, nie zawsze wiadomo, co mówią. Ani o czym. Zwykle używają żargonu czy – powiedzmy wprost – bełkotu, chcącego uchodzić za mądry i naukowy. A już na pewno natchniony. Zatem jest to nie tyle treść, co śpiew. Muzyka. Śpiewają w całej rozciągłości rejestrów, których im nie brakuje. Cały słownik wyrazów obcych. Może w ogóle to jest tylko poezja? A może bynajmniej? O ile nie najzwyklejsze żerowanie na ufności słuchacza. Natomiast Angelus, o którego tu chodzi, konkretny, a w dodatku Silesius, nie miał do dyspozycji tych języków w nadmiarze. Zaledwie kilka. Mam zamiar wyliczyć cztery, pomijając, że oczywiście znał niemiecki i łacinę na dobrym poziomie. Również starą grekę. Może jeszcze jakieś dialekty ludowe? Włoski? Holenderski? Bo przecież nie polski, choć ze dwa lub trzy razy w życiu powoływał się na to, że dzięki indygenatowi ojca jest polskim szlachcicem. To mnie jednak nie interesuje. Tutaj liczą sie tylko –

język jego zachowań;

język jego ognistych wystąpień, które poczciwi protestanci uważali za obraźliwy;

język, jakim pisał swą poezję, krótkie aleksandryny, powtarzające się i dość monotonne;

i wreszcie, cokolwiek by pod tym rozumieć, język serca, z którego robił całkiem spory użytek.

To właśnie miałem rozwinąć po krótkim wstępie, ale wpierw muszę się wytłumaczyć z tego, że wcześniej zwróciłem uwagę na jedną ze stu pięćdziesięciu lub dwustu zgromadzonych tu twarzy. Jerzy Gosiewski, którego tu będę nazywał Jurkiem, był starszym o jakieś cztery lata kolegą mojej młodości. Dojrzałość miałem dopiero w perspektywie, ale bardzo się do niej spieszyłem. Wolałem wtedy otoczenie kolegów starszych, bo to czyniło mnie również starszym. Wydawało mi się – dziś wiem, że błędnie – że wiek jest rękojmią powagi człowieka, choć smarkatość ma o tym blade pojęcie. Na razie byłem tylko przyszłym maturzystą. Natomiast on, mając już dawno maturę za sobą, został kierownikiem biura katowickiej mutacji pewnego ilustrowanego tygodnika chrześcijańskiego.

Nie znaczy to bynajmniej, że był dewotem, robiącym znak krzyża przed każdym kościołem. Po prostu do tej pracy się nadawał, określając siebie skromnie jako agnostyka. Tygodnik ów był organem pewnego stowarzyszenia, nieco mniej kontrowersyjnego niż Pax, ale o bliskich mu ideałach. Z jednej strony gromadziło ono dziwne dość towarzystwo starych pryków, przedwojennych wiceministrów lub prezesów, z drugiej zaś sporo energicznych facetów w sile wieku, których życie zakotwiczyło właśnie tam. Na ogół fajni faceci, nie da się ukryć. Myślę, że jednym z powodów, dla których Jurek otrzymał tę pracę, było jego pochodzenie z *dobrego domu*. Rodzina z tradycjami. Herbu ślepowron. On też miał to poczucie, choć nigdy się nim nie chełpił. Przeciwnie, miał słabość do takich jak my, jego kumple. Parweniusze.

Planował jakieś studia, lecz to odkładał na później. Zresztą i bez nich jego inteligencję i wiedzę określiłbym jako wielką. Humanistyczną przede wszystkim, ale nie tylko. Nie zazdrościłem mu erudycji, a tylko korzystałem z niej, ile się da. Zręcznie potrafił łączyć złośliwostki ze specyficznym poczuciem humoru. Łatwo się irytował, ale ratował go śmiech. Jakby bawił się atakami własnej irytacji, która zwykle szybko znikała. Wzrostu zdecydowanie skromnego, z nieproporcjonalną głową, usposobiony bardzo towarzysko. Atrakcyjności dodawały mu jakieś drobne dziwactwa i jeszcze drobniejsze przesądy.

Z jakichś powodów znalazł we mnie partnera, który ujdzie od biedy. Którego w pewnym sensie mógł być mentorem. Czułem do niego wielką słabość, która po latach, gdy już nasze relacje osłabły, aż wreszcie całkowicie ustały, przemieniła

się w głęboką wdzięczność. Czy kto inny zdołałby mnie naprowadzić na Bruno Schulza lub Gombrowicza? Albo prostowałby rażące błędy w moim angielskim? Kto oswoiłby mnie z podstawami filozofii? Wyczulił na kwestie godności czy anarchizującej swobody?

Muszę też wspomnieć, bo co tu ukrywać, o jego skłonności do rausza, którą z nim zresztą dzieliłem. W tamtych latach – i nie tylko tamtych – alkohol był poręczną używką, buforem łagodzącym zderzenia z twardą rzeczywistością. Upijaliśmy się byle czym, pod byle pretekstem, na miarę naszych małych możliwości. W istocie nie były to żadne orgie. Raczej niekończące się gadulstwo podlewane piwem, winem lub wódką, z tysiącami pomysłów odlatujących o świcie. Poznałem Jurka jesienią roku 1956. Swoich piętnaście lat maskowałem, na ile się dało, kłamiąc i strojąc miny. I od razu przystąpiliśmy do produkcji baretek na marynarki lub płaszcze.

Były to barwy flagi węgierskiej. Tak reagowaliśmy na jatkę, jaką Węgrom urządzili Sowieci. Kilkanaście lub więcej osób paradowało po mieście, obnosząc trójbarwne kokardy naszej produkcji. W tej sprawie zrozumieliśmy się w lot, postrzegając świat nie tak, jakby tego chciała „Trybuna Ludu" czy inna reżimowa „Trybuna". Rzeczywistość wokół też była nie taka, jak byśmy chcieli. Ale czy czegoś w ogóle chcieliśmy? Chyba tylko tego, żeby było inaczej. To „inaczej" nie miało jasnej postaci. Wystarczało nam, że skoro jest, jak jest, to wystarczy, żeby tego właśnie nie chcieć. Zresztą między jesienią 1956 a wiosną 1957 roku zapanował powszechny zawrót głowy. Każdy ku czemuś pędził jak pies, który się urwał z łańcucha. Mała rewolucja. Mała i krótka.

W końcówce tej euforii, w kompanii już powiększonej, zaczęliśmy marzyć o założeniu własnego pisma artystyczno-literackiego. Czas był taki, że ciągle powstawało jakieś pismo, które niebawem upadało. Nam chodziło o miesięcznik. Miał nawet swą nazwę – „Profile" – i przez krótki czas w popaździernikowym bałaganie roku 1957 rysowała się szansa na powodzenie. Miał nas wesprzeć Pałac Młodzieży, który już wydawał jakiś młodzieżowy periodyk. Zebraliśmy materiał chyba na trzy numery. Bardzo wysmakowaną makietę zaprojektował Zbyszek Ruchała, przedwczesny alkoholik, funkcjonujący jako tak zwany *młody plastyk*. Być *młodym plastykiem* oznaczało wówczas przedkładać smak bardziej wybredny niż polityczna tandeta, promowana przez ustrój. Zbyszek był gościem o wielkim uroku i talencie, ale jedno i drugie przegrywało konkurencję z wódeczką. Szkoda.

Czy Jurek, poza angielskim, niemieckim i rosyjskim, znał włoski, tego nie jestem pewny. Więc to może z angielskiego przełożył na polski dla planowanego pisma trzy piękne wiersze włoskiego poety Salvatore Quasimodo. Zrobił to znakomicie, bo smak literacki miał ustawiony wysoko. Jeden z tych wierszy do dzisiaj noszę w pamięci. Pewnie dlatego, że krótki. *Ed e subito sera*. Niedługo już wieczór.

Zebraliśmy wczesne wiersze Feliksa Netza, Jana Kulki, rysunki Zdzisława Lachura, opowiadania Eugeniusza Zaczyka i innych autorów, dziś już nieżyjących. Nie wszystkich pamiętam. Wiele się ulotniło z mojej pamięci, wraz z emocjami, które nie zdołały zakrzyczeć tego czasu szarego, biednego, zagrzebanego w ówczesnym politycznym gównie. Mieliśmy swoje małe sposoby, żeby się przed tym ratować. W każdym razie „Profile" pozostały niezrealizowanym projektem. Nasze rojenia

o własnym piśmie powróciły jeszcze później, w już rozpędzonych latach sześćdziesiątych. Może nawet wzmocnione nadziejami, jakie wiązaliśmy z tym właśnie chrześcijańskim tygodnikiem, który zatrudniał Jurka. Dodam, że zanim został kierownikiem katowickiego oddziału redakcji, pracował za marne pieniądze jako dojeżdżający bibliotekarz gdzieś w Murckach. Więc to był awans. Redaktor! W pełni na to zasługiwał. Ta praca coś mu otwierała, a przynajmniej ułatwiała obiecujące kontakty. Był pomysłowy, pracowity, więc wiele mu ten tygodnik zawdzięczał.

Do współpracy z tym pismem udało mu się wciągnąć kilku co lepszych miejscowych dziennikarzy, Jacka Maziarskiego, Jacka Kalabińskiego czy fotografika Wojciecha Prośniewskiego. Niektórzy wchodzili w to na dłużej, inni na krócej, ale tygodnik się ożywił. Powróciła więc ta myśl o własnym piśmie. Może nawet miesięczniku, choć było to marzenie na wyrost. Naiwność młodzieńcza pozwoliła nam przez chwilę wierzyć w realność krętych obietnic, gdyśmy pewnego piątkowego wieczoru projektowali strategię artystycznej inwazji na strupieszałe towarzystwo chrześcijańskie. Ostatecznie mogło nam ono zafundować jakąś jednodniówkę. Może nawet coś więcej? Jurek zaaranżował to, że weszliśmy w zmowę z podobnymi gagatkami z Krakowa.

Na nasze knowania zareagował Michał Sprusiński, wtedy jeszcze studiujący na Uniwersytecie Jagiellońskim, ze swym koleżką poetą Millerem, którego imię wyleciało mi z głowy. Oni także, podobnie jak my – przelotnie – czegoś się spodziewali po tym stowarzyszeniu i jego tygodniku. Spotykaliśmy się już to w Krakowie, w ich siedzibie u wylotu ulicy Szpitalnej, w Prałatówce Kościoła Mariackiego, już to w Katowicach przy ulicy Kochanowskiego, którą starsi mieszkańcy nazywali Eichendorffstrasse. Rychło jednak obnażył się infantylizm naszych nadziei. Idea pisma ponownie i ostatecznie upadła. Przeżyły ją tylko nasze rojenia i marzenia.

Choć Jurek był starszy ode mnie o tych kilka lat, to studia rozpoczęliśmy mniej więcej w tym samym czasie. Nasze drogi oddaliły się. On na wydziale prawa krakowskiego UJ, a ja wręcz przeciwnie. Jego usposobienie człowieka solidnego przekładało się również na żarliwą ambicję. Jako student wiódł podobno życie biedne i trudne, ale się nie poddawał. Sporadycznie wymienialiśmy listy. Sumienny i pracowity, rychło został magistrem, a niebawem zrobił doktorat. Podczas studiów, razem z innym naszym kolegą, Jarkiem Kossakowskim, studiującym historię sztuki, wspólnie wynajmowali pokój w Krakowie. Opowiadał mi Kossakowski, jak to jego współlokator wracał zmęczony wieczorami i nie zawracając sobie głowy higieną osobistą, kładł się od razu do łóżka, gdzie wypijał ćwiarteczkę wódki i zapadał w chrapanie.

Późniejsze i coraz rzadsze nasze spotkania też bywały okraszone wódeczką. Przynajmniej do czasu, gdy stałem się nieprzyjemnym abstynentem. Takim, co to sam nie pije i jeszcze innym picie ma za złe. Ale to później. Na razie nadal byliśmy smarkaczami, tyle że już nieco starszymi. Zwierzał mi się Jurek z jakichś erotycznych problemów, których spełnieniem mogła być jedynie dobrze zbudowana blondynka. Koniecznie z wydatnym biustem. Wśród moich koleżanek – kiedyś ją widział w moim towarzystwie – była jedna, na oko spełniająca kryteria jego ideału. Bardzo go zaciekawiła. Z uporem nalegał, bym mu ułatwił z nią kontakt. Nie mogłem tego

uczynić, ponieważ sam byłem nią zainteresowany. Tak mu to uzasadniałem, bezowocnie. Uważał, że z jakiegoś tytułu jemu należy się ius primae noctis. Dopiero gdy zwróciłem mu uwagę na skromny biust tej dziewczyny, przemyślał sprawę i w końcu dał spokój. Przy tym nie mogę wykluczyć, że wszystko to było tylko żartem w jego stylu.

Niemniej dokuczały mu niepomyślne wzloty miłosne, przynajmniej do czasu, gdy się ożenił. Nie miałem szczęścia poznać jego małżonki, która zdaje się powiła jakieś dziecko. Albo dzieci? Wtedy spotykaliśmy się już tylko przypadkowo i na ogół w pośpiechu. To życie nas popędzało. W międzyczasie został wykładowcą na wydziale prawa Uniwersytetu Śląskiego. Siostra mojej znajomej, która tam studiowała, opowiadała, że Gosiewski kilka lat z rzędu wygrywał studencki plebiscyt na ulubionego wykładowcę. Wcale mnie to nie zdziwiło. Wiedziałem, że potrafi być ujmujący i zajmujący, mimo że czasem wybuchał w nim nieoczekiwany choleryk.

Ale nieco wcześniej – mógł to być rok 1969 – odbyliśmy dłuższą rozmowę w jakiejś przygodnej knajpie. Jako neofita nie piłem już alkoholu i usiłowałem Jurkowi przedstawić zalety abstynencji, lecz przede wszystkim buddyzmu zen. Buddyzm od jakiegoś czasu działał na moją wyobraźnię, bo jako wolny od katolickiej idolatrii wydawał się lekiem na polską płytką bigoterię. Stało się to zresztą za sprawą innego naszego wspólnego kolegi, będącego również – na sposób całkiem różny niż Jurek – moim mentorem. Ten z kolei jakimś sprytnym sposobem znalazł się w USA i z Kalifornii przysyłał mi literaturę buddyjską, którą pochłaniałem z zapałem. Jurek wysłuchał mnie z zainteresowaniem, choć wyraz twarzy miał nieco sceptyczny. A gdy na jego pytanie odpowiedziałem, że zen jest całkowicie wolny od ezoteryki, stracił zainteresowanie. Zdaje się, że więcej serca miałby do magii, spirytyzmu czy wręcz okultyzmu.

Z krążących pogłosek wnioskowałem, że nadal zmiękczał otaczającą go realność tak zwanego socjalizmu, trwając w umiarkowanym upojeniu alkoholowym. Dobrze to rozumiałem, bo była to nagminna technika psychicznego ratunku, w czasach skądinąd nie do wytrzymania. Szczególnie na tym górnośląskim politycznym poligonie, gdzie aż nadto czuło się dyktat polskiego Herrenvolku, z komunistycznym błogosławieństwem. A przynajmniej tym, co chciało uchodzić za komunizm, a było tylko odwieczną ludzką małością. Uniwersytet Śląski, a szczególnie wydział prawa, był do przesady upolityczniony. Jak Jurek, pracując w takim środowisku i nie podpisując diabelskiego cyrografu, mógłby to inaczej wytrzymać? Popijał, oczywiście, nie tracąc uznania w oczach studentów.

Tutaj muszę się cofnąć do okresu jeszcze wcześniejszego, chyba o dziesięć lat. Do naszych rozfantazjowanych rozmów, w których niby pół żartem Jurek zainicjował, a potem zaczął rozwijać i pogłębiać ideę odtworzenia suwerenności śląskiej. Nie chodziło mu o kopiowanie niegdysiejszej, przedwojennej autonomii województwa śląskiego. Bo ta, jak to w Polsce, tylko się tak nazywała, będąc w gruncie rzeczy ordynarną okupacją. Mówił raczej o radykalnym odłączeniu Górnego Śląska od Polski. Byłoby to bowiem – jego zdaniem – gospodarcze i przemysłowe mocarstwo.

Nie muszę dodawać, że wtedy takie pomysły z daleka pachniały kryminałem. Były jednoznacznym podważaniem polskiej racji stanu, gwarantowanej przez pakt

warszawski i wieczystą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Nie bardzo rozumiałem, skąd mu się to wzięło. Pochodził przecież z rodziny arystokratycznej, dobrze zakorzenionej w polskiej historii. Nawet jakiś jego przodek panoszył się w Moskwie za czasów Maryny Mniszchówny i Dymitra Samozwańca. Mimo to Jurek inteligentnie postrzegał ten rozziew między życiem realnym a fikcją oficjalności, którą ludność Śląska zepchnęła do stanu bez mała niewolnictwa. Uważał to za niegodziwość, której należy się przeciwstawić. Przez jakiś czas, razem z innymi koleżkami, w piątkę lub szóstkę, skupiliśmy się wokół tego pomysłu. Dość żarliwie wymyślaliśmy szczegóły tej bezczelnej utopii, która jednak z czasem rozeszła się po kościach. Gdy trzydzieści lat później innym ludziom przyszło to samo do głowy i nazwali się Ruchem Autonomii Śląska, pomyślałem z ulgą, że już to przerabiałem w młodości. W każdym razie Jurkowi w tej materii należy się palma pierwszeństwa.

W połowie lat siedemdziesiątych zamieszkałem w całkiem innej geografii i już tylko z drugiej lub trzeciej ręki dowiadywałem się o jego życiu. A o tym, że nie żyje, dowiedziałem się z grubym opóźnieniem. Właściwie nie wiadomo jak grubym, bo data śmierci i jej przyczyny były rozbieżne. Nieco światła rzuciła rozmowa z jego młodszym bratem Krzysztofem, chociaż nie całkowicie. Ktoś inny usiłował mnie przekonać, że stało się to w latach osiemdziesiątych. Znaleziono go nieprzytomnego w bramie śródmiejskiej kamienicy w Katowicach. Mój rozmówca mniemał, że padł ofiarą napadu. A napad mógł mieć – jego zdaniem – podłoże polityczne, jako że Jurek w coś się angażował. Być może. Nie można jednak wykluczyć, że bez politycznych zamiarów upadł pijany, uderzył o coś głową, a pomoc nie przyszła w porę. Napisałem „daty i przyczyny", bo w tej materii też istnieje rozbieżność. Jedna z dwóch (a nawet trzech) dat jego śmierci podważa tę wersję. Niezliczone tagi, jakie mi wskazał internet, dotyczące hasła „Jerzy Gosiewski", odnoszą się do tak samo nazywającego się warmińskiego, hiperaktywnego działacza partii Prawo i Sprawiedliwość. Wśród ponad 20 tysięcy dokumentów, wskazanych przez internetową wyszukiwarkę, tylko cztery dotyczą dokładnie *tego* Jerzego Gosiewskiego, o którego tu chodzi. I też może nie dokładnie, ponieważ występują tam dwie różne daty śmierci. Jedna to 21 sierpnia 1992 roku. Druga 9 grudnia roku 1996.

Zbiegiem okoliczności, gdy poznałem obie te daty, czyli teraz, kiedy to piszę, jest właśnie 9 grudnia, zatem tę drugą – całkiem arbitralnie – uznaję za bardziej wiarygodną. Choć z drugiej strony, pamięć mi podpowiada, że jednak o jego śmierci dowiedziałem się jeszcze przed rokiem 1996. Od kogo? Kiedy? Gdzie? Nie pamiętam. Zatem nie mogę też odrzucić wersji pierwszej. 1992. Była jeszcze trzecia, ale już całkowicie mylna. Sugerowała polityczne skrytobójstwo w latach osiemdziesiątych i pochodziła od mało wiarygodnego „opozycjonisty" z tak zwanego podziemia. Choć wydaje się brzmieć atrakcyjnie, ale na odległość pachnie nonsensem. To jednak nie ma większego znaczenia, skoro tak czy inaczej – zmarł. Nie ma go wśród żywych i nie dożył osiemdziesiątych urodzin, które mógłby teraz święcić. Żywa pozostała tylko w mojej pamięci jego twarz, razem z charakterystycznym spojrzeniem nieco wyłupiastych oczu i drobnym tikiem. Odsłoniła się właśnie tutaj, dzisiaj, obok innych twarzy, które na razie były dla mnie masą.

Tyle tylko, że gdy jego twarz, wypisz wymaluj doktora prawa administracyjnego, a mimo to gościa wielkiej prawości, wybrzmiała w moim wspomnieniu, z tej masy innych zaczęły się wyłaniać, wcale nieproszone, również twarze następne. Masa rozpadała się na pojedyncze osoby, siedzące tutaj, przybyłe niekoniecznie ze względu na mnie. Raczej z powodu dość pospolitego konwenansu obecności. Znany jest mi ten rodzaj publiki, która garnie się ochoczo do każdej teatralnej premiery, autorskiego spotkania, jubileuszu, uroczystego koncertu i podobnych okazji. Jest dobrze być tam widzianym. Widzianym przez kogo? Ano tych, co też chcą być widziani, czy to na premierze filmu Wajdy, czy na koncercie Marty Argerich lub otwarciu nowej filii banku, połączonym z bankietem. Są też skromniejsze preteksty – autorskie spotkanie z okrzyczaną pisarką, wernisaż mdłej wystawy, wręczenie jakichś nagród. Szacunkowo, najwyżej ich jedną trzecią mógł tu sprowadzić pretekst Angelusa Silesiusa. Może nie jestem sprawiedliwy, przecież nigdy nie wiadomo, więc tej myśli nie przeceniam. Bo co, jeśli przypadkiem trafi ktoś do opery, choć za operami wcale nie przepada, ale ona nieoczekiwanie poruszy w nim coś, o istnieniu czego nie miał dotąd pojęcia? Niby należał do tych nieważnych dwóch trzecich, a jednak w jego życiu coś się wydarzyło. Niczego więc z góry nie należy przekreślać. W każdym razie nie tę jedną trzecią. Niech sobie jest.

Starałem się patrzeć z pewnym kredytem szacunku na te oblicza, czasem dopełnione jedną dłonią lub dwiema. Patrzyłem osobno na każdą twarz, aby słowa, jakie niebawem wypowiem, były dla niej jedynej. Przyglądałem się uważnie i czasem była to nawet wymiana spojrzeń, choć przy tych odległościach mogłem się mylić. Albo zatrzymywałem spojrzenie na jakiejś, zanim przeniosłem wzrok na następną. To niejednemu z obecnych mogło się wydawać natrętne lub kłopotliwe. Ale widziałem, że niektórym to było na rękę. Pewnie czuły się wyróżnione tym wzrokowym kontaktem. Niektóre jednak odwracały wzrok w inną stronę. Tylko że wreszcie musiałem przerwać tę lustrację i przystąpić do rzeczy.

Przemówiłem zatem. Głosem takim, jaki być powinien, wypowiedziałem kilka zdań wstępu. Chyba tych samych, jakimi jakieś pół roku temu rozpocząłem, zresztą pod tym samym tytułem, wykład do innego gremium. Pod tym względem jestem całkowicie przewidywalny i myli się każdy, kto myśli, że powiem coś nowego. Wszystko będzie dokładnie tak, jak jest w tych notatkach, które teraz leżą sobie spokojnie na podłodze tam, obok fotelika i nie są potrzebne, bo ich dokładną kopię mam w pamięci. Na temat, który jest tytułem dzisiejszego wykładu, wiem wszystko. Jest on od lat całkowicie zamknięty i nie będzie w nim żadnych nowinek. W naszej branży tak zwanych badaczy i naukowców to norma. Każdy tak robi. Jeden jest biegły w temacie Henry'ego Davida Thoreau, inny zna Williama Blake'a na wylot, jeszcze inny na wyrywki opanował Josepha Conrada lub Bolesława Prusa. I tak dalej.

cdn.

Powieść Henryka Wańka ukazała się nakładem Biblioteki Śląskiej w październiku 2024 roku.



Krzysztof Saj, *Dyptyk pozytywnych emocji*, fot.2, 2020

KRZYSZTOF KASPRZYK

Miejsca

są miejsca z których wabi cię światło
nie musisz wynurzać się z ciemności
wiedza wyczytana nie będzie zbyt przydatna
wiedza doświadczona i tak
pozostawi margines na intuicję
wsłucha się
w ciebie i światło
i dopłyniesz żyłami ziemi
do tego który się odwróci

Będzie bez twarzy
jeno w głębokim cieniu kaptura
Lume del Dios powie

Iwonicz-Zdrój, sierpień 2013



Andrzej Jerzy Lech, *Nowy Jork*, 1989

ANDRZEJ SAJ

Tropy poezji II – od blasku do cienia

Cień jest transcendentalną, odwrotną stroną światła
H. Belting

1. Poezja jest poszukiwaniem blasku – powie Adam Zagajewski. Ale blask może być skutkiem „odbicia" albo emanacją lśnienia, które bywa naturalnym zjawiskiem przynależnym do pewnych przedmiotów czy żyjących istot; więc może być także wewnętrznym światłem bijącym od danej postaci. Osoby promieniujące takim wewnętrznym lśnieniem bywają nazywani naszymi idolami… albo, „szaleńcami", gdyż – jak się sądzi – są naznaczonymi przez bogów. To właśnie poeci mogą egzystować na tej nieostrej granicy między wzniosłością a zdolnością wejrzenia w obszar mroku – to ci, którzy zawsze mogą obdarzyć otoczenie swą jaśniejącą wrażliwością. Stąd jedni sądzą, że poezja jest jasnością, jest świetlistym przekazem bądź promienistym sygnałem przybywającym do nas z „innego wymiaru", ale bywa także ciemna, mroczna, zanurzająca się w niezbadane obszary podświadomości – w jej tajemnice, w mroki melancholii. A może jest ona lśnieniem „czarnego słońca" (tego bliźniaka jasnego) albo odbiciem ciemnej strony księżyca – skąd ponoć sny pochodzą? Obydwa jej źródła – czasami łączące się w sobie dla swej siły wyrazu – potrafią być tkliwie bolesne, wyjawiając w nas to, co czułe i otwarte na oścież naszej wrażliwości, co wyraża naszą duchowość… Właśnie po to powstał (został stworzony?) język, temu służy mowa: od jęku, westchnienia po śpiew i krzyk rozpaczy, ale też głosy radości… by wyrażać to, co w nas ludzkie (arcyludzkie?). Poezja ta wszystkie artykulacje potrafi oddać swoim sposobem, z zamiarem, który jest ponad nią! Dlatego wyszukuje i łączy słowa, by wznieść się nad ich osobny sens i znaczenie; innymi słowy – metaforyzuje. „Zwierzęta nie tworzą metafor" – zauważył George Steiner. Ten cel nie zawsze jest uchwytny, wymyka się naszej percepcji, ale jest… jako ów nadrzędny „szczyt" poezji. Co sięga także mrocznych sfer… Takim symbolicznym pośrednikiem między blaskiem a mrokiem poezji mógłby być cień – to nieostre, enigmatyczne zjawisko rozumiane jest jako odwrotność „świecenia" naszej (lub innej) cielesnej czy materialnej figury. Aby pojawił się cień – musi być źródło promieniowania, tak ustawione, by oświetlając osobę czy przedmiot, umożliwiało jego odbicie w tle, na podłożu.

Więc i światło, i cień – te podstawowe fizykalne atrybuty, które wykorzystuje język, by nazywać nasze odczucia i wrażenia, stają się również pojemnymi metaforami oddającymi nasze poznawanie i doświadczenie. To stąd czerpie swe walory poezja – wyrafinowany język – owo „naczynie", w którym miesza się to, co realne (brane z rzeczywistości), z tym, co tajemnicze, transcendentne. Zagajewski (w *Obronie żarliwości*) odwołuje się tu do pojęcia *metaxu* – od Platona – to jest bycia „pomiędzy" tymi stanami, zawsze „w pół drogi". W języku poezji osiąga się to poprzez zderzanie ze sobą celowo (ale też intuicyjnie) dobieranych słów z ich oryginalnym zestawianiem – co służy budowaniu metafor, porównań oraz innych figur retorycznych i składniowych, a także wynika z potrzeby sięgania po słowotwórcze sposoby wzmacniania sensu poetyckiej wymowy, w jej dosłownych i symbolicznych znaczeniach. Ale też w tej poetyce niewątpliwie istotną rolę odgrywają wszelkie niespodziewane impulsy – zawdzięczane tak zwanemu natchnieniu, czyli wpływom „szału" twórczego, który przypisuje się udziałowi w tym procesie Dajmoniona, bądź roli naszych poczciwych (klasycznych) muz, z ich matką Mnemozyną – boginią pamięci. Zatem sztuka mowy i wymowy być może rodzi się właśnie dzięki naszej pamięci, czyli dzięki owym zdolnościom „przypominania" tego, co było, to jest tego, co mogło się zdarzyć niegdyś, a co służy jako punkt odniesienia dla wrażeń i odczuć wywołanych z niepamięci, z głębin nieświadomości – z tego pulsującego w nas czasu (przeszłego), czasu przeżyć naszych przodków, niejako teraz „przypominanego" także przez poetę. Ale ta „poetycka pamięć" może sięgać także w przyszłość, wieszcząc zdarzenia, które dopiero nadejdą. I te, w dwóch przeciwnych kierunkach biegnące strzałki czasu – objuczone potencjalnością pamięci i aktualnymi dopełnieniami – określają obszar penetracji dla naszego języka, dla potrzeb jego specjalnego, wyrafinowanego celu. Na mecie którego pojawia się poezja…

2. Podsumuję te uwagi w wierszu.

* * *

Między mrocznością a olśnieniem waży się
każde słowo, co objaśnia świat, a niemoc – ta mgła
otulająca serce – kiedy już opadnie, to wyschnięte
źródło uświadomienia znów napełni się treścią;
wtedy objawi się nowa gwiazda, świecąca
dotkliwiej, jak tylko zdoła to wyrazić poeta…

A demiurg tego objawienia? Nocny stróż snów
Dba, by, zbyt lekkie, nie opuściły naszej ziemi,
by się za-korzeniły w głowach tych, co je cenią
i wybierają z chaosu, z pomocą swego talentu,
co może być początkiem i ukończeniem całości;
a między ciemnością i światłem zapanuje harmonia.

3. Nad świetlistością poezji najwymowniej zastanawiał się A. Zagajewski (vide *Lekka przesada*), gdy rozważał: „czy to, co poetyckie, to światło, bez którego nie powstałby żaden wielki wiersz, istnieje tylko w naszej wyobraźni, w błogich intensywnych iluzjach natchnienia, uniesienia, czy też ma swój odpowiednik w rzeczywistości?". Odpowiedź na to pytanie wikła się w wątpliwości, ale poeta ostatecznie stwierdza: „że to, co w poezji niezwykłe i wspaniałe (i bardzo rzadkie), bierze się z rzeczywistości, z tej warstwy, która odsłania się tylko niekiedy, z tego segmentu świata, z którego bije blask". Ale ten blask, to wewnętrzne świecenie nie jest czymś, co bije wprost: bo może oślepiać, zamazywać kształty; wszak świeci słońce i świeci księżyc: jest jasny dzień i „jasna" noc – nadto wzbogacona marzeniami sennymi, w których „blasku" poezja się lubuje. Stąd mamy oto cały zestaw „pośredników" światła: lśnienie, odbicie, promieniowanie, emanację, pełnię oraz ich zaprzeczenia: zmierzch, mrok, ciemność… Ale tylko światło symbolizuje mądrość i wiedzę. Wielcy poeci „światłości" (w ich poetyckich przekazach) dawali tego dowody swą twórczością, co nie znaczy, że nie przekraczali owej „granicy" jawności, że także wkraczali w niepoznawalne przestrzenie mroku i tajemnicy, że docierali do owych „negatywów" blasku, by osiągać mistyczne zjednoczenie z Absolutem… z transcendentem.

Wzorem niedoścignionym byłaby tu poezja R.M. Rilkego. Aniołowie – ci wysłannicy światłości – otoczyli jego twórczość swymi opiekuńczymi skrzydłami, ale ich obecność zaledwie bywała tolerowana: bo są „straszni" w swym pięknie, w budzeniu lęku… Ten lęk udzielał się Rilkemu w „elegiach", wprowadził jego poezję w „psychologiczny" nurt dociekań nad ludzką „naturą", nad wewnętrzną egzystencją, dając poezję na tyle w sobie „domkniętą", że niektórzy komentatorzy zarzucali poecie brak w wierszach historycznej perspektywy, czyli odniesień do problemów ówczesnego czasu. A on był przede wszystkim modernistą, z jego *Parnasem* – choć go też przekraczał, czego dowodzi nieustająca fascynacja współczesnych czytelników jego poezją. Doraźność, zdarzenia historyczne… nie przenikały do „ducha" poety, do tego czystego, wielkiego potencjału wrażliwości na piękno świata i natury, na dyskurs z przeznaczeniem.

4. W wyrazistym świetle (oświetleniu) pogłębionej myśli sytuuje się twórczość Czesława Miłosza. To kolejne spotkanie, ciągle intrygujące, z poezją autora, który już wiele lat temu (dwadzieścia) przeniósł się w tę „druga przestrzeń" – o której sam pisał… Dał temu wyraz w tomie pod takim tytułem, gdzie szczególnym sprzężeniem intelektu i zmysłów dowodzi potrzeby jej (tej przestrzeni) istnienia; to jest także takiej, która byłaby tylko na dotknięcie słowa, poetyckiego słowa. A bywa ono (to słowo) niepochwytne jak cień, albo raczej jak jego mgliste lśnienie. Poeta obawiając się utraty wiary w istnienie owej „drugiej przestrzeni" (Nieba i Piekła), błaga w wierszu o jej przywrócenie. Czemu może przysłużyć się właśnie słowo, które będzie czerpać swą moc ze snu, niepomijające jednak wiedzy. „Poezja to raczej sen niż rzeczywistość" – powie M. Heidegger, a Ernesto Sábato doda, że sen (jak sztuka) jest zawsze aktem wrogim wobec życia na jawie; jest rodzajem „klucza" do tej drugiej przestrzeni. Co chciałbym dopowiedzieć moim wierszem.

* * *

A może poezja jest szyfrem – do czego?
Czyżby do pierwszego Pisma – albo kluczem
do poszukiwania prawdy? Stąd wynikł grzech:
zwany pierworodnym… w rajskim ogrodzie.

Który się może tylko przyśnił w opowieści
o naszym ujawnionym świecie?
Dlatego sny łudzą, bo czerpią moc
stamtąd, skąd płynie rzeka wiedzy

I niewiedzy: bo co wiemy o nas,
o naszym pochodzeniu i języku,
który nas wyróżnił z natury
i poetycko ukształtował?

Ale poezja (jej sen) nie wyjaśni rzeczywistości bez wsparcia myśli, bez wsparcia filozofii i nauk przyrodniczych, bez fizyki… i metafizyki. Nieprzypadkowo George Steiner – wnikając w swej *Gramatyce tworzenia* w sensy ludzkiej wyobraźni – mówił o „poezji myślenia". To można potwierdzić wypowiedzią Roberta Musila, który zauważył: „Poezja myśli jest również myślą poezji".
Ta myśl o poezji prowadzi ponownie do roli zmysłów w niej, do „zmysłowości" słów używanych przez autorów. Zastanawiające są tu późne wiersze Miłosza (choćby z tomu *To*). Mimo starości, albo może właśnie dlatego, jest jego poezja bardzo wyczulona na powaby cielesne, na piękno osiągalności tego, co raczej już było dla niego nieosiągalne. Poeta zachłannie „konsumuje", wręcz pożera wzrokiem i chutliwymi wyobrażeniami uroki swego otoczenia. Czy jest starym rubasznym satyrem? Chyba nie – bo ta jego zachłanność na życie i użycie jest w nim całkiem naturalna, jest cechą osobowościową, zapewne szczerą. Mówi on o swoim apetycie i go nie ukrywa. Liczy na kontynuację tej zmysłowości w niebie, jeśli się tam dostanie. Choć już wie, że zamieni się tylko w samo patrzenie, w wieczne konsumowanie iluzji… Mówi: „Zamieniony w patrzenie, będę dalej pochłaniał (…) całą niepojętą, niepojętą mnogość widzialnych rzeczy" (z tomu *To*). I zapewne też tych niewidzialnych dla nas tu, na ziemi. Zbiór ten wydany w 2004 roku prowadzi do kolejnego – z 2006 roku – pośmiertnego zbioru *Wierszy ostatnich* – jakby poetyckiego testamentu autora. Tyle że już we wcześniejszym wierszu bez tytułu (w *To*) Miłosz stwierdził: „kiedy jestem stary i opisywałem tak długo, / co zobaczą oczy. / Aż nauczyłem się, że najbardziej wskazane jest / zamilczeć". Jak wyrazić milczenie, by uniknąć ironii tego paradoksu: bo milczący nie mają głosu, nikt się o nich nie dowie, nie pozna, że właśnie zamilkli wobec przerażenia tym, co zobaczyli albo zobaczą. Poeta antycypuje więc swoją przyszłość? Choć nie może przemilczeć wspomnień, tłumaczy się ze swego życia, jakby obawiał się, że inni (niemilczący) zinterpretują je niezgodnie z jego wolą. Czy wątpi w siłę swej poezji? Chyba nie, choć pisze: „Wstydzę się układać wiersze / zajęcia nieskromne… / wolałbym przemówić / innymi słowami / tak żeby nikt przytomny nie życzył sobie mnie słyszeć" (wiersz *Wstydzę się* z 2006 r.). Jakie to są te „inne słowa", które nie powinny być słyszane?

Z pewnością nie na ziemi przywołane, więc są to może raczej słowa nie-słychane, bo stanowiące o bycie. „Poezja to stanowienie bycia poprzez słowa" (M. Heidegger), i dalej mówi: „bycie jest jasnością, w której wychodzi na jaw to, co jest, a jasność sama nie jest przecież bezpośrednio widoczna". W prawdzie milczenia (samowyrażającego się) wobec braku Słowa stanowi się niebyt, a raczej odwrotność bytu: cień – jako znak nieistnienia i niepoznawalności. Poeta wszedł już w tę sferę – cieni; szukający słów: tej zwiewności i nietrwałości „ciał niematerialnych" i będzie mógł tam dalej robić to, co zaczął na ziemi (por. *Niebiańskie* Miłosza). Kim będzie więc jego odbiorca, prócz aniołów, może już znudzonych pięknem, przez tylu poetów je sławiących, że aż wpadły w „przerażenia początek" – o czym wiedział już nie tylko R.M. Rilke. Czyżby celną odpowiedzią na owo milczące zasłuchanie się w swe słowa będzie wiersz *Niebo* (z tomu *Wiersze ostatnie*) – ten „głos Nicości", który opowiada o naszym Ojcu w niebie? W jego domu. A poeci? Poetycko zamieszkujący ziemię, milcząco wkraczają do nieba: by się wadzić z jego mieszkańcami? W jednym ze swych ostatnich wierszy poeta twierdził: „Jeżeli Boga nie ma / To znaczy, że my jesteśmy Bogami". A więc po co wznosiliśmy katedry i ołtarze na cześć Nieobecnego? Dlaczego sławiliśmy i sławimy tę niepoznawalną Moc, tę praprzyczynę wszystkiego, co nas dotyczy… A może sławiliśmy tylko siebie? Choć także siebie niszczyliśmy w bratobójczych walkach, w glorii zła, któremu ciągle służymy. Jeżeli Boga nie ma, to nie wszystko wolno – przestrzegał jednak inny filozof; głos osamotniony, wołający na pustyni ludzkich sumień. Głos owocujący ludzkim dziełem: w literaturze, muzyce czy sztukach widzenia. Ten język sławiący to, co „boskie" w naszej ludzkiej intencji, co jest im (bogom) poświęcone. Powiedział M. Heidegger: „Poezjowanie (*Dichten*) to pierwotne nazywanie bogów". Ale inne znaczenie *Dichten* (w języku niemieckim) to gęstość, uszczelnianie, to też: zmyślać, stwarzać (wiersz), marzyć itd. Wielość odczytań w owym wychodzeniu z „gęstwiny" ich znaczeń jest imponująca, taka, by można było dotrzeć do tej pierwotnej rzeczy, do tego, co tam skryte, niejawne, a co stanowi sens owego „poszukiwania blasku", czyli możliwości wyjścia z „gęstwiny" na przestrzeń jawną, oświetloną – to zadanie dla poety. To również wyjście z „gęstwiny snu" – by możliwe było zamieszkiwanie w realności świata, w tej okraszonej dziwami, fantazjami i nieziemskimi stworami przestrzeni. Jako że one w tej gęstwinie skrywają się i czekają… na poetę. Który tę „drugą przestrzeń" nazwie i oswoi. Mówi o tym mój wiersz dedykowany poecie.

* * *

Miłosz zawsze… także jako starzec
był poetą tej najwyższej miary,
w jakiej go sytuowały nasze wyobrażenia
i nasze, wobec niego, oczekiwania.

On – wielki, jak poeta – pomnikowo wzięty
w cudzysłowie jego wierszy i omówień,
nadal stoi wśród nas jak samotny słup,
co wyznacza znany kierunek, ale:

Dokąd? Gdzie prowadzi jego wzrok
utkwiony w daleki horyzont, za którym
rozpościera się rajski ogród, czy może
puste rżysko, po żniwach? Jednak…

Jesteśmy – jako ci żniwiarze, nieco utrudzeni,
ale szczęśliwi, że oto plon, że plony
sypią się do spichlerzy naszych głów,
gdzie będą czekać na wiosenny wysiew.

By dojrzewać w słońcu zrozumienia.

5. Mam szczególny – naznaczony osobistym doświadczeniem – stosunek do poezji i myśli Adama Zagajewskiego. Tyle że już od pierwszego z jego osobą kontaktu zastanawiałem się: czy nie za wcześnie zastygł on był w swej „marmurowej" pozie? Jego wiersze zawsze mi bliskie, czułe i wrażliwe, dotykające tego, co jakby nam wspólne, jednocześnie – podawane były przez niego z pewnego rodzaju zdystansowaniem wobec otoczenia; tak jakby był on stałym emigrantem, także „wewnętrznym". Wtedy (w 1987 roku) w Sztokholmie na spotkaniu w Klubie Polskim – jego niedostępność i chłód były wprost monumentalne; a może była to tylko nieufność wobec „natrętnych" ciekawskich (wśród nich byłem), którzy przyszli na spotkanie ze sławnym polskim poetą i o coś go nagabują. Mam więc problem z odbiorem jego „prywatnej" postawy, ale to nie przekreśla admiracji dla jego twórczości. Zagajewski, jako znakomity poeta i eseista, jest mi najbliższy pokoleniowo, a także w obrębie poglądów na literaturę, na historię, na życie… Mimo to jest czasami trudno przebić się przez ten, zbudowany przez poetę, rodzaj świadomego „muru", oddzielającego go od potoczności i zamykającego go jakby tylko w obrębie jego wyższych aspiracji duchowego życia; w jego sławieniu piękna (własnego i „cudzego"). Susan Sontag w swej recenzji (por. *Praca mądrości*) przełożonej na język angielski książki Adama Zagajewskiego pt. *W cudzym pięknie* przytoczyła z niej uwagę autora: „Biada pisarzowi, który stawia piękno ponad prawdę". Oczywiście nie odnosiła krytycznie tej maksymy do jego poezji, wręcz przeciwnie – doceniła jego zaangażowanie w bieg historii, jej zdarzeń (np. Solidarność). Ale czyż poezja Zagajewskiego nie jest przykładem gloryfikacji piękna? Czy to jest jej wada? Z pewnością – nie! Wszak odnosi się on jednocześnie do prawdy jego (naszych) czasów, oczywiście o tyle, o ile poezja jest jej zapisem (jej zdarzeń i rzeczywistości), by nie stać się zwykłym reportażem czy dokumentem danego stanu rzeczy. Poezja „dzieje się" bowiem zawsze o piętro wyżej; jest w tej prawdzie czasu osadzona, ale „wystaje": unosi się ponad, a tym samym jeszcze głębiej (i wierniej) oznacza i określa sens prawdy – jej „naturę". Poezja może albo powinna – jeśli jest prawdziwa – wznosić się ponad ziemskie realia, ponad konkret i zwyczaje, sięgać wymiaru meta, to jest nadbudowy świata fizycznego (metafizyki) oraz mistycyzmu w jego doświadczeniu, by docierać do jego tajemnic, do tego, co skryte w „gąszczu" oczywistości, a co zaledwie prześwituje z jej „szczelin". Poezja może być ową szczeliną w świadomości tego, który jej służy, który szuka jej blasku – w sobie, w pragnieniu jej obecności, ale i „lęku" przed jej brakiem. To być może

właśnie w takiej opozycji rodzą się słowa „transportujące” to, co możemy w swym przeczuciu nazwać poezją. Możemy wszak wierzyć – jak sądzili niektórzy – że „wszystko jest poezją”? Ale to nie wystarczy, bo trzeba przyjrzeć się otaczającej nas rzeczywistości i jej nieprawościom. Poeci są zobligowani w swych sumieniach (wymóg dobra) do reakcji na krzywdę i ból, na agresję wobec słabszych, na wojnę itd. Ale czy każda poezja potrafi ten ciężar udźwignąć, i czy powinna? Trudne pytanie, być może bez odpowiedzi, co próbuje oddać mój kończący ten wywód wiersz pt. *Obecność*. Ostatnie, osobiste spotkanie z poezją Adama Zagajewskiego miało miejsce w listopadzie 2018 roku we Wrocławskim Domu Literatury. Tam wtedy tak cicho czytał on swe kunsztowne wiersze, że niemal musiałem „przysunąć do jego ust moje niezbyt sprawne ucho” i dopiero wówczas włączyłem się w jego wiotką myśl, tak zręcznie omijającą pułapki pospolitości. Pan Adam zawsze był powściągliwy, mówił z dystansem do otoczenia – bo tkwił cały w środku, jakby zamknięty w swym wnętrzu, skąd obserwował świat, ale też go prawdziwie podziwiał i komentował; ale zawsze były to wiersze wysokiej próby: złote monety sypane z rogu obfitości… Zbierałem je zachłannie, bo były dowodami „cudzego piękna” – wiele ono znaczyło w podążaniu za innymi poetami, którzy już zamarli w powidokach swoich wierszy na zawsze. I oto parę lat później (marzec 2023 roku) Adam Zagajewski również przeniósł się do tej „drugiej przestrzeni”, gdzie Miłosz już sprawdzał, jak mówił wcześniej: sens „słów obudzonych przez nietrwałe usta”, już zobaczył „podszewkę świata” i może usiłuje o niej opowiedzieć nam w słowach tych poetów, którzy tu – po tej stronie – jeszcze piszą swe „podsłuchane” strofy. Czy się spotkali? Byłby taki Niebiański Areopag ciągle „żywych” w naszej pamięci poetów czymś „pięknym” i „dobrym”? Choć chyba dalekim od „prawdy” – ale co o tym wiemy? Niewiele, a raczej nic. Wszystko jest poezją, szczególnie w raju… Czy poezja może zmieniać rzeczywistość? Odwieczne pytanie bez odpowiedzi. Po Holocauście mówiono o bezradności poezji, o niemożliwości pisania wierszy po takim tragicznym doświadczeniu. Ale mimo to znaleźli się poeci, którzy ten ciężar odpowiedzialności za słowo potrafili udźwignąć. Tu objawiła się owa ciemna, mroczna „twarz” poezji, którą najtrafniej uosabia Paul Celan ze swoją hermetyczną twórczością.

O b e c n o ś ć

Ile jeszcze zasianych wierszy
zasili „orną ziemię snu”* – nim
rozświetli ją dojrzały łan słów –
z mroku wykwitłych wyobrażeń?

Ile zdołają unieść kłosy
by oddać to co jest ich treścią
i myślą: co wyjawią ziarna
zanim zmielą je młyny mowy?

Na jak długo starczy tej mąki
w wypiekaniu chleba poezji?
Tego – naszego powszechnego…
co prowadzi dusze do raju?

Na wieczną chwałę Obecności…

** z Saint-Johna Perse’a: „Anabaza”*



Marek Liksztet, *Czekając na deszcz…,* lata 90

LESŁAW WOLAK

* * *

Kiedy staję u wrót wiersza w ciemnym świetle światła
dłonie ognia wyznaczają okręgi metafor
przenikają myśli starych mędrców z odległej Attyki
Jeśli będziesz słuchał uważnie zrozumiesz te szepty
Głęboka tajemnica jak stłumiona iluminacja biegnie obok
toczy ziarno od wschodu do zachodu od słowa do słowa
wewnątrz przesuwa tysiącletnie arkady kolumny posągi
Rozchodzą się mity o bogach poematy o herosach
Przetaczają się wojny powstania rewolucje
Płyną niestanne hymny marsze i rapsodie

Jestem we wnętrzu Trojańskiego Konia
gdy się uwolnię to tak jakbym przeniósł się
w nową przestrzeń

Księga 2

Zdawało mi się że słyszę głos z doliny
a to był wiatr, źródło wszystkich dźwięków.
Wiatr dźwięk niesie w przestrzeni.
Kiedy miele zboże, kiedy łamie zboże, gubi tony.
Wiatr zapala i gasi światła.
Wiatr przyniósł mnie do ciebie niby jesienny liść.
Jesteś gwiazdą tego wiatru,
jesteś gwiazdą tego miasta, jesteś gwiazdą jego nocy.

Bar - tu toczy się akcja, jest fantastycznym barem. Bar to żar,
bar to piwo, bar to gorzka trawa, bar to biała gorączka,
taniec, taniec i tania miłość.
W barze spełni się obietnica,
w bladym świetle lamp ogromny spiker rozjedzie cię jak czołg.
Jesteś gwiazdą tego miasta,
widziałem twoje delikatne oczy na okładce playboya,

teraz oświecają mi drogę.
Auto porusza się szeptem,
słyszę bicie twego, jego serca i zamykam oczy.
Widzę, zza zakrętu wyłania się wielka śmieciarka,
odkurza ulice, łapczywie wciąga brudy.

Leciałem,
płynąłem jak we śnie w Przestworzach Wysokich Niebios,
lekki, niematerialny, niczym strumień fotonów
a stwórcze duchy wypełniały Bezkresną Substancję Świata,
Duch Nieskończonego Światła,
Duch Zachodzący w Ciemności,
Duch Zachowania Energii,
Duch Syntezy Zaniku,
duchy ze wzburzonej piany utworzyły,
Wyspę Niebiańskiego Spokoju,
góry i równiny mieszały się wraz z jeziorami
powstały nowe duchy,
Nieustający Duch Flory i Fauny,
i wyłoniłaś się z wanny niby z Mgły Porannej,
równina zatętniła tańcem i muzyką.
Obudziłem się na granicy krain Izumo i Hakaki,
na twoim ciepłym brzuchu.
Jesteś gwiazdą tego wiatru.
Jesteś gwiazdą tego miasta.
Jesteś gwiazdą jego nocy.
Po cóż byłbym tu bez ciebie?



Andrzej Jerzy Lech, *Opole,* 1979

Księga 4

Wiatr nie jest jasnym promieniem słońca,
wiatr nie jest koniem wygiętym w galopie,
wiatr sieje nienawiść na ulicy, grzmi na przechodniów.
Wiatr wzmaga ogień w płonącym lesie,
wiatr budzi burzę w górach pragnień.
Był koniec maja. Dym dusił miasto,
zostawiliśmy płasko za widnokręgiem
nagie serce cywilizacji.
Pojechaliśmy na północ.
U wrót morza przywitał nas wiatr.
Spodziewałem się go tu jak zarazy,
uciekliśmy do wioski, do domu arcyksiężnej.
Właśnie siedzieliśmy nad stawem,
kiedy lęgły się dzikie kaczki.
(zabłąkane małe chodziło za nami jak szczeniak)
Kaczęta niesione wiatrem polowały na komary.
W górze sójki i sroki krzyżowały linie lotów.
Pobiegłem po strzelbę. Stojąc nad brzegiem,
na granicy światła, oddałem strzał; i jakby pękła
przestrzeń. Chybiłem. Huk przyniósł ocalenie,
młode odpłynęły za matką niby mała flota.
I wtedy usłyszałem jego głos,
głos miedziany wpadający w studnię:

Kto pozna transcendentalną Jego naturę
ten opuściwszy ciało, nigdy nie rodzi się ponownie,
osiąga wieczną siedzibę, o Arjuno.

I światło zadrgało na brzytwie jego mowy.
Którzy za nim przyszli,
niczym jak kot, niczym jak pies,
to oni rozśpiewali, to oni rozmodlili równinę:

Hare Krsna, Hare Krsna, Hare Krsna,
Hare Hare,
Hare Rama, Hare Rama, Hare Rama,
Hare Hare.

Wysoki, chudy, o herbacianej twarzy Guru rzekł:

Te ptaki na wodzie i w powietrzu mają duszę,
i dzik ma duszę, i koń ma duszę, i jeleń ma duszę.

Ci, którzy z nim przyszli zaintonowali:

Hare Krsna, Hare Rama, Hare Hare.

Ich śpiew nie należy już do nich.
Wiatr niesie dźwięk nisko nad wodą,
wiatr szlifuje kamienie na drodze,
wiatr miesza pojęcia pod pancerzem nocy,
wiatr oddziela ziarna od plew.
Po przebudzeniu światła, pusta przestrzeń.
Czym serca zapełnią?
Kto przyniesie nadzieję?
Co zapali wiarę? Kto ocali wiarę?
Wiatr się zrywa, sztorm wywraca barki na morzu.
Może to odpowiedź, a może pytanie?
Pod dachem nieba wieje odwieczny wiatr.

Księga 5

Wiatr chodzi za mną jak cień.
Wiatr na grzbiecie fali popycha żagle w morze.
Wiatr niesie samoloty ponad chmurami nieba.
Wiatr poprowadził pszczoły nad wrzosowe wioski.
Znowu jestem nad stawem, słucham jak kwilą młode kaczki,
nie myśląc o politykach burzących wodę jak deszcz,
który właśnie pada i przynosi zniszczenie.
Wiatr porusza białą mgłę na omszałych wzgórzach,
wiatr kołysze mnie jak matka do snu i unosi ku bezgranicznej ciszy.
Dalej, dalej, nad wodą babie lato plecie niesymetryczną sieć,
oddech drży w rozłożystej zielonej paproci na skraju doliny.
Tylko miłość się gdzieś zagubiła, albo porwał ją wiatr niby kroplę wody.
Wiatr niczym kapitan statku wskazuje azymut rejsu do miasta.

W śródmieściu kryształowe promienie słońca przenikają okulary.
Nastolatki spacerują po rynku niczym Charyty,
patrząc ukośnie w niebo przez uszkodzone neony.
Małe kolczyki świecą w ich pępkach jak latarnie morskie.
Stara kobieta z upału przysnęła na ławce i gada przez sen,
jakby pociąg przejeżdżał przez tysiąc torów.
Muchy z pracowitością mrówek roznoszą bakterie,
za nimi wypatrują wróble, na wróble zza ławki czai się kot.
W południe mężowie stanu podpisują pokojowe traktaty,
wydają odezwy i deklaracje związane uśmiechami i uściskami dłoni,
uroczyście składają podpisy na papierze, który wszystko przyjmie,
błyskające flesze aparatów niby ostrze klingi ranią oczy,
później na głośnych bankietach wypijają drinki.

W cieniu gabinetów układają nowe plany inwazji, armie budują
balistyczne rakiety, wodują atomowe podwodne okręty.
Wszystko, co tylko możesz zrobić, to tylko czekać, co przyniesie wiatr.

Lecz teraz wiatr przedziera się przez wąwozy języka i przenika mnie,
bada moje słabe strony, pilnuje żeby przestrzeń była otwarta.
Sprawdza wszystkie stopnie, po których tutaj doszedłem:
Różewicz, Frost, Śliwonik, Eliot, Ginsberg, Jakob.

Kiedy wrogowie nadchodzą, wszystko co zachowałeś w pamięci może być ważne.
Wiatr dostrzega każdy zaułek równiny, dotyka każdej skały, każdego kamienia.
A brama jest tylko bramą, przez którą przejdzie jeden, a za nim armie,
to wszystko i nic, choć mogła być jasnym spojrzeniem.
W przestrzeni pozostaje tylko krzyk walącego muru, który unosi wiatr.
Kto dzisiaj uciszy morze? Kto przyniesie pokój?
Jaki wiatr obróci na drugą stronę moją czarną gwiazdę?
Czy za dwadzieścia lat znowu wzejdzie słońce?
Czy ujrzę jak zachodzi za górami?

Im dłużej patrzę, tym widzę mniej, jakby źródło światła słabło.
To nieskończone potęgowanie nocy.

Nad domem Ziemi łagodnym ruchem wschodzi słońce,
wykuwa w horyzoncie nowe pokolenia,
które wiatr poniesie ku srebrnym galaktykom.

Z tomu *Księga wiatru*, 2007.



Marek Liksztet, *La fin de l'usine,* lata 90

JANUSZ KRUPIŃSKI

Błyskotki słów. Świat bez światła i ciemności

I form ohr, and create choshech;
I make shalom, and create rah;
I Hashem worketh all these things.
Isaiah 45:7, *Orthodox Jewish Bible*

Ja formuję światło, i tworzę ciemność,
Ja czynię pokój, i tworzę zło,
wszystko to sprawiam Ja, Imię.
Księga Izajasza, 45,7, za *OJB*

Ja tworzę światłość i stwarzam ciemność,
Ja przygotowuję zarówno zbawienie, jak i nieszczęście,
Ja, Pan, czynię to wszystko.
Księga Izajasza, 45,7, *Biblia Warszawska* [1]

W tekście tym odnoszę się do ideału bycia człowiekiem, który dochodzi do głosu w kilku drobnych fragmentach wykładu noblowskiego: *Czuły narrator* (2019). Ideał to reprezentatywny dla współczesności, a właśnie to stanowi istotny powód, dla którego piszę. Nie przywołuję nazwiska autorki wykładu, aby w ten sposób podkreślić, że odnoszę się tylko do kilku zdań.

Krytyka, która nie ma oparcia w stanowisku odmiennym, pozostaje korektą i narzekaniem.

Odmienne stanowisko – przeciwstawne czy przeciwne, to za mało. Na sprzeciwie, na negacji, na „Nie" buduje się tylko negatyw pozytywu (w mniemaniu oponenta to on buduje pozytyw). Kto na „a" odpowiada „nie a", ten pozostaje w schemacie myśli „a".

1 Przekład w Biblii Tysiąclecia ma charakter *cancel culture:* „sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę" (BT, Iz 46,7). W ten sposób tragizm zostaje sprowadzony do kwestii sukcesu, powodzenia, wygranej i biedy... Podobnie współczesny katolik kasuje „I nie wódź nas na pokuszenie" – zostaje odsunięte wyzwanie, jakie dla myśli stanowią te słowa. Czyżby zrozumiałe były inne wersy Πάτερ ἡμῶν / Pater noster / Ojcze nasz?

Hasłowo, w postaci tez, szkicuję pewne wyobrażenie świata, człowieka i miejsca człowieka w świecie. Pierwotne sformułowania tego wyobrażenia obecne są na gruncie religii, w szczególności w Biblii.

Przywołuję dwa miejsca Starego Testamentu, przy zupełnej nieznajomości badań i interpretacji im poświęconych (sigle: Iz 45,7 oraz Wj 3,12-3,13). Ich przekład w *Orthodox Jewish Bible*... W próbie jego odczytania majaczy sens objawieńczy dla przewodniej myśli tego tekstu. Unosi ją.

Autorytet Biblii nie ma tu żadnego znaczenia, to nie religijne rozważania. W ogóle nie odnoszę się do problemu Boga.

1. Czuły narrator: „Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości. Jest tym trybem patrzenia, które ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący i od siebie współzależny".
2. Czy podobają Ci się te słowa? Tobie – a Pani, Panu, jeśli to Ty.
3. Powiesz: „Podoba mi się ta myśl". Jaka? Jaką myśl znajdujesz w tych słowach? Rozumiesz, co mówią? Niosą myśl jakąś? Gdzie ich sens?
4. „Podoba mi się to...". Jeśli mówi to ktoś, kto jest Twoim autorytetem, zapewne ugniesz się, przyjmiesz zawartą w tym ocenę.
5. Jeśli „Podoba mi się to..." mówi do Ciebie Twój ukochany, zapewne rozpływasz się w tych słowach, z czułością. Nie dla ich treści, nie dla owego „to"..., ale dla Ukochanego. Gdy z czułością powiedział, że Ty mu się podobasz... Cóż bardziej może Ci się podobać? Rozpływasz się w czułościach.
6. „Podoba mi się to..." – formuła to najmocniej przemawiająca do kogoś, kto ją wypowiada.
7. „Podoba mi się to..." jest niczym samozaklinanie, oznacza brak dystansu, do owego „to", do własnych słów i do samego siebie.
8. Brak dystansu wobec siebie: powiązanie ze sobą, utożsamienie się ze sobą, uwiązanie do samego siebie, do swego „ja" i „mi". To zaprzeczenie pytania o prawdę.
9. *Czuły narrator*: „W morzu wielu definicji fikcji, najbardziej podoba mi się ta, która jest jednocześnie najstarsza i pochodzi od Arystotelesa. Fikcja jest zawsze jakimś rodzajem prawdy".
10. Jeśli nawet rzeczywiście postawa czułości sprzyja rozumieniu, to go nie zastąpi. Rozumienie domaga się pytań, a nie czułości. Kto nie pyta, ten zamknął się w swoim sposobie rozumienia. Rozumienie nigdy nie dochodzi do zrozumienia – pytania nie dochodzą do rzeczywistości.
11. Cokolwiek człowiek myśli, mówi, pisze, cokolwiek mu się pomyślało, powiedziało, napisało jest, jest „jakimś rodzajem prawdy", także błogosławieństwo i przekleństwo, nie wyłączając „Podoba mi się to...".
12. Cząstka jakiejś prawdy buduje kłamstwo i samozakłamanie – bez tego czym są?
13. Samozakłamanie buduje tożsamość człowieka. To psychologia.
14. Arystotelesa definicja fikcji nie została przytoczona. Zdanie: „Fikcja jest zawsze jakimś rodzajem prawdy" nie jest definicją, lecz twierdzeniem. To echo myśli Arystotelesa.

15. Nie sposób zgodzić się z Arystotelesa definicją prawdy – prawda nie jest własnością zdań o świecie, ale rzeczywistością; prawda nie polega na odpowiedniości zdań i świata – nikt nigdy nie podglądnął rzeczywistości.
16. Rzeczywistość nie jest do podglądnięcia, by potem pytać, czy zdanie dobrze mówi o niej; zdania mówią to, co mówią; człowiek widzi to, co widzi.
17. Tak zwany „paradoks fikcji" zbudowany jest na pseudoproblemie – dla „sedna", dla „morału" opowieści nie ma znaczenia to, czy tak było, czy nie było, czy tak w ogóle mogłoby być.
18. Jeśli autor opowiada o sobie albo pisze w stylistyce „o sobie", albo ukrywa się pod postacią jakiegoś „bohatera" opowieści, jeśli opisuje swe osobiste przeżycia – kto czyta opowieść jako opowieść o autorze, ten jest zainteresowany jego osobą.
19. Pytanie „Co autor miał na myśli" a pytanie poszukujące tego, co tam jest powiedziane, to dwa różne pytania. Pierwsze porusza miłośników autora – jego osoby.
20. Pytanie „Co autor miał na myśli" zastąpić trzeba pytaniem o myśl pojawiającą się w słowach tekstu – także autorom myśli się pojawiają, jawią, majaczą. Myśli? Co tam myśli – myślane. Także autorzy piszą na ślepo.
21. Kto czyta, słucha, patrzy na ślepo – ten jest na drodze w nieznane. To „droga prawdy". Na tej drodze nie ma znaczenia „Podoba mi się", „Nie podoba mi się". Ma „wierzę". W co? Nie w „to a to".



Andrzej Jerzy Lech, *Wuppertal,* 1988

22. *Czuły narrator*: „Dlatego wierzę, że muszę opowiadać tak, jakby…" – jakby, a gdzie świat?
23. Cokolwiek człowiek mówi i pisze jest „jakimś rodzajem prawdy". Jakimś. Także błogosławienie i przekleństwo. Także kłamstwo. Nie wyłączając „Podoba mi się to…".
24. W „Podoba mi się", w czułości jest szczerość, lecz nie prawda – idea prawdy jest nieobecna.
25. Podoba się? Podobanie się – wypełnia ciało i duszę, wciąga, utwierdza i potwierdza Ja. Bywa budujące – co? Bywa rozczulające, czyli?
26. „Podoba mi się…!", z serca, z czułością będzie wypowiedziane – …upoluję, zjem.
27. Smakosz z czułością obiera jabłko…
28. „Podobasz mi się!", czyli miło mi byłoby z Tobą. Mi. W czym miło? Jesteś w moim guście. Istotą smaczną jak dobry smak.
29. W „Podoba mi się" chodzi o podobanie się, a nie o to, co się podoba.
30. W „Podoba mi się" chodzi o „mi". Mi się podoba.
31. Mentalność „Podoba mi się" jest mentalnością ego.
32. W „Podoba mi się" ego znajduje siebie.
33. Odsunąć się od „podoba mi się" to nie żyć czymś, co mi się podoba.
34. W koleinę „Podoba mi się", w pułapkę „Podoba mi się" wpada również pytanie o to, co jest pierwsze, podobanie się czy piękno. „Piękne jest coś, co mi się podoba, czy wprost przeciwnie – podoba mi się coś dlatego, że jest piękne".
35. Cóż to za piękno, co wiąże się z „Podoba mi się"?
36. Ostatecznie piękno mi dogodzi?
37. Piękno leży poza podoba i nie podoba mi się.
38. Wielkość sztuki leży poza podoba i nie podoba mi się.
39. Wielkość sztuki nie leży w tym, że wyprowadza nas poza własne upodobania, ale w tym, że wyprowadza nas poza podoba się czy nie podoba się.
40. Wielkość sztuki w tym, że wyprowadza nas poza nas samych.
41. Wielkość artysty, poety, twórcy – nie wierzy swej sztuce.
42. Twórcą nie jest artysta, kompozytor, poeta, któremu podoba się własne dzieło.
43. Twórca nie jest winny tego, że jego dzieła się podobają – nie mu zaprzątać sobie głowę, że spotykają się z tego rodzaju odbiorem.
44. Jak można uwierzyć własnemu „Podoba mi się"? Gdy ceni się własne dobre samopoczucie.
45. Podobanie się wciąga.
46. Podobanie się jest niewiarygodne – szatan kusi podstępnie.
47. „I nie wódź nas na pokuszenie, a zbaw nas ode złego" – Panie światła i ciemności, pokoju i zła, co sprawiłeś to wszystko.
48. W tle twórczego aktu leży idea szatana.
49. Szatan jest imieniem błędu. I fałszu.
50. Sprawdzianem wiary w istnienie szatana jest dystans w stosunku do „Podoba mi się".
51. W „Podoba mi się" nie ma ani światła, ani ciemności, ani światła, ani cienia – są tylko błyskotki.

52. Idea widzenia jasno i klarownie jest pociągająca, naiwna jak pobożne życzenia, czyli dewotyczna – rzeczywistość określają światła i cienie.
53. Wystrzegać się błędu to być krytycznym – poczynając od samego siebie, swych odczuć, uczuć, myśli, od swego smaku, od swego sumienia… Od czułości.
54. Kto mówi „Podoba mi się", ten mówi o sobie.
55. Co mi się podoba? Co w tym mi się podoba? Dlaczego?
56. W podobaniu się nie ma owego „co", „co w tym", „dlaczego".
57. Podobanie się zaślepia.
58. W „Podoba mi się" obecne jest odczucie „więzi, podobieństwa i tożsamości".
59. Czytajmy jeszcze raz to zdanie pełne pięknych słów: „Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości. Jest tym trybem patrzenia, które ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący i od siebie współzależny".
60. „Czułość […] jest trybem patrzenia, które ukazuje świat jako…" – kto wejdzie w ten tryb, temu świat jawi się jako…
61. „Tryb" – to słowo zdaje się należeć do tej samej rodziny znaczeń co „narzędzie". Jego użycie byłoby tu właściwe, jeśli rzeczywiście czułość jest narzędziem. Instrumenty, środki używane do pewnego celu. Po narzędzia się sięga, narzędzia się odkłada – jest się ich panem. Podobnie coś robi się w pewien sposób.
62. *Czuły narrator*: „dzięki temu cudownemu narzędziu, najbardziej wyrafinowanemu sposobowi ludzkiej komunikacji". Komunikacji?
63. „Czułość… ukazuje jako" – tak pojęta, nie pyta o świat, jakim jest, snuje opowieść o świecie, jasną jak ona sama. Jakim ukazuje świat?
64. „Świat […] powiązany ze sobą" – ze sobą?
65. „Świat […] współpracujący"– współ – z czym?
66. „Świat […] od siebie współzależny" – nie tylko zależny od siebie, ale współzależny, współ, z, z czym?
67. Łagodnie tłumacząc na banał idylli: byłaby to opowieść o świecie zależnym tylko od samego siebie, pełnym wzajemnych powiązań, w którym panuje duch współpracy.
68. „…świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący i od siebie współzależny" – hasła te składają się na ideał totalności.
69. „Współ", „współ"… Świat – jeden. Jeden jak jedność, spójność, samowystarczalność.
70. „Współ", „współ"… Świat, w którym wszelka rana się goi, każda plama do wymazania.
71. „Współ", „współ"… Świat bez zaułków, enklaw, bez samotni, bez miejsca na ja sam, ja z boku, mnie nie ma.
72. Skandal Arystotelesa, jego myśl jakoby człowiek był istotą społeczną – miłość dwojga nie jest zjawiskiem społecznym (znowu Arystoteles…), nie należy do porządku sił społecznych, w ogóle nie należy do porządku *vis*, sił.
73. Zjawiskiem „współ", zjawiskiem społecznym, jest małżeństwo, także seks. Tu należą interesy.
74. Ideał totalności przeczy miłości.

75. „Współ", „współ"… To wyobrażenie świata, w którym nie ma zła, w którym zła się nie zna – to wyobrażenie, które nie chce znać zła, nie zna światła i ciemności świata.
76. Sztuka idylli jest kiczem? Dla kiczu właściwe jest to, że się podoba? Sztuka staje się kiczem, gdy z czułością czytasz, patrzysz, słuchasz?
77. Wyzwaniem dla czyjejś wyobraźni oraz intelektu będą słowa o świecie „od siebie współzależnym" – niezdolność do rozumienia bywa znakiem ciasnoty własnego umysłu, jego powiązania tylko z samym sobą.
78. „Czułość dostrzega między nami więzi"? Nie tworzy więzi, ale je dostrzega?
79. Dostrzegać więzi z kimś to myśleć o sobie.
80. Dostrzegać więzi z kimś – są mu potrzebne? O krok uwiązanie go.
81. Czułość? Z największą czułością można odnosić się do kogoś, patrząc, dotykając – nie widząc go.
82. Czułość bliższa jest pieszczoty niż troski.
83. Kto pieszcząc, włączy tryb czułości, ten w nim się zakręci.
84. Pieszczący z czułością łatwo zatapia się w swej czułości.
85. Czułość bliższa jest rozczulenia niż miłości.
86. „Psujesz wszystko zamieniasz na opak / streszczasz tragedię na romans kuchenny / idei lot wysokopienny / zmieniasz w stękania eksklamacje szlochy" (Zbigniew Herbert, *Czułość*).



Andrzej Jerzy Lech, *Wuppertal*, 1988

87. „Czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamości”? Równość nie jest drogą miłości. Miłość nie spełnia się w tym, że będę jak Ty, a Ty jak ja, że związą nas podobieństwa.
88. Miłość nie spełnia się w pełni „współ, współ”, nie spełnia się w jedności. Miłość istni się – nie spełnia.
89. Tożsamość? Miłość nie w tym, by drugi był toż-samym, by został w swej tożsamości.
90. Ideał tożsamości możliwy jest dla mentalności, która skrywa istnienie dobra i zła – jednak tej opozycji nie zniesie żadna czułość (w podwójnym znaczeniu słowa „zniesie”). Tej opozycji nie zniesie żadne *coincidentio oppositorum*.
91. Gdzie błyskotki, tam nie ma światła i ciemności, światła i cienia – gdzie czułość i tożsamość, tam nie ma dobra i zła.
92. Człowiek w swym człowieczeństwie to *homo schistos*, rozszczepiony – dialog wewnętrzny, spór, wewnętrzny dialog, dyskusja, są postaciami tego rozszczepienia, a więc postaciami przyjęcia idei prawdy, postaciami poszukiwania prawdy.
93. *Homo schistos* – w sporze pomiędzy ja i nie-ja człowiek wyzwala się ze swego ja, z Ja.
94. Człowiek w swym człowieczeństwie nie ma tożsamości – istni się i jest istniony.
95. Ideał mego utożsamienia się z kimś z góry lekceważy jego osobność, jedyność, nie zostawia mu przestrzeni, otwartości istnienia i otwartości w istnieniu.
96. Czułość – sfera uczuciowości.
97. Miłość… Jak nie oddać się aurze tego słowa? Słowa takie jak miłość, piękno łatwo stają się błyskotkami, oczarowują, stają się synonimami kultury.
98. Samo piękno powszechne – pospolitej miłości – pociąga, porywa, unosi, wstrząsa, *vibes*, poraża, powala, koi, rozczula… To potęga wielkich przeżyć – cóż tam przy niej błyskotki, cóż tam *catchphrase*.
99. Estetyk wypowiada słowo „Piękno” – tak, w jego głosie słychać wielkie „P”, wypowiada to słowo z taką czułością… Z oczyma przymkniętymi w błogości tęsknoty najwyższej… Sakramentalnie, ku Niebu… Tak wzruszająco…
100. Puste Niebo estetyków: piszą jakoby o pięknie, czytając innych estetyków, referując „jak Platon już”, swe kolekcje cytatów układając w mozaiki naukowości.
101. Miłość – jej zaprzeczeniem jest odczucie, doznanie, wrażenie, przeżycie… Wtedy kocham znaczyłoby tyle, co podobasz mi się, znaczyłoby tyle, co wspaniale mi z Tobą, tyle doznań mi dajesz…
102. Miłość – jej duchem nie są jeszcze uczucie i czucie. Uczucia wciąż są po mojej stronie. W czuciu nie ma odpowiedzi ani pytania, ani odpowiedzi.
103. Znamienny przykład: tłumacze i polscy miłośnicy Malewicza przeoczają jego wiarę: „W sztuce chodzi o prawdę, a nie o szczerość”. To dlatego samą istotę twórczości Malewicz wiąże z ощущение – to jego definicja suprematyzmu. Tłumaczom obca jest idea prawdy, toteż ощущение biorą za odczucie, przeżycie, uczucie, wrażenie. Jednak… Jeśli prawda to odczuwanie. I to należy do znaczenia rosyjskiego słowa ощущение – niepojęte dla kogoś, komu obca jest idea prawdy, a jego miłością są przeżycia czy to ekspresje.

104. Miłości bliskie wydaje się odczuwanie. Istotnie do niej należy, nie jest nią. Odczuwanie, czyli?
105. W słowie „odczuwanie” przyciąga to „od” i „czuwanie”. Od-czuwanie.
106. „Od-czuwanie”, „odCzuwanie” – błyskotliwostki…
107. W „czuwaniu” jest nasłuchiwanie, wsłuchiwanie się, uważność, pytające spojrzenie…
108. Do czuwającego nie należy pierwszy ruch, w ogóle czuwanie nie jest ruchem.
109. Czuwanie zna ciemność, zna niewidzialne, zna niedotykalne.
110. Czuwający zna lęk przed niespodzianym, niewyobrażalnym, niepojmowalnym.
111. Czuwający zna Imię. Zna?
112. Hashem jest imieniem Świętości.
113. Hashem jest wyrazem pokory.
114. Hashem wyraża myśl o istnieniu, które leży poza granicami języka i mowy.
115. Hashem jest najdalsze od myśli, że jestem, który jestem.

…when I come unto the Bnei Yisroel, and shall say unto them, Elohei Avoteichem hath sent me unto you; and they shall say to me, What is Shmo? what shall I say unto them? 14 And Elohim said unto Moshe, Eh-heh-yeh ashair Eh-heh-yeh (I AM WHO I AM); and He said, Thus shalt thou say unto the Bnei Yisroel, EH-HEH-YEH (I AM) hath sent me unto you.
Exodus 3:12-3:13. Orthodox Jewish Bible
…gdy pójdę do dzieci Izraela, mam im powiedzieć, Bóg ojców waszych posłał mnie do was, i zapytają mnie, czym jest Imię? co powinienem im odpowiedzieć? I Bóg powiedział do Mojżesza: JESTEM KTÓRY JESTEM, powiedział też: Powiedz dzieciom Izraela: JESTEM posłał mnie do was.[2]
Exodus, 3:12-3-13, za *OJB*

116. „Czym jest Imię?”, „Co to jest Imię?”.
117. Hashem, Imię – pojawia się w miejsce słowa „Bóg”, którego użycie, którego wypowiadanie jest świętokradcze.
118. Hashem – „Nie będziesz brał Imienia … nadaremnie”. „Święć się Imię Twoje”. YHWH. B-g.
119. To nie pytanie o to, jakie jest imię Boga, o to, jak się nazywa (uśmiech).
120. *What is Shmo?* – czytam jako pytanie oparte na najpowszechniejszej formule „Co to jest?”, „Czym jest”, formule pytania o istotę czegoś – odpowiedź definiuje.
121. Mamy definicje kwadratu, słońca, łoża, kochanki…
122. Kant pyta *Was ist der Mensch?*, „Co to jest człowiek?” – nie „kim”, ale właśnie „co”.
123. Pytanie „Kim jest człowiek?” przedwcześnie rozstrzyga, że człowiek jest kimś (nie rozumieją tego tłumacze).
124. „Co to jest człowiek?” – to pytanie o człowieczeństwo.

2 „Lecz gdy oni mnie zapytają, jakie jest Jego imię, to cóż im mam powiedzieć?” (BT, Wj 3,12) – „jakie jest Jego imię”…

125. Bycie rolnikiem, myśliwym, rzemieślnikiem, inżynierem, pisarzem, filozofem czy duchownym, bycie kochankiem czy kochanką, bycie Kantem, Kowalską czy to Kowalskim – w świetle pytania „Co to jest człowiek?" jest byciem nikim.
126. Kanta to wykład: wszystkie filozoficzne pytania sprowadzają się do tego jednego: „Co to jest człowiek?".
127. „Co to jest człowiek?" – to pierwsze pośród wszystkich pytań, podstawowe pytanie ludzkiej egzystencji, nie jest sprawą filozofów, ale człowieka.
128. „Co to jest człowiek?" – mądrość żyje tym pytaniem. Nie wierzy odpowiedziom.
129. „Co to jest człowiek?" – nie jest kwestią wiedzy.
130. W świetle Exodus pierwsza z odpowiedzi na pytanie „Co to jest człowiek?" brzmi: Nie jest tym, który jest.
131. „Jestem, który jestem" – absolutny sposób istnienia.
132. Nic w świecie nie jest tym, które jest. Co tylko w czasie, nie jest tożsame, co tylko w czasie, już odchodzi, pojawiając się. To faktyczność.
133. Co tożsame jest definicją. *Framing.*
134. Nie wybiera swej tożsamości kto ją ma – jest w jej klatce. Tożsamość jest klatką, a nie rdzeniem. Rdzeń nie istnieje.
135. Odczuwanie – w „od" jest odpowiedź, odpowiedź, która jest pytaniem, jest pytaniem, które nie zostaje przed kimś postawione.
136. Tożsamości nie można zadeklarować – jest mniemaniem. Deklaracja niknie w pytaniu o jej treść.
137. „Sztuką jest to, co uważa się za sztukę" – sztukę, czyli?
138. „Artysta podnosi coś do rangi dzieła sztuki" – dzieła sztuki – sztuki, czyli?
139. Deklaracja „Jestem kobietą", czyli? „Jestem mężczyzną", czyli? „Jestem człowiekiem", czyli?
140. Próby zdefiniowania człowieka wychodzą od „wiadomo, że to istota dwunożna nieopierzona", są pytaniem o człowieczeństwo.
141. Postawić kogoś przed pytaniem to ustawiać go w formule tego pytania.
142. Czułość w pytającym spojrzeniu? Jej obecność przedwcześnie definiuje nieznane.
143. Nie wszystko czeka na czułość, nie wszystko domaga się czułości, czułość nie jest wolna od zła.
144. *Czuły narrator:* „Dlatego wierzę, że muszę opowiadać tak, jakby świat był żywą, nieustannie stawającą się na naszych oczach jednością, a my jego – jednocześnie małą i potężną – częścią".
145. Ideał jedności świata? O jakim świecie mowa?
146. Świat kosmologii dzieje się bez naszych oczu. We wszechświecie człowiek jest gatunkiem ludzkim – przypadkiem. Jak to dinozaury.
147. Jeśli w ogóle kategoria jedności właściwa jest kosmologii, fizyce, chemii czy biologii, to w sensie poza dobrem i złem.
148. Nauce obcą jest myśl o świecie światła i ciemności – a ten świat nigdy nie stanie się jednością.
149. Przedmiot badań naukowych definiuje kategoria siły. Człowiek „nauki" jest istotą zdeterminowaną przez układy sił, czy to sił społecznych, czy to psychicznych, czy to…

150. Człowiek „częścią potężną"? Jeśli, to przecież nie w tym znaczeniu co Słońce.
151. Myśl o tym, że człowiek jest potężną częścią świata, bliska jest ideałowi mocy – panowania, władzy.
152. Ideał mocy: świat układa się po moim projekcie – nie po mojej myśli, ale po moim projekcie. Po.
153. Człowiek ideału mocy w wersji niedorzecznej: człowiek zaprojektowany przez samego siebie, człowiek stworzony przez samego siebie.
154. Człowiek ideału mocy: jestem tylko tym, czym sam siebie zaprojektowałem.
155. Naiwność „Jestem wolny, robię, co chcę". Kto robi, co sam chce, co „tylko on nie chce", robi, co tylko on chce – nie wykracza poza spektrum swoich chceń, poza to, co mieści mu się w głowie, poza to, co nie mieści mu się w trzewiach…
156. Bieda kogoś, kto utożsamia się z projektem samego siebie: każdy projekt zaczyna się tam, gdzie nieprojektowalne, wszelki projekt zawiera treści i konsekwencje, których projektant nie ogarnia, projekt rzucony jest w nieznaną przyszłość, wyzwaniem każdego projektu jest realizacja, kto żyje projektami, ten nie spotka rzeczywistości.
157. Przed człowiekiem stoi „konieczność tworzenia siebie aż do najmniejszego szczegółu" – na tym miałaby polegać „ludzka rzeczywistość" (wyrwane z Sartre'a)? Uprzedmiotowienie. Bowiem, to, co projektowane, jako takie jest przedmiotem.
158. Do faktyczności człowieka należą jego projekty, nie tylko preprojekty takie jak pożądania. Należą tu także projekty, z którymi on się utożsamia, należą tu jego projekty samego siebie. Lecz człowiek nie jest swoją faktycznością.
159. Projekt samego siebie jest możliwy tak, jak make-up albo *aesthetic medicine*.
160. Bywa, że ktoś utożsamia się z nową fryzurą, swą twarz odnajduje w tym *hair design* – wybrał siebie, jakim chciał… Spectrum wolności…
161. Ideałowi mocy obce jest odczuwanie. Obca mu jest też czułość.
162. Potężny człowiek – to pojęcie, które lokuje człowieka w porządku siły. Przyczyn i skutków. Bodźców i reakcji… Wygranej i klęski… Walki i woli panowania.
163. Z czułością idzie to dobro: nie wiąże się z wolą pojęcia. Czyli? Pojąć to posiąść. W słowo „pojęcie" wpisana jest wola panowania.
164. Niemieckie der Begriff tłumaczymy: „pojęcie" – Begriff jest rodzaju męskiego, w *„Begriff"* jest *„Griff"* – chwyt. O krok Faust – pięść. Niemczyzna nie posiada słowa „dłoń".
165. Czułość nie jest rodzaju męskiego, podobnie męskie nie jest odczuwanie.
166. „Potęga czułości" to *contradictio in terminis.* „Potężna czułość" to *contradictio in adiecto.*
167. Samej istocie czułości przeczy, kto czyni ją narzędziem – wtedy w czyichś rękach staje się sposobem manipulacji (manus – ręce, nie dłonie), sposób to potężny.
168. Dyktatorom przystoi czułość, nie tylko jako narzędzie, ale i ta z serca płynąca, gdy wspaniałomyślnie pochylają się nad biedakiem.
169. Człowieczeństwo człowieka leży w porządku myśli, porządku, który określa przyjęcie idei prawdy.
170. Wyróżniam te dwa porządki – porządek *vis* oraz porządek *ratio* – z pamięcią o *Plus ratio quam vis.*

171. *Plus ratio quam vis,* to znaczy: obwieszczam, „Rozum ponad siłą".
172. *Plus ratio quam vis* – w zdaniu tym obecna jest wiara w wyższość porządku *ratio* nad porządkiem *vis.*
173. *Plus ratio quam vis* – autorem tej myśli, tej dewizy jest Karol Estreicher młodszy, jemu chwała, to on wyciął, wyrwał te cztery słowa – poza kontekstem w ogóle mają zupełnie nowy sens. Czy Estreicher świadom był znaczenia i sensu tych słów? W swych *Dziennikach* o tym nie pisze – to w niczym nie zmienia wielkości jego intuicji.
174. Te cztery słowa pochodzą z pięknie napisanej historyjki o starcu (być może autobiograficzna to fabulacja). Romans. Krótko i wprost: starca zwabiła młoda Greczynki, jej uroda – a zawiódł ją w łożu. Blamaż, wstyd i hańba. Oprzytomniał wtedy, a to z myślą godną każdego chłopa: „czasem lepiej mieć rozum".
175. Czasem? Zawsze – zawsze rozum ponad pożądanie, przecież traci rozum, kto ulega sile pożądania – to lekcja Arystotelesa, którą wykłada w *Etyce nikomachejskiej* (dzieło to musiało należeć do kanonu lektur rzymskiego poety).
176. Czytamy, że Maximianus jest autorem tej dewizy – stała się dewizą Uniwersytetu Jagiellońskiego. Cóż, „Maximianus" to błyskotka „x" i „starożytności", pozór autorytetu, „na max".
177. A więc?
178. Tak, świętą jest idea prawdy, jej przyjęcie oznacza tyle: pytanie o to, co jest, jakie jest, i jak jest – jak jest, czyli jaki jest jego sposób istnienia.
179. Idea prawdy nie jest prawdą, nie jest tezą, niczego nie głosi, może być przyjęta, odrzucona, albo nieznana.
180. *Homo schistos* – pierwotne rozszczepienie człowieka określa rozziew pomiędzy porządkiem *vis* a porządkiem *ratio.* Oto sens pojęcia *axis mundi.*
181. *Vis-ratio* – napięcie w człowieczeństwie nieusuwalne, jak pomiędzy tym, co poniżej, a tym, co powyżej. Pomiędzy ciemnością a światłością. Zło jest imieniem upadku.



Andrzej Jerzy Lech, *Opole*, 1979



Andrzej Jerzy Lech, *Książ*, 1980

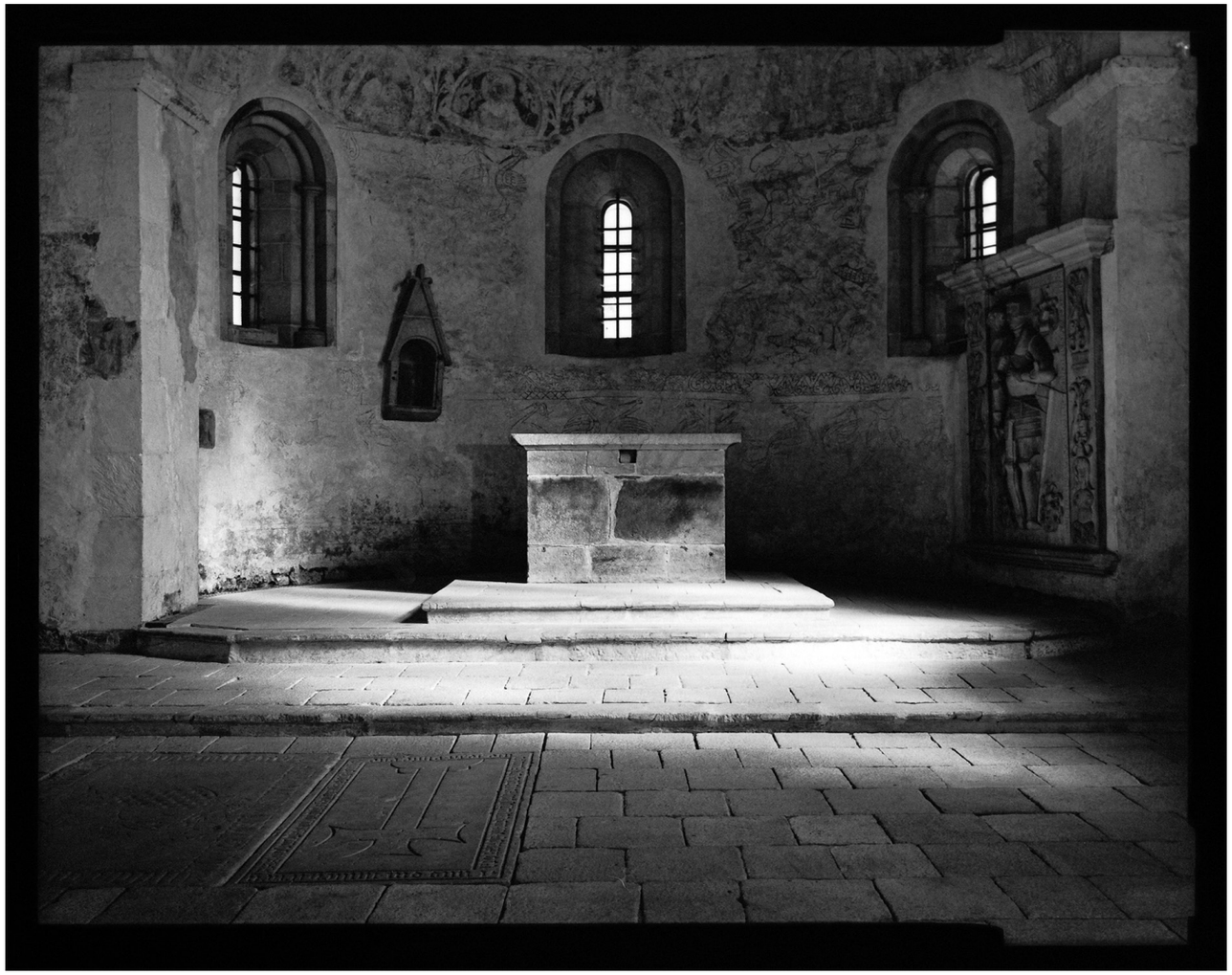
AGNIESZKA KŁOS

Gdyby szła jak teraz

Z kobietami
Jasną zakurzoną drogą
Niosąc to co teraz
Lub jeszcze cięższe

Wzdłuż drogi
Wysokie na pięć metrów
Nagie posągi
Nie biegną wcale nad morze
– jak sądziła
Ale do świątyni

Pierwsze światło
Nazwali wtedy dniem
I tak to się potoczyło



Marek Liksztet, *z cyklu „ZEIT - Nieuchronność przemijania- Die unvermeidliche Vergänglichkeit”*, 2004

STANISŁAW KAROLEWSKI

Wyznania antykwariusza

(fragmenty)

Nowy dom. Wyznania antykwariusza 001

Nowy dom. Niby w obrębie administracyjnym Wrocławia, ale jeszcze kilka lat temu gdzieś w tej okolicy kupowaliśmy maliny – prosto z plantacji. Książki rozłożone na podłodze i w kartonach. Raczej kiepskie, ale zabłąkało się kilka niezbyt pasujących do reszty – dwie okładki z okresu drugiej wojny. Propagandowe, socjalistyczne, oddane z dużą przesadą. Jedna wydana w Waszyngtonie na temat współczesnej wojny propagandowej – tę muszę przejrzeć, doktryny wtedy wypracowane zapewne nadal obowiązują. Dwa Lemy. Kilka razy zioła – poniszczone, ale tanio kupimy, więc możemy tanio odsprzedać, a wtedy nawet kiepskie stany długo na półce nie postoją. W witrynie *Mein Kampf* z urwaną okładką. Dwa egzemplarze – drugi jeszcze gorszy. Zbiera się mała stertka, może ze dwadzieścia pozycji, które układam na parapecie, żeby nie przepadły w bałaganie stert na podłodze.

W drugim pokoju oglądamy kartony z różnościami – szkło, ceramika. Indyjskie „starożytności". Zapadamy się coraz głębiej, ale okazuje się, że jest jeszcze komoda i tu jest już lepiej. Kilkanaście fotografii ze Stanisławowa w jednolitych ramach oraz dwie new-lookowe patery – to po nie tu przyjechaliśmy. Oddycham. Bo to nawet lepszy zakup niż ostatni w tej okolicy – dwie kobiałki malin.

Edek. Wyznania antykwariusza 002

Przychodził sam lub z żoną. Czasami z synem, jeżeli miał dużo towaru. Drobny handlarz antykami. Rozwieszał ogłoszenia na słupach. Jeżeli ktoś się z nim skontaktował lub kupił z danego domu jedną rzecz, latami potrafił dzwonić, przypominać się w sprawie kolejnych, które wypatrzył na ścianie lub w kredensie. Nieraz pokazywał mi z dumą swój grubo wypchany karteluszkami adresownik. Wyjmował go z wewnętrznej kieszeni ekoskóry, w której zawsze chodził – niezależnie od pory roku. Pocierał palcem po brodzie, okolonej trzydniowym zarostem – także zawsze takim samym, nie dłuższym ani nie krótszym, lecz w sam raz. I mówił: „żeby pan tylko wiedział, do kogo ja tu mam telefon" albo w innej wersji: „u kogo mam umówioną wizytę". A „kogo" wypowiadał takimi słowy, że człowiek od razu wiedział: albo papież, albo car postanowili opchnąć Edkowi coś z dawnego świata. Do dziś podziwiam go za jego public relations, ja nie potrafię dzwonić, przypominać się, skamleć, czarować. U mnie: tak, to tak, nie, to nie. Choć pewnie i czasy się zmieniły – gdy go poznałem, kończył już trasę, do której rozbiegł się dziesięciolecia wcześniej. Znał też żulerkę z całej dzielnicy, więc jak potrzebowali się napić, a z kamienic niejedno dało się wynieść, szli do Edka.

Kiedyś przyszli i do mnie – chcąc ominąć pośrednika.

– Wiemy, że do pana Edek przychodzi. Edek się zna, pracował kiedyś w ramiarni. – Jakby ten argument decydował o wszystkim. – A dzisiaj my przyszliśmy nie do niego, ale od razu do pana. – Mają torbę pełną mosiężnych lut-lamp. Jeden opowiada, jak jeszcze z nich korzystał w jednym ze zlikwidowanych zakładów.

Edek rzeczywiście się znał. Wiedział, że mały obraz jest tańszy od dużego, a duża książka, album jest droższa od małej i cienkiej. Zawsze przychodził ze swoimi propozycjami cen, które ja akceptowałem albo odrzucałem, ale się z nim nie targowałem. Czasem dziwiło mnie, że nic niewartą PRL-owską encyklopedię wycenia na dwieście złotych, a poszukiwane XIX-wieczne broszury pszczelarskie:

– Te oddam panu po piątce, ale jak pan chciałby wszystkie, to po trójce.

Czasem też dziwiło mnie, skąd pozyskuje tyle towaru. Potrafił przyjść kilka razy w tygodniu. W niedzielę tym, czego nie sprzedał w antykwariatach, handlował na targowisku, na którym jednak swoje ceny obniżał. Zdarzyło się raz czy dwa, że ktoś przychodził z czymś, co wcześniej oferował mi Edek, ale oczekiwał za to o wiele wyższej ceny, więc chyba czego nie wzięli antykwariusze, na placu wyprzedawał już za bezcen – byleby było na nowe zakupy. Tak też pozyskiwał nowe kontakty:

– Ogłoszenia i ulotki to jedno, a każdej niedzieli zdobywam kilka nowych adresów – mawiał.

O tej ramiarni też mi opowiadał. To była prawda. Najwrażliwszy był na drewno. Gdy przynosił jakiś drobny mebel albo drewnianą rzeźbę, stawał się poetą:

– Ten czerwony odcień to wiśnia, a jaka delikatna… jak kobieca skóra w dniu osiemnastych urodzin. Wisienka dziesięcioleciami dawała ludziom owoc, a gdy się zestarzała, wciąż zachwyca. Zupełnie odwrotnie niż u ludzi.

Czasem dzielił się też uwagami o praktycznej stronie życia, pamiętam, jak kiedyś przyniósł całe fabryczne opakowanie kubków Porcelitu Pruszków i mówi:

– Dobrze jest, żeby mężczyzna miał swój kubek, można w życiu nic nie mieć swojego, nic innego, ale kubek trzeba mieć. Jeżeli pan nie ma kubka, niech pan wszystkich nie odsprzedaje, jeden sobie zachowa. Niedrogo policzę. – A potem, gdy jego myśli zaczęły krążyć wokół zawartości kubka, dodał jeszcze: – Czasami solona słonina jest lepsza niż kiełbasa. Trzeba zjeść plaster i można cały wieczór się bawić.

Oglądając fiński nóż, który miałem w ofercie, powiedział:

– Dobry, ostry. Jak pan będzie potrzebował sprawić kurę albo zająca, to niech pan je da do zamrażarki i da mi znać, w godzinę się z tym uwinę. Ale jak się trafi sarna… – zdaje się, że umiał też prawidłowo ocenić moje umiejętności praktyczne, nie tylko z zakresu patroszenia zwierząt, ale i prowadzenia auta – jak się trafi sarna, to niech pan do mnie zadzwoni od razu z drogi. Trzeba działać szybko, zanim się popsuje, a do zamrażarki nie wejdzie. Ja nastawię wrzątek i jak pan do mnie przyjedzie, to zajmiemy się nią u mnie w piwnicy. Wszystko panu wytłumaczę. A na ogródkach przy Bujwida jeden facet ma wędzarnię, zadzwonię do niego,

to nic się nie popsuje – trochę zjemy, trochę do lodówki i zamrażarki, a resztę się uwędzi, może potem miesiącami wisieć. Tylko bagażnik trzeba wyłożyć folią, bo jak wszystko przesiąknie krwią, to auto nie do odsprzedania.

Czasem popadał też w stan zadumy filozoficznej nad światem. Dotykał wtedy językiem swojego złotego zęba – to był jeden z ostatnich złotych zębów, jakie dane mi było w życiu oglądać. Żywe świadectwo dawnych czasów. I dzielił się swoim doświadczeniem:

– Kobieta jest jak rama od obrazu, można podszpachlować i jest git. Jak się dobrze podszpachluje, to jest nawet piękniejsza od nowej. – A po chwili zadumy dodał: – I tańsza.

Kiedyś, oprowadzając po mieście koleżankę antykwariuszkę z innego miasta, spotkałem Edka na wrocławskim Rynku. Taszczył walizkę i kilka starych ram właśnie. Zawstydził się i wytłumaczył, że idzie do konkurencji, bo zakupy zrobił przed chwilą i kilka domów dalej – nie ma siły taszczyć do mnie, a poza tym:

– Pan przecież pustych ram nie bierze.

Szybko się pożegnałem, bo już widziałem w jego oczach, że i mojej koleżance chce udzielić lekcji życiowej mądrości.

Edkowiana – tak nazwałem rzeczy od Edka i od jego żony, bo z biegiem lat widać było, jak podupada na zdrowiu. Często on był już tylko głosem, a żona rękami, bo syn się wyprowadził i przestał już robić za tragarza. Potem Edkowa przychodziła sama, ale przynosiła coraz gorsze rzeczy. Zagadnąłem ją kiedyś o męża, ale powiedziała, że leży w szpitalu. W końcu i ona przestała przychodzić. Do dziś mam prawie dwustuletnie płótno przedstawiające sad w rozkwicie – jako średniej wielkości, było tańsze niż duży, współczesny akt o wątpliwych proporcjach i kolorystyce, który trafił pewnie na plac.

Od ostatniej wizyty Edkowej minęło może z dziesięć lat, od jego kilkanaście. Pod koniec października odebrałem telefon.

– Jest pan jeszcze na Szczytnickiej? Poznaje mnie pan?

– Jestem na Szczytnickiej, ale prawdę mówiąc, nie poznaję.

– Mówi Edek, kiedyś często u pana bywałem.

– Tak, już poznaję.

– Jestem teraz w domu opieki społecznej w Łodzi, ale żona mi umarła i przywiozą mnie na jej grób. A kupiłem tu srebrną cukiernicę i kilka obrazków, malarz nazywał się A. B., może pan sprawdzić w katalogu, jest po szkole. Będzie pan w poniedziałek w firmie, mogę podejść?

– Pewnie, niech pan podejdzie. Pooglądamy.

Myślę o tym, że jak zaczął przychodzić, to już był po sześćdziesiątce – żona była młodsza. To teraz musi mieć po osiemdziesiątce. Nie przychodzi przez cały kolejny tydzień, a przypomina mi o nim cukiernica, którą kupuję od innego klienta. Mówię o nim Agnieszce, a ona przytomnie zauważa:

– A kiedy on do ciebie dzwonił dokładnie? To nie było w Halloween?

– Tak, było.

Od tamtej pory Edek więcej nie przyszedł i nie zadzwonił, ale w Halloween telefon odbieram drżącą ręką.

Wizyta u starego krawca – skup. Wyznania antykwariusza 003

Jest ciemno. Leje deszcz, jakby niebo pękło. Przydałoby się schować, lecz nie ma pod czym – podobno to jeszcze Wrocław, ale długo jedziemy przez pola. Droga na szczęście wysypana jest tłuczniem, a przy domu stoi latarnia, świeci się też tablica z numerem. Parkujemy tuż przy płocie, furtka otwiera się automatycznie zaraz po pierwszym dzwonku. Gospodarz uchyla drzwi wstawione w potężne ościeżnice – z pewnością wysoki poziom zabezpieczenia antywłamaniowego. Jest też cyferblat od kodowania alarmu – oznacza to tylko jedno: skarby.

Schodzimy do piwnicy, to nowoczesna, sucha i ciepła piwnica – króluje w niej piec gazowy, a wokół… czegóż tam nie ma – pełno kartonów, skrzynek, pudełeczek, z których wystają różności – pierwsze, najbliżej wejścia, kryją głównie elementy ceramiczne i szklane. Wszystko, co człowiek lubiący przedmioty zgromadził przez życie. Głównie PRL, ale jest i supermarket, i Bułgaria sprzed lat. W kolejnych metalowe stojaki i puzderka, puszki, proszki do prania, drewniana balia, sztuczne kwiaty, ołowiane żołnierzyki, otwieracze do piwa, ręczne narzędzia, sztućce, obrazy – kilka ręcznie malowanych, przeważają reprodukcje Domu Książki, a nawet powycinane z gazety i włożone w antyramy „widoczki". Dwa pudła nylonowych nici.

– Dziadek był krawcem. Najpierw służył przez wiele lat w wojsku, potem pracował w teatrze.

Kilkadziesiąt pudełek z guzikami. Zwykłe i duże – błyszczące, zapewne od kostiumów teatralnych. W dwóch szkatułkach kolekcja – ponad tysiąc guzików wojskowych – od połowy XVIII wieku. Są też elementy kostiumów – atrapa aparatu fotograficznego, jakaś dziwaczna marynarka, wielki zegar ze styropianu. Mimo że przewiezione i przebrane przez wnuczka, wszystko nosi ślady wojskowego porządku – puszki, woreczki, sakiewka z monetami – tylko jeden nominał z różnych lat, skrzynki, kartoniki. Przeźrocza prężą się w równych szeregach, kasety na stojakach, trochę zabawek. Bagnety – każdy w pochwie, jakby stał na baczność.

– Przychodziłem do dziadka do pracy. Kiedyś kazał mi się schować w szafie, zostawił uchylone drzwi, kazał czekać i się nie odzywać. A tam po chwili przychodzi grupka nagich aktorek – przyszły na przymiarkę bielizny do jakiegoś przedstawienia. – Mimo że jest odnoszącym sukcesy biznesmenem i dobrym strzelcem – biega na strzelnicę z kałasznikowem, którego trzyma „na górze" – w tej chwili znów jest chłopcem podglądającym „gołe baby".

– Taki dziadek to prawdziwy skarb – odpowiadam z uśmiechem.

– Tak, fajny gość był z niego.

Wszystko ma też swoje etui z odciśniętymi inicjałami zmarłego. Lupa, wizytownik, lornetka, notes, nawet nożyczki, jest też ręcznie uszyte pudełeczko na jednogroszówki z lat czterdziestych, etui na młotek i nożyczki, etui na pół litra, etui na etui. Kilka portfeli lub małych torebek.

– Dziadek nie lubił, jak coś się niszczyło. Chciał wszystko zachować i ochronić. To, co tu przywiozłem, to tylko najciekawsze rzeczy – przynajmniej tak mi się wydawało. Nie wiem, co zrobić z resztą. Zawsze myślałem, że dziadek jest biedny,

żył skromnie, chociaż lubił kupić sobie pamiątki znad morza albo pójść na dobry obiad. Jak brałem ślub, kupił mi w prezencie ten dom. Nie chcę wyrzucać jego skarbów.

Z papierów – zgromadzonych już w kolejnym pomieszczeniu książek, pocztówek, dokumentów – wybieramy tylko kilka katalogów mody męskiej i biografię Adolfa Hitlera z 1942 roku.

Wypełniliśmy kilka toreb. Mógłbym je wynosić przez piwniczne okienko, które wychodzi prosto na nasz bagażnik, ale torba nie przeciśnie się przez kraty. Noszę je więc naokoło domu. Deszcz nadal leje, przydałoby mi się etui, ale mam tylko koszulę, która momentalnie przecieka. W butach zaczyna mi chlupotać w połowie pierwszego okrążenia domu, a kursów jest kilka. Wsiadam w końcu przemoczony do auta. Ruszamy i widzę we wstecznym lusterku oddalające się światła tego domu.

– Taki dziadek to prawdziwy skarb – powtarzam. – Kupił dla wnuczka fajne etui na życie.

Każdy chciałby zostać antykwariuszem. Wyznania antykwariusza 004

Każdy chciałby zostać antykwariuszem. A jeżeli nie każdy, to wielu. „Chciałbym zostać antykwariuszem". Słyszałem to zdanie tysiące razy. Odmieniane na tysiąc sposobów: „Kiedyś też poprowadzę antykwariat", „Co sądzisz o otwarciu antykwariatu?", „Zawsze marzyłam o pracy w antykwariacie", „Gdy przejdę na emeryturę, to zatrudnię się u pana", „Moja babcia też ma tyle książek, że gdy umrze, otworzę taki sklep".

Tak samo Marian. Zadzwonił kiedyś z piwnicy na Ołbinie.

– Robimy porządki – zaczął podchmielonym głosem – i mamy tu kilka toreb książek.

Powiedziałem mu, żeby nie przyjeżdżał, że książki to już nie to, co kiedyś, ale nie dał za wygraną i kilka dni później pojawił się całkiem trzeźwy. Książki, które przywiózł, nie były nawet takie straszne, udało się kilka wybrać, a wraz z nimi sprzedał mi swoją historię:

– Siedziałem pół roku w więzieniu za zabójstwo brata, ale potem się okazało, że byłem za bardzo pijany, żebym go zabił, a sekcja zwłok wykazała zawał. Więc nie wiedzieli, co ze mną zrobić, i dali mi trzy miesiące za nieudzielenie pomocy, ale ja przecież spałem w drugim pokoju, ale co za różnica, bo przecież i tak odsiedziałem podwójny wyrok. A potem wpadłem do Odry. Nie miałem jak wyjść, bo tam było kamienne nadbrzeże, odwróciłem się więc na plecy i dryfowałem na wodzie, myślałem, że już po mnie, ale przypłynął – nie wiem, skąd się tam wziął, bo chwilę temu go nie było – taki stateczek wycieczkowy i mnie wyłowili. – Pogładził brylantynę na włosach. – Poszedłem potem do tego kapitana z whisky, ale nie chciał wziąć, powiedział, że takie jest prawo, że jak ktoś się topi, to muszą wyławiać… Zbierałem kiedyś znaczki i monety – może też bym otworzył taki antykwariat… Dobrze można na tym zarobić?

– A zna się pan na tym? – odpowiedziałem.

– Nie, ja się od czterdziestu lat zajmuje wykończeniówką, a najlepiej kafle kładę. Teraz są różne nowe sposoby, różne kleje, ale ja to wszystko znam, bo cały czas robię. Wcześniej w Niemczech dwanaście lat byłem, a teraz tu. To znaczy do czasu, jak mnie do tego więzienia wsadzili… Jak są jakieś nowości, to ja wszystko wiem, oglądam na YouTubie. – Pokazuje telefon.

– To może lepiej, jak się pan zajmie kładzeniem kafelków? Praca dla fachowca zawsze się znajdzie. Tylko do klientów, to wie pan…

– Wiem, dopiero po robocie można.

Przychodzi po jakimś czasie i mówi:

– Wie pan co? Mnie się najpierw nie spodobało to, co pan powiedział, że niby chce się pan konkurencji pozbyć, ale później zrozumiałem, że dobrze mi pan poradził. Będę robił to, na czym się znam. Ten kapitan też robił to, na czym się zna, i dlatego mnie wyłowił i żyję. A mój brat – skończył samochodówkę, ale nic nie robił i nie żyje. Zrobiłem już pierwsze zlecenie, nic nie piłem, a klientka taka zadowolona, że czysto i że szybko, nawet premię dostałem. Będę robił to, na czym się znam – akcentuje.

Ostatni pociąg. Wyznania antykwariusza 005

Ostatni pociąg odjechał z tej stacji lata temu. Dom tuż obok z tej samej czerwonej, porządnie wypalonej cegły. Ogródek z wyschniętymi liliami, przykrytymi warstwą kurzu – już przekwitły, ale jeszcze nie opadły. Podróżni w drodze z miasteczka po wspięciu się na górkę musieli zatrzymywać się przy tym ogródku. Podziwiali może rozkwitające właśnie kwiaty lub kalarepy giganty. Skrzypiąca furtka z odpadającą płatami farbą. Dziury w płocie pozakrywane jakimiś dyktami i plastikiem – pewnie żeby pies nie uciekał, domykam więc porządnie.

Jej ojciec i matka, i ona sama też spędzili życie na tym dworcu. Typowy śląski dworzec. Z podjazdem, klombem i rozłożystą lipą. Ona przeszła na pomostówkę, gdy zamykali linię. W szafach, a jakże: mundury i lampy kolejowe. Komplet rozkładów jazdy. Gwizdek. Lizak. Etui na okulary. Cynowa papierośnica. Raportówka. Książka: *Jak samodzielnie zbudować łódź motorową*.

– To po ojcu. Czytał ją namiętnie i mówił, że kiedyś zabierze się za budowę. Gromadził drewno i części na silnik czy na coś.

– A tu jest jezioro? – pytam, bo już błyska mi nadzieja przekąpania się i zmycia z siebie tego parnego dnia.

– Nie ma, ale ojcu to nie przeszkadzało… Bierze pan te rozkłady jazdy? Bardzo dobrze, bałam się je spalić, bo dla ojca rozkład jazdy był jak Biblia dla kalwinów. Znał go na pamięć, ale nie tylko naszą stację, tylko wszystkie, aż do miejsca przeznaczenia. Gdy przychodziła aktualizacja, potrafił nie spać całą noc, aż się nauczył. To było życie jak ze szkolnej czytanki, regulowane expresem do Katowic, po którym można było zjeść obiad i nawet zdrzemnąć się pół godzinki, zanim trzeba było się zbierać na region z Gliwic. Tylko matka miała dyżur w kasie od szóstej do czternastej, więc potem gotowała, a po drzemce miała już wolne popołudnie i wieczór. Szła czasem wzdłuż torów, wracała potem z bukietami kwiatów polnych, a jesienią z gruszkami, bo tam przy torach jest zdziczały sad. Ja też chodzę, całe dziesięciolecia nikt go nie uprawia, a gruszki wciąż się rodzą, choć nie takie duże jak te sklepowe. W zeszłym roku narobiłam ponad sto słoików, a potem pomyślałam: głupia, kto to zje?

Z pozostałych książek – nie pomyliłem się, jest trochę ogrodnictwa z lat siedemdziesiątych. Dużo romansów. Zagadki matematyczne. Kucharskie. Nie bardzo jest z czego wybierać.

– W czasie wojny stąd odchodziły transporty więźniów. Jeszcze do teraz, spod tynku wyłażą stare napisy, a tam, z drugiej strony są ślady po kulach – pewnie ktoś próbował uciec w ostatniej chwili. Podobno jeden nawet uciekł i ukrywał się w jednym z domów.

– To może coś z porcelany? Takie białe kantynówki, ciężkie zastawy ze swastykami na spodzie?

– Było tego pełno, ale już się wytłukły. Może chcą państwo walizkę, ma już ponad pięćdziesiąt lat, albo i więcej – bo kupiłam używaną? Może być nawet z czasów wojny, ojciec mówił, że ci z transportów – one szły głównie na Oświęcim – mieli takie same walizki. Przysięgałam sobie, że wyjadę stąd pierwszym pociągiem – jakie to było naiwne, chciałam uciec pociągiem, choć wiedziałam, że ojciec kierował pociągami. Przychodziły tu chłopaki z miasteczka, niby rodzice ich wysyłali sprawdzić rozkład, ale ja wiedziałam, że to do mnie. Ojciec też, bo ich gonił. Zwłaszcza jak taki jeden, miałam z nim jechać – na imię miał Jędrek, pojechał sam i wrócił zaraz następnego dnia, ale już do kostnicy. Wpadł pod samochód tuż po wyjściu ze stacji. To po tym walizkę ojciec zamknął mi w komórce.

Jest jeszcze półka nad jej łóżkiem. Zbita chyba z palety. Maroko, Panama, modlitewnik. Program tv.

Lipcowe słońce nadal praży. Przejeżdżamy przez miasteczko. Też jakby wymarłe, straszą rozwalające się domy i witryny sklepów z wyblakłymi napisami na papierze pakowym: „sprzedam". Ostatni pociąg zabrał tych, którzy zdążyli, ale nie wiadomo, dokąd pojechał i czy odmienił się ich los.

Wizyta u klienta – w sprawie skupu książek. Wyznania antykwariusza 006

– Zrobię herbatę. – Protestujemy, ale nie słucha. – Ludzie nie umieją teraz parzyć herbaty. Kto to słyszał, żeby herbata była „ekspresowa". Orient Express, to co innego, ale to nie był żaden express, dwa dni się jechało, a on przecież pędził jeszcze dalej do Konstantynopola. Herbatę zaś trzeba parzyć i pić powoli.

Po czym z PRL-owskiej puszki od yunnan wyciąga torebki herbaty ekspresowej i szkolnymi nożyczkami rozcina je nad porcelanowym imbrykiem, wsypując do środka zawartość. Na gazie ma miedziany czajnik – nie wypada mi się za bardzo interesować i szukać stempli, ale z daleka wygląda na XIX wiek. Kobieta zauważa jednak mój wzrok i sama mówi:

– Należał kiedyś do pułku huzarów, mój tatuś tak mówił, a ja go odziedziczyłam. U nas w domu herbatę piło się litrami, więc to był jedyny odpowiedni gabaryt i tak się przyzwyczaiłam.

Siadamy na rattanowych krzesłach przykrytych poduszkami z włóczki. Na stoliku również króluje ręcznie zrobiony obrus i takież serwetki. Oprócz herbaty na stole ląduje też szarlotka – już nie protestuję, widzę, że tak czy tak – prędko nie wyjdziemy.

– O czym to ja mówiłam? A, o Orient Expressie. – Podchodzi do regału i wyjmuje album na zdjęcia. Rozkłada i pokazuje: – O, tu, to ja w Orient Expressie.

– A to? – Pokazuję na zdjęcie obok.

– To też ja, z Mickiem Jaggerem, bo ja byłam taka rockandrollowa panienka – miałam okazję, to pomyślałam: najwyżej mnie przeklnie, ale on nie – był bardzo szarmancki. Ale naprawdę, tak naprawdę z całego serca, to kochałam Lennona. – Obraca kartonową stronę albumu, a tam rzeczywiście – całostronicowa, duża fotografia z Johnem Lennonem. „Rockandrollowa panienka" czuje, jakie zrobiła wrażenie, zapewne to robiło „od zawsze" wrażenie, na wszystkich oglądających ten album. Tak samo i nam – pewnie siedzieliśmy z niezbyt elegancko otwartymi buziami. – A tu z de Gaulle'm. – Pokazuje na kolejne ujęcie.

Na usta ciśnie mi się pytanie: kim jest ta kobieta, ale w historiach, które towarzyszą tym zdjęciom, zręcznie omija ten temat – wyjawia tyle, ile trzeba, żeby dotrzeć do puenty każdego spotkania, ale zatrzymuje się, omija temat, gdy zbliżamy się do ujawnienia tajemnicy, kim ona właściwie jest i w jakich okolicznościach powstały te wszystkie zdjęcia – a jest tam jeszcze całkiem sporo osobistości świata drugiej połowy XX wieku, zdarzają się politycy, przeważają osoby kultury, pisarze i artyści – Salwador Dali już tak nie dziwi, wydaje się nam logiczną kontynuacją albumu.

– Brakuje tylko Picassa – nigdy go nie poznałam – zauważa gospodyni. A potem dodaje: – Bo ja jestem, proszę szanownych państwa, takim polskim Forrestem Gumpem – tę książkę też mam na półce, ale nie będę więcej czytać, mogę państwu sprzedać.

Potem przeglądamy książki, przeważa literatura i biografie. Na koniec wizyty pyta, czy może sobie z nami zrobić zdjęcie.

– Nigdy nie wiadomo – dodaje.

– Nigdy nie wiadomo – przytakujemy.

Preppers. Wyznania antykwariusza 007

Mieliśmy kiedyś klienta – preppersa, choć nie wiem, czy wtedy to słowo było już w użyciu. Taki – w średnim wieku, krótko ostrzyżony, zawsze w ciuchach z demobilu i z plecakiem.

– Wyciskam trzysta pompek w… ileś tam minut – pochwalił mi się kiedyś. – A pan? – dodał, krytycznie obrzucając mnie spojrzeniem.

Kupował książki z różnych dziedzin – w drodze do samowystarczalności i odbudowy świata po apokalipsie – choć on twierdził, że przygotowuje się na każde ryzyko, samo słowo „apokalipsa" raczej go drażniło. A więc oprócz podręczników surwiwalu i strzelectwa brał medycynę i ziołolecznictwo, ale i rozmaite książki o rzemiośle, gotowaniu i konserwowaniu żywności, podręczniki techniczne z zakresu konstrukcji budowlanych, podstaw elektroniki i alternatywnych źródeł energii. Książki ogrodnicze i o hodowli zwierząt. Zawsze płacił gotówką, unikając wzroku wielkiego brata.

Zniknął przed słynnym 21 grudnia 2012 roku – myśleliśmy, że drąży bunkier w skale, a przynajmniej trwale przeniósł się na swoją działkę, o której nieraz wspo-

minał. Odnalazł się jednak parę lat później – przyszedł w cywilnym ubraniu i ruszył prosto do działu z bajeczkami. Na jego palcu błyskała obrączka. Przewidział każde ryzyko – oprócz jednego.

Wystawa Ziem Odzyskanych. Wyznania antykwariusza 008

Przez telefon mówi mi, że jej kamienica idzie do rozbiórki. Miał być remont generalny, ale jednak pieniądze zdecydowały i na jej miejsce powstaną bloki. Zostało trochę pamiątek i księgozbiór.

Domofon nie działa, wchodzimy na piętro. Drzwi same się przed nami otwierają. Wypada z nich dziewczynka i zbiega po schodach, skacząc z trzech ostatnich stopni.

– Tylko wróć na obiad! – woła matka dziewczynki, wychylając się z mieszkania. Dopiero teraz nas zauważa i tłumaczy: – Potrafi przesiedzieć na podwórku cały dzień.

– Fajnie, jak jeszcze w latach dziewięćdziesiątych – odpowiadam. A kobieta kontynuuje:

– Kupiliśmy jej komputer, ale ma dostęp przez godzinę dziennie. Państwo pewnie do nas.

W przedpokoju witamy się z babcią dziewczynki – to z nią się umawialiśmy. Pokazuje nam księgozbiór. Szczelnie wypełniona ściana z książek, i to nie byle jaka, bo mająca z pięć metrów długości i wysoka na ponad trzy. Jest też trochę książek w bieliźniarce i w pokoju obok, na kilku półkach narożnej szafki. W obu pokojach stoi dużo kwiatów doniczkowych. Słońce prześwietla zasłony i uchylone drzwi balkonowe, przez które matka dziewczynki co jakiś czas zerka, komentując to czasem w stronę swojej matki:

– Znowu naje się mirabelek i nie będzie chciała obiadu.

W księgozbiorze wszystkiego po trochu, ale przeważa literatura – ostatnie sto lat. Wspinam się po stalowej drabinie, żeby dobrać się do najwyższych półek. Wybieramy trochę dobrej klasyki, kilka staroci – mają zachowane oryginalne okładki, sporą kupkę nowości wydawniczych z ostatnich lat. W pokoju obok też trochę świeżaków i literatura dziecięca – Szancer, Butenko, trochę różności.

Gdy kończymy, staruszka pyta:

– A pocztówki też państwa interesują?

Po czym wyciąga kilka plików. Przeglądam pierwszy z nich – Lwów, ona zaś zatrzymuje się przy kopercie kryjącej pocztówki z Wystawy Ziem Odzyskanych. Siada z nimi przy stole, przygląda się im, potem podnosi wzrok, jakby patrzyła na nas, ale naprawdę patrzy w przeszłość. Wraca do swojej młodości. Wreszcie mruga oczami i zaczyna mówić:

– Ta Wystawa to był taki nowy świat. Dla nas coś niesamowitego. Nie umiem nawet opowiedzieć – po zniszczeniach wojennych, po morzu wszędzie wciąż obecnego gruzu, po szarości w szkole i ludziach zamkniętych w biurach wychodziliśmy w te place jak w niedzielę. Była muzyka, restauracja, piliśmy soki. Można było się przejechać na karuzeli. Wokół sami odświętnie ubrani, uśmiechnięci ludzie. Przyjeżdżali turyści – z całego świata, tu, do naszego małego Wrocławia – to było niesamowite. Pewnie była i milicja, ale w ogóle się tam na nich nie zwracało uwagi…

Zajmowaliśmy się tym, czym młodzież powinna się zajmować – zabawą i flirtami. – Mimo że twarz ma już prawie białą, słychać, że się czerwieni na wspomnienie tych flirtów sprzed siedemdziesięciu lat. Przekłada pocztówkę, zamyśla się znów. – Tam można było uwierzyć w przyszłość, że przed nami jest jakaś przyszłość. Potem, pamiętam, przyjechał Picasso, a to już był najsłynniejszy malarz na świecie. To było wielkie wydarzenie, on wtedy komunizował, więc taka wizyta była możliwa. I znowu tłumy, radość z jednoczącego się po wojnie świata. Myśmy wtedy naprawdę wierzyli, że jeszcze może być dobrze… Teraz dzieciom każe się uczyć, to jest ważne, ale brakuje im takiej beztroski. Dzieciństwa. Wszystko mają, ale czują się beznadziejnie, „no future" – świat bez przyszłości – poprawia się. Myśmy wtedy nic nie mieli, ale na tej Wystawie, na tej Wystawie zyskaliśmy przyszłość. A przyszłość to jest bardzo ważna sprawa, jak się ma naście lat.

Zakochany. Wyznania antykwariusza 009

Zorientował się, że ostatnio często jestem w firmie – nie tylko w wyznaczone do skupu trzy dni.

Przychodzi więc prawie codziennie. Za pierwszym razem przyniósł grafiki erotyczne – balansujące na granicy pornografii.

– To po mojej byłej – wyznał. – Tak dekorowała naszą sypialnię.

Potem przynosił szkło i porcelanę, za każdym razem zaznaczając:

– To po mojej byłej.

Przyniósł nawet olbrzymi klucz z uchem w kształcie serca i grawerowanym ze wszystkich stron wyrazem: „love". Tym razem pochodzenie przedmiotu opisał innymi słowami:

– Kupiłem go kiedyś mojej byłej, nie był tani – zaznacza – choć wygląda, jakby był. Kiedy jej go wręczałem, powiedziałem, że to klucz do mojego serca… Najwyraźniej go zgubiła, bo wyciągnąłem go teraz zza łóżka.

Przyniósł również stertę romansów: Danielle Steel i Nora Roberts. Wrócił już do swojego:

– To po byłej.

Pojawił się też ze świecznikami.

– To, czego pan nie kupi, od razu wywalam na śmietnik, bo to po byłej.

Któregoś razu wyciągnął metalowe, radzieckie zabawki: dwa czołgi i działo oraz garść plastikowych żołnierzyków. Ze śmiechem powiedziałem:

– To pewnie też po pana byłej.

Odpowiedział:

– A żeby pan wiedział, a żeby pan wiedział.

Do wiosny! Wyznania antykwariusza 010

Krajobraz wypełniają szarości i brązy. Jeziorko albo staw obrośnięty zeschłą trzciną, wyżej późnojesienna łąka, w tle zaś lasek – o tej porze roku to puste pnie. Tylko dwie brzozy na skraju wyróżniają się swoją mocniejszą, czarno-białą plamą.

Poranna mgła jeszcze nie do końca opadła i zmiękcza całość. Przy drodze bruzdy ziemi zaoranej na zimę. Znam ten pejzaż z pamięci, z jakichś przeszłych pokoleń, z innej młodości niż ta, którą pędziłem w mieście, a może ze sztuki – zaraz wypadnie bażant i będzie jak u Chełmońskiego.

Droga toczy się dalej, Google Maps już dziesięć minut temu pokazywał: „jesteś u celu", ale prócz tych błotnistych małych jeziorek lub stawów i wyłaniającego się przydrożnego krzyża nic tu nie ma. Zaczynam myśleć, że zabłądziliśmy, może nie trzeba było zjeżdżać tak szybko z szosy albo przy pierwszym rozwidleniu pojechać w lewo, ale na kartce mam wyraźnie zapisane: „za mostkiem przy wierzbie skręcić w prawo w pola i na pierwszym rozwidleniu znowu w prawo".

Wreszcie jest – w powietrzu czuć dym, a za kępą drzew prześwituje dom. Długi parterowy barak z płaskim dachem, tylko na krótkim odcinku podniesiony o pół piętra – pewnie ministryszek. Nie ma żadnych innych zabudowań – wzrok szuka garażu, kurnika lub komórki, szopki na narzędzia, ale jest tylko ta sama co wszędzie, zaczynająca się tuż za progiem domu łąka.

Na nasze przywitanie z domu wychodzi starszy mężczyzna.

– Byłem górnikiem, kupiliśmy to za pieniądze z odprawy, jak zamykali kopalnie. Nie byłem tacy jak inni, że za kopalnię dałbym się posiekać. Szedłem do roboty, bo miałem rodzinę – żonę i córkę, ale jak się dowiedziałem, że nas redukują, przyjąłem to z ulgą. Tutaj mi się podobało, bo wokół jest tyle przestrzeni – można po tych polach ścigać się z wiatrem, a na Śląsku zawsze jest ciasno i na ziemi, i pod ziemią.

Dom to cztery pokoje i kuchnia w amfiladzie. Już w przedpokoju na meblach z lat dziewięćdziesiątych stoi kolorowe szkoło i później w każdym z kolejnych pokoi – Huta Tarnowiec, Barbara, Sudety, jest nawet Krakowski Instytut Szkła i Łysa Góra.

– Moja żona to kupowała – też dostała odprawę, chociaż pod ziemią nigdy nie była. Siedziała w kadrach. I jeszcze byliśmy na wycieczce – pokazuje siebie sprzed trzydziestu lat na zdjęciu wiszącym nad kanapą. Stoi z żoną na jakiejś rajskiej wyspie – w tle zielony gąszcz palm, a na rękach mają olbrzymia papugę i kilka małych papużek.

Szkła są bardzo zakurzone, ale poza tym w nienagannych stanach – widocznie kurz dobrze konserwuje – a skoro tak, to pewnie dożyję setki.

Nikt w tych wazonach kwiatów nie trzymał, może jeden czy dwa mają jakieś rysy, reszta trafiała prosto ze sklepu na te meble. Proponuje nam jeszcze gąsiory do wina – ma ich kilkanaście w ostatnim pokoju. Część jeszcze pełna. Obok na regale pełno butelek, które objaśnia nam ze znawstwem – te żółte, to brzoskwiniowe, czerwone to wiśnia i winogron, słomkowe biały winogron bułgarska odmiana i jabłkowe, ale różnią się jeszcze zawartością alkoholu i słodyczą – każdy z owoców występuje w różnych wersjach. Ma też swoje mieszanki – dereń, pigwa, jarzębina, głóg, gruszka; albo czarny bez, miód, mięta – ale to już nalewka. Zdejmuje równie zakurzoną co wazony butlę i pokazuje nam pod światło – wcześniej wydawała się całkiem czarna, teraz widać, że to czerń zbrudzona czerwienią i przypomina kolor dojrzałych czereśni. Czereśnie też ma – nalewka sprzed kilku lat. Trzyma je w małych dwustumililitrowych butelkach.

Oferuje nam jeszcze album rodzinny.

– Córka powiedziała, że mam zabrać tylko jedną walizkę. Wyprowadza się do Berlina. A to moja wnuczka. – Na zdjęciu stoi młoda kobieta, pracownica korporacji, której nazwę dziadek wymawia z lubością. Ubrana jest w żółtą marynarkę i fioletowe kozaki. Nosi olbrzymie okulary przeciwsłoneczne w zielonych oprawkach. Mężczyzna sięga po kolejny album – tym razem stary. Jego rodzice przyjechali na Śląsk z okolic Kamieńca Podolskiego.

– Może dlatego zawsze źle się czułem w kopalni? – Na czarno-białych zdjęciach dwór – dziadek był zarządcą. Wesele – goście siedzą wzdłuż stołów wystawionych w ogrodzie. Również w ogrodzie z mundurowym. Kilka zdjęć ikon, na jednym karabela i żupan. Lwów – wąsacz w cyklistówce i z kapucynką na ramieniu. – Dom i tak musiałbym sprzedać, bo tu będzie autostrada. – Poprawia się: – Obwodnica szybkiego ruchu. To już wolę być ze swoimi. Moi rodzice zostawili dom, bo się zmieniły granice. Dziadek też został zarządcą po tym, jak pradziadek musiał sprzedać dwór. Cały czas jedziemy na zachód, pewnie wnuczka wyląduje w Hiszpanii, a prawnuki już tam. – Wskazuje na zdjęcie nad kanapą, pełne palm i turkusowych lagun.

Jedziemy powolutku. Wprawdzie dobrze zabezpieczyliśmy szklaną kolekcję, ale strzeżonego… Słońce jest już w zenicie, ale o tej porze roku ledwie przebija się przez warstwę niskich chmur. Woda w kałużach ustępuje naszym oponom. Na horyzoncie znów te stawiki i wyschnięte łąki. Toczymy się jak przez step. A głęboko w piersi czuję zew – chwycić jedną z dwóch podarowanych nam butli, opróżnić ze słodkiego czerwonego nektaru – przywdziać żupan, dosiąść konia, dodać gazu i z jedną ręką na kierownicy, a z drugą zaciśniętą na karabeli pędzić przez horyzont, choćby to miało oznaczać uwolnienie z bagażnika setek kolorowych odłamków – barwnych motyli. Pędzić w stronę zachodzącego słońca. I pędzić tak do wiosny. Do wiosny!

Rekolekcjonista. Wyznania antykwariusza 011

Mieszkanie ma świeckie. W robotniczej kamienicy, na pierwszym piętrze. Odziedziczył je po matce i wypełnił książkami. Już w jego dzieciństwie mieli ich niemało, a potem dochodziły kolejne półki, opasując całe mieszkanie. W małym pokoju, tym, który kiedyś zajmował, powstała nawet „wyspa" z regałów pełnych książek. Wyświęcili go i poszedł na parafię w małym mieście, ale szybko wezwali go z powrotem i kazali dalej studiować. Miał do tego zacięcie. Potem studia w Rzymie. Umiał jednak nie zatracić się w swojej mądrości, pozostał blisko ludzi. Szybko zaczęli przyjeżdżać z innych parafii z całego miasta, żeby go posłuchać.

– A ja cały czas mówiłem im to samo: żeby byli dobrymi ludźmi. Nic więcej. Chrześcijanie, Muzułmanie, Żydzi, Hindusi, niewierzący – ważne, żeby byli dobrymi ludźmi. – Potem stał się rekolekcjonistą. Chętnie go zapraszali i dawali „co łaska" za głoszone słowa, nie nadążali potem ze spowiedziami – siedział z nimi w konfesjonale, czasem do dwudziestej drugiej.

Kupował sobie te książki, a resztę zarobków dawał na przytułek, czasem na szpital albo dom dziecka.

– Gdy się dowiedzieli, to zaczęli mi dawać jeszcze więcej. Gdy się chciałem pozbyć pieniędzy, to miałem ich coraz więcej i więcej. Kiedyś przyjechał starszy facet

i daje mi walizeczkę, mama jeszcze żyła. Ja pytam go: „Co to jest?". On, że ofiara. „Tyle pieniędzy?" – pytam. Mówię mu, że może sam wpłacić – bezpośrednio w hospicjum albo na konto. A on, że nie może, bo to z mafii. Tak powiedział, nic się nie krygował, tylko mówi, że mafijne pieniądze. Ja mu na to, że tak nie kupi spokoju sumienia, a on, że nie o sumienie chodzi, ale o życie po śmierci. Poprzepychaliśmy się tak jeszcze chwilę, aż otworzył tę walizeczkę i zaczął rzucać mi pieniędzmi w twarz – scena jak z filmu, stuzłotówki fruwały po całym pokoju, a na to wchodzi moja mama i mówi surowym tonem: „Nikt pana nie nauczył, że w gościach się nie śmieci?". Przez chwilę myślałem, że facet wyciągnie pistolet i mnie zastrzeli, a mamę tylko przeprosił i wyszedł. Dodał jeszcze: „To ofiara, na umierających". Co miałem zrobić? Pozbierałem to i zaniosłem na komisariat, ale to były dziwne czasy. Powiedzieli mi: „A jak księdzu ktoś powie, że ma pieniądze z ufo, to też mamy to badać?". Zaniosłem więc walizkę siostrom. Tam zawsze wszystkiego było za mało: rąk do pracy, lekarstw, bandaży, czasami nawet chleba. Zaniosłem te pieniądze, a było tego tyle, że można by za to kupić dom. A przeorysza na to: „Taki ksiądz dumny? To niech ksiądz słucha". A tam się po korytarzu niósł płacz i takie nieludzkie, ludzkie – prostuje – zawodzenie.

Przerywa na chwilę, a potem dodaje:

– To jest trochę taka spowiedź. – Uśmiecha się, znów milknie, poprawia okulary. – Wszyscy potrzebujemy drugiego człowieka, duchowni również. Jak u Marka Grechuty: „to będzie spowiedź, ale bez rozgrzeszenia". Świecka spowiedź duchownego. – Widzę, że bawi się tym zwrotem. Nie jest pisarzem, ale mówcą – zna siłę słów. Swoimi operuje perfekcyjnie. – Głosiłem słowo boże, a wieczorami cały czas się uczyłem – czytałem książki, chociaż studia już miałem dawno za sobą. A potem zobaczyłem, że jest we mnie coś niedobrego. Takie poczucie, wie pan, że ja jestem mądrzejszy, że umiem żyć, ale powiedz, że ty, k…, wiesz, jak żyć, matce, której dziecko sparaliżowało – słucham go z przyjemnością, choć wiem, że jest ze mną absolutnie szczery i nieszczery o tyle, że tę historię powtarzał, może we własnej głowie, już wiele razy. Nawet tę „k…" wsadził we właściwym momencie, zadźwięczała w ustach duchownego. Wygląda też trochę jak Chrystus – długi nos, zapadnięte policzki i długie, ciemne włosy – nieczęsta rzecz u księży.

Ciągnął dalej:

– I jeszcze zobaczyłem u siebie taką dumę, mój spowiednik w seminarium mówił o tym: „nadmierne przywiązanie", do tych książek. Tak więc chciałbym, żeby było tak, jak się umawialiśmy – zapłaci mi pan za to, co jest coś warte, ale zabierze wszystko. Zostawiam tylko Pismo Święte i brewiarz.

Bibliotekę ma zacną, choć głównie współczesną. Oprócz teologii i filozofii dobrą literaturę, ale i matematyka, fizyka. Ma nawet półki z medycyną. I tak wybrałbym jeżeli nie wszystko, to większość. Przypadkowych darów i zawieruszeń – jakich w każdej bibliotece pełno – musiał pozbywać się na bieżąco.

Jego wyznania robią na mnie wrażenie, nie dziwię się, że robiły również na gangsterskich bossach. Jest w tym szczery i autentyczny, choć ma to dokładnie przemyślane. Każde słowo w jego ustach jest jednocześnie i szczere, i przemyślane. Kieruje swoją spontanicznością. Ciężko jednak przejść wobec jego postawy

obojętnie – żyje tak, jak deklaruje, bez kompromisów. Bierze moje zafrasowanie za co innego i dodaje:

– Ja wiem, że pan robi bardzo dobrą robotę. To ważne, żeby ludzie czytali, a pan ma tam jeszcze tyle innych pięknych rzeczy, z którymi mogą na co dzień obcować. Jak pan nie ma pieniędzy, to niech pan to weźmie wszystko za darmo albo za symboliczną złotówkę – żeby nie prowokować pecha. – Puszcza do mnie oko, śmiejąc się z tego gadania o pechu, w którego nie wierzy.

W mieszkaniu po opróżnieniu z książek niewiele zostaje. Puste regały, łóżko pod oknem, biurko w byłym pokoju matki. Kilka krzeseł. Stół w kuchni. Krucyfiks nad drzwiami i drugi na biurku. Szafa i wieszak w przedpokoju.

Płacę mu plikiem setek, a on udaje, że powtarzamy scenę z mafią, o której mi opowiadał. Rozstajemy się w tym rozbawieniu.

Czasem wracam do tego spotkania. Patrzę na rzędy swoich książek i zastanawiam się, czy bym tak potrafił. Od lat ćwiczę się w nieprzywiązywaniu do przedmiotów, to cenna umiejętność w tym zawodzie, ale…

Przychodzi kilka miesięcy później. Włosy ma ścięte przy samej skórze, pozbył się i tego. Pyta zwyczajnie: „Co słychać?". Komplementuje antykwariat, wymieniamy zdawkowe uwagi, aż wreszcie mówi – domykając swoją spowiedź:

– Wie, pan, teraz jest jeszcze gorzej, bo czuję dumę, jaki jestem dobry – wszystko rozdałem i głoszę słowo boże jak Chrystus. A teraz już nie ma nic, żeby wymazać to fałszywe zadowolenie.

Kiedy ze starego dziennika przepisuję i redaguję te słowa – po latach od spotkania z księdzem, którego naprawdę polubiłem, myślę, że trzeba mu było powiedzieć, że to wszystko się nie liczy. Jest tylko droga, po której kroczy. On i każdy z nas, i nie ma żadnego znaczenia, czy czuje dumę, czy skruchę – jak jego mafiozo. Trzeba po prostu iść. To wszystko. Pewnie uznałby to za bluźnierstwo. Rozmawiałem z nim jeszcze wiele razy przez te lata – zawsze jednak już tylko w swojej głowie.

Ginie w wypadku samochodowym. Przewożą go z jednych rekolekcji na drugie. Udaje mu się wypiąć z pasów i próbuje się wydostać z auta. Ma poprzebijane narządy. Umiera w męczarniach. Prasa ekscytuje się tym jeszcze kilka dni.

ERNEST BRYLL

Póki dla nas światełko się pali

Póki dla nas światełko się pali
To nie lękaj się, czy jutro błyśnie
I tak kiedyś dłonią ze stali
Ktoś nam naszą świeczuszkę zaciśnie

Ale teraz w jej blasku cieplutkim
Widzę twoje oczy wpółuśpione
I iskierki w źrenicach cichutkie
I nad głową lampę jak koronę

I za oknem wiatr i dym z miasta
I że idzie ktoś – a stukanie
Po chodniku jest jak kropel padanie

Jeszcze świeci w naszym oknie gwiazda.



Andrzej Jerzy Lech, *New York,* 1993

ELŻBIETA WOJNAROWSKA

Ostatnia rozmowa z Ernestem Bryllem

Elżbieta Wojnarowska: Panie Erneście, czy człowiek rodzi się poetą, czy staje się poetą?

Ernest Bryll: Nie myślę o tym i nie myślałem. Właściwie nie bardzo mnie interesuje poezja – choć w czasach gimnazjum i liceum były takie koła pisania i nawet tym koledzy się ekscytowali. Zostałem kandydatem na nieszczęsnego wierszopisa z przypadku. Zdałem maturę jako szesnastolatek, wpadły mi do głowy studia dziennikarskie. Egzamin jakoś przeszedłem, ale na studia (UW) nie przyjęli z powodu braku miejsc. Tak wyszło, że zacząłem pracować w elektrowni w porcie gdyńskim. Zdarzyła się okazja dorabiania w brygadzie „reperującej" piece elektrowni, postrzelane w czasie wojny. Podfałszowałem dokumenty, postarzałem się o parę lat, aby pracować w tej brygadzie. Praca trochę przytruwała czadem. Więc picie mleka i odpoczynki. Tak, popijając mleko, zacząłem „ot tak" czytać książkę o poecie. I z tego zaczadzenia napisałem dwa wierszydła, wysłałem do Radia Gdańsk i stał się mój debiut. W następnym roku zdałem na polonistykę, no i byłem też członkiem Koła młodych pisarzy przy Związku Literatów Polskich w Warszawie. Ale nie chciałem wierszować. Tylko być krytykiem literaturoznawcą.

Przejdźmy jednak do początków.

Urodziłem się w Warszawie, w dość nobliwym miejscu, bo w Szpitalu Ujazdowskim. Tam było Centrum Wyszkolenia Sanitarnego Wojska Polskiego. Ale po akt urodzenia muszę apelować w Różanie nad Narwią, bo tam chrzczono (w byłym zaborze rosyjskim ksiądz spełniał również obowiązki urzędnika stanu cywilnego).

Kim byli Pana rodzice?

Mój ojciec pochodził ze starej rodziny kujawskiej (wokół Gopła), matka zaś urodzona była w Westfalii, bo tam pracował mój dziadek Soboszyński, który potem zakładał elektryczność na Pomorzy Wschodnim. Polacy, ale jak to pod zaborem – dobrze znający niemiecki. Matka – literacki (skończyła gimnazjum handlowe w Niemczech). Ojciec, zabrany na wojnę (miał siedemnaście lat) do pruskiej armii, znał odmianę niemieckiego – „gwarę frontową". Matka mojej matki, czyli Babcia – niezwykle ważna dla mnie – po polsku mówiła dialektem (powiślański, warmiński). Sama była ze spolszczonych tak zwanych Olędrów, którzy przybywali w XVIII wieku nad Wisłę i byli budowniczymi zalewów, młynów wodnych, aż po ujście Wisły. Ojciec, jak poszedł na pierwszą wojnę światową, tak potem był w powstaniu wielkopolskim (Drugi Pułk Grenadierów z Inowrocławia), potem pod Kijowem, na Zaberezyniu pod Warszawą (trzymali pozycje od Emowa nad Świdrem przez Wiązownę, potem znów w stronę północnej Białorusi). Potem służba w Szkole Podchorążych Piechoty Komorowo k. Ostrowi Mazowieckiej. Potem (w trzydziestym dziewiątym) przez różne bitwy, aż pod Kockiem u Klecberga, no i dalej konspiracja. W latach mojego studiowania i potem był urzędnikiem w magazynach CPLiA (sztuka ludowa). Ja sam nie mówię po niemiecku. Bo w czasach okupacji był ciągły strach, że odbiorą, zniemczą – była taka akcja niemczenia dzieci o „aryjskim wyglądzie". Szczególnie na terenach wcielonych do Rzeszy, my na szczęście byliśmy w Generalnej Guberni.

A skąd taka wczesna matura?

No właśnie w Generalnej Guberni były szkoły w języku polskim. Ale poza tym istniało tajne nauczanie. Mam świadectwa, ciekawe, że nie uczono nas niemieckiego. Formalnie – podstawowe zasady matematyki, pisania. Mocne niedouctwo. Ale ja byłem uczniem tajnego nauczania. Moja nauczycielka, pani Irena Wolf (zresztą wygnana z Pomorza do Generalnego Gubernatorstwa) uczyła naszą niewielką grupę. Są o tym jej relacje w archiwach (chyba bydgoskich, bo tam wróciła po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku). Właściwie byłem za mały, za zdradzenie tajnego nauczania były poważne represje po obóz koncentracyjny, ale byłem zagrożony wynarodowieniem i poza tym ponoć „dziecinnie serio" w takich sprawach. Więc też i drużyna zuchowa, czyli Zawiszacy (żyje jeszcze mój drużynowy). Bardzo wcześnie, choć półtajemnie przystąpiłem do komunii świętej (początek roku czterdziestego czwartego). Zresztą papiery moje w niemieckich urzędach pilnujących szkolnictwa w GG „zadziały się" (łapówka) i nosiłem imię Włodzimierz.

Ale w Kole Młodych pisał Pan wiersze?

Wiersze popisywałem dość opornie. Byłem, przynajmniej w roku pięćdziesiąt trzy/pięćdziesiąt cztery nauczany w Kole Młodych wedle zasad realizmu socjalistycznego. Nic mi nie wychodziło. Na szczęście. Miałem paru niezwykle zdolnych kolegów, co przez to nauczanie już nie rozwinęli się w latach późniejszych. Ale ważna była stołówka u Literatów. Mieliśmy tam prawo do taniutkich, skromnych obiadków. Ale mnie „się jadało" niezgorzej. Po prostu starsi koledzy pisarze lubili mi stawiać obiad – bo ponoć jadłem smacznie, wesoło się ze mną rozmawiało (myślę, że bywałem wstrząsająco naiwny) i nawet schorowanym apetyt wracał. A było to dla mnie ważne, bo na początku studiowałem, mieszkając „na waleta" w akademiku na Narutowicza i bez stypendium. A pieniądze zarobione przy reperacji pieców elektrowni portowej mocno się kończyły.

W Pana twórczości objawiły się piękne strofy o ojczyźnie, Pan uchodzi za piewcę i miłośnika kraju ojczystego.

Może opowiem, jak to z jednym tekstem było. Pamiętany jest z wykonania Marka Grechuty *Ta ziemia taka czysta*. Kiedy posłuchać dokładnie, jest tam „widzę to ja ślepy…". A to skąd i po co? Ano starsi w Krakowie może jeszcze pamiętają wielką awanturę o wystawienie sztuki *Kurdesz* w Teatrze Starym, koniec lat sześćdziesiątych. Była wielka dyskusja w prasie (bo plułem w Wisłę i kalałem gorzej niż Wolna Europa nasz kraj). A istota rzeczy: sztuka o takim zjeździe na polowaniu różnych ważnych, co są mocno inni, niż byli kiedyś – gdy młodzi i szlachetni. Gościem niespodziewanym jest potomek zesłanych Polaków i jego żona Baszkirka. On niewidomy, ona go oprowadza i mówi, jaką to Polskę widzi. A ta widziana Polska to zamęt, kombinacje, żeby nie nazwać tego brutalniej. Ale Baszkirka opowiada niewidomemu o „szklanych domach", tak jak on był na Sybirze w baśniach o Ojczyźnie chowany. Więc spektakl zdjęto. Dyrektor Hübner stracił teatr, ja paszport i szansę na stypendium w Ameryce (Uniwersytet of Iowa). Ale pieśń ocalała, bo monolog połączył się niespodziewanie z melodią i stał się dość popularny. Jest „piękny" trochę inaczej, bo nie ma tego brutalnego zestawienia rzeczywistości z marzeniem Niewidomego. Jest trochę sentymentalnie. Ale jednak i w tym pieśniarskim wykonaniu słuchacze czują gorycz utworu. Piewca to raczej ktoś, kto pisze na zamówienie i wedle zamówienia.

Mówi się, że poeta powinien być wyznacznikiem tego, co się dzieje w kraju, i Pan jest taką osobą, bo Pan wszystko notuje i pisze na bieżąco. Komentuje i wyprowadza swoje refleksje, które nas wszystkich dotyczą.

Jeśli poeta ma jakiś talent, to jest taką anteną odbiorczą. Ludzie dookoła mają jakieś problemy, ogień w nich buzuje i nadają. Jeżeli ktoś ma talent, to nie znaczy że on coś wymyśla, tylko że nagle odbiera to, co ludzie nadają, i przekształca w słowo. Jeżeli umie to zrobić, to do ludzi dochodzi to zwrotnie i ludzie mówią: „No tak, właśnie o to nam chodzi, o tym mówimy". Kiedy napisałem *Za czym kolejka ta stoi*, to ja tego nie wymyśliłem. Nawet dostałem pismo, że tego nie wydrukują, bo to było w siedemdziesiątym ósmym roku, ale ludzie to odebrali i z tym się identyfikowali, i to do mnie wróciło, ten ich odbiór. Prawdziwa poezja jest w tę i w tamtą stronę. Dobrze wiedzą o tym aktorzy. Prawdziwe przedstawienie jest wtedy, kiedy iskra przeskakuje wte i wewte, od aktorów do publiczności i z powrotem.

Okazuje się, że Pana poezja się nie starzeje, tematy, problemy, które Pan porusza, są aktualne i dzisiaj. A piosenki, musicale są śpiewane i grane do dzisiaj. To jest fenomen.

Był taki moment, w osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy powiedziałem sobie: no, Bryllu, jest wolność. Trochę na tym stracisz. Znikną wszystkie ciemne nuty z Twojej poezji, że jest głupota, bo teraz będzie wspaniale, teraz dopiero pokażemy światu, kim jesteśmy. Mamy przecież papieża i w ogóle im pokażemy na forum politycznym, religijnym, i nawet Amerykanie nas w tym wzmacniali. Pamiętam, jak dostałem paszport i poleciałem do Cleveland, bo zaproszono mnie na wykłady na uniwersytecie. Wylądowałem, hotel piękny był, ale pieniędzy nie miałem jeszcze, bo miały tam na mnie czekać. Podchodzi do mnie tragarz, taki od noszenia walizek, ja wiem, że będę musiał mu dać jakiś napiwek, więc mówię, że sobie sam poniosę, bo to nie jest ciężkie. A on do mnie: „Nie udawaj, ty jesteś z Polski, ale ja od ciebie pieniędzy nie chcę, ja będę te twoje walizki nosił i będzie to dla mnie honor". Ja pytam: ale jak to, dlaczego? A on na to: „Słuchaj, bo wyście wreszcie wymyślili coś genialnego, wiadomo, że jedni będą bogaci, drudzy będą biedniejsi, ale będziecie zawsze razem. To jest właśnie solidarność, będziecie jednym, skonsolidowanym, solidarnym społeczeństwem. Macie przecież papieża, który powiedział: «Jedni drugim brzemiona noście»". I tak niósł tę moją walizkę. A ja za nim, cały taki napompowany tą niebywałą dumą. I co? Teraz Cleveland omijałbym z daleka… Bo bym musiał za nim nie wiem co nosić, tak to się właśnie wszystko skończyło.

Pana wiersze są prawie gotowymi piosenkami, ma Pan dar pisania tak, że to gotowe frazy, zwrotki, refreny. Miała ten dar Osiecka, miał Młynarski, Przybora.

Ja właściwie nie piszę piosenek jako tekstu. Raz próbowałem napisać tekst, to mi potem mówili moi koledzy kompozytorzy: „Ty lepiej pisz wiersze, a my już w tych wierszach znajdziemy to, co ma się znaleźć w piosence". Czasami proszą mnie o jakąś małą zmianę, ale na ogół bardzo się starają, mówią, że jest to trudne, ale to już zadanie dla nich to zrobić, czasem coś dobiorą z innego wiersza. A jak już mam napisać coś do melodii, to mówią: „Jakie to niewiarygodnie głupie. Co ty za rzeczy piszesz?".

Ale Pan też ma śpiewność w swoich wierszach, mają już zakodowaną muzykę w sobie i łatwo ją kompozytorom odcyfrować.

Nie zawsze. Na przykład w *Na szkle malowane* napisałem coś idiotycznego: „Śmierci moja, śmierci, z najśmiertniejszych śmiertna…" i tak dalej (śmiech), i miał to śpiewać Czesiek Niemen. Ja mówię: Czesiek, ja cię bardzo przepraszam, ale tego się nie da zaśpiewać, ja ci to jakoś zmienię, bo polski jest bardzo trudny. A Czesiek, który był rewelacyjny, mówi: „Ja nie dam rady? Ja ci pokażę, że to się da zaśpiewać i będzie każde słowo słychać". I faktycznie zrobił to, i można posłuchać na płycie.

Pana wiersze bazują na pięknie języka. Dziś młodzi poeci mniej o to dbają, a nawet celowo nie dbają. To zupełnie innego rodzaju poezja.

Ale moje pierwsze wiersze to dopiero była hańba i wstyd (śmiech). Myślę, że młodzi piszą dziś dobrze. Problem jest inny i leży w języku. Siedziałem kiedyś w Krakowie z Tadkiem Nowakiem, poetą, i bawiliśmy się, wymieniając nazwy uprzęży końskiej, a równocześnie czym się różni luśnia od kłonicy. Dosiadł się do nas profesor Wyka, który mówi: „Widzę, że mówicie i wiecie, co to znaczy". A dziś wielu z nas nie wie,

co dany wyraz znaczy. Nastąpiło zubożenie dawnego języka, bo te rzeczy wychodzą z użycia. Odchodzi też taki zwyczaj na mówienie, co konkretnie się stało. Dzisiaj mówimy: „Otrzymałem wezwanie do urzędu". A dawniej mówiło się tak: „Kazali mi przyjść i jak wzięli mnie w te obcęgi pytań!". Dzisiaj język jest bardzo ogólny i okropnie biurokratyczny. Na przykład my dziś konsumujemy i „Które pieczywko pan woli?". Tymczasem my jemy, nie konsumujemy. Konsumpcja to jest coś bardzo ogólnego. Je się, ćpa, żre, smakuje. Nie ma też pieczywka. Jest chleb, bułka, kajzerka, rogal. A poza tym teraz jest moda na mówienie czegoś, co nic nie znaczy.

Na koniec – ma Pan jakieś inne pasje oprócz pisania?

Ale pisanie nie jest pasją. Pisanie jest chorobą, jest nieszczęściem. Bo jak coś mnie opanowuje, to ja piszę jakieś rzeczy, zamiast pójść do biblioteki i przeczytać to samo, co jednak było kiedyś o wiele lepiej napisane. Ale nie, bo my mamy takie chamstwo w sobie, że teraz jesteśmy my, artyści.

Więc co Pan lubi robić?

Lubię oglądać.



Krzysztof Saj, *Jezioro Garda*, Włochy, 2023

ANDRZEJ SAJ

Recytator

Pamięci Czesława Miłosza

W późnych latach siedemdziesiątych,
w paryskiej kawiarni
w tajemnicy przed wścibskimi służbami kraju
spotkał się znany wówczas więzień sumienia
z obłożonym anatemą emigracyjnym poetą

I kiedy z pamięci zaczął mu recytować
jego wiersze: jeden za drugim
w pliku wdzięczności…

Stary poeta wybuchnął płaczem
i długo trwał w swoim rozczuleniu
bo już był zwątpił czy jego poezja dociera
do dawno opuszczonej ojczyzny

A chciał w niej poetycko zamieszkać
– co stało się wiele lat później –
gdy wreszcie osiadł w starym Krakowie
gdzie nawet wróble ćwierkały
o jego triumfalnym powrocie
do zasłużonej chwały

Ponoć chodził wtedy na długie spacery
i przepraszał napotykane cienie
za swoją długowieczność

Gdy umarł w sierpniu 2004 roku
płakały po nim i te stada wróbli i gołębi
wyły przydrożne psiaki
a zające z mroźnego poezji pola
czmychały przed rozpędzonym pociągiem losu

A stary redaktor – recytator – swym rwanym głosem
nadal powtarza zapamiętane wersy
lecz niewielu go teraz słucha skupionych
na pląsach wolności i… hejtu rytmach



Adam Lizakowski, *Czesław Miłosz z żoną Carol*, Chicago,1992

CZESŁAW MIŁOSZ

Dar

Dzień taki szczęśliwy,
Mgła opadła wcześnie, pracowałem w ogrodzie.
Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło się złego zapomniałem.
Nie wstydziłem się myśleć, że byłem, kim jestem.
Nie czułem w ciele żadnego bólu.
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.



Adam Lizakowski, *Poeta w ogrodzie za swoim domem,* Berkeley, 1987

ADAM LIZAKOWSKI

Na 20. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

> Moje sądy o Ameryce są więc zabarwione nie tylko przez pamięć o wschodniej części Europy, także przez dziesięcioletni pobyt w Europie Zachodniej.
> *Widzenia nad Zatoką San Francisco*

Przyjazd Czesława Miłosz do Kalifornii

Po dziesięciu latach życia we Francji, w Europie, czekaniu na wizę amerykańską, szukaniu stałego sposobu zarobkowania, szczęściarz albo urodzony w czepku lub, jak mawiają Amerykanie, urodzony ze srebrną łyżeczką w zębach poeta Czesław Miłosz przybywa do długo wyczekiwanej Ameryki. Jest rok 1960, po wielu staraniach i rekomendacjach otrzymuje pracę na renomowanym Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, którego myślą przewodnią stanie się z czasem slogan: „Od pionierów akademickich w roku 1868 po Free Speech Movement w 1964 roku, Berkeley jest miejscem, w którym najmądrzejsze umysły z całego świata spotykają się, aby odkrywać, zadawać pytania i ulepszać świat". Taki slogan zobowiązuje i Amerykanie, to jest ludzie poważni, jeśli coś mówią, to i tak myślą. Poeta „prosto z nieba" przyleciał wraz z rodziną na początku października, bo w październiku rozpoczyna się rok akademicki. Przeżył prawie pół wieku i jego bagaż doświadczeń życiowych był ogromny. W głowie miał plany nauczania młodych Amerykanów literatury, kultury narodu, o którym oni nie mieli większego pojęcia (Polska, gdzie to jest? Chyba gdzieś blisko Rosji!), a poeta postanowił na nich eksperymentować/faszerować ich polską poezją, przede wszystkim jej przekładem na język angielski, bo znajomość języka polskiego była wśród nich żadna. Postanowił przeprowadzić ich przez bramę polskości i języka w szeroki literacki świat. Nie mając do swojej przyszłej pracy właściwie żadnych pomocy naukowych, poza własnymi skryptami czy notatkami, poeta emigrant będzie chciał opowiedzieć o bogactwie polskiej kultury (im nieznanej), umiejętnie wciągając ich w swoją sieć tłumacza. I nie było to dla niego ważne, że nie znali nawet języka polskiego (może to nawet i lepiej), bo z jego przekładów „rybek" polsko-amerykańskich oni robili „ryby" amerykańsko-amerykańskie. Praca nad przekładem stanie się pewną ucieczką przed samotnością, przede wszystkim terapią oraz receptą na rzeczywistość, w której poeta się znalazł. Rzeczywistość ta będzie jakimś specjalnym płynem, może nawet i substancją, w której zaczną powstawać poprzez fermentacje nowa słowa i przestrzenie wyobraźni, nowe życia/życie polskiej poezji.

Ameryka, Kalifornia, San Francisco Bay Area Miłosza sprzed pięćdziesięciu lat były o wiele ciekawsze niż te drugiej dekady XXI wieku. San Francisco i jego przedmieścia łącznie z Berkeley były dużo mniejsze, ale bardziej interesujące. Świat sztuki też był mniejszy (nie było internetu) i zbliżenie sztuki „niskiej" oraz „wysokiej", a także awangardy i campusów uniwersyteckich było łatwiejsze i łatwiej się to wszystko przenikało nawzajem, inspirowało do działania. Miejsce pracy Miłosza – campus uniwersytecki U.C. Berkeley – to kosmos, część czegoś wielkiego, czego jeszcze w Polsce nie ma i chyba tak szybko nie będzie. A szkoda. Przepięknie położony, został zbudowany na górzystym terenie i zaprojektowany przez francuskiego architekta Émile Bénarda, którego projekt otrzymał pierwsze miejsce na międzynarodowym konkursie w 1898 roku w Belgii. Głównym mecenasem uniwersytetu była niesamowita kobieta – Phoebe Elizabeth Apperson Hearst, filantropka, feministka i sufrażystka. Uczelnia to miejsce, gdzie spotykając się ci, którzy mają coś do powiedzenia, najwięcej w swoich dziedzinach, nie zawsze są to profesorzy czy ludzie związani ze światem akademickim. Pani Phoebe, kobieta z wizją, uczyniła z tego skrawka ziemi ponadczasowy skrawek kultury. Głównymi miejscami uczelni były: Hearst Memorial Gymnasium i Wurster Hall, The Faculty Club, Hearst Mining Building oraz The Ark (Northgate Hall). Budynki rozplanowane zostały wśród pięknej przyrody stanowiącej część wspaniałego parku Tilden Regional.

Miłosz przechodząc przez campus w drodze do pracy przez dwadzieścia lat, mijał sekwoje, rododendrony, miłorzęby, wiśnie, eukaliptusy, śliwy, czerwone buki, sosny żółte (Pinus ponderosa), wśród których „rządziły wszędobylskie wiewiórki", także wiele gatunków ptaków. Najpiękniejszy i najmniejszy z nich – koliber – był wielkości dużego trzmiela, a największym ptakiem była rybitwa, często zaglądająca do campusowych śmietników, wyjadająca porzucone frytki, dzieląca swym wielkim dziobem na kawałki niedojedzone hamburgery. Miłosz, wychowany wśród drzew północy, chodząc szpalerami lip lub dębów czuł się dobrze w miejscu, w którym królowała kolorowa i soczysta przyroda śródziemnomorska. Jego dom w Berkeley, chociaż położony na stronnym wzgórzu, był bardzo podobny do tego z dzieciństwa, ale znajdował się pośród drzew, właściwie można powiedzieć – w parku lub nawet lesie. W Kalifornii, podobnie jak w okresie dzieciństwa, poeta będzie się budził wśród ptasich śpiewów, oddychał powietrzem nasiąkniętym zapachem kwitnących traw, krzewów i kwiatów. Jedyne, co różniło Litwę wspomnień od teraźniejszości kalifornijskiej, to ukształtowanie terenu, topografia: płaska Litwa i górzysta Kalifornia, która była płaska jedynie na plażach wzdłuż oceanu.

Przeszłość będzie przeplatać się z teraźniejszością, podobnie jak miejsca oddalone o tysiące kilometrów, przyroda, ale nie ta sama, ożywiać będzie pamięć, karmić ją wspomnieniami. Przyroda mocno odciśnięta w świadomości nigdy nie opuści wyobraźni poety, który będzie ją opisywał w swoich książkach i wierszach kalifornijskich. Natura piękna i łagodna, okrutna i surowa jej intensywność, fascynacja nią będzie towarzyszyć mu na amerykańskiej ziemi. Jednak ta sielskość uniwersytecka zostanie zmącona kosmicznymi żywiołami niosącymi z sobą problemy

stare i nowe. Starymi będzie walka czarnych obywateli o swoje prawa, a nowymi wojna w Wietnamie.

Ameryka nie jest mu obca

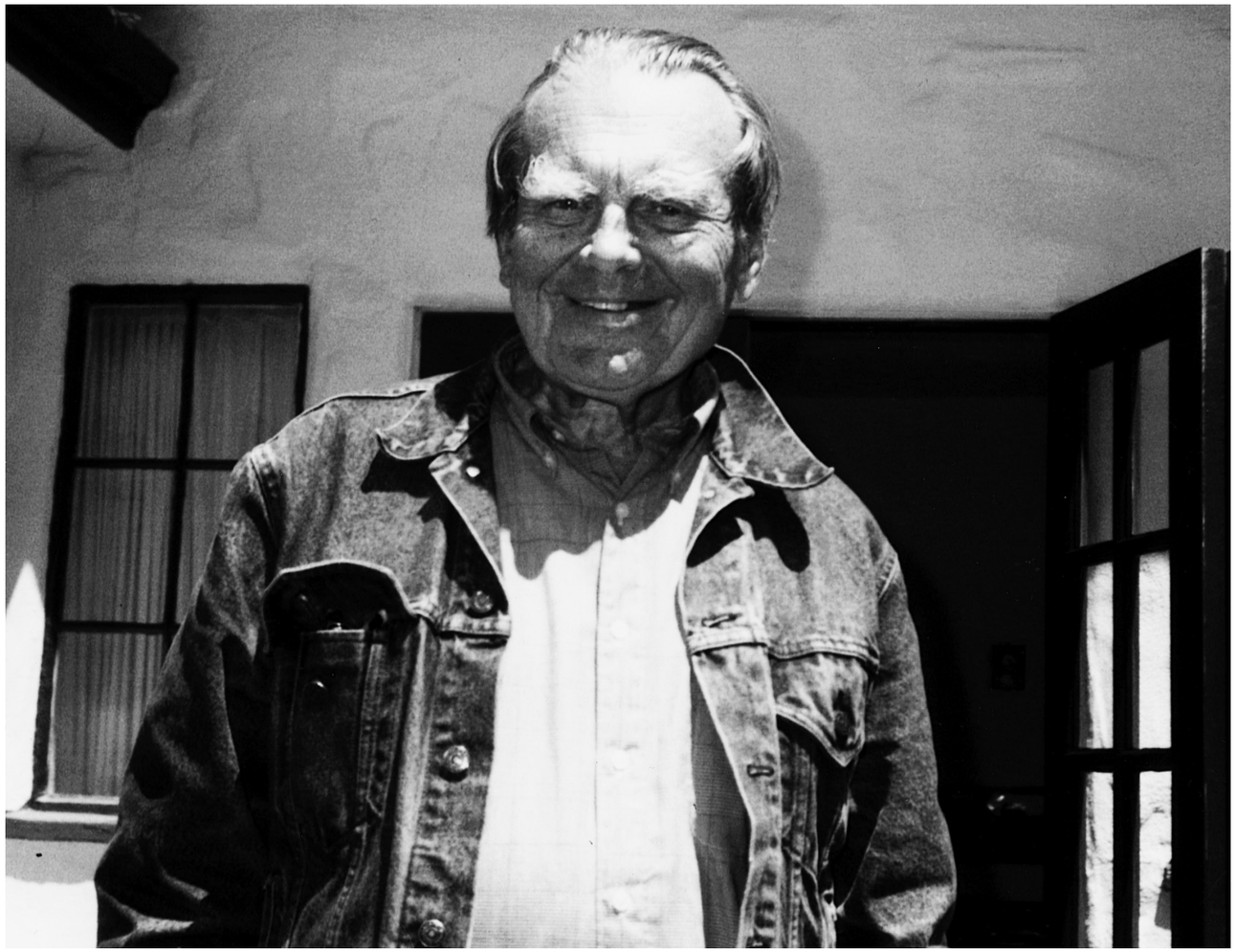
Czy można poznać Amerykę, czy można ją zrozumieć? Odpowiedź jest krótka: nie. Emigrant nie jest w stanie poznać i zrozumieć Ameryki. Poeta „poznał ją" jako chłopiec od strony jej natury, czytając książki przygodowe dla młodzieży, które utkwiły mu w pamięci. Książki, powieści, opowiadania o Ameryce z pogranicza refleksji naturalisty i osobistego wyznania, pisane dla młodzieży, były nie tylko dla Miłosza, ale dla wielu innych czytelników w dalekiej Europie prawdziwymi kamieniami milowymi na drodze do marzeń o tym wielkim kraju. Kraj ten zobaczył osobiście tuż po wojnie – gdy cała Europa, Polska leżały w gruzach – jako pracownik polskiej ambasady, ale była to Ameryka widziana oczami dyplomaty i urzędnika. Nie bez trudów jako dyplomata wyjechał z Polski, w której dokonywały się przeogromne zmiany, awanse i rewolucja kadrowa, wymiana starych elit na nowych stanowiskach, wyszukiwanie ludzi do zarządzania, ale ideologicznie poprawnych. W miastach zakłady pracy i ocalałe z pożogi wojennej majątki, domy, dwory, często zamieszkiwane od kilku pokoleń, na mocy nowych ustaw własnościowych zostają znacjonalizowane. Na wsi za pomocą reformy rolnej państwo przejmuje majątki, własność ziemską. Dzieją się rzeczy straszne i nowa władza narzuca wszystkim obywatelom, partiom, stronnictwom swoje warunki. Pisarze, poeci, literaci muszą poddać się dyktatowi socrealizmu, państwo staje się jedynym pracodawcą i to ono decyduje, kogo i co się publikuje. Dla wielu pisarzy rodzi się dylemat, czy poddać się komunistycznej ideologii, czy pisać do szuflady. Poeta patrzy na te wszystkie przemiany, chodząc coraz bardziej nerwowo po Nowym Jorku czy Waszyngtonie, żyje czymś zupełnie innym, jest na innej planecie; dla niego liczy się przede wszystkim kultura polska, bardziej żyje nią w Ameryce niż żyłby w Krakowie czy Warszawie. Mocno angażuje się w sprawy dotyczące kultury polskiej w Ameryce, ślady tego zaangażowania znajdziemy w jego prywatnej korespondencji. Pętla wokół kultury, swobodnego życia literackiego w Polsce coraz bardziej się zaciska. Miłosz w Stanach dużo pisze, przekłada wiersze z języków obcych, ale ma coraz mniejsze możliwości publikacji swej twórczości we własnym kraju. W Waszyngtonie powstaje *Traktat moralny*, który ukazuje się w miesięczniku „Twórczość" w roku 1948, tuż przed oficjalnym ogłoszeniem w Polsce socrealizmu. W Ameryce sprawy kultury pochłaniają go tak bardzo, że nawet życie polityczne tego kraju schodzi na plan dalszy. Mimo to z gazet „New York Times" czy „Washington Post" wyczytuje wiadomości, czym żyje Ameryka. A ta po II wojnie światowej stała się najważniejszym państwem z bloku państw zachodnich przeciwstawiających się ZSRR. Dawne potępi europejskie, czyli Anglia i Francja, potrzebowały pomocy finansowej potęgi gospodarczej zza oceanu, USA udzieliły jej także tym, którzy kilka lat wcześniej walczyli przeciwko Ameryce, Włochom i Zachodnim Niemcom. W dalekiej Azji na Filipinach Amerykanie wciąż muszą pilnować swoich interesów, a w Korei walczyć z siłami ludowymi, które podobnie jak Chiny chcą komunizmu. Ameryka tętni życiem, polityką zagraniczną,

także europejską. W Europie, poza Wschodnią, bo ją już oddano Rosjanom, dzieją się niepokojące rzeczy, komuniści są w ataku we Włoszech, Grecji, nawet w małej Albanii, ale poeta za drzwiami placówki dyplomatycznej planuje kulturalny podbój Ameryki. Planuje ponad siły jednego człowieka promować polskość w kraju, w którym większość nawet nie wie, gdzie szukać Polski na mapie świata. Poeta „działa" na wielu płaszczyznach, poza oficjalnym dyplomatycznym działaniem są jeszcze inne „drzwi do salonów", do podboju Ameryki, będą spotkania z pisarzami, wieczory, odczyty, konferencje, bankiety, debaty, gdzie poeta z racji swoich obowiązków musiał bywać służbowo, ale już prywatnie „werbował" zwolenników sprawy polskiej kultury. Okres dyplomatyczny życia poety w Ameryce to była bardzo wysoka cena, jaką musiał zapłacić za „rozpoznanie terenu Ameryka", ale to był czas bardzo dynamiczny i owocny: Miłosz dużo podróżował od Nowego Jorku po Kalifornię, od San Francisco do Bostonu, wszędzie gdzie tylko na plan pierwszy wysuwała się polska kultura. To „rozpoznanie" przyda mu się później, gdy zostanie profesorem w Kalifornii. Jego praca i zaangażowanie na rzecz kultury polskiej spodobało się Amerykanom i rządowi w Polsce, budowanie fundamentów pod polską literaturę i szeroko pojętą kulturę, ale nie podobało się Polakom w Ameryce, emigrantom, którzy w działalności poety widzieli agitację, propagandę komunistyczną.

Kalifornia wyciąga dłoń

Po raz trzeci Ameryka podała dłoń poecie, gdy uśmiechnął się do niego los, który rzucił go do Kalifornii, gdzie przyjedzie, a raczej przyleci samolotem z gotowym już światopoglądem, własną koncepcją filozoficzną. Kalifornia stanie się poematem, pretekstem do rozważań nad tą częścią Europy, w której poeta się urodził i wychował. Zachód Ameryki stanie się odskocznią służącą do rozważania nad sprawami niemającymi wiele wspólnego z Ameryką, ale z Europą Wschodnią i Zachodnią. W licznych wierszach i esejach, artykułach i książkach poeta wymyśli/stworzy swoją własną przestrzeń literacką, w której zacznie budować analogie między swoją wizją Ameryki, jak ją czuje, widzi, rozumie i nie rozumie, a przeszłością pozostawioną z drugiej strony oceanu. Napisze wiersz, w którym stwierdzi: „Nie wybierałem Kalifornii. Była mi dana. Skąd mieszkańcowi północy do sprażonej pustki?". Tak, była mu dana, ale czuł się w niej obco. Aby nie czuć się obco, stworzył na własny użytek alfabet nazwisk filozofów, myślicieli, teoretyków, krytyków, pisarzy, poetów, polityków, którzy mieli na niego wpływ bądź tych, którzy mieli podobny punkt widzenia i rozumienia świata do jego własnego. Gdy się bliżej przyjrzymy jego twórczości na przykładzie tylko jednej książki *Ogród nauk*, to zauważymy, że poeta na jej dwustu pięćdziesięciu stronach powołuje się na około czterysta nazwisk ludzi żyjących w tak odległych od siebie czasach, począwszy od Biblii poprzez literaturę francuską, amerykańska, angielską, polską, niemiecką oraz rosyjską, a skończywszy na rówieśnikach pisarza. Ogrom wiedzy, wielkie powinowactwa wiążące autora z niektórymi twórcami, a także różnice pomiędzy nim a nimi czynią z Miłosza giganta umysłowego naszych czasów. Paradoksalnie ta olbrzymia przestrzeń, na której poeta funkcjonuje, nie tylko intelektualna, ale i literacka, oddziela go od rodaków – dla nich tworzy, bo

pisze po polsku. Z wielką irytacją i dozą sarkazmu poeta zauważa, że Amerykanie polskiego pochodzenia, polscy emigranci, ogólnie mówiąc: polskość w Ameryce znajduje się na bardzo niskim poziomie, bo pozbawiona jest życia umysłowego. Nie było to nowe odkrycie, on o tym przekonał się już wówczas, gdy był w Ameryce zaraz po wojnie. W drugiej połowie XX wieku Miłosz dla rodaków w Ameryce będzie uchodził za poetę trudnego, którego lektura wymaga od czytelnika dużych „zasobów intelektualnych", albo za poetę dla „wtajemniczonych", dlatego jego sukces jako poety czy prozaika będzie niewielki. Jego traktowanie poezji jako „produktu doświadczenia wewnętrznego", jako narzędzia do przekazu pewnych idei spotka się ze zrozumieniem w wąskim gronie elitarnej publiczności.



Adam Lizakowski, *Poeta w innej części swojego ogrodu,* Berkeley, 1987

Drugim powodem irytacji jest sama Ameryka, nie tylko wystąpienia młodych na uniwersyteckim campusie w Berkeley przeciwko wszystkim i wszystkiemu, ale ogrom i bezduszność wobec jednostki; będzie Amerykę atakował, krytykował, kpił z jej „złotego cielca", a także „pomniejszał" znaczenie tych amerykańskich poetów, którzy zaangażują się przeciwko wojnie w Wietnamie. Przerażać będzie go wielkość kraju i nędza duchowa Amerykanów, ogromna pustką, w której żyją. W Kalifornii nie będzie już płatnym pracownikiem Domu Kultury Polska w tym znaczeniu, jakim był, gdy pracował w dyplomacji, poświęcając cały swój wolny czas na „załatwianie spraw ważnych dla Polski". W Kalifornii każda sekunda życia będzie przekuta w sekundę pracy dla siebie, nie wolno będzie jej zmarnować. Autor *Ogrodu nauk* stanie się zegarkiem szwajcarskim bezbłędnie pracującym całą dobą na rzecz polskości, czyli siebie. W praktyce nie będzie można przeprowadzić linii podziału pomiędzy poetą a jego pracą na rzecz polskości. Obie linie biegną równolegle, ale gdzieś w przestrzeni się przecinają. Najczęściej w twórczości splatają się, tworzą linę, po której poeta wspina się ku gwiazdom. Pomiędzy jedną a drugą pracą nie będzie rozbieżności, bo Miłosz traktuje literaturę jako doświadczenie i pamięć, a także z wyrafinowaniem artystycznym tworzy wiersze na bardzo wysokim poziomie. To, co dla przeciętnego człowieka wydawało się niemożliwe, dla niego było normą do wykonania, bo on sam sobie narzucał normy i ustalał, ile w danym dniu czy tygodniu na zrobić. Wezwaniem stały się zajęcia prowadzone ze studentami, do których poeta bardzo solidnie się przygotowywał, oraz jego coraz większa ciekawość intelektualna świata, pobudzana tym, że cokolwiek tylko chciał sprawdzić czy się upewnić, kalifornijskie biblioteki i źródła były w stanie mu to zapewnić. Stąd też wiele godzin spędzonych w bibliotekach, ponadludzkie zdyscyplinowanie, plan na każdy dzień tygodnia, jak w wojsku, pobudka wcześnie rano, toaleta poranna, gimnastyka, czyli spacer, pisanie, praca na uczelni. Powrót do domu, chwila odpoczynku – obiad z rodziną, sprawy rodzinne i znowu praca przez kilka godzin, odpisywanie na listy, korespondencja, wieczorna toaleta i do łóżka. Dzień wolny od wykładów spędzał w bibliotekach i księgarniach w poszukiwaniu materiałów potrzebnych do tego, nad czym w danej chwili pracował. Przez wiele lat, aż do 1978 roku, gdy przejdzie na emeryturę, niewiele się jego życie zmieni, a wręcz przeciwnie – jeszcze więcej weźmie na swoje barki. Aby tak żyć, trzeba ograniczyć życie towarzyskie, zacznie je więc oddzielać od ciężkiej pracy tłumacza, wykładowcy, eseisty, zatopiony w polskości „po same uszy" stanie się kosmitą, który stworzy podwaliny, fundamenty do polskości widzianej oczami kosmity, bez banałów typu „Polacy – naród wybrany", „Chrystus Europy", bez martyrologii, egzaltacji, szowinizmów wychwalających siebie samych. Zastanawiał się, jak wyjaśnić Amerykanom *Pana Tadeusza*, twórczość Mickiewicza piszącego „Litwo, ojczyzno moja", po polsku, nazywającego Litwę ojczyzną swoją, który urodził się na Białorusi, a poemat pisał we Francji. Poeta sam o sobie mówił pysznie: „Nie urodziłem się w Polsce, nie wychowałem w niej, nie mieszkam w niej, ale piszę po polsku". Chciałby być Litwinem, ale nie może, bo nie zna języka litewskiego, pisze po polsku, ale nie chce być Polakiem, i ma inne wyobrażenie o Polakach i Polsce niż sami Polacy. Nie chce też być Słowianinem, bo Słowianie w Ameryce znajdują się na samym dole społecznym w oczach jej

mieszkańców angielsko-niemieckiego pochodzenia. Słowianie w Ameryce, ludzie drugiej kategorii, nie zdolni do niczego, ani do pracy intelektualnej, ani kreatywnej, tylko do fizycznej, najcięższej i najmniej płatnej. Poeta jest ambitny, nie chce, aby uważano go za kogoś „z narodu poniżonego", i sam o sobie myśli, że niewiele ma wspólnego z tymi „poniżanymi". Znany był z tego, że potrafił „pokazać język" polskości i Polakom w Ameryce, ale tak naprawdę to była tylko gra – on nie mógł żyć bez polskości i Polaków, bo pisał „mową upodlonych", myślał jak kosmita, niby oderwany od tego, co się wokół niego działo, ale jego myślenie było polskie (inaczej niż po polsku nie potrafił myśleć), nawet jeśli skierowane przeciwko Polsce. Powstaną książki: antologia poezji *Postwar Polish Poetry. An anthology*, Nowy Jork, 1965 rok, podręcznik akademicki *The History of Polish Literature*, 1969 rok – w niej poeta opisze historię literatury polskiej, tak jak on ją widział, czuł. Tak aby studenci mogli ją zrozumieć, aby się nie zniechęcali i studiowali, aby on miał pracę na uczelni, a oni świadomość, że odkrywają coś, co nigdy do niczego nie będzie im potrzebne, ale warto było włożyć swój czas i energię w studiowanie oraz pieniądze rodziców płacących za studia. Wtedy ci młodzi pełni entuzjazmu nie myśleli, do czego można wykorzystać w Ameryce wiedzę o literaturze polskiej. Dla nich Polska to odległa planeta – większość z nich nie miała ani korzeni polskich, ani nie wiedziała, gdzie Polska jest na mapie. To Rosja była najważniejsza, poprzez nią trafiali na chwilę do Polski – aby do niej dolecieć, potrzeba lat świetlnych, a Miłosz jako kosmita to rozumiał. Jego „głód" wiedzy i „chęć" promocji Polski, polskości w Ameryce były ogromne, stał się wielkim promotorem naszej kultury, opracował *Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska*, zabrał się za Aleksandra Wata i Annę Swir (Świrszczyńska). Jego żarłoczność jest niesamowita: promuje polską literaturę, napisze książki, bez których dzisiaj jest trudno nawet mówić o polonistyce w Ameryce. Co by o nim nie myśleć/powiedzieć, jest geniuszem, prawdziwym, z krwi i kości geniuszem, robi to, czego wcale nie musiał i nikt od niego tego nie wymagał.

Pod koniec lat 60. Miłosz skupi uwagę na sobie: po tłumaczeniach wierszy Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza i innych polskich poetów zacznie pracę nad przekładami swojej twórczości. Herbert, chociaż bliższy poecie, dużo gorzej radzi sobie w Ameryce niż Różewicz. Herbert jest za trudny, ta jego pogoń i fascynacja kulturą śródziemnomorską słabiej przemawia do wyobraźni Amerykanów niż Różewicz. Jednak Miłosz „rezygnuje" z Różewicza na koszt Herberta, bo Różewicz znajduje „przyjaciół" w Anglii. Koniec lat 60. to wielkie obudzenie Miłosza jako poety – nadszedł czas zrobienia czegoś dla siebie. Ta strategia jest genialna. Bo co by było, gdyby zaczął swoje życie w Ameryce od wydawania własnych wierszy, bez książek/podręczników do nauczania literatury polskiej dla studentów, ale od publikacji własnego dorobku? Wiele razy mówił i pisał, że Ameryka to nie Europa, w niej poezja nie zrobi wielkiego wrażenia, jeśli jest się tylko poetą, tutaj każdy profesor literatury angielskiej jest poetą, literatem. Wiedział, że musi najpierw zostać „naukowcem", panem od literatury, a dopiero później poetą. W Ameryce prawie na każdej uczelni utworzono kierunki nauczania pisania poezji, prozy, dramatu, scenariuszy etc. Uczą na nich poezji prozaicy, większość z nich nie ma wykształcenia uniwersyteckiego, wielu tylko skończoną szkołę średnią, ale uczą studentów, bo

mają coś do nauczenia, przekazania, podzielenia się swoją wiedzą. Większość tych wykładowców ma cenione przez ogół nagrody literackie, krajowe i zagraniczne, dorobek pisarski, i to się dla Amerykanów liczy, a nie ich prace doktorskie czy tytuły profesorskie. Miłosz jako kosmita wybrał najlepszą z najlepszych dróg swojego rozwoju duchowego i intelektualnego w pierwszych latach pobytu w Ameryce polegającą na pracy nad twórczością innych, na budowaniu fundamentów, na których będzie mógł postawić dom literatury polskiej. Nie oznacza to, że nie pisał wierszy na własny użytek, pisał, ale tylko dla siebie. Z czasem powie przewrotnie, że przez wiele lat w Ameryce znali go tylko jako tłumacza wierszy Herberta, ale w tym „szaleństwie przekładów" była metoda wprost genialna, on sam rozbudził w sobie niespotykaną na skalę światową ciekawość do świata, Rosji, literatury rosyjskiej, metafizyki, historii swojej małej ojczyzny, religii, przeszłości, zaczął interesować się jeszcze bardziej swoimi korzeniami, dokopywać się do różnych jej pokładów. Poprzez Rosję i Amerykę będzie chciał zrozumieć ten malutki skrawek ziemi na mapie świata, na którym się urodził i wychował, nigdy się nie uwolni od miejsca urodzenia. Jest to jego przekleństwo i błogosławieństwo dla nas, jego czytelników. Nawet będzie próbował zrozumieć Amerykę poprzez historię Europy, Rosji XIX w., to też mu się nie za bardzo uda, bo nie wrośnie w Stany, będzie żył w nich, obok zajmując się najbardziej „swoim podwórkiem" – literaturą polską.

Przyszłość w Ameryce rozpocznie od budowania misternej sieci kultury polskiej, jak pająk zastawiać będzie ją na co zdolniejszych studentów, ludzi przydatnych do jego planów wybudowania rakiety kosmicznej poezji, która wyniesie polską literaturę i jego samego bardzo wysoko w przestworza. Stanie się pająkiem, gospodarzem sieci, który nie będzie „pożerał swoich ofiar", ale wręcz przeciwnie – będzie wynagradzał tego, który nie zawiedzie jego zaufania. Ten, kogo wybrał do współpracy i kto go nie rozczarował, skorzysta na tym. Plan będzie genialny, bo każdy genialny plan jest prosty, poza pracowitością, pracą ponad ludzkie siły trzeba mieć jeszcze szczęście w tym, co się robi, oraz wizję i pojęcie tego, co się robi. On to wszystko miał.

Jak poznałem poetę?

Jesień roku 1988 była dla mnie bardzo pracowita; wcześniej złożyłem podanie o amerykańskie obywatelstwo do Urzędu Imigracyjnego w San Francisco, dlatego musiałem przygotowywać się do egzaminu ustnego i pisemnego. Dużo czasu spędzałem na czytaniu różnego rodzaju skryptów, książek, broszur dotyczących konstytucji i historii stanu Kalifornia, w której mieszkałem, i historii Ameryki. Tej najnowszej i tej najstarszej, z czasów wojny z Anglikami. Egzaminy zdałem bezbłędnie i powstała możliwość, że zanim zostanę oficjalnie zaproszony na przysięgę, a tam otrzymam certyfikat stwierdzający, że jestem obywatelem amerykańskim, zanim złożę podanie o paszport, mogę zmienić swoje polskie nazwisko na jakieś amerykańskie. Na przysięgę czekało się wtedy kilka miesięcy, ale ja nie mogłem się zdecydować, czy zostać przy swoim polskim nazwisku, czy wymyślić sobie coś amerykańskiego.

Urzędnicy imigracyjni sugerowali mi, a nawet zachęcali do zmiany nazwiska, tłumacząc, ile miałbym korzyści z amerykańskiego, wskazując nawet to, że Amery-

kanom będzie łatwiej wymawiać je, a poza tym będę miał o wiele mniej kłopotów w życiu codziennym. Prawdę mówiąc w duchu zgadzałem się z nimi, wiele razy byłem zmęczony pytaniami: „*How do you spell your last name?*", „*Are you Russian?*", „*Where is Poland?*". Sam wiele razy miałem ochotę zmieć nazwisko Lizakowski na amerykańskie, na przykład Lickman lub Litopon. Nowe życie w nowym kraju dobrze byłoby rozpocząć z nowym nazwiskiem. Tak robiły przede mną miliony Polaków, miliony emigrantów ze wszystkich kątów świata. Długo o tym myślałem, ale żadne mi się nie podobało ani też żadne oryginalne nie przychodziło mi do głowy. Z tłumaczem mojej poezji Richardem, którego ojciec, weteran II wojny światowej, zmienił swoje polskie nazwisko na amerykańskie (bardzo dużo tłumaczyliśmy mojej poezji na angielski, bo Richard sam, beze mnie nie tłumaczył), zastanawialiśmy się, co by tu wybrać, aby nazwisko było i piękne, i poetyckie. Studiowałem wtedy dziennikarstwo na City College of San Francisco, przygotowywałem się do wydania następnego tomiku po angielsku i siłą rzeczy sporo wierszy wysyłałem do amerykańskich pism literackich z różnym skutkiem. Odniosłem wrażenie, że miałbym więcej publikacji, gdybym nosił amerykańskie nazwisko.

Był koniec XX wieku i Polacy w Ameryce byli inaczej spostrzegani niż w wieku XIX czy na początku XX. Teraz był polski papież, była Solidarność, sporo sympatii dla Polaków. To już nie ta Ameryka, w której Polaka przedstawiano jako idiotę w dowcipach, ale mimo tego myślałem o zmianie nazwiska. Po co komu taki poeta, którego nazwiska nawet nie można wymówić? Przy okazji zacząłem z ciekawości w miejskiej bibliotece doszukiwać się, szperać w książkach, czy są jacyś Lizakowscy w Ameryce, i okazało się, że są, i to jest ich sporo. Najwięcej przybyło w drugiej połowie XIX wieku, także z Kaszub, a osiedlali się głównie w bardzo zimnych stanach na północy Ameryki: w Wisconsin, Minnesocie i Dakocie.

W październiku tego roku odbyła się w śródmieściu w Berkeley w siedzibie YMCA promocja najnowszego numeru poetyckiego pisma „The Galley Sail Review", w którym była zamieszczona moja twórczość poetycka. Magazyn ten należał do tak zwanej grupy *little magazines and small presses* (nawet nie wiem, jak to przetłumaczyć na język polski). Prasa lokalna dużo o tym pisała, a w komunikatach prasowych obok nazwisk miejscowych poetów było zamieszczone także moje. Szczęśliwy zadzwoniłem do pana Czesława, aby się pochwalić, że będę czytał swoje wiersze podczas promocji pisma z wieloma gwiazdami lokalnej sceny poetyckiej z San Francisco, Oakland czy Berkeley, m.in. z: Jaimesem Alsopem, Mary Rudge, H.D. Moe, Robertem Swardem, Mortonem Felixem oraz beatnikiem Jackiem Muellerem. Pan Czesław już wiedział o tym spotkaniu, pogratulował mi, ale nie miałem odwagi zaprosić go na nie, chciałem tylko się przed nim pochwalić. Jakie było moje zdziwienie (chyba los tak chciał), gdy właśnie podczas mojego czytania wierszy w drzwiach YMCA pokazał się kosmita pan Czesław oraz Carol (przyszła żona poety). Miłosz, wygolony, ubrany jak zawsze w marynarkę, wełniany krawat, w jasną wyprasowaną koszulę i również jasne spodnie, w wyczyszczone buty. Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi, jakoś chłodnie, ale się nie przestraszyłem jego wzroku.

Powstało małe poruszenie, gdybym nie czytał, to bym wstał, podszedł do niego i zaprosił, aby usiadł w pierwszym rzędzie, a tak pan Czesław usiadł sobie skromnie na końcu sali. Oczywiście poeci amerykańscy, beatnicy lub poeci z kręgów beatników, byli tak samo zdziwieni jego obecnością jak ja. Oni mieli na sobie jakieś stare znoszone ubrania, stare jeansy, przetarte na tyłkach i kolanach, rozciągnięte swetry lub koszule flanelowe wypuszczone na spodnie. Pierścienie, po kilka na każdej ręce, indiańskie wisiorki na szyjach i przegubach rąk. (Amerykanie poświęcają dużo mniej uwagi wyglądowi zewnętrznemu niż Polacy). Polski poeta w krawacie był im znany z nazwiska, ale tylko niektórzy go widzieli na własne oczy, potrafili rozpoznać w tłumie. Ci, którzy go znali, zaczęli szeptać jeden do drugiego: „Noblista przyszedł, noblista przyszedł". Miłosz był poetą akademickim, a oni byli poetami ulicznymi, tak zwanymi *street poets*. Nic ich nie łączyło ze światem Miłosza, i odwrotnie. Oni czytali wiersze w pubach i kawiarniach, na skrzyżowaniu ulic i w parkach, a on na campusie uniwersyteckim lub w uznanych „biznesowych księgarniach", które rzadko kiedy miały na swoich półkach tomiki wierszy poetów ulicznych, chyba że w księgarni była półka z książkami tak zwanych *local poets*. On sprzedawał w księgarniach swoje tomy wierszy po 20, 30 dolarów, a oni w barach po 3 lub 5 dolarów. Często oddawali swoje tomiki za filiżankę kawy, piwo lub lampkę wina każdemu, kto był gotów zapłacić za trunek.

Akademia i ulica to dwa kosmosy poetyckie. Nie natrafiłem jednak na obecność polskiego poety w życiu literacko-poetyckim poetów ulicznych mieszkających nad Zatoką San Francisco, łącznie z będącymi u szczytu sławy poetami *beat generation*. Co wcale nie oznacza, że o Miłoszu nie słyszeli albo go nie znali. Pan Czesław mieszkał w Berkeley od roku 1960, czyli już prawie trzydzieści lat, a to kawał czasu. Jak już wyżej napisałem, słyszeli, i to bardzo dużo, o nim, był ceniony jako tłumacz, jako wykładowca, ale jego europejska poezja i to, co robił, była im obca. Natomiast ku mojemu całkowitemu zdziwieniu na licznych spotkaniach poetyckich, w których uczestniczyłem, gdy się przedstawiałem, że jestem z Polski, i gdy rozmowa schodziła na temat literatury, poezji, pytano mnie lub proszono kilka razy o recytację wiersza Tadeusza Różewicza *W środku życia*. Nie pamiętałem tego wiersza z Polski, ale Amerykanie znali tłumaczenie Miłosza i chcieli usłyszeć go polsku, tak bardzo im się podobał albo przypadł do serca, do końca nie wiem dlaczego, choć można się tego domyślać. Wiersz znalazłem w San Francisco Public Library, gdzie było kilka półek z książkami polskimi: sporo Mrożka, polskiej klasyki i tomiki wierszy Różewicza. Piszę to dla tych osób, które z błyskiem w oku pytają mnie o popularność Miłosza w Ameryce przed i po Noblu. Także dla tych, którzy w życiu nie kupili tomiku wierszy, nie byli na spotkaniu poetyckim, ale zadają takie i podobne pytania, myślą, że popularność poety w Ameryce, w świecie jest równa popularności gwiazd filmowych. Dostał Nobla, to musiał być znany – tak wciąż wielu myśli – sławny przede wszystkim, zbił majątek na poezji itp. Aby podeprzeć się mocnym argumentem, zacytuję samego poetę, który tak pisze o sobie: „O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie wzmianka w czterdziestym tomie encyklopedii w pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse". Jak widać poeta dobrze wiedział o małej roli poezji, zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i sytuacji poezji w świecie współczesnym. Hippisi-poeci w San Francisco nie znali poetów polskich ani nie interesowali się na poezją z Europy Wschodniej, która dla nich była tym samym,

czym dla Polaków dorzecze Amazonii. O pani Szymborskiej wtedy właściwie nikt nie słyszał, twórczość Herberta była postrzegana jako wtórna, bo Herbert był dla nich takim „kieszonkowym" Konstandinosem Kawafisem. (Chociaż na północ od San Francisco, w stanie Oregon było wydawane pismo *a little magazine* z bardzo dziwnym tytułem „Mr. Cogito", w którym też zamieszczałem swoją twórczość, a jego redaktorem był John Gogol – pokochał on twórczość Herberta całym sercem, tłumaczył ją z polskiego na angielski).

Różewicz najbardziej do nich przemawiał, hippisi uwielbiali tę zwrotkę:

siedziałem na progu domu
ta staruszka która
ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza
i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójcą.

Ale wróćmy do spotkania poetyckiego. Moja koleżanka Mary Rudge, która była moim przewodnikiem po scenie poetyckiej w San Francisco Bay Area, wtedy zaniemówiła. Po spotkaniu poszliśmy na piwo, tak jak to było w zwyczaju. Po dwóch wypitych w pubie Mary odzyskała głos, przy wszystkich obecnych oznajmiła, że noblista poeta Czesław Miłosz przyszedł na to spotkanie specjalnie dla mnie. A dlaczego? Bo moja twórczość bardzo mu się podoba. Pochwaliła mój amerykański akcent, powiedziała, że zrozumiała prawie wszystko, co przeczytałem, a po chwili dodała: „Kto wie, czy nie słuchaliśmy wierszy następnego polskiego noblisty", wznosząc wysoko w górę rękę z butelką piwa i patrząc w moją stronę. I stało się. Od tego czasu zostałem noblistą, nikt nie mówił mi po imieniu, tylko „Noblista". Pół biedy, gdy przedstawiała mnie Amerykanom, mówiąc: „Adam, poeta, noblista", ale gdy w towarzystwie byli Polacy, na przykład w Cafe la Boheme, to był to dla mnie koniec świata.

Przypomniałem sobie tę historię o szukaniu amerykańskiego nazwiska trzydzieści lat później, gdy powróciłem do Polski na stałe i poszukiwałem swojego miejsca na ziemi, z polskim dowodem osobistym wystawionym na nazwisko Adam Lizakowski. Co by się stało, gdybym został Adamem Noblem? Dobrze, że skończyło się na tym, że zostałem przy nazwisku swojego ojca i przodków, którzy na Kaszuby przybyli w połowie XVIII wieku z Holandii (teraz wiem, że jest to udokumentowane w księgach parafialnych na Kaszubach), i głupio bym się czuł, gdybym po dwustu latach i wielu generacjach Lizakowskich zaparł się siebie.



Adam Lizakowski, *Czesław Miłosz przegląda antologię poetów z San Francisco*, 1986



Adam Lizakowski, *Kwiaty na grobie noblisty w dniu jego pogrzebu*, 2004

CZESŁAW MIŁOSZ

TO

Żebym w końcu powiedzieć mógł, co siedzi we mnie.
Wykrzyknąć: ludzie, okłamywałem was
Mówiąc, że tego we mnie nie ma,
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.
Chociaż dzięki temu
Umiałem opisywać wasze łatwopalne miasta,
Wasze krótkie miłości i zabawy rozpadające się w próchno,
Kolczyki, lustra, zsuwające się ramiączko,
Sceny w sypialniach i na pobojowiskach.

Pisanie było dla mnie ochronną strategią
Zacierania śladów. Bo nie może podobać się ludziom
Ten, kto sięga po zabronione,

Przywołuję na pomoc rzeki, w których pływałem, jeziora
z kładką między sitowiem, dolinę,
W której echu pieśni wtórzy wieczorne światło,
I wyznaję, że moje ekstatyczne pochwały istnienia
Mogły być tylko ćwiczeniami wysokiego stylu,
A pod spodem było TO, czego nie podejmę się nazwać.

TO jest podobne do myśli bezdomnego, kiedy idzie po mroźnym, obcym mieście.

I podobne do chwili, kiedy osaczony Żyd widzi zbliżające się ciężkie kaski niemieckich żandarmów.

TO jest jak kiedy syn króla wybiera się na miasto i widzi świat prawdziwy; nędzę, chorobę, starzenie się i śmierć.
TO może być też porównane do nieruchomej twarzy kogoś, kto pojął, że został opuszczony za zawsze.

Albo do słów lekarza o nie dającym się odwrócić wyroku.

Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur, i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom.



Andrzej Jerzy Lech, *Praga*, 1981

NR 13 (2024)

Format Literacki

ISSN 2720-0892

Poezja – Proza – Eseje – Sztuki Wizualne

Temat numeru: CIEŃ

Spis treści numeru 13

Czesław Miłosz Wiara **— 142**
Monika Braun Co lubi cień? **— 144**
Urszula M. Benka O cienioświatłości i kotletach z tyłka Tezeusza **— 152**
Marian Kisiel wiersze **— 162**
Robert Gawłowski Cień Heraklita **— 164**
Roger Piaskowski Z cienia powstałeś **— 176**
Urszula Benka *** Mam teraz biały cień… **— 182**
Krzysztof Rudowski Smugi cienia **— 184**
Jerzy Grotowski Dwanaście wierszy **— 192**
Zbigniew Ikona Kresowaty „Pożegnanie barw” o poezji Jerzego Grotowskiego **— 204**
Miłosz Kamiński wiersze **— 210**
Waldemar Okoń Bez początku (2) **— 214**
Adam Bąkowski wiersze **— 224**
Małgorzata Skałbania I am, you are **— 228**
Waldemar Okoń „Idumea”, „Salem” **— 234**
Sara Nowicka Szczeliny śnienia **— 238**
Przemysław Znojek Kukła **— 244**
Dariusz Sas Konsystencja pamięci **— 248**
Piotr Mras Smok i Złota Róża **— 250**
Adam Lizakowski wiersze **— 256**
Szamil Idiatullin Oddzwonię **— 260**
Jan Strządała Zamykam oczy w słońcu **— 268**
Jarosław Petrowicz Bliżej nieznane **— 270**
Wojciech Koryciński Wieluń? A gdzie to jest? Centon literacki **— 274**
Kamil Bryka Szczęściarz Antoni i… sofistyka literacka **— 280**
Andrzej Saj Łowcy światła i cieni **— 286**
Nagroda Literacka „GNOMA” — 288
Urszula M. Benka Kronika kultury **— 290**

CZESŁAW MIŁOSZ

Wiara

Wiara jest wtedy, kiedy ktoś zobaczy
Listek na wodzie albo krople rosy
I wie, że one są – bo są konieczne.
Choćby się oczy zamknęło, marzyło,
Na świecie będzie tylko to, co było,
A liść uniosą dalej wody rzeczne.

Wiara jest także, jeżeli ktoś zrani
Nogę kamieniem i wie, że kamienie
Są po to, żeby nogi nam raniły.
Patrzcie, jak drzewo rzuca długie cienie,
I nasz, i kwiatów cień pada na ziemię:
Co nie ma cienia, istnieć

nie ma siły.



Jan Mikołajek, *Anioł 3,* 2015

MONIKA BRAUN

Co lubi cień?

Pod rzeźbionym portalem kamiennym,
W słońcu, na granicy jasności i cienia,
Prawie pogodny[1].

Pewien uczony z północnych krajów przywędrował tam, gdzie promienie słoneczne padają niemal pionowo i palą tak, że rozsądni ludzie siedzą cały dzień w domu i wychodzą z niego dopiero wieczorem. Przyjezdny z zimnej północy na początku nie rozumiał tego i podobały mu się spacery w nowym miejscu, ale szybko poczuł, że tkwi jak w rozpalonym piecu, „i to męczyło go; chudł coraz bardziej i w końcu nawet jego cień skurczył się i stał się o wiele mniejszy niż w ojczyźnie. Słońce pastwiło się nad nimi. Obydwaj odżywali dopiero wieczorem po zachodzie słońca. Był to bardzo zabawny widok; skoro tylko zapalono światło w pokoju, cień wydłużał się na ścianie, sięgał wyżej, czasem aż do sufitu; musiał się tak wyciągać, aby znów nabrać sił”[2]. O tej porze dosięgał nawet ukwieconego balkonu po przeciwległej stronie ulicy, któremu przyglądał się uczony. A patrząc tak na pelargonie i ukryte za firanką wnętrze tamtego mieszkania, pomyślał, że przecież jego wypoczęty cień mógłby pójść tam, dowiedzieć się, kto tak troskliwie podlewa rośliny, i wróciwszy, opowiedzieć mu o tym. I tak się stało. Tyle że cień nigdy nie wrócił, a raczej wrócił po latach, ale jako osobny człowiek czy też ktoś, kto podaje się za człowieka, znając doskonale ludzkie obyczaje. Cień okazał się spryciarzem świetnie wykorzystującym tę wiedzę i wciągając go w niecne sprawki, kazał uczonemu być swoim cieniem (przecież jako cień nie miał cienia, a chciał uchodzić za człowieka), i w końcu, pozyskawszy serce księżniczki, ożenił się z nią, a sługom kazał „sprzątnąć” uczonego, który przecież już wtedy uchodził tylko za cień.

Lubię tę baśń Andersena między innymi dlatego, że zbyt ostre i jednorodne światło wydaje mi się nudne, w domu rozpraszam je i przyćmiewam abażurami, redukuję słabszymi, choć licznymi żarówkami, zmuszam je do porzucenia bezruchu (a pomagają mi w tym odbite na ścianach i suficie drgania fal rzeki, płynącej za oknem) i przypominam sobie często matkę mego ojca mówiącą do mnie małej: „Chodź, Monisiu, posiedzimy sobie o szarówce”. Ceniła przedwieczorną godzinę z jej pełnym różnorodnych odcieni światłem, litościwie kładącą woal na brudzie, bałaganie i po prostu biedzie, ukazującą inną gradację spraw niż dzienne pory wyrazistych oczekiwań i wymagań, sprzyjającą tajemnicom i niedopowiedzeniom, tworzącą nie tylko nową topologię przestrzeni, ale i ducha. Jasność norm codziennych, pragmatyzm pracy i nauki były zastępowane mrokami marzeń i wyobrażeń, zróżnicowaniem odcieni poezji, recytowanej z pamięci, skrytej w tumanie dalą rozsnuwanych opowieści. Lili czuła doskonale, czym jest sfumato, choć nie jestem pewna, czy znała to określenie. Stosowała jednak w praktyce owe mglistości i przydymienia, może dlatego też, że epoka brunatnych i czerwonych reżimów uczyniła jej wstrętnymi nie tylko rażące na komisariatach i w więzieniach żarówki, ale przede wszystkim prostackie, niezniuansowane formy życia, jaskrawy dydaktyzm gazet i ordynarny kontur oficjalnie propagowanej kultury (choć ona kulturą tego by nie określiła), nieznającą wariantów rzeczywistość, której kształt nadawała urawniłowka.

Znała natomiast na pewno słowo światłocień i lubiła obrazy dawnych mistrzów, co zresztą także było dla niej jakimś źródłem pociechy w przeciwieństwie do sztuki współczesnej, której niepokój i nieoczywistość, a także dosadność środków nie pozwalały jej odnaleźć ani sensu, ani metafory. Przyglądając się *Pokłonowi Trzech Króli* Leonarda, gdzie półmrok objaśnia dramaturgię sytuacji, mogła wrócić do niegdysiejszego, ale też wiecznego ładu, którego brakło dookoła, gdy się starzała. Była wychowana „w świetle lamp filujących [kiedy to] nieskończoność była skończona/ czas był uchwytny / przestrzeń zamknięta / w czterech ścianach / wystarczyło zamknąć oczy / aby znaleźć się / w czwartym wymiarze / wystarczyło otworzyć drzwi / żeby znaleźć się / w drodze do Emaus / spotkać Jezusa żywego / z ciała krwi i kości / który jeszcze nie rozpoznany jadł rybę pieczoną / chleb plaster miodu”[3]. Potrzebowała więc, moja babcia Lili, wyłaniającej się dzięki chiaroscuro wielowymiarowości świata, płynącego stąd poczucia, że to, co kiedyś, jest częścią tego, co teraz. Filowanie płomienia, które, gdy byłam mała, wciąż zdarzało się w jej domu (świecom jak i naftowym lampom trzeba było często przycinać knoty, by nie kopciły), wypełniało zmierzające w noc pomieszczenia ruchem i tym bardziej wiarygodne stawało się wszystko, co przypominane lub imaginowane. Matka mego ojca podobna była, do pewnego stopnia, staremu hrabiemu Brahe z powieści *Malte* Rilkego – zmiany czasu były dla niego niczym, „śmierć była epizodzikiem bez znaczenia, osoby, raz przyjęte do jego wspomnień, istniały, a zgon ich nic absolutnie zmienić nie mógł”[4]. Rezydował on w zamku, którego każda ciemna cegła, zakurzony kandelabr czy obraz wiszący w mrocznej galerii potwierdzały współobecność rzeczy i osób. Jej dom, bo nie zamek przecież w komunistycznej Polsce, był także modelem ich współistnienia, ale również innego stosunku do materii w ogóle, będącej bardziej tworzywem wiecznej przemiany niż przedmiotem pożądania. Świadomość obojga – Lili, żywej niegdyś istoty i wciąż żywej w mojej pamięci, oraz postaci literackiej z powieści wielkiego poety, znającego „sekret zaklinania słów w formę odporną na

1 Czesław Miłosz, *Portal* [w:] *idem, Poezje,* t. III, Paryż 1982, s. 55.

2 Hans Christian Andersen, *Cień* [w:] *idem, Baśnie,* przeł. Stefania Belin, Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1969, s. 384.

3 Tadeusz Różewicz, *W świetle lamp filujących* [w:] *idem, Zawsze fragment* [w:] *idem, Wybór poezji*, Wrocław 2016, s. 682–684.

4 Rainer Maria Rilke, *Malte*, przeł. Witold Hulewicz, Warszawa 1979, s. 39.

działanie czasu", jak określa to Herbert[5] – była, jak sądzę, wypełniona substancją, w której łączyły się i przenikały odrębne dla innych składniki, a ich różnicowanie następowało niejako dzięki łagodnym światłocieniowym przejściom, nietworzącym jednak drastycznej granicy, ale spajającym w całość to, co inaczej rozsypałoby się w dziejowych i osobistych katastrofach.

Gdyby żyli dziś – Lili i hrabia Brahe – prawdopodobnie zapadliby jeszcze głębiej w swoje siedziby, w siebie samych i własne, odmienne od reszty świata, sposoby jego rozumienia. Rozjarzona współczesna cywilizacja, chcąca wszystko ukazać jak najwyraziściej, niejako wtłoczyć w zmysły i pojmowanie odbiorcy, wydałaby się im prymitywna i nachalna. Nie tylko w jej czysto materialnych przejawach, tych wszystkich lampach, reflektorach i neonach wypełniających blaskiem ulice, domy, wystawy sklepowe i hale koncertowe, biura i stadiony, olbrzymich telebimach, ekranach i plakatach, jakby widzieć wyraźniej było najważniejszym osiągnięciem czasów, ale także by owo przenikliwe i dokładne przypatrywanie się obejmowało wszystkie sfery życia, tak prywatne, jak i społeczne. Widzi się i jest się widzianym, trudno wyobrazić sobie umknięcie oczom milionów kamer przemysłowych, systemów mających nas w swojej ewidencji, portali, gdzie inni śledzą nasze życia, ale które – poza tym, a może głównie – są olbrzymim, nieskończenie pojemnym rejestrem faktów nas dotyczących. Odbiera się nam tajemnicę. Co więcej – sami się o to prosimy, choć właściwie i proszenie nie jest potrzebne. Organizacja codziennej egzystencji w praktyce uniemożliwia zresztą ucieczkę od światła wydobywającego z ukrycia osobność i intymność.

Jest się dziś jak bohater *Mefista*[6], filmu na podstawie powieści Klausa Manna, w dramatycznej ostatniej scenie uchwycony światłami reflektorów jak kleszczami pośrodku gigantycznego stadionu. Hendrik Hoefgen, aktor pragnący poklasku i sławy, sprzedający za to duszę nazistom, nie może już uniknąć tortury tego, co było przedtem przedmiotem jego pragnień. Od premiery dzielą mnie ponad cztery dekady, a wciąż mam w oczach tamten przejmujący moment, gdy Mefisto miota się sam po olbrzymim owalu zbudowanym dla faszystowskich manifestacji w niedających się zerwać więzach hiperwidzialności.

Bo spektakularność kultury, a szczególnie przemocy, wykorzystywana w książce i filmie nie jest zjawiskiem całkiem nowym ani przypisanym analogii ludzkiego życia do sceny z jej wymogami i technikami wizualnymi. I nie jest też obecnie piękną a tajemniczą metaforą, jak u Szekspira na przykład, skłaniającą nas do roztrząsania, jak to też jest z naturalnością i sztucznością, ze spontanicznością i planowaniem działań, co wywodził potem finezyjnie i wzruszająco także Erving Goffman w *Człowieku w teatrze życia codziennego*. Spektakularność, o której mówię, jest okropna, taka jak ją opisuje Guy Debord w *Społeczeństwie spektaklu,* ona czyni z ludzkich stworzeń bezwolne kukły poddane zewnętrznym przymusom – jednak przestają być nimi w istocie, raz z powodu braku świadomości ich przedmiotów i chętnej zgody na nie, dwa z powodu zachłannej, dzikiej konsumpcji. Cały świat staje się

5 Zob. Zbigniew Herbert, *Do Ryszarda Krynickiego list* [w:] *idem, Raport z oblężonego miasta,* Paryż 1983, s. 26–27.

6 Reż. István Szabó (1981), w głównej roli jako Hendrik Hoefgen – Klaus Maria Brandauer.

tu towarem, który chce się mieć, a „narastająca banalizacja, która pod postacią migotliwej różnorodności spektakularnych rozrywek ogarnia cały nowoczesny świat, opanowuje go również w każdej z tych poszczególnych sfer, w których rozwinięta konsumpcja towarów poszerzyła, na pozór, zakres wyboru ról i przedmiotów"[7]. Wybór, którym się nas kusi, jest złudzeniem, różnica bowiem znikła, nie ma światłocienia czyniącego przestrzeń i wypełniające ją rzeczy trój- i czterowymiarowymi, stratyfikującego ją semantycznie, pożera się więc cokolwiek – bo po prostu rzuca się to w oczy. W perfekcyjnym oświetleniu i bogatym entourage'u podsuwa się nam sugestie kolejnych pragnień. Zadanie spektaklu, w którym dostaliśmy role, idąc dalej za Francuzem, którego – często o tym myślę – nie zabił alkohol ani kula wystrzelona własną ręką w serce, ale przerażenie tym, w czym przyszło mu żyć, oraz poczucie całkowitej niemocy wobec tego procesu, zadanie zatem spektaklu „polega na u k a z y w a n i u, za pomocą rozmaitych specjalistycznych zapośredniczeń, świata nie dającego się uchwycić bezpośrednio – [spektakl] przyznaje rzecz jasna pierwszeństwo zmysłowi wzroku"[8].

Z powodu nadpodaży widzialnego, tak w sensie dosłownym, osiąganym za pomocą wyrafinowanych technologii, jak i w sensie duchowym, rzeczywistość redukuje się do tego, co wyraźne i jednoznaczne, co podsunęło się samo, podane jako gotowe w blasku coraz doskonalszych ekranów – to one są dziś przecież główną sceną życia – a więc płaskie, oczywiste, pozbawione wielowymiarowości, nieskłaniające do dalszych penetracji. Jak w baśni Andersena – słońce pada teraz tak, że nasz cień się kurczy. Nadmiar światła oślepia, utrudnia widzenie, rozumienie i wartościowanie jawiących się w natłoku fenomenów. Tym samym klawiszem można posiąść doskonale wyeksponowane buty, meble, lekarstwa, jedzenie czy ciała. Można zajrzeć do banku, pojechać na wycieczkę i wejść w cudze życie, które usłużnie podsuwa nam do obserwowania sam jego bohater, bo przecież wszyscy chcą teraz nie tylko widzieć, ale pokazywać, nie tylko gapić się na coś czy kogoś, ale i być oglądanym. Rodzinny obiad, zawartość talerza, narodziny dziecka, śmierć w szpitalu i na wojnie są takim samymi jak inne obiektami pozbawionymi życia doskonałą rozdzielczością obrazu jak motyl dla obserwacji przyszpilony w gablocie. „Fotografie obiektywizują: zmieniają wydarzenie albo osobę w coś, co można posiadać"[9], w coś mającego określone parametry, niebudzącego żadnych wątpliwości – w łatwy do oszacowania i zademonstrowania przedmiot konsumpcji. Ale jakże „obsceniczna jest hiperwidzialność, której brakuje wszelkiej negatywności ukrytego, niedostępnego i tajemniczego" – pisze w swoim przejmującym eseju Byung-Chul Han, niemieckojęzyczny filozof koreańskiego pochodzenia. „Obsceniczne są też gładkie przepływy komunikacji, wolnej od wszelkiej negatywnej i n n o ś c i. Obsceniczny jest przymus wydania wszystkiego na pastwę komunikacji i widzialności.

7 Guy Debord, *Społeczeństwo spektaklu oraz Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, przeł. Mateusz Kwaterko, Warszawa 2006, s. 55.

8 *Ibidem*, s. 38.

9 Susan Sontag, *Widok cudzego cierpienia*, przeł. Sławomir Magala, Kraków 2016, s. 98.

Obsceniczne jest pornograficzne wystawiania na widok ciała i duszy”[10]. Wyjaśnić trzeba, że negatywność dla Byung-Chul Hana jest antynomią pozytywności, obowiązkowej dziś postawy w politycznie poprawnej rzeczywistości. Negatywność natomiast to coś nieoczywistego, złożonego, trudnego, przed czym jednak namiętnie broni się współczesny człowiek wytrenowany w szukaniu przyjemności, poprawianiu jakości życia, usuwaniu kłopotów z pola widzenia. Negatywność, czyli wielowymiarowość, niejasność skłaniająca do poszukiwań, coś, co jest ukryte, niejednoznaczne. Tymczasem częścią owego pozytywnego nastawienia jest wystawianie na pokaz, całkowita transparentność wszelkich sfer życia, nawet najintymniejszych, idący za tym zanik dystansu oraz swoista dotykowość płynąca z poczucia „możesz to mieć”, nawet jeśli zapośredniczona monitorem sprawia jednak, iż „niemożliwy staje się estetyczny ogląd lub zatrzymanie się. Postrzeganie taktylne oznacza koniec estetycznego dystansu spojrzenia, oznacza wręcz koniec spojrzenia. Brak dystansu nie jest bliskością. On ją niszczy. Bliskość jest bogata w przestrzeń, podczas gdy brak dystansu niszczy przestrzeń. W bliskość wpisana jest dal. Bliskość jest rozległa”[11].

Jest też bliskość obszarem poszukiwań, przechowywania sekretów, odprawiania misteriów, polem zaciekawienia (ale nie wścibstwa) i patrzenia stereoskopowego umożliwiającego dostrzeganie trzeciego wymiaru. Bliskość, czyli stan widzenia dokładniejszego, pojmowania szczegółu w kontekście ogółu. Stąd dal jako warunek bliskości. I nie idzie tylko o bliskość człowieka z człowiekiem, ale ze światem w ogóle, o czułe i uważne wnikanie w głąb, o usilne i często narażone na niepowodzenia oglądanie zjawisk z różnych stron i perspektyw. Tak powstaje sztuka, tworzy się wiedza, wszelkie w ogóle rozumienie, nie tylko w ciemnej izdebce Spinozy szlifującego przy świecy swoje soczewki i piszącego traktaty, ale i tam, gdzie bohaterowie nie przymnażają ludzkości duchowego postępu, a po prostu starają się żyć mądrze, rezygnując z cudzych wzorów i gotowych klisz, i wypatrują sensu sami. Postępują tak jak radził Husserl, pisząc, że każdy „musi raz w życiu cofnąć się do samego siebie, by obalić wszystkie obowiązujące przesądy”[12]. A więc wejść w mroki jestestwa.

Ale trudu i niepowodzeń nie lubi się dzisiaj – w kulturze szybkiego sukcesu, propagowanej powszechnie szczęśliwości i dobrego samopoczucia są jak nieprzyjemny cień. Może więc sami pozwoliliśmy oddzielić się naszym cieniom? To było nieostrożne. Jak uczony z baśni Andersena nie byliśmy na tyle przewidujący, by nie pozwolić im nas opuścić. Tak traci się serce. Bo ono potrzebuje „mroku i ochrony przed światłem spraw publicznych – powiada Arendt – aby jego racje mogły pozostać tym, czym mają być: racjami i motywacjami najbardziej wewnętrznymi, nienadającymi się do pokazywania”[13]. I dwie strony dalej dodaje w rozważaniach na temat Robespierre’a, który przeniósł konflikty własnej duszy na teren polityki i skutków

10 Byung-Chul Han, *Społeczeństwo ekspozycji* [w:] *idem, Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje,* przeł. Rafał Pokrywka, Warszawa 2022, s. 106.

11 *Ibidem*, s. 107–108.

12 Edmund Husserl, *Medytacje kartezjańskie. Wprowadzenie do fenomenologii*, przeł. i oprac. Andrzej Wajs, Warszawa 2009, s. 4.

13 Hannah Arendt, *Kwestia socjalna* [w:] *eadem, O rewolucji,* przeł. Mieczysław Godyń, Warszawa 2020, s. 149.

tegoż dla rewolucji: „Co było proste, dopóki pozostawało w ukryciu, wydobyte na zewnątrz, musi ulec wykrzywieniu. Serce, zgodnie z własną logiką, wie, jak podchodzić do problemów mroku, choć nie ma dla nich rozwiązania, albowiem rozwiązanie wymaga jasności, a to właśnie jasność zniekształca życie serca”[14]. Dzisiejsza obsesja upubliczniania dosłownie wszystkiego, powodowana zwykłym wścibstwem, ale znacznie częściej aplikowana jako przejaw cnót, w imię uczciwości i dla uzyskania jasności, praktykowana przy powszechnym poklasku i jak się zdaje w dobrej wierze, podobnie jak u schyłku XVIII wieku we Francji prowadzi do hipokryzji, która, jak pisze Arendt, zaczyna zatruwać stosunki międzyludzkie. Zarówno ona, jak i koreański filozof są przekonani o potrzebie cienia. Byung-Chul Han wyraża to tak: „Ludzka dusza najwyraźniej potrzebuje sfer, w których może być u siebie, bez spojrzenia innych. Jej cechą jest nieprzejrzystość. Totalne prześwietlenie wypaliłoby ją, to jest wywołało szczególna formę duchowego wypalenia”[15].

A jednak szuka się światła. Te wszystkie wschody słońca i jego lekko spłowiały blask, kiedy zimą jest ono nisko nad horyzontem, złocista poświata, gdy filtrują ją jesienne liście, i jaskrawy błękit letniego nieba – czuje się całym ciałem, zapisuje w kolekcji pamiętanych obrazów. Natura i sztuka umieją się nim posługiwać jak wtedy, gdy u Belliniego jest ono ciepłe, nadprzyrodzone, a dzięki niemu postaci sprawiają wrażenie przynależących do innego, piękniejszego świata, gdy staje się niesamowite w błyskawicach Giorgione i stwarza krajobraz jak dekorację dla spektaklu granego przez postaci, i u Correggia zanurzającego ogromne partie obrazów w cieniu po to, by jasność pozostałych podkreśliła dramaturgię sceny. Bo „dobre” światło jest sceniczne, to znaczy, że wydobywa sens sytuacji, działa w związku ze zdarzeniem i jego scenografią. W teatrze często boczne z kontrą z tyłu, o różnych natężeniach, barwach i odcieniach, chętnie przyćmione, punktowe, bardzo rzadko pełne, niezróżnicowane. Cień w inscenizacji pełni często funkcję światła à rebours jako obszar wyróżniony, na który wskazuje się specjalnie. Teatr prawdziwego życia i wielkiej sztuki czuje potrzebę światła znaczącego, poruszającego emocje, współtworzącego rytuał, celebrującego wraz z człowiekiem ważne dla niego chwile. Teatr esencji życia i sztuki odrzuca natomiast światło jako technikę sprzedażową, jako li tylko oświetlenie, jako coś do używania, po to, aby było wygodniej, łatwiej, także jako towar podobny do innych dóbr, coraz łatwiejszych dziś do nabycia. Nie chodzi o to, by po prostu widzieć, ale by dostrzec istotę rzeczy. Bywa, że i światło do tego jest zbędne, wystarczy „zamknąć oczy i pozwolić szczegółowi, by sam wychynął na powierzchnię uczuciowej świadomości”[16]. Barthes, który tak pisze, wie, że prawdziwe światło nosi się wewnątrz.

Jesteśmy w pewnym sensie tylko pośrednikami między światłem a cieniem, albo też są one naszymi dwiema stronami: awersem i rewersem. Istniejemy na skraju, jak „pod rzeźbionym portalem kamiennym, / W słońcu, na granicy jasności i cienia”.

14 *Ibidem,* s. 151.

15 Byung-Chul Han, *Społeczeństwo transparencji* [w:] *op. cit.*, s. 95.

16 Roland Barthes, *Światło obrazu. Uwagi o fotografii,* przeł. Jacek Trznadel, Warszawa 2008, s. 102.

I jest się tu „prawie pogodnym”[17], w poczuciu daru światła, ale i jego nadmiaru, w ciągłym niedosycie jasności i potrzebie ukrycia się, odprawiając niekończący się obrzęd przejścia. Stoimy w bramie, jednak nie będąc pewnymi, z której jej strony jest domena bardziej nas pociągająca. Pomiędzy sferą rzeczy wyraźnych, realnych, dopowiedzianych i tą drugą, zasiedlaną przez zjawiska nieoczywiste, wyrysowane nieostrym konturem, przeczuwane zaledwie, takie, których trzeba wypatrywać w mrokach. Szukając siebie w sporze tych dwóch postaci istnienia.

Cienia nie ma bez światła i ciemności rzucającego je ciała. Jest ono specyficznym kontrapunktem między jednym a drugim. Ludzkie jest nieprzezierne, choć są też w nas materie jedynie przesiewające jasność. Wystarczy spojrzeć pod światło na własną dłoń albo na to lekko mroczne zjawisko, które pojawia się, gdy pukiel włosów przetnie promienie słońca. Więc bywamy przegrodą między światłem i cieniem, ale w pewnych okolicznościach możemy je integrować.

Dla tej właśnie dziwnej łączności światła i cienia podoba mi się też baśń Andresena. Jej bohater wie, że „cień lubi, by jego pan był mu parawanem”[18], dlatego przez jakiś czas szuka zguby, a potem, gdy ona wraca, próbuje się z cieniem przyjaźnić. Cień jest w pewnym sensie naszą wrażliwą duchową ekstensją, wymagającą ochrony, ale i odwdzięczającą się nam wewnętrznym bogactwem, rozprzestrzenia się i wydłuża przy odpowiednim świetle i sięga daleko, jak opisuje to mądry Duńczyk, dalej niż my sami. Jest delikatny i chimeryczny. Osobno jednak egzystować nie może i nigdy nie stanie się repliką tego, od kogo pochodzi, co próbuje osiągnąć w bajce cień uczonego. Usamodzielniający się byt jest tylko mroczną – dosłownie i metaforycznie – karykaturą człowieka. Jednak w sprzyjających warunkach w cieniu „wschodzą” nowe znaczenia i pojęcia. Jak roślinki, dla których agresywne, południowe światło bywa zabójcze. Można cieniem ogarnąć obszary niedostępne naszym rękom i oczom. Tam poszukiwać tego, co zginęłoby w pełnym blasku, a potem hodować te delikatne fenomeny. Pozbawieni cienia, jak Andersenowski uczony, nie możemy istnieć dalej, stajemy się czymś, co należy „sprzątnąć”, jak to jest napisane w opowieści.

17 Cz. Miłosz, *Portal* [w:] *op. cit.*, s. 55.

18 H.Ch. Andersen, *Cień* [w:] *idem, Baśnie, op. cit.*, s. 387.



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

URSZULA M. BENKA

O cienioświatłości i kotletach z tyłka Tezeusza

[…] *wnętrze poezji*
jest nieruchome puste
[…] *wyjścia nie ma*[1]

Biel… Bieli ponoć są 43 rodzaje. Każda bez wyjścia, chyba że poprzez jakąś plamę. Aczkolwiek każda barwna plamka to kolor i tak czy owak należy do *summy* plam, do bieli. Im więcej splamień, tym pustka przeczystsza.

A ile jest labiryntów? Tyle, ile poezji, ile psychik.

Technika nadaje nowatorskie funkcje oraz struktury materii i energiom, także relacjom ze środowiskiem i najintymniejszym relacjom międzyludzkim: wszystkie one stosują się do wymogów techniki. W minojskim micie o labiryntalności technika nadała nowe struktury i energie chaosowi, a w następstwie tego również i ekstazie.

Pewnego więc razu inżynier Dedal umożliwił królowej Pazyfae, żonie Minosa, upragniony seks z bykiem – w tym celu wykonał makietę krowy, w jakiej schowana Pazyfae dała się pokryć bez uszczerbku dla zdrowia. Kolejnym wynalazkiem nałożył Dedal granicę zwyrodniałemu owocowi tej zachcianki, lecz uczynił granicę labiryntem.

Dwa dokonania inżynierskie, dwa ogniwa w łańcuchu labiryntalności. Pierwsze z nich wprowadzało w błąd, kierując namiętność na powierzchowne podobieństwo. Łagodziło impet tego, co rzeczywiste. Drugie z dokonań wręcza istną matnię uporządkowania chaosu, iluzję Chaosu. Razem złożyły się na coś, co grozę rozprzestrzeniło „transkontynentalnie", bo aż z Aten zwożono ofiary potworowi. Jego zabójcę ocaliła królewna Ariadna nicią skręconą – to trzecie dzieło – przez Dedala. Gdy więc Minos dowiedział się o zdradzie, wpadł w gniew i do Labiryntu wtrącił teraz Dedala niczym kolejną bestię, błąkającą się w cielsku potwora osobiście wynalezionego, własnoręcznie zrealizowanego. Właśnie tam, na którymś z urwanych na niebo kaskadowych tarasów Inżynier zmontował skrzydła.

Inicjuje on bowiem **sztuczne ciała**. Dla Pazyfae. Dla Minotaura. Dla siebie z synem. Zauważmy, że dla Minotaura gmach był – otulając go sobą –na nowo niejako matczynym łonem. Pazyfae ukryta w udającej ciało, miedzianej blasze albo drewnianych deskach makiety natartej krowim śluzem pochwowym oraz zakamieniała w mnóstwo ścian zatrzaskuje każde z „dzieci" w „jądrze dezorientacji". Minotaura, który jawnie odstawał od normy, przy czym jawną była jego geneza, dało się usunąć jakby tylko po to, aby zwolnić miejsce dla Dedala, bestii już dwoistej (Ikar to jego drugie ja), ta zaś jest już szanowanym obywatelem. Skromnym, pracowitym, kreatywnym. Trudno przecenić jego wkład w świetność cywilizacji i nie współczuć mu. Mit zarazem oznajmia, że zabiwszy rozpoznane zło, tkwimy w konstrukcjach, z których każda przedstawia techniczną perfekcję. Arbitralną jednak. Sztuczna cielesność „skrzydła" przy nadmiernym uniesieniu rozpada się na wirujące śmieci, przy niskim zaś zlepia w ciężką kluchę. Nie jest narządem, nie uczestniczy we właściwej żywym organizmom zniuansowanej informacyjnej osmozie – ona z nią koliduje. Skrzydło pojawia się, powtórzę, w jądrze **dezorientacji**. Innymi słowy, mit wyłuszczył tu, iż posiłkując się wzlotem sakro-podobnym, bez kontaktu z ja, ignorując świat, tak lub inaczej uśmiercamy swoje „dziecko", uznawszy je za jakieś koszmarne zagrożenie albo rozpaczliwą naiwność.

Nić to antylabirynt. Labirynt umarł, kiedy nić wniknęła weń i przeszyła go na wskroś, od wejścia aż po cios w Minotaura. Też powstała z najlepszą intencją niesienia ratunku.

Pozbawiony nici (prościutkiej instrukcji, jak w labiryncie funkcjonować), opustoszały gmach odzyskał więź z tym, co niebiańskie. Dedal przywrócił ją cudem technicznym. Zaoferował, śpiewali aojdowie, lot ani napędzany mocą ducha własnego, ani wniebowzięcie– bo w przypadku Ikara nastąpiło, jeśli tak wolno się wyrazić, wziemiowzięcie. Lotnie wniósł nic do wiedzy sprzed startu. Odjął doświadczeniu ekstazy *„fakt religijny" jako fakt religijny – a nie na przykład społeczny czy psychiczny*[2]; tym, co Dedal odjął, była sama przez się świętość wyjścia poza horyzont rozumu. W swoim aspekcie Ikara pomylił urąganie rozumowi z uwolnieniem odeń. Katastrofę powoduje zlekceważenie bogini fizyki, Physis – ta dla orfików była Macierzą, nadto bliźniaczką (żeńskim ja) Fanesa.

Gdyż Ikar jest parodią Fanesa: powoduje nim właśnie „fakt psychiczny" – niezgody mianowicie na labiryntalność, w jakiej finalnie się **odnalazł**, a jaką w swoim *aspekcie Dedala* powołał do istnienia, po czym użyczył potwornościom (dopomógł im zaistnieć: bez pomysłowej „krowy" nie byłoby Minotaura).

W mitach porzucanie miejsca oznacza albo podróż duchową, albo rozpad ze znamionami narcyzmu, schizofrenii i hipokryzji, które szacownym jednostkom

1 T. Różewicz, *na obrzeżach poezji.*

2 Por. M. Eliade, *Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy.*

pozwalają na nikczemność z czystym sumieniem[3]; dopiero po osobistym doznaniu *labiryntu* nachodzi je pomysł, aby uciec. Uciec gdzieś hen – wtedy udają ptaka. Fanes natomiast, który sam wykluł się z jaja Kosmosu, był ojcem rzeczywistych ptaków. Dedal z synem obrazili jednak Physis wcale nie występkiem poza kordon fizyczny. Ikar sięgnął w najzupełniej obcą metafizyce, skierowaną na konkretny cel, *ezoterykę na sprzedaż*[4]. Podczas lotu ścigał jakąś cudną zjawę, która wywabiła go poza bezpieczne parametry. Ten szczegół jednak odsłania wątek godów, w jakich oblubienica zmienia się w zabójczynię. Ikar-oblubieniec zamiast „godowej szaty" (Trzeciego Oka otwartego ku zmysłowości, a zatem współczuciu) ma skrzydła mechaniczne, protezy.

Czytelnik pamięta o Godowej Szacie [Mt 22, 1-14]: pewien król wysłał sługi, aby zaprosić kogo popadnie na wesele, wszak jeden z gości zjawił się ubrany w coś, co zupełnie nie licowało z misterium, jakim błogosławi się ekstatyczne doznania ciała i spłodzenie nowego życia. Ów więc weselnik został związany i wyrzucony za drzwi, *w ciemność.* Pewien otóż nadal szeroko znany weselny obyczaj uczula na dwuznaczność i samego incydentu, i strącenia. Chodzi o wymyślne przeszkody, tzw. *bramy*, stawiane na drodze pana młodego do panny młodej, a później młodej pary do kościoła i na przyjęcie; im więcej takich przymusowych postojów, tym lepsza wróżba. Skandal na ewangelicznej uczcie ma znamiona próby dla inicjowanych, bramy więc. O nowożeńcach w przypowieści ani słowa, natomiast nieodpowiedni, odmienny, zdumiewający strój stawia Niegodnego w środku uwagi, nadając mu rolę celebransa rytuału przejścia do jasności przez ciemności. Plamy na jego ubraniu to znaki wyjścia z matni asemantycznej bieli świeckiej poprawności. Dom weselny okazuje się sanktuarium, gdzie najciemniejsza komora kryje łożnicę jako podziemny ołtarz, gdzie brzmi echem: „i na złe!" oraz „do śmierci!"[5]. W progu nowożeńcy wypijają duszkiem z kieliszka, który muszą natychmiast odrzucić, aby roztłukł się w drobny mak[6]. Jak kryształ niepokalania panny młodej. Jak Ikar.

Ikar wziemiowstąpił niczym w łono oblubienicy, spadł rozpryśnięty w narkotyczne nasiona, na podobieństwo genitaliów Kronosa, z których narodziła się Afrodyta. To oczywiście romantyka Ikara, przy którym Dedal okaże się nie tyle chtoniczny, co przyziemny, a wręcz „zręcznie wykonany", „zręcznie wykuty" (zauważmy stronę bierną czasownika w imieniu *Daidalos*) zleceniobiorca, ba – coś w rodzaju robota, stosowanego – czytamy w XXXI pieśni „Przemian" Owidiusza – do *poprawiania natury*, a w konsekwencji instalowania technosfery również sakralnej. U Owidiusza

3 Mit dotyka okoliczności przybycia Dedala na Kretę. Otrzymał on azyl, gdyż w rodzinnej Attyce był ścigany za morderstwo. Jak wielu zbiegłych zbrodniarzy na nowym miejscu staje się aż nadgorliwie „szarym poddanym", używanym przez władze do tajnych poruczeń. Wspomniane morderstwo miało uwolnić Dedala od zdolniejszego konkurenta na rynku inżynierii, a usprawiedliwić się oburzeniem na lubieżne życie ofiary. Ten sam więc moralista umożliwi Pazyfae odrażający stosunek z bykiem.

4 Odwołuję się do pracy Agnieszki Kowalczewskiej pod tym tytułem; autorka bada zjawisko urynkowienia ezoteryki w obecnej popkulturze.

5 Same pokładziny i nawet akt „spełnienia małżeństwa" na średniowiecznych dworach stanowiły rytuał, do jakiego dopuszczano świadków, w tym wysokie duchowieństwo.

6 Niepęknięty kieliszek na zaślubinach Maryny Mniszchówny z Dymitrem Samozwańcem w Soborze Uspieńskim patriarcha natychmiast sam rozdeptał.

oklaskuje Dedala *ptak wcześniej nieznany* – kuropatwa. Oklaskuje skrzydłami istoty, która lata, owszem, ale nisko, ciężko, niedaleko, po prostych odcinkach i z hałaśliwym trzepotem. Skoro jednak o micie mowa, o rozpoznaniach natrafianych także w trakcie snu, warto, myślę, brać pod uwagę perspektywę wniesioną przez Carla Gustava Junga. Przypisanie technice *mocy poprawiania natury*, swoistego *leczenia natury* wiąże się z faktem, iż *rozumienie może przybierać nader jednostronne formy*, *jeśli to lekarz rozumie* [schorzenie – UMB], *nie zaś pacjent*[7]. Lekarz myli się z chwilą **przejęcia prerogatywy „rozumienia"**. *Antycypując rozwój pacjenta, powstrzymuje proces jego rozwoju.*

Kulturę Zachodu (minojski u jej zarania mit nie pozostawia złudzeń: jest ona technozoikiem) cechuje produkowanie sugestii na poziomie zdrowia, religii, erosa, nauki, mowy, sztuki, zabawy i wojny, nadające wyższość moralną, wręcz metafizyczną ich nadawcom, adresatom zaś niższość, skalanie, zatwardziałość i nieokrzesanie: przy współudziale całego społeczeństwa jest *naruszana autonomia charakteru* adresata. Zawsze standaryzowanego i zmuszanego wykupić sobie prawa do bycia w jakimkolwiek sensie inną wersją. Przenoszenie kapitalistycznych mechanizmów na inne obszary poza konsumpcją sprawia też, że do adresatów sugestii podchodzi się jak do produktów w sklepie z tą różnicą, że przy takiej strategii (będącej selekcją elementów kulturowego mechanizmu) każdy adresat staje się zleceniobiorcą, toteż swoich z kolei adresatów *chciałby pozbawić owej samodzielności, przynajmniej na jakiś czas*[8], tyle że w asymilacji tego, co autonomiczne, *nie chodzi o jakieś albo-albo, lecz o albo i albo*[9].

Idea uskrzydlania techniki niszczy cudze wytwory umysłowe i duchowe jako chorobotwórcze zarazki. Ich opór z kolei ściąga na półrzeczywiste piętra, gdzie spodziewamy się ataku i próbujemy go ubiec, choćby tylko zamarciem nieruchomo za którąś ze ścian. Podobnie konkludował teoretyk komunikacji społecznej, Neil Postman, w pracy „Technopol. Triumf techniki nad kulturą": technika unicestwia duchowe i logiczne instrumenty diagnozowania spraw, wypacza ogląd, zatruwa źródła człowieczeństwa w obsesji tworzenia sztucznych odpowiedników dla niewidzialnych procesów w obrębie ludzkiego umysłu. W istocie – konstrukt ożył. Niczym magiczna lalka, ożył w łono karmiące Minotaura, Dedala, Ikara. Konstruktu można użyć do zabawy, seksu, medycyny, do wojny jako społecznej medycyny, produkować „lalki" w nas zakochane lub w miłości oraz mistyce nas wyręczające, jako źródła uświęcającej łaski.

Spełniony dzięki *techne*, ekstatyczny akt Pazyfae (imię znaczy *wszystko opromieniająca*; promieniowanie umie zabijać)to projekt zwierzęcości powstałej przez manipulację estrogenem, a więc pomimo nieorganicznego tworzywa genetyczną – w ryzach technosfery, choć Pazyfae zdaje się naprawdę szczerze wołać: „Byk to uznaje i odwzajemnia moje instynkty!".

7 C.G. Jung, *O istocie snów*, przeł. R. Reszke, Wydawnictwo KR-Wydawnictwo Sen, Warszawa 1993, s. 39. W kulturze Zachodu technika została lekarzem, a reszta populacji oraz środowisko pacjentem.

8 *Ibidem*, s. 39–40.

9 *Ibidem*, s. 51.

Akt dokonał się na ustronnej plaży. Królowa podkasała tunikę do wysokości brzucha i przeszła tam w bród przez płytką lagunę. Głazy, różowy piasek ze skruszonych muszelek i koralu, lekko świecący. Najeżone gwiazdami niebo. Dotykała granicy tego, co wodne, i tego, co ziemiste. Poczuła dreszcz i wsunęła się w makietę, uniosła uda, oparła je na zmyślnych półeczkach, przycisnęła się jeszcze sromem do otworu, przez chwilę jakaś gwiazda, może konstelacja, odbiła się w zwilgoceniu jak w lustrze. A w następnej już dopadł jakiś cień, odepchnął niebiosa jednym ruchem gorącego tyłka.

Motyw labiryntu przetwarzano aż po jego prostą postać, mianowicie meandra, czyli ciskania się na boki między dwiema asymptotami; chrześcijanie labiryntalność kojarzyli z wilgocią, kobiecością i pokusą[10], z karą tedy. Choć i z krzyżem, ale o tym za chwilę. Widzieli w Ariadnie wybawicielkę pożyteczną tylko na określonym etapie – niczym jedna z sal labiryntu: trzeba ją opuścić, bo inaczej zamieni się w grób. Ponoć na Naksos, gdzie zawinęli z powodu gęstej mgły, dziewczyna zasnęła, a po chwili już Tezeusz nie potrafił wypatrzeć jej pośród bloków kamieniołomu marmuru, bał się też, że została porwana – na wyspie coraz to natykano się na ślady neandertalczyka i wcześniejszych hominidów, do złudzenia wszak przypominających odziany w skóry zwierzęce orszak Dionizosa. Tezeusz odtańczył więc z niedoszłymi ofiarami Minotaura taniec „polegający na wielce skomplikowanym krążeniu, wyobrażającym pokrętne ścieżki Labiryntu”[11], po czym w miejscu jej snu wzniósł świątynię; z budynku pozostała do dzisiaj jeno brama, sanktuarium zamieniło się w bramę, w wejście lub w wyjście. Minojski mit powiada jednak, iż Tezeusz świadomie pozbył się Ariadny jako pragnącej jedni z Dionizosem. Analogicznie konstruktor pozbył się ekstatyka, jego archetypowy Ikar bowiem ujawniał rozsypkę atrapy uskrzydlenia. Dedal kształtuje atrapy po to, by „fakty archetypowe”, sakralne znikły pod naporem *faktów społecznych*, atrap rzeczywistości, w imię których oducza się każdego z nas zachowań spontanicznych. Sam Platon odkrywszy idee, obudował je co prędzej konstrukcjami *formy doskonałej* praw, mówienia, obcowania z muzyką, wreszcie funkcjonowania szkolnictwa (kultury obcowania z informacją oraz niewiadomą), a wreszcie sztuki i wojny. W Platońskim państwie eros ma na celu przysparzanie podatników, a miłość ich sprawność.

Ten upadek myślenia Platona z filozofii w inżynierię społeczną przypadł na czas tuż po wojnie, która przez 27 lat dewastowała całą Grecję, Azję Mniejszą i Sycylię, sięgnęła Tracji, Macedonii, Epiru i Półwyspu Apenińskiego. Platon rósł pośród lęków, pośród traum, które zawsze deformują *sensus sacralis* w imię jakiegoś – możliwie ścisłego – reżymu. Ujrzał tedy *idee*, będąc w stanie podobnym do urwanego lotu mistyka. Zainicjował ujmowanie świata w siatkę założeń, w labirynt filarów, podstaw i tunelowych przejść z punktu do punktu, by w sercu dezorientacji wzlatywać na skrzydłach kleconych z idei jako prawdziwych przecież piór. Technosfera sprawia, że wszystko, co jeszcze naturalne, zdaje się metafizyczne.

10 W. Kopaliński w *Słowniku symboli* pieczołowicie wymienia: spółkowanie, vulvę, grzech, podziemną krainę zmarłych, piekło, ból.

11 P. Grimal, *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*, Ossolineum 1987.

Rozpad atrap rzeczywistości to *gody w powietrzu*[12]. Rozpad jest weselny, ekstatyczny. Po pierwsze, przywraca kosmosowi rzeczywistość. A po drugie, bo **dramat upadku i rozbicia też był samoobronną konstrukcją** Dedala, który romantyką Ikara przykrył podróżowanie w niebo, gdzie wcale mu nie chodzi o Niebo. Ariadna jednak uosobiła sferę snu. We śnie wszystko jest krańcem, a zarazem przekroczeniem, wykroczeniem, przestępstwem, granice zaś ożywają – może gibkie węże minojskiej bogini to jakieś wędrowne stada granic? Ściany labiryntu zrzucające skóry albo maski, rozłażące się czasem wolno, czasem w drgawkach jak robaki na mięsie, na czole królów zaczajone w diadem i tak, aby brano je za Trzecie Oko?

Zapytam więc, czy Dedal w ogóle był w stanie dać początek fenomenowi labiryntu. Jeśli bowiem źródłem labiryntu był Dionizos – bóg tego, co żywe, nieokiełznane, a według Nietzschego – tego, co prawdziwe, a co apolliński duch próbuje wyprzeć, rozjaśnić i wyjaśnić, sprowadzić do kunsztownej zagadki, do technologii zagadki, to Dedal wykonał dla Minosa **atrapę Labiryntu**, tak jak wcześniej krowy dla Pazyfae. Ariadna się budzi, odkrywa, iż zupełnie jak we śnie albo w literach zapisu widać jaskrawą różnicę tego, co jest, od tego, czego nie ma. Odżywa pośród dionizyjskiego brudu, przy kamieniołomie. Dionizyjskie zbawienie świata ma w sobie coś z recyklingu.

Możliwe, że właśnie dlatego Dionizos „przybył do Aten” dopiero całe wieki po Minojczykach, ponieważ archaiczny i pratechniczny widnokrąg sakralny był Dionizosem, a tym samym Kosmosem, choć może zresztą czymś jeszcze starszym. Czymś, co streszcza się w idei pisma, czyli sypniętych hojną garścią właściwości wszystkiego, co istnieje, a zatem znaków, a zatem plam niczym litery – i wyjść z Labiryntu, jakkolwiek zarazem i wejść w labiryntalność.

Wyłącznie śniący i czytający widzą treści snu lub zapisu[13]. Czytać to znaczy tropić oczyma *obecność niewidzialnego*. Wyraz „książka” w starożytnej Italii był imieniem boga fascynacji, ukazywanego jako fallos tryskający, któremu oddała się Ariadna, aby ją przeniknął, a jej nić ma w sobie coś z węża muskającego brzuchem wnętrzności Labiryntu, te wszystkie jego waginy-schowki pulsujące jak znak zapytania. W erotyce identycznie: *ten, kto kocha* – powtórzę za Quignardem – *namiętnie, zagląda ukochanej głęboko w oczy. Ten, kto zagląda ukochanej głęboko w oczy, odkrywa w nich obraz samego siebie, i zaczyna się bać*. Labirynt w micie ujrzał Nić i w tym samym momencie stał się pusty. Ujrzał Nić, granicę w postaci ciągu punktów bez wymiaru, ciąg niewymierności. Tyle że Nić i Ariadna to twarz i odbicie w lustrze.

Labirynty starożytne wyrażano figurą węża; wąż zmienia skórę niczym maskę, co czyni ze świata (obsesji granic) *teatrum mundi*. Wieki później, na posadzkach kościołów labirynty miewały formę krzyża – nazywano takowe węzłami Salomona, w przeczuciu, że krzyż jest labiryntem *po prostu*. Miał być wynoszony *ponad*. Jak Bóg wszechobecny, bez początku ni końca, bez przyczyny. Ogniskuje poziom i pion, i wabi w przejścia do coraz dalszych pomieszczeń, a więc nieciągłości w litej dotąd

12 Cytat z poematu George’a Byrona *Ziemia i niebo*, [w:] C.G. Jung, *Symbole przemiany. Analiza preludium do schizofrenii*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1998, s. 155.

13 P. Quignard, *Liber,* [w:] *idem, Seks i trwoga*, przeł. K. Rutkowski, Warszawa 2002.

„ścianie tego, co oczywiste". Oznacza to dostrzeganie przerw, luk. Ujrzenie struktury jest ujrzeniem pustki oddzielającej – niczym mur – segmenty konstrukcji.

Oto Ariadna spojona miłośnie z Tezeuszem wyjawiła mu tajemnicę Labiryntu i nie było na ten moment między nimi tajemnic – po czym ich ciała się rozsunęły, zaspokojone, ich jaźnie też się rozsunęły. A im bardziej się od siebie oddalali, tym więcej w luce między nimi przybywało Dionizosa. Stawało się go tak pełno, że najpierw to było bolesne, upokarzające, łkające, a następnie coraz bardziej dotykalne, muzyczne, cielesne, pieszczotliwe, rozkoszne, ponadto coraz bardziej złożone, bo okazało się jednocześnie i Dionizosem, i orszakiem osłów z bukłakami wina na grzbiecie, i oślicą, na jakiej kiwał się posypany kwiatkami Sylen, i osobno gromadą menad strojnych w świeżo zdarte skóry jeleni, gromadą satyrów, wymachiwaniem kielichami, kręceniem ogonami do rytmu dzikich pieśni, wywijaniem tyrsami owiniętymi latoroślą; tyrs przywodzi na myśl węże w garści. Węże zresztą żywe pełzały po kielichach, bo bachantka nie chce atrap. Dionizos dosiadał tygrysa, nosił opończę ze skóry tygrysa: łopoce mu ona u ramion, to oczywiście płynna granica tożsamości –takim ukazał go Michał Anioł na posągu, i nie inaczej pokazał apostoła-męczennika Bartłomieja, który z kolei trzyma w ręku własną, obdartą zeń skórę. Niczym granicę ludzkiego ja oddzieloną od cielesnego ja tak, aby oznajmić, że pomiędzy rzeczywistością pochwytną a granicą samą w sobie rozpościera się pusta przestrzeń, a nadto, że granica to jeszcze i linia jak nić, i płaszczyzna łopocąca, na jakiej proste równoległe się przecinają. Sam Dionizos Michała Anioła to, znowu, nie żadna kreacja, lecz prastworzenie. Buonarotti notował w sonecie: *nie ma takiego pojęcia / Co by w marmuru łonie już nie tkwiło; Byle wiedziona dłoń myślącą siłą / Umiała głazom zadać trafne cięcia*.

Opisuję po prostu Dionizosa narastanie między Tezeuszem i Ariadną. Z perspektywy Tezeusza narastało aż po wędrówki na Argo, po spotkanie Medei bratobójczyni jak Ariadna, której imię wszak znaczy Święta Oczywistość. On sam zginie roztrzaskując się gdzieś w pustkowiu gór na Skyros. Nikt tego nie zauważył, zaznacza Grimal. Jak śmierci Ikara na obrazie Bruegla.

Przelewają się te granice jak linie ciał chwiejne w kontrapoście, jak obłe ich zarysy, bo zwłaszcza zestarzały i otyły Dionizos upodabnia się do kobiety, istnej Wenus z Willendorfu.

Na posągu jest muzyką, on i jego hałaśliwe, wulgarne, zlepione ze sprzeczności halo: satyrowie to pół ludzie, pół kozły, przywodzą na myśl pół człowieka, pół byka, które to istoty rozpoznajemy na nocnym firmamencie. Nocą kosmiczna pustka potrafi się zaroić od skorpionów, lwów, raków, panien, ryb, węży, smoków, baranów, koziorożców, syjamskich bliźniąt, wodników, strzelców, psów, wychlipnięć mleka z piersi bogini. Trafne cięcia zadane niebu ponadawały Kosmosowi każdy z tych hieroglifów. Mamy więc zatoczone wielkie koło, labiryntalne, bo i sam Dionizos również „dzielił się", dwoił i troił. Na dzieciątko rozkawałkowane i gotowane w kotle, na młodzieńca o długich lokach z fresków Krety. Koziołkuje w salto mortale, łapie oburącz woltyżerkę, napawa się wonią fiołków, konwalii, ligustru, mięty i czystka. A na sztychu Hansa Baldunga legł goły, wsparty o satyrzątka pulchne jak amorki, jeden nawet siusia mu na zamroczoną głowinę; struga siuśków tworzy oś

dzieła. Inny malarz oddał go okrakiem na koźle, z gołymi pośladkami satyrów na pierwszym planie. Jednak przeistoczenie wody-macierzy w wino, a koniec końców w odchody to misterium.

Labirynt minojski! Przewiewne kolumnady o zwężonych bazach, muzyczne schody z piętra na piętro, malowidła, z których żadne nie przedstawiało scen wojny ani postaci hegemonów; wyjątkiem był topór o podwójnym ostrzu, rzeźbiony też na ścianach, cokołach i słupach. Zamiast militariów i regaliów ukazywała się bogini życia o talii osy, strojna w falbaniastą krynolinę i stanik odsłaniający piersi, z wężem w każdej z uniesionych tańcem dłoni. Kwiecie wydawało się pachnieć, dudki, przepiórki, gołębie śpiewać. Sale dzieliły delikatne alabastrowe progi, a ezoteryczne posadzki, powtórzę, żonglowały plamami, ideą splamienia: każdy pigment, każda figura, każda konfiguracja i każde tworzywo jak kryształ górski, lazuryt, serpentynit, miedź, złoto były nasycone znaczeniami tak, że idąc labiryntem, wpływało się, niczym w dym albo mgłę, w jakowyś tekst, wpisany *we wszystko*. Cofając się, napotykało się ów tekst wspak, podobny do modlitwy chłopów i wiedźm chrześcijaństwa albo do raków, renesansowego gatunku wiersza nęcącego dowcipem, autoironią, przekorą, sowizdrzalstwem. Co oczywiście kłóciłoby się ze stereotypem labiryntu jako beznadziei. Możliwe też, że ów tekst-mgła zawierał twarde, unieruchomione palindromy, jak choćby *zakaz* albo *oko*. Labiryntalny tekst więc poznawany całym sobą, wchłaniany pełnią zmysłów. Aż po eksplozję. Bo, **skoro labirynt był wszędzie, to i wyjście zeń, choćby tylko jedno jedyne, było wszędzie**.

Zarazem nie istniało – mijamy zbawcze drzwi jak niewidzialne, ponieważ nie umiemy ustalić etiologii swojego problemu. Nić Ariadny wyzwalała tym, że naprowadzała na punkt wyjścia, ku przyczynie – punkt wyjścia połączył Tezeusza na powrót z jego punktem dojścia: był nim, jak usilnie podkreślał Plutarch, okręt. Ktokolwiek ujrzał te czarne żagle, popełniał samobójstwo – skacząc z symbolicznego samoobronnego muru miasta, co jak czarna dziura ściąga produkty materialne i intelektualne z najdalszych zakątków globu oraz niebios, gdyż nawet i bogowie instalują w nim swoje wynalazki, udzielają objawień.

Tezeusz pozostawił Labirynt, nie naruszywszy ani stropów, ani ścian – cisnął czerwono zabarwiony kłębek lnu przez reling do morza. Jako on i nie on, bo w dniu podjęcia wyprawy (gdyby to podliczyć) jeszcze się nie narodził lub był dzieckiem. Przemierza krainy, jak gdyby poszukiwane punkty wyjścia mnożyły mu się, rozbiegały na boki. Każda z jego wypraw to kolejny korytarz uwieńczany ścianą pełną drzwi. Każdej z tych ścian, każdemu wejściu szepce głosem rzymskiej arystokratki z „Metamorfoz" Apulejusza – do Osła: *Tylko ciebie pragnę, bez ciebie żyć nie mogę*. Oto odwdzięczając się Pejritoosowi za wyświadczoną kiedyś pomoc, zszedł z nim do Hadesu, by pomóc mu w uwiedzeniu Persefony. Gdy Hades dowiedział się o ich zamiarach, zostali skuci „wężowymi splotami" i posadzeni na Krześle Zapomnienia. Było ono z rozpalonego metalu. Tezeusz zerwał się na równe nogi, oddarły mu się jednak zesmażone pośladki. Jakiś fragment jego granicy fizykalnej spłynął lub opadł pyłem drobinek, wianych wiatrem. Labirynt uczulał, że wszelki nadmiar jest ubytkiem. Ramy dla zła po to, aby było bezpieczniejsze, to ingerencja w strukturę, przejaw nadmiaru, dodawania złu niewymiernych punktów tworzących *limes.*

To ingerencja w pustkę zatem. Według IX-wiecznego filozofa, Jana Szkota Eriugeny, pojęcie natury obejmuje „to, co jest i co nie jest", czyli byt i niebyt: bytem jest to, co jest poznawalne zmysłami bądź intelektem, niebytem zaś to, co wymyka się temu poznaniu. Dodam: a ponieważ wszystko w swej istocie wymyka się poznaniu, zmysłami jest zaś jedynie odkształcane, to wszystko jest niebytem. Tak, jakby Bóg Onego czasu rzekł: *niechaj stanie się niebyt.*



Jan Mikołajek, *The Space,* 2015

MARIAN KISIEL

Dziewięć mostów

Wykradłem cię ciemności,
niosę przez dziewięć mostów.

Most pierwszy
i wiatr rozplótł ci włosy.

Most drugi –
szum rzeki przypomniał znany dźwięk.

Most trzeci –
zerwałem pączki pachnącej leszczyny,
znikną cienie, które masz pod oczami.

Most czwarty –
słońce rozogniło policzki.

Most piąty –
stąpamy cicho, by nie spłoszyć sarny.

Most szósty –
stado gęsi coś krzyczy do nas z oddali.

Most siódmy –
jeśli go przejdziemy, będą nasze
przestrzeń i czas, który nam zabrano.

Most ósmy –
byle dojść, byle wytrzymały ręce,
na których cię niosłem przez wszystkie poprzednie mosty.

Wykradłem cię ciemności,
przynoszę światłu,
jeszcze tylko dziewiąty most.

Kto zburzył dziewiąty most?

Zobaczyłem umykający cień
i brak twojego ciała na rękach.

Cienie

Lampa naftowa i pełgający cień,
ognik knota, czuły na każdy powiew,
przesuwa go po ścianach, przegania
i przywołuje, rozrywa na małe ameby,
to znów scala w potężnego ducha.

Oczy chłopca pełzną za cieniem,
czuwają, by nie położył się na kocyk,
pod którym rośnie lęk, drżą nogi,
ktoś szepcze z kąta, by uciekać.



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

ROBERT GAWŁOWSKI

Cień Heraklita

(fragmenty)

Pętla

Być może śniłem, a być może zdarzyło się to w innej przestrzeni i w innym czasie, gdzieś poza t y m czasem. Oto jadę w przeszłość, między kolumnami, pod dom Heraklita, gdzie pętla „zerówki" ma swój przystanek. Dlaczego jednak tramwajem i dlaczego pod dom Heraklita? Dlaczego spotykamy się w miejscu tak szczególnym, gdzie tramwajowa pętla, jak symboliczna pętla czasu? Dlaczego numer tramwaju niemalże pachnie nicością? „Zerówka" – czyżby zatem Nic?

A cóż robi zagadkowy mędrzec? Liczy, pisze, powtarza obmiary, albowiem nie odkrył jeszcze, „dokąd płyną chwile". I być może wie, że tego nie odkryje, być może wie, że to jest nie do odkrycia. Obaj jesteśmy tylko cieniami. Mój cień obok cienia samotnego Heraklita, w jakimś pustym, chłodnym pokoju. I ta chwila… Zdaje się trwać nieustannie. Ba, i teraz, i zawsze tam jesteśmy.

Stojąc przy nim, czyż mogę wiedzieć, że żyje życiem odludka, źle bowiem zawsze znosił towarzystwo innych? Czyż mogę wiedzieć, iż nie miał bezpośrednich nauczycieli i chełpił się, że sam zdobył swoją mądrość? Spoglądając cieniowi przez ramię, widzę, jak mozolnie kończy swoje dzieło. Będą mówić, że pisze niezrozumiale, lecz…? Czyż rzecz o naturze, którą właśnie kończy, jest niezrozumiała? Czy doprawdy jest tak „ciemną i zakrytą"? Może to szyfr przeznaczony li tylko dla wtajemniczonych? Przecież jeszcze nie raz, nie dwa będą się kłócić czy to o aforystyczne skłonności, czy też o melancholię cienia, która to sprawiła, że spore części dzieła pozostaną, na zawsze, niedokończone. Powie to Teofrast, powtarzać będzie i Diogenes. Czy zrozumie to ktokolwiek z Efezu, że oto ziomek Heraklit ponad Talesem staje, że i Anaksymander, i Anaksymenes – mniejsi? Czyż jednak o sławę i wielkość tu idzie? Bardziej niż one, ważą – jego myśl i styl owej myśli.

Na tych, którzy wstępują do tej samej rzeki, napływają coraz to nowe wody… Do tej samej rzeki nie można wejść dwa razy i nie można dwa razy dotknąć tej samej substancji w tym samym stanie, gdyż wskutek gwałtowności i szybkości jej przemiany rozprasza się i znowu łączy, zbliża i oddala… Do tej samej rzeki wstępujemy i nie wstępujemy, jesteśmy, ale i nie jesteśmy…[1]

1 Cyt. za G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. 1, *Od początków do Sokratesa*, przeł. E.I. Zieliński, Lublin 1999, s. 94.

PANTA RHEI – wszystko płynie. Wieczna jest zatem zmienność wszystkiego.

A jednak nasza chwila w czasie, Heraklicie, trwa. Zza okna dobiegają głosy ze stadionu, na arenie wciąż zmagania, na trybunach smakołyki i wino. Amfiteatr pachnie młodymi chłopcami i pieśń się wznosi ponad nami. Apollodor pisząc o tobie, notuje: *W kwiecie wieku męskiego był podczas sześćdziesiątej dziewiątej Olimpiady…*[2], ale ty…? Uciekasz od zgiełku, by stawiać czoła temu, co jest *wieczną przemianą!* Czyż jednak, Heraklicie, nie widzisz, że przeciw tobie Kratylos staje?! I jakże on szydzi, jakże ci urąga. Wnioski jego, na pozór grzeczne i spokojne, odbierają ci rację. Ale patrz, przestał mówić. Tylko palcem porusza. Wiesz już, co to oznacza. Heraklicie, on powiada: *nie można nawet raz wejść do tej samej rzeki, bo jeśli wszystko przemija, nie jest możliwym poznanie jakiejkolwiek rzeczy.* Cóż widzę? Twój cień się uśmiecha? Twój uśmiech tajemny, wykuty niby w kamieniu. Dziś powiadają, że ta herma pochodząca z Efezu to – doprawdy – ty…! Płaszcz, zdaje się, ten sam. Ale… Cóż za tabliczki pod nim skrywasz? Pozwól przeczytać.



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

2 Zob. D. Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, przeł. I. Krońska, PWN, Warszawa 1984; cytowane fragmenty na stronie 509 wydania internetowego: https://www.academia.edu/34844350/Diogenes_Laertios_ywoty_i_pogl_dy_s_ynnych_filozof_w_1_.

Rzeczy zimne się ogrzewają, ciepłe się oziębiają, wilgotne wysychają, a suche stają się mokre… Młody się starzeje, żywy umiera. Wojna jest matką wszystkich rzeczy i wszystkich królową.

I składając greckie znaki, litera po literze, odczytuję znaczenia.

Rzeczy przeciwne łączą się, a z różniących się od siebie powstaje najcudowniejsza harmonia i wszystko powstaje przez walkę. Nie rozumieją tego, jak coś, co się z czymś nie zgadza, zgadza się ze sobą. Wszak istnieje harmonijne połączenie działające w przeciwstawnych kierunkach, jak w łuku i lutni. Jednym i tym samym jest w nas żywe i umarłe, to, co czuwa, i to, co śpi, młode i stare, ponieważ rzeczy stają się po swej zmianie tamtymi, a tam te po swej zmianie stają się tymi. Z wszystkiego jedno i z jednego wszystko[3].

I żłobiąc w glinie, czyż wie Heraklit, co powie, nieznany mu, czcigodny i oświecony mistrz Lao Tsy? Mówiąc, że Bóg jest harmonią przeciwieństw, nie przeczuwa nawet, jak blisko mu do mędrców Wschody i do pewnego poety, co ponad wszystko stawiał samotniczość, co przede wszystkim – być może za Heraklitem – powiedział: „płynie i płonie".

Cień obok mnie nie ustaje w pracy. Pisze i pisze.

Przemiany ognia: najpierw w morze, a następnie jednej połowy morza w ziemię, drugiej zaś w ognisty wiatr[4].

Ogień Heraklita jest też Bogiem, sędzią jedynym i sprawiedliwym. Ergo – czyż ogień ów nie jest bliski ogniom Apokalipsy? Ogień Heraklita – to „sprężyna" przemiany, zasada wszystkiego. „Sprężyna"? Czy to dobre słowo? Ależ tak, bo kryje w sobie myśl, intencję, inteligentne założenie przyczyny i skutku oraz interwał: od – do.

Powiadają, iż niemal jest pewne, że Heraklit nazwał swoją zasadę „logosem". A „logos" ów oznacza przede wszystkim regułę, według której wszystko się urzeczywistnia, oraz prawo, które jest dla wszystkich rzeczy i wszystkimi nimi rządzi. Jest to, między innymi, prawo przemiany i przemijania. Dlatego Heraklit przestrzega nas przed omamami zmysłów. Napomina, że szczęście nie może polegać na przyjemnościach ciała, napomina, że pożądanie *kupuje kosztem duszy*. I pogardza „opiniami". Jako że te czynione na jawie warte są tyle, co brak naszej wiedzy o tym, co czynimy we śnie. Heraklit pogardza też próżną erudycją filozofów, którzy gromadzą liczne wiadomości, a nie rozumieją powszechnego prawa. Ale też Heraklit, pojąwszy ów „logos", czuje się kimś więcej niż zwykły śmiertelnik. Czuje się…? Tak! Prorokiem! Odsłania i kryje, jak prorok i wyrocznia zarazem. Jak bowiem rozumieć choćby te słowa? *Nie dotrzesz do granicy duszy, tak głęboki jest jej logos*[5]. Ale czym jest owa „głębia duszy"? Atrybutem metafizycznej przestrzeni, co rozciąga się w nieskończoność? I Heraklit zdaje się powtarzać niby za orfickim chórem: *Nieśmiertelni – śmiertelni, śmiertelni – nieśmiertelni, ci żyją śmiercią tamtych, tamci zmarli życiem tych*[6].

Kogóż zatem widzę w owym pustym, zimnym pokoju, tam, gdzie pętla „zerówki" ma swój przystanek? Jeśli jego ciało nie jest w tej wiecznej chwili materialne, to materializuje się duchowy cień Heraklita i *głęboki logos* jego duszy.

Obaj stoimy poza czasem. W tej chwili, która jest jedyną i wieczną. Mój cień słucha cienia Heraklita. A on powiada:

Po śmierci czeka ludzi wiele takich rzeczy, których się nie spodziewają, ani nawet sobie nie wyobrażają.

I mój cień, poza mną, mówi:

Jeszcze i w życiu, i w czasie czeka ludzi wiele takich rzeczy, których się nie spodziewają, ani nawet sobie nie wyobrażają.

Cień Heraklita wszak nie pozostaje dłużny. Zatem niech na wierzchu będzie jego:

W kole początek i koniec jest wspólny[7].



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

3 G. Reale, *op. cit.*, s. 95–96

4 Cyt. za: Heraklit. *O naturze*, przeł. B. Kupis, PWN, Warszawa 1970.

5 *Ibidem*.

6 *Ibidem*.

7 Wszystkie cytaty także za przekładem Bogdana Kupisa wg pozycji podanej w przypisie 4.

Świątynia Kronosa

Po kole czasu i wbrew czasowi zmierzam do świątyni Kronosa, która jest… nie wiem gdzie, lecz mniejsza o miejsce, która jest… chwilą w czasie. Istniała, nie istniała – któż to może wiedzieć. A jednak ją widzę. Jej krągły kształt rysuje się na słonecznym płaskowyżu. Pośród skał i krzewów dwanaście kolumn. I to sklepienie, z którego błyska trzysta sześćdziesiąt promieni. Wszystkie odlane z brązu niby struny światła, gdy słońce staje w zenicie. I od świtu po noc ciemną, od zimy do zimy, niczym chwile, między kolumnami przemykają kapłanki i kapłani Kronosa: kobiety i dzieci, młodzieńcy i panny, silni atleci i starcy. Nigdzie jednak nie widać podobizny boga. Jego twarz jest niewidzialna, bo Kronos ma pustkę zamiast twarzy. I jest, i go nie ma. Bo też bogowie bytują w s w o i m czasie – poza t y m czasem. I t a m t e n czas jest pełen bogów. Czy to nie Tales powiada, iż *wszystko jest pełne bogów*? A więc Kronos nie pozostaje sam. Oto i jego małżonka, bogini chwil Kronomea, pani niewidzialnych zegarów, władczyni chwil niezwyczajnych – takich, co to pozostają w ludzkiej pamięci do końca. Jest jeszcze i mały szkrab. Ojciec dał mu na imię Zeus… Ale, trawestując myśl Talesa, można by rzec: *wszystko jest pełne czasu* albo: wszystko *jest pełne czasów*. Jakże to? A tak! Bowiem, obok jednego wszechobejmującego czasu, jest też wielość rozmaitych czasów ludzkich i boskich.

Czyż może więc dziwić, że słyszę ślepego Homera? On to, usiadłszy przed świątynią, snuje także pieśni o czasie. Cóż za harmonia! Cóż za eurytmia! Jakie proporcje! Jakie miary! Jakie wyczucie granicy! Wszystko tu zna swoją przyczynę. Lecz, mimo to, wieszcz pyta wciąż „dlaczego?". Wciąż szuka zasady. Przerywając pieśń – przez chwilę, która „trwa być może nawet tysiące lat" – starzec krzepi się wodą. A odejmując kubek od spierzchniętych ust, sam siebie pyta: „Czy czas mojego Odysa jest czasem penelopy? Czy równo się ich czasy mierzą? A czas Kirke? A czas Cyklopa? Czy one są czasem Ateny? Czy spotykają się, jak czasy Hektora i Achillesa?".

I czy może Homer widzieć w swoim czasie nadchodzącego Orfeusza, czas tych, co przybrali jego imię? Oto i boska zasada, oto demon upadły mieszka w każdym ludzkim ciele. Ciało umiera, ale demon? Nie. On wciela się wciąż w nowe ciała. I ciała owe umierają, a demon trwa. I będzie tak trwać, dopóki nie pokona go sam człowiek. Ale, by pokonać demona – mówią orficy – trzeba się poddać kolejnym oczyszczeniom. Tylko tak – zdawałoby się wieczny – czas demona może znaleźć swój kres. Tylko człowiek jest w stanie położyć kres owej demonicznej reinkarnacji. Nie każdy jednak może to uczynić. To jedynie wtajemniczeni osiągają pozagrobowe wyzwolenie. Niewtajemniczonym biada, tych i na tamtym świecie czeka kara. Orficy pogardzają więc ciałem, bo ciało – to więzienie duszy. I jakbym znów słyszał cień Heraklita, gdy mówi o pozaziemskim przeznaczeniu dusz. Jakbym słyszał i Empedoklesa, gdy wyjaśnia – niczym hinduski guru – drogę ich oczyszczenia. Czy nie przesadzam, mówiąc „hinduski guru"? Ależ nie!

Znów, przez chwilę, spójrzmy w stronę Wschodu.

Czym jest, na przykład, jeden dzień w życiu Brahmy? To tysiąc cykli – „okres światowy". Po nim zaczyna się od nowa: stworzenie, zniszczenie i znów stworzenie. A jak wygląda ów koniec świata? Otóż nie ma już nic prócz praoceanu, na którego

powierzchni śpi Wisznu – Najwyższy Bóg, władca czasu i wieczności. Przecież to niemalże to samo, co helleńskie „a i o n", które znaczy wieczność, niezmienne trwanie, oznacza zasadę wiecznej niewyczerpalnej siły twórczej i… w końcu… takiego samego władcę czasu i wieczności.

A oto i inne znaki podobieństwa: „buddyjskie koło", „okrągły owoc" i „okrągła cisza". I pewien specjalny chiński dom zwany „ming – t'ang", czyli „dom światła", w którym wielki cesarz obchodząc koło, dbał o zgodność z „tao", „źródłem wszechświata" i „matką wszystkich rzeczy".

Już słyszę – ślepy Homer się ze mnie śmieje. Chce szepnąć coś do ucha. Mów zatem, wieszczu, słucham:

Kronos i Zeus w jednym stali domu,
Kronos na górze, a Zeus na dole,
Kronos spokojny, nie wadził nikomu,
Zeus przed ojcem wyczyniał swawole…

„Swawole"? Dobre sobie. Toż to prawdziwy samach stanu. Syn odbiera ojcu władzę. To on zostaje, to o nim orficy śpiewają hymn:

Zeus urodził się pierwszy,
Zeus od świetlistego gromu jest ostatni,
Zeus jest początkiem, Zeus jest środkiem, Zeus kończy wszystko,
Zeus jest głębią ziemi i nieba gwiaździstego,
Zeus urodził się mężczyzną,
Zeus nieśmiertelny był dziewczyną,
Zeus jest tchnieniem wszystkiego,
Zeus jest porywem ognia niestrudzonego…[8].

Tak oto świątynia Kronosa staje się świątynią Zeusa, bo czas to tylko chwila, która rodzi nową chwilę.

Przemiana

Gdzież mielibyśmy szukać Kronosa? Może – jak sugerował Robert Graves – na którejś z wysp azorskich? A może aż na Wyspie Tory u północnych wybrzeży Irlandii? Najprędzej jednak w Italii, dokąd to – rzekomo podstępny i leniwy – bóg Kronos miał zbiec na wygnanie. To tam właśnie przybrał imię Saturna i królował szczęśliwej krainie. Ale, tak czy owak, i stamtąd wygnał go – jak mityczna wieść niesie – odważny, hałaśliwy i głupi (?), silny i zarozumiały Zeus, co to wprzódy podzielił się dziedzictwem ojca z braćmi – Hadesem i Posejdonem. Aby było sprawiedliwie,

8 Przekład własny na podstawie analizy tłumaczenia Antoniego Paciorka. Zob. **Arystoteles,** *O świecie*, przeł. A. Paciorek [w]: *Pisma filozoficzne*, t. 2, red. Leszek Kołakowski, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988, s. 341–360, 401a; zob. także Hymny orfickie, przeł. i oprac. E. Żybert. Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2012.

bracia dokonali losowania. I tak: Hadesowi trafił się świat podziemi, Posejdonowi – morza, Zeusowi – niebo.

My jednak wróćmy na ziemię, bo tam pod murami Troi „gorze" i tam właśnie spotykają się nie tylko czasy Hektora i Achillesa, ale też: Parysa i Priama, Heleny i Menelaosa, Agamemnona, Diomedesa, Odysa, Dolona i wielu, wielu innych. A wszystko to za sprawą Homera, który wciąż śpiewa, gdzieś pomiędzy świątyniami Kronosa i Zeusa, i dobrze wie, że wcale nie jest pierwszym, choć jego eposy dla naszej europejskiej kultury są pierwsze. Śpiewaków podobnych Homerowi moglibyśmy już szukać tysiąc pięćset lat przed naszą erą na Krecie. Spójrzmy na sarkofag z Hagia Triada – to właśnie ten czas. W scenie kultowej procesji i ofiarowania pojawia się ktoś grający na aulusie (instrumencie podobnym do oboju), a wtórującym przez wieki greckiej poezji. Sto lat później budowniczy słynnego kreteńskiego pałacu królewskiego w Knossos na jednym z fresków umieszcza muzykanta z lirą, zaś inne malowidło – tym razem z Pylos – przedstawia solistę. Zapewne byli oni jeszcze bliskimi Homerowi śpiewakami zaliczanymi do „demiurgoi", czyli pracowników publicznych, i być może stanowili jakąś ważną grupę społeczną. Ale – co warto zauważyć – żaden ze śpiewaków „Iliady" nie powołuje się na jakiegokolwiek mistrza. Śpiew jest bowiem darem bogów, natchnieniu zaś sprzyjają muzy. Sam Homer wszak w „Odysei" zdaje się przywoływać jeszcze starsze opowieści: *Argo wszędy płynąca, od Ajetesa płynąca…* Czy jednak „starsze" było w jakiś sposób zapisane? Być może rzeczywiście, jak sugerowali badacze, był to jakiś, znany Homerowi, starszy od „Iliady" poemat o Argonautach, o czarach Medei albo historia rodu Edypa, a może opowieści o czynach Heraklesa?

N a s z śpiewak jest jednak pierwszym znanym i nazwanym. Jest twórcą, a nie od-twórcą. Jest poetą od „poiēo" ('robię', 'tworzę'). Być może jego imię znaczyło po prostu „składacz wierszy". Może rdzeń „hom" pochodzi od czasownika 'dékomai' lub 'déchomai', czyli „witać" lub „przyjmować". Co ciekawe, w połączeniu z rzeczownikami w bierniku (w odniesieniu do mówienia, opowiadania i nauczania) czasownik ten znaczył też „przychylnie coś przyjmować", „słuchać", „obejmować", „przyswajać", „czynić własnym", „aprobować", zaś źródłem afiksu 'aro' jest 'arisko', które znaczyło „składać" lub „spajać".

Grecy, jak i sam Homer, mówią wyraźnie o „aojdach", czyli śpiewakach. To po nich przychodzą „rapsodowie", czyli recytatorzy, którzy deklamować będą „Iliadę" i „Odyseję", albowiem heksametryczna wersyfikacja eposu zdaje się być dostatecznym dowodem na recytację, a nie śpiew. Mnemotechnika? Na ile intencjonalna, na ile intuicyjna? Możemy jedynie snuć przypuszczenia. „Śpiewanie" jest więc bardziej metaforycznym niźli dosłownym określeniem Homerowego powołania, do którego zdaje się należeć także archaizowanie. Ale jakże to? Homer archaizuje? On, pierwszy „śpiewak" Europy postarza jeszcze to, co i tak stare? Uważna lektura „Iliady" daje jednak na to dowody. Profesor Tadeusz Sinko nazwał to również „antykwizowaniem". Jak zatem archaizuje czy antykwizuje Homer? Otóż czasy mu współczesne to okres żelaza. Czas „Iliady" i „Odysei" – to epoka brązu, która trwała do XII wieku jego ery. I, rzeczywiście, długo trzeba będzie czekać na podobne zabiegi, bo nie czynią tego w swych antycznych tragediach jeszcze ani Szekspir, ani Corneille, ani Racine.

Na ile Homer archaizuje świadomie, na ile czyni to „po prostu" – zostawmy badaczom. Faktem są wspaniałe opisy brązowych zbroi, jak choćby tej, którą nosi Agamemnon, albo tej, którą dla Achillesa kuje sam boski Hefajstos.

Mamy więc czasy twardego brązu – zwie się on „chalkos", podobnie jak miedź to – „chalkos kyprios". Kyprios, czyli Cypr, gdzie eksploatowano złoża miedzi. Nie byłoby jednak brązu bez cyny i białego ołowiu 'kassiteros', których rudy sprowadzano z okolic Kaukazu, Morza Kaspijskiego, z iberyjskiej Luzytanii czy też Galecji, a może nawet z wysp Morza Atlantyckiego. „Kyme" stanowiąca źródłosłów słowa „cyna" to późniejsza nazwa miejscowości związanej z handlem tym metalem i jego rudą. Po cynę wyprawiano się szlakiem Argonautów i być może to cyna właśnie była owym „złotym" runem. Homer naznacza zatem czas „Iliady" metalem, którego nie sposób zlekceważyć. Ale idąc tropami importerów cyny, moglibyśmy podążyć nie tylko za Argonautami, na Wschód. Trafimy zapewne i na atlantyckie wybrzeże zachodniej Europy, nie tylko do wspomnianych krain Iberii, ale dalej, do Bretanii, i jeszcze dalej – do Kornwalii i Irlandii. W związku z tym właśnie powstawały legendy o Kassterydach, czyli Wyspach Cynowych. Być może jedna z nich była wyspą wygnania Kronosa? Być może to z handlarzami cyny i ołowiu przybył nad Tybr?

Trudno orzec, czy rację mają ci, którzy twierdzą, iż Kronos – już jako Saturn – dotarł do Italii bezpośrednio z Hellady. A jeśli było inaczej? Jeśli dotarł tam z jakiejś wyspy wygnania, o której napomykają mity, albo i z Wysp Cynowych? Nie wydaje się więc pewne, czy Kronos-Saturn, na przykład w tym względzie, powtarza drogę Janusa, przyjmującego go jako banitę w Rzymie nieomal po królewsku. Czyż winien powtarzać drogę swego dobrodzieja? Ale skąd imię „Saturn"? Łacińskie 'saturare' znaczy 'nasycać'. A rzymski mit głosi, ze Saturn pożerał swoje dzieci, czyli dni, miesiące i lata. Dla Rzymian sprawa była prosta. Kronos jest Czasem. Kronos jest Saturnem. Saturn jest Czasem. Ale imię „Saturn" może mieć też i inne źródła: 'satus', czyli 'siew', i 'sator', czyli 'siewca'. Jakże więc ten, który sieje, miałby niszczyć zarazem? Otóż rzecz staje się zrozumiała, gdy pomyślimy nie o umieraniu czy unicestwianiu, a o żęciu i zbieraniu żniwa. Siewca przecież trudzi się dla żniwa. I tu pojawiają się znaki potwierdzenia, ale też i przeczenia. Saturna i Kronosa przedstawiano z sierpem w dłoni. O ile w przypadku Kronosa jest to uzasadnione, to już w przypadku Saturna rodzi wątpliwości. Kronos, jak głoszą mity, z pomocą sierpa miał pokonać swojego ojca Uranosa. Więcej, czas żniw i używania sierpa to lipiec i wtedy to właśnie obchodzono Kronia, czyli święto Kronosa. Co się tyczy Saturna – to jego święta zwane Saturnaliami obchodzono już po dokonaniu siewów jesiennych, czyli w grudniu. Skąd zatem sierp w rzymskich wizerunkach Saturna? Sierp to nie tylko narzędzie żniwiarza, to także żelazo, które zabija. Nie można tu bowiem pominąć niezwykłej ofiary, jaką kończyły się Saturnalia. Oto wyznaczano kogoś, kto odgrywał rolę Saturna. Ów ktoś przez czas świąt posiadał władzę, którą mu oddano, ale gdy kończył się czas zabawy, wybrańcowi odbierano życie i składano go w ofierze „prawdziwemu" bogu. A jednak Saturnalia były świętami pełnymi radości i uciech oraz przypominaniem Złotego Wieku, podczas którego Saturn udoskonalił wszystko, co stworzył Janus. To za sprawą Saturna na lewym brzegu Tybru powstał gród nazwany później Kapitolem. „Saturnia" – to także nazwa całego Półwyspu Apenińskiego. Ale wygnaniec

bezpośrednio władał tylko krajem nad dolnym Tybrem i, co więcej, traktował owe ziemie jako kryjówkę. „Ukrywać się" w języku łacińskim to 'latere'. Nie dziwi więc nazwa „Latium", którą spotykamy u Wergiliusza w VIII księdze „Eneidy":

Z wysokości Olimpu pierwszy Saturn
Zstąpił na ziemię, gdy uchodził przed
Gniewem Jowisza i zgromadził bóg
Pod swą pieczą lud dziki, rozproszony
I nadał mu nowe prawa, a kraj, w którym
Znalazł bezpieczną kryjówkę od niej
Nazwał Lacjum imieniem.

To dość swobodny przekład tego fragmentu, ale warto dodać tu pewien istotny przypis. Przywołajmy zatem dwa znane jego tłumaczenia. Polski jezuita i poeta ks. Tadeusz Karyłowski w swoim 13-zgłoskowym przekładzie z 1924 roku wydawanym do dziś przez Bibliotekę Narodową ujmuje rzecz tak:

Lacjum kraj on zowie,
Ponieważ łacno w ono się ukrył pustkowie9,

zaś edytorzy w objaśnieniach do kolejnych wydań powtarzają, co następuje: *nazwa Latium miała pochodzić od łac. 'latuit', tj. „ukrył się" i oznaczać tyle co: skrytka, kryjówka*.

Natomiast wielki autorytet i wybitny znawca antyku, także doskonały poeta, Zygmunt Kubiak proponuje inne spolszczenie:

A kraj ten Lacjum – Zatajone – nazwał,
Jako że tu się bezpiecznie zataił…[10],

ale też bardzo sceptycznie podkreśla : *z ł u d n e wywodzenie nazwy „Latiumod" od łacińskiego słowa 'latere', „kryć się".*

Sięgnijmy jeszcze do współczesnego Wergiliuszowi Dionizjusza z Halikarnasu. Oto co pisze on w „Rhomatike archaiologia", czyli w „Rzymskiej starożytności":

Tutejsi mieszkańcy podają baśń, że jeszcze przed panowaniem Zeusa władał tą ziemią Kronos i że ów Wiek Złoty obfitujący we wszystko, co rodzą pory roku, kwitł nie gdzie indziej, lecz właśnie u nich[11].

9 Zob. Wergiliusz, *Eneida*, przeł. T. Karyłowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958.

10 Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Z. Kubiak, Czytelnik, Warszawa 1987.

11 Zob. Dionizy z Halikarnasu, *Starożytności rzymskie*, przeł. H. Pietruszczak, Zgorzelec 2024.

Panowanie Saturna

Nie wiedzieć kiedy, Kronos – pan i władca czasu – staje się Saturnem. Z sędziwego i sponiewieranego starca zamienia się w aktywnego racjonalistę. Kontynuuje dzieło Janusa. A jego panowanie jest epoką szczęścia, pokoju i wszelkiego dobrobytu. Bóg już nie musi się ukrywać. Ma swoje oficjalne miejsce kultu. W północnej części Forum Romanum staje najpierw ołtarz, a później świątynia Saturna. Wiele wskazuje, że było to około pięćsetnego roku przed naszą erą. Pamiętny siedemnasty dzień grudnia, kiedy to miejsce jego kultu poświęcono, da początek wspomnianym już Saturnaliom. Tego dnia w Rzymie i na jego rubieżach będzie się ucztować i składać woskowe świece i gliniane lalki. Być może jako synonimy przemijania właśnie. Topiący się wosk i boski ogień, i boskie światło, i miękka, krucha glina – człowiek. A jakaż uciecha, gdy panowie będą usługiwać niewolnikom. To, że tam czy ówdzie traktowano rzecz dosłownie i Król – Saturn musiał zginąć, na przykład poderżnąwszy sobie gardło na boskim ołtarzu, jeszcze bardziej podkreślało, że była to ważna i szczególna cześć kończącego się właśnie rzymskiego roku. Ostatni dzień starego i pierwsze trzy (następnie – cztery i pięć) dni roku nowego. Był to też czas folgowania sobie i swoim chuciom. Nie zaprzeczyliby temu, zapewne, Horacy i Tacyt, którzy w osobie Saturnowego Króla musieli widzieć i króla rozpusty zarazem. Jeśli przychylić się do dociekań Jamesa George'a Frazera, kontynuacją tej postaci i roli będą w późniejszych wiekach inni jednodniowi władcy: Król Fasolowy, Biskup Błaznów, Opat Nierozsądku albo Pan Nierządu. Wszyscy oni to władcy karnawału. Ale dziś, w kulturze Europy, czas karnawału i Nowy Rok następują po świętach Bożego Narodzenia, po nocy narodzenia Chrystusa. Ta noc daje początek nowej erze i nowemu rozumieniu tygodnia, nowemu rozumieniu i kształtowi kalendarza. Warto jednak pamiętać o owej znamiennej, bo od tysiącleci, po dziś dzień, świętej grudniowej porze.

Czy to zbieg mitycznych i historycznych okoliczności?

Wróćmy jednak na Kapitol i wyobraźmy sobie świątynię Saturna, bo zostało zeń zaledwie osiem kolumn i resztki frontonu. A było zapewne co podziwiać. Wsparta na ilu (?) potężnych kolumnach tworzyła zamkniętą i pełną światła zarazem przestrzeń. Centralne miejsce musiał zajmować ołtarz. Ale jakie obrzędy tu czyniono? Zabijanie ofiar? A może zabijanie boga-czasu, zabijanie Starego Roku? Kto i czego tu strzegł? Kapłanki czy kapłani? Musiało to być miejsce ważne, nacechowane niezwykłą mocą i doskonale strzeżone, skoro w jego podziemiach przechowywano *aerarium* – skarb rzymskiego państwa, skoro jeszcze w 42 roku przed narodzeniem Chrystusa świątynię Saturna pieczołowicie restaurowano, skoro… odbudowano ją na nowo jeszcze i po pożarze w początkach IV wieku naszej ery, a zatem w czasach, kiedy to rzymscy poeci – jak na przykład Owidiusz – dawno już napisali byli o końcu Saturna. Zerknijmy więc do Owidiuszowych „Przemian". Czyż już nie tam czytamy: *…Kiedy Saturna w ciemności Tartaru / Zesłano*? A Wergiliusz, a „Eneida"? Co powiada Ewander do Eneasza? Sprawdźmy, ponownie sięgając po przekład Zygmunta Kubiaka:

Pod takim królem były owe Złote,
Tyle sławione, Wieki. On ludami
W błogim pokoju rządził, póki z wolna
Nie nadpełzł gorszy czas, przygasłej barwy
Wiek, wściekłość wojny, żądza posiadania.

Dlaczegoż Saturn ginie z oczu poetom? I dlaczego potrzebują go nadal wyznawcy? I to nie tylko w Rzymie. Niespodziewanie bowiem, pod imieniem Kronosa, pojawia się Saturn w żartobliwym dialogu „Saturnalia" Lukiana z Samosat w II wieku naszej ery. Dlaczego dialog ów jest żartobliwy? Ano dlatego, że Kronos traktuje swojego rozmówcę – kapłana niekiedy jak natrętnego przygłupa. Oto próbka przekładu za wydaniem *Luciani Samosatensis „Opera" Vol III*, w opracowaniu Karla Jacobitza z roku 1896, które ukazało się w oficynie założonej na początku XIX wieku przez znanego lipskiego starożytnika Benedykta Gotthelfa Teubnera.

Kapłan (pyta):
Czy to aby na pewno prawda, że zjadłeś dzieci Rei, że ona ukryła Zeusa i zamiast niego dała ci zjeść kamień, a on, gdy dorósł, wypowiedział ci wojnę i usunął z tronu, a potem zakuł w pęta i ciebie, i twoich poplecznikόw i strącił do Tartaru?
Kronos (odpowiada):
Gdyby nie to, głupcze, że obchodzimy święta, kiedy wolno nam się upijać i prawić swym panom bezczelne grubiaństwa, poznałbyś zaraz, poznałbyś, jak potrafię się rozgniewać, gdy o takie rzeczy mnie pytasz bez szacunku i respektu przed starym, siwowłosym bogiem[12].

I gdzież podziała się werwa Saturna i dlaczego piszący po grecku Lukian, Syryjczyk z pochodzenia, przywołuje Saturnalia – obyczaj przecież rzymski? Jego bóg jest na wskroś greckim Kronosem, który powiada o sobie tak:

Prawda, ustąpiłem miejsca Zeusowi, lecz nie żal mi tego. Teraz wiodę żywot emeryta. Tamten zaś władał, tysiączne przynosząc udręki. Sobie zostawiłem tylko te parę dni, gdy jeszcze sprawuję władzę. A to po to, by przypomnieć ludziom, jakie życie mieli za moich rządów. Ziemia nie zaorana i nie obsiana wszystko im dawała, i nie tyle kłosy, co chleb już gotowy i mięso przyrządzone. Płynęły rzeki wina, strugi miodu i mleka, bo wszyscy ludzie byli dobrzy i złoci. To jest przyczyna moich krótkich rządów. I dlatego wszędzie klaskanie, śpiewy, zabawy i równość[13].

Jest więc Kronos i rzymskim Saturnem czczonym w świątyni na Kapitolu. Jest też Kronos panem Saturn „siódmej", według starożytnych ostatniej od Ziemi, „błędnej", gwiazdy, zwanej przez astrologów „planetą śmierci". Jej dzień to sobota. Dzień Saturna, paradoksalnie, „boga ziarna sianego i kiełkującego". Wszystko to

12 Przekład własny za: *Luciani Samosatensis opera*, ex recogn. C. Iacobitz, Vol. 3, Lipsiae Sumptibus et Typis B.G. Teubneri MDCCCLXXVI.

13 Jw.

napawa zdziwieniem i pociąga swoją zagadkowością. Ileż zaprzeczeń, ileż tajemniczych i po dziś dzień nierozszyfrowanych znaków.

Cień Heraklita – zda się – śpi.
Na ciemnym niebie – pół Księżyca.
Bogowie czasu, wciąż kryją swoje
Tajemnice.

Cień Heraklita – zda się – śpi. Na ciemnym niebie – pół Księżyca…

Gdy czytam w „Złotej gałęzi" Frazera:

…los padł na żołnierza, chrześcijanina Dazjusza, który nie chciał odgrywać roli pogańskiego boga i splamić ostatnich dni swego życia rozpustą. Pogróżki i argumenty dowódcy Bassusa nie zachwiały postawy żołnierza, toteż został on ścięty w Durostorum przez żołnierza Jana w piątek dwudziestego listopada, w dwudziesty czwarty dzień księżyca, o godzinie czwartej…[14].

Opowieść ta ukaże się naszym oczom w postaci pewnego manuskryptu wydanego w Urbino, w roku 1727. W kilka wieków później w krypcie katedry, na przylądku Ankony, zostanie odkryty sarkofag z białego marmuru z greckim napisem z czasów Justyniana:

Tu spoczywa męczennik Dazjusz, sprowadzony z Durustorum.

Na ciemnym niebie – pół Księżyca.
Cień Dazjusza i cień Saturna. Człowiek w jego obliczu jest tylko chwilką.

Nieprawdaż, Heraklicie?

14 Cyt. za: J.G. Frazer, *Złota gałąź: studium magii i religii*, przeł. H. Elzenberg, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 629.

ROGER PIASKOWSKI

Z cienia powstałeś

Życie dzieje się w półmroku. Nie jest i nigdy nie stanie się świadome…
Prawdziwe źródło światła i życia musi pozostać
dla nas ukryte. Świadome życie jest nie do pomyślenia.
– A mimo to nie chodzimy w kółko jak somnambulicy.
Nie jesteśmy somnambulikami,
tak jak nie są nimi zwierzęta w lesie czy ośmiornica,
kiedy wyciąga macki ku głębi.

PÄR LAGERKVIST

Wyczerpanie nie oznacza rezygnacji. Zanim wyczerpię, mogę przycupnąć w cieniu. Pomyśl, jak czuły jest cień, jak delikatne jest jego drżenie pośród sławiących go zielonych serc. Mogę przycupnąć w cieniu dobrego drzewa, mogę wyciągać wnioski znacznie łatwiej niż w pełnym słońcu. Mogę uznać, że to przełom. Dobry, przytulny cień na stare lata, przytulny i subtelny w miejscu, które wykryłem i wybrałem, gdy ostatnie jabłko spadło do moich stóp pomarszczone jak skóra słonia, stare i pięknie wypalone w słońcu, ostudzone na mrozie. Podniosłem je za mały ogonek i zajrzałem do środka, gdzie w cieniu izby sklepionej kolebkowo, bez okien, siedziały dwie łzy. „To dobre miejsce" – powiedziała łza i odsunęła się, robiąc mi miejsce. Zorientowałem się, że cień daje duże możliwości, potrafi bawić swoją nieoczywistością, dzięki niemu przekroczyłem granicę ekranu laptopa i znalazłem się w środku dłoni trzymającej jabłko na fotografii *Polaroid* Bogdana Konopki.

W pogoni za cieniem ptaka w locie, porzucając samochody na ulicach gniewnych miast, rozbijając gangi Cherubinów i Serafinów jak Harrison Ford, dokonuję karkołomnych skoków po dachach wieżowców, nad przepaściami, zwycięski w walce wręcz osiągam rekordy oglądalności na skraju wydolności układu immunologicznego i słyszę głos mojego Ganeszy, mojego wesołego brzuchacza o głowie słonia: „Zrezygnuj, to nie jest dobre dla ciebie". Rezygnacja jest wyższym stanem świadomości, żaden cień nie sprawi, że oddech się uspokoi i serce przywróci harmonię członkom. „Rezygnacja nie oznacza utraty ambicji, nie oznacza rozczarowania" – powiada Ganesza, słodki i tłuściutki jak pączek w maśle.

Nigdy nie będzie już takich cieni. Nigdy światło nie będzie takie czyste. Nigdy wiersz nie będzie taki lekki. Już nigdy cień nie będzie taki gęsty jak na autoportrecie Rembrandta z czasów starości ani taki przezroczysty jak na portrecie jego syna Tytusa, już nigdy Józef nie wyjdzie z cienia pracowni, aby przerwać stolarkę i zajrzeć do kołyski z Dzieciątkiem, już nigdy Frans Hals nie uderzy tak śmiało w struny światła, by przebić cień fałd kaftana kołyszącego się na krześle Willema van Heythuysena, a Rubens już nie zasłoni futrem obfitego biustu Heleny Fourment, podobnie Catherine Deneuve już nigdy nie będzie tak amoralna jak w filmie *Piękność dnia.* Ty także, choćbyś się bardzo starał, nie przywrócisz ciepła pierwszego pocałunku, bo miłość ma niepowtarzalne preludia. Skakanka po ikonosferze jest fascynująca, gdy cień ptaka w locie przelatuje przez muzea i sale kin, gdzie w ciemnościach światło srebrnego ekranu oświetla twoją twarz. Już nigdy orła cień nie opuści piosenki, a *shadows of your smile* nie będzie tajemniczy, zaś węgiel nigdy nie będzie taki czerwony jak w obrazie *Divina Polonia* Franciszka Starowieyskiego.

Cień nie jest cierpliwy, nie jest samorządny, stawia opór. W libretcie opery Mozarta *Czarodziejski flet* Czesław Miłosz w Świadectwie poezji zauważa walkę „pomiędzy ciemnością obskurantyzmu i światłem rozumu", przy czym dodaje: „To, co sakralne, i to, co rozumne, nie są rozdzielone, bo świątynia, czyli loża masońska, cechy sakralne nadaje umysłowi ludzkiemu w poszukiwaniu mądrości". *Czarodziejski flet* działa na wielu, lecz „oświeca" nielicznych. Rzeczy i ludzie wchodzą w strefę transformacji, światła i cienie zacierają się, to czas na sfumato. W książce *Oczy Mony* Thomasa Schlessera jest fragment negatywny, okrutny, o cieniu: „Poczuła, jak ciężki cień spada na jej oczy niczym kara za to, że są takie niebieskie, takie duże i tak czyste. Przyszedł z zewnątrz jak to zwykle bywa z cieniami, gdy zapada noc albo gdy światła w teatrze stopniowo gasną. Cień, który przywłaszczył sobie jej wzrok, pochodził z ciała, z wnętrza".

Boski architekt czuwa nad krajobrazem Wielkiej Góry, nasyca go cieniem. W cieniu Wielkiej Góry mogę zapomnieć o widzialnej tarczy słońca, wyżarzonej w tęczówkach przez lasery Amona-Ra. Cień ptaka w locie nie jest paradoksem Zenona z Elei, argumentem przeciwko ruchowi; owszem, porusza się, i to bardzo szybko, lecz nie spoczywa w przestrzeni, przeciwnie – znika z oczu szybciej niż myśl. W locie pościgowym ptak nie ma sobie równych. Leci i już. Tylko łowca cieni z kwalifikacjami cienio-łapacza, o tatuażu *ex umbra in solem* (z cienia ku światłu) na potylicy, ze śmigłem na czapeczce, czubek niepospolity, potrafi zapisać cienio-mig ptaka w locie. Cienio-mig rzeczywisty bez symbolicznych podtekstów, żaden wydumany egzemplarz z zoologii fantastycznej. Życie cienia trwa krócej niż popisy motyla. Lotność tak, logika nie. Ptak, dajmy na to – głębik tęczowy z rodziny zwilżaczy, jest oczywiście moim cienkuszem, atrybutem rzeczy powietrznych, godnym, nigdy niezdradzonym. „Nigdy" wraca. Istotnie charakteryzuje bezpowrotność cienia ptaka w locie. Nigdy nie będę miał rzeczy, którą obdarował mnie Hypnos, syn Nocy i brat Śmierci, bo rezygnacja mnie wspiera. Nie pożądam rzeczy, która jest godna pożądania. Nie będę szkodził sam sobie. Dostałem skrzydła, lecz nigdy ich nie wypróbuję. Rezygnacja. Mogłem swawolić dowolnie, bić rekordy przelotów na Księżyc w ciągu jednej nocy, mogłem triumfować w lunarnym skoku o tyczce. Rezygnacja.

Znam miejsce, gdzie triumfuje ktoś, kogo podziwiam. Paweł Żak przyciąga. Występuje na stronie stylowego pisma „Format". Tu go przyszpiliłem. Zrobił zdjęcie z widokiem na wielką murawę w pełni lata w zielonościach trawiastych i drzewiastych, niby w ogrodzie ziemskich rozkoszy. Spowodował, że poprzez bajeczne podwórka

Nadodrza nagle zobaczyłem samotny cień na wielkiej murawie, podświadomie nucąc *Zielono mi*. W miejscu wyartykułowanym przez plamę słonecznego światła zgoła aureolicznie cień postaci – właściwe smuga cienia o dużej głowie, który podnosi rękę, zbliża do twarzy i robi pstryk. Chciałem być bliżej, ale nie mogłem. Nie mogłem być bliżej smugi cienia. Sytuacja stresująca. Bezsilne usiłowanie przekroczenia tafli obrazu na papierze. Musiałem uciec dokąd bądź. Ale tego rodzaju psychoza prowadzi do kumulacji bodźców, a w rezultacie do szaleństwa. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, czy sześcioletnia wnuczka Lu i jej swawolne baloniki są w pobliżu. To wystarczyło. Jedna sekunda! Wyrosła przede mną postać całkowicie okryta za pomocą szat i chust lekkich, jedwabnych, pachnących orientem od stóp do głowy. Summa summarum miłe wrażenie, przyciągające bardziej niż odpychające. Opakowana kobieta miała kibić smukłą, głowę potraktowaną architektonicznie z delikatną kratką w okienku zamiast twarzy. Przez moment wyobraźnia podsunęła mi głowę sowy w klatce. Pomyślałem, że nie ruszę się z miejsca, wytrzymam konfrontację, a nuż, widelec czegoś się dowiem w sprawie niecierpiącej zwłoki. Zrobiło się miło, zaskakująco sympatycznie, jak tylko może się dziać, kiedy spotykają się rzeczy nierzeczywiste w ciszy absolutnej pozbawionej oddechu. Patrzyły na mnie ukryte za drobną kratką „tych dwoje nad dwiema, co też są, lecz ich nie ma". Nagle zaczęły strzelać baloniki, spojrzałem na małą Lu, a kiedy się odwróciłem, zakwefiona postać się oddalała. Zrozumiałem: są sytuacje bez słów. Odruchowo podniosłem rękę, aby do niej pomachać na do widzenia, lecz oświeciło mnie co innego. Sens gestu Ikara, kiedy po upadku do morza wyciągnął rękę, wołając o pomoc, a Pieter Bruegel nie przerwał malowania obrazu.

Jeżeli masz psychiczne opory, a kontakt z niezapowiedzianymi cieniami nie sprawia ci satysfakcji – po prostu wykluczasz tego rodzaju wizyty, udaj się do wnętrz Mariusza Kubielasa, który jest cieniologiem, bada wpływ cieni figuratywnych na kompozycje obrazów fotograficznych. Cienie według Kubielasa to specyficzny gatunek, bliski komuś, kto przeżył spotkania ze „smugą cienia", dlatego penetrują wnętrza domostw zaklętych w czasie. Mariusza Kubielasa poznałem w Instytucie Sztuk Pięknych w Zielonej Górze, gdzie obejrzałem jego prace. Dzięki nim, a może z ich estetycznego i mrocznego surrealistycznego rodowodu, na moich oczach pojawił się cień w oknie pustego pokoju na parterze w starym, opuszczonym domu, o suficie z belek i podłodze z desek, na której stało krzesło bez siedzenia, obok niedopita butelka coli i szklanka, a przede wszystkim leżał na podłodze cień postaci stojącej za oknem. Kubielas bez trudu, z naturalnym wyczuciem nazwał tę fotografię *Podróż po chleb*.

Odwracanie logiki zdarzeń, wywracanie do góry nogami to objaw i dowód szaleństwa. Pogoń za cieniem ptaka w locie można zaliczyć do terapii przez sztukę. Oto przykład symptomatyczny. Myślałem po doświadczeniach z księżycem w pełni, że cień może mieć coś do odkrycia. Brałem pod uwagę pomysł i potrzebę eksperymentu mimo średnio śmiesznych doświadczeń z lunatycznymi spacerami po dachach, randek z lunatyczkami kończących się panicznym strachem i ucieczką do piwnicy. Ale pod hasłem „wycia do księżyca" kryje się sfera interesujących praktyk artystycznych z przeszłości, jak w obrazach Stefana Żechowskiego czy Henry'ego Fuseliego, autora *Nocnej mary.* Z zaplątania księżycowych ścieżek uwolnił mnie Lunaris, któremu zawdzięczam opanowanie i przystopowanie pogoni za cieniem. Otóż Lunaris bada wpływ światła księżyca w pełni na zjawiska fotogeniczne obserwowane w różnych zakątkach globu ziemskiego. Zobaczyłem samotne, wysokie jakby martwe drzewo w pustynnym, księżycowym krajobrazie. Zobaczyłem oczami Lunarisa, który niczym zaczajony myśliwy sfotografował znajdującą się na drzewie, zaplątaną w gałęzie, rozświetloną jak neon białą postać z rozłożonymi rękami niby wizję anioła na drzewie pod rozgwieżdżonym niebem.

Czy jest wyjście z cienia, który nosimy w sobie? Andrzej Saj w *Oprawie światła* pięknie o tym mówi: „cień napasłszy się siebie / sięgnął sedna złudzenia / jądro światła w otoczce bólu / (…) światło odcina swoje cienie / ucicha pamięć / przez szybę jak przez szklane oczy / patrzy moja dusza / Skąd wróciła?". Pytanie na lunatyczne przebudzenie. Jest jakość w przebudzeniu. Jest dzielenie przebudzenia na świat i na zaświaty, w których byliśmy w czasie snu. Jest cień wampira Nosferatu (Max Schreck) idącego po schodach, są cienie układane z dłoni i jest teatr cieni. Jest cień ptaka w locie, tylko jak go zatrzymać? Jest mi potrzebny. Są we Wrocławiu tysiące tycich, tyciuchnych cieniostworków poruszających się zarówno w sztucznym, jak i w naturalnym świetle cieniolubnych miejsc. Zapisać je w jednym słowie, aby nie było wątpliwości, co Wrocław ma do zaciemnienia. Grzegorz Gołębiewski nie waha się, nie pęka, nie ściemnia i nie trwoży, chwyta Wrocław światłoczule i cieniuje jako autor książki, której tytuł trafia w splot słoneczny celnie i metaforycznie: *Wrocław. Światłomiastocienie*. Jedno słowo: „światłomiastocienie" – a kosmos.

Nie zawsze wychodzi. Nie myślę o rejestracji, o zapisie konkretnego cienia ptaka w locie. Wystarczy, że dokonałem kilkunastu obserwacji i rejestracji foto-wideo. Z ornitologicznego punktu widzenia cień nie pozwala na identyfikację osobnika. Nie ma ptaka, który zachowuje cień, i nic ponad to. Cień, który mnie zachwycił, oczarował, sprawił, że moje ciało stało się lotne jako i myśli fruwające, mogę *per negatio* uznać, że nie jest cieniem anioła ani hybrydą. Nigdy nie porwał mnie ostatecznie ani nie poderwał do lotu, co byłoby logiczną konsekwencją szalonej pogoni za cieniem poruszającym się z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę. Nie o to chodzi, by złapać cień, lecz by gonić go. Roman Opałka wykłada tę kwestię: „Sensem mojego działania jest rozwijać ciągle to samo zadanie na temat odczuwanego przeze mnie świata, czyli pisać jakby jedną książkę, która nie ma właściwie końca, nie ma przecinka, nie ma kropki, jest jakby jednym słowem, jednym głosem, który się dynamizuje". Z pewnością *Dniewnik* Waldemara Okonia jest „jedną książką" w procesie bez końca.

A Duch unosił się nad wodami, aż dotarł nad Adriatyku zielonkawe wody, gdzie trwa Wenecja lagunami odurzona. Duch zachwycony, oniemiały kształtami miasta między wodami kanałów oszkarpowanych, pałacami rzadkiej elokwencji zachwycony, zawisł był nad placem świętego Marka, nad kopułami bazyliki, przyjmując postać medytującego jogina o twarzy brodatej, proroczej, w kontemplacji księgi żywota zanurzonej, w której rozpoznaję Andrzeja Dudka, wrocławskiego Dürera. Tak ku mnie wejrzał z głębi absolutnej, obie dłonie złożywszy na kolanach, przy tym siedząc w powietrzu uświęconym sztuką, że przesłanie do mnie skierowane

odebrałem, abym był, jaki jestem w niezadowoleniu i niezmordowaniu pościgu za cieniem ptaka. Polecam kontakt z Andrzejem Dudkiem, zatrzymanym w kadrze zdjęcia *Trans medytacjo-lewitacyjny*, szeroko dostępnego w mediach.

Orędownicy i głosiciele samotności na pytanie „Dlaczego?" odpowiadają zgodnie w ramach klubu kobiet i mężczyzn tworzących literaturę wysoką, kiedyś zwaną piękną: „Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi? / Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha". Zważcie, że człowiek inteligentny bez względu na orientację i mutację ma zawsze wątpliwości, lecz w jednym się orientuje na sto procent – jest sapiens z przymiotnikiem kreatywny. Taki „homo" staje zwykle osobno, samopas wobec zanikającej na amen w pacierzu smugi cienia. Co nam zostawili kreatorzy cienia? Czy inni pójdą w moje ślady? Piszę, żeby ostrzec. Nie posunę się dalej, niż na to pozwala ewolucja. Zdarza się, że fruwam w czasie snu, to przeżycie oniryczne dotyczy wielu ludzi. To nie mało, to rekompensuje odwieczne tęsknoty za ptasią wolnością. Odżegnuję się od leonardowskiej fantazji i machin latających – doprowadziły one do śmiesznych filmików z początków kina z facetami w kombinezonach, pelerynach, którzy przyczepiwszy do rąk i ramion misternie szyte, klejone, łączone skrzydła, zrywali się do lotu, skacząc z dachów, mostów, wież, zwłaszcza tragiczny Franz Reichelt w śmiertelnym skoku z wieży Eiffla. Istnieją fanatycy kontrastu światłocieniowego, dynamicznego, brutalnego zderzenia światła z cieniem, którym przewodzi Robespierre malarstwa luministycznego – Caravaggio z przybocznym mistykiem, Georgesem de La Tour. Przynależność do wtajemniczonych ma znaczenie, jest poszerzeniem sfery oświecenia wobec zagrożeń, jakie niesie „cień rozumu" – *el sueno de la razon produce monstruos* – gdy rozum śpi, budzą się potwory, o czym mówi słynna grafika Goi. „Czemu, cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz" – pyta Norwid i ma na uwadze rozstanie z bohaterem nieżywym, zastąpionym przez cień. Ciągle gramy w chowanego ze śmiercią. Rzecz w grze, nie w jej zakończeniu, lecz w igraszkach z kostuchą, która uwielbia ludzkie poczucie humoru – czarnego, rzecz jasna. Niektórym udaje się przechytrzyć Tanatosa, zaintrygować, zabawić, wciągnąć w uroki życia, aby tylko odwlec jego wizytę. „Wybieram światło – pokarm / mówiącego / nazywam – jestem / milczące rzeczy pośród cieni / pytam o sens / sen odczytuje odpowiedź / więc: sens rzeczy jest snem / rzeczywistości / sen rzeczy jest sensem nieoczywistości" – pisze Andrzej Saj. Moment przejścia, transformacji ukazuje skalę przeciwieństw. W strefie buforowej raz jest ciemno, raz jasno, a czasami zdarza się sfumato. Wybieram sfumato i wchodzę. Jest subtelne, wrażliwe na niuanse światłocieniowe, nie krzyczy ani nie pęka. Życie i Śmierć przygotowują nas do Przejścia. Do transformacji. Szukamy między dniem i nocą, między światłem i ciemnością, między słońcem i księżycem. Istnieje azyl „między", przestrzeń bliska ludziom „zapatrzonym" – którzy widzą i czują więcej – ciągle pracują nad swoim zapatrzeniem. Sfumato da się lubić, ale wymaga wytrwałości. Jest trudno dostępne. Wolę wyjść z domu i dobrze się zabawić w poszukiwacza „nowoczesnego sfumato" – barwnego cienia w pointylistycznym wydaniu. Wbrew przyzwyczajeniu odnajduję bogactwo sfumato w wersji impresjonizmu naukowego Georgesa Seurata. Dlatego w niedzielne przedpołudnie wybieram się na spacer na wyspę Grande Jatte w Paryżu. Siadam na trawie, patrzę na wodę i kąpiących się.

Obserwuję panie pod parasolkami i dzieci. Siadam blisko cienia na trawniku, gdzie bawi się czarny pies, to sfera pointylistycznego cienia, ale nie znajduję wyraźnej granicy między trawnikiem w świetle słońca a cieniem, gdzie przebywa pies. Obserwacje barw w cieniu i dostrzeganie ich widmowego, osadzonego na tęczy źródła to jakby muzyczne sfumato, które uwalnia od widzenia rzeczy w sposób schematyczny, narzucony, płaski jak policyjna fotografia. Pobyt w przestrzeni sfumato jest pouczający i zabawny, chociaż inny rodzaj rozrywki daje leonardowskie, a inny pointylistyczne sfumato. Określenie „modelunek światłocieniowy" warto pogłębiać intelektualnie, bazując na inteligencji naturalnej ludzkiego oka, o czym niezwykle sugestywnie opowiada Roman Opałka w rozmowie z Ireną Olchowską-Schmidt na łamach „Formatu" nr 1-2 z 1993 roku. „Żyjemy raz i nigdy nie jesteśmy tym samym, choć jesteśmy ideą tego samego. Sensem naszego istnienia jest pogłębienie tego samego, tej emocji naszego istnienia, poprzez którą komunikujemy się ze światem i jesteśmy w harmonii ze światem. Leonardo nawet wtedy, kiedy rysował czy malował prozaiczną materię ciała, powiedzmy twarz człowieka, a był to bardzo racjonalnie myślący człowiek. Jeżeli mówię o jego sztuce jako o twarzy świata, używając określenia Lewinasa, to w tym sfumato, w moim przypadku, chodzi o sfumato jednego istnienia, jednej egzystencji". Nie znajdziecie zwolenników sfumato w kontrreformacyjnej dyspucie czasów baroku, ale ciekawość kusi, prowadzi w niebezpieczne rewiry sztuki luministycznej. Przez szparę w drzwiach zaglądam do mrocznej – jak poglądy Savonaroli – izby, gdzie mężczyźni przy stole żywo rozmawiają, a jeden z nich liczy rozsypane monety. Nagle nieruchomieją. Wchodzi Jezus, a z nim ukośna linia światła przecina mroki wnętrza, podkreślona gestem podniesionej ręki Jezusa, wskazującego na jednego z mężczyzn. Tytuł obrazu wyjaśnia gest: *Powołanie świętego Mateusza*. Światłocień jest obsesją Caravaggia, który realizm opiera na sztucznej, wykoncypowanej grze światła i ciemności, ustawiając modele jak na scenie, brutalizując czyny z realistyczną surowością ukrytego w ciemnościach zła, z którego człowiek usiłuje się uwolnić, zmierzając do światła. Tu nie ma miejsca na sfumato.

Absolutne piękno natury w rozkwicie znajdziemy w ogrodach Claude'a Moneta w Giverny. Tutaj światło i barwny światłocień zachwycają i inspirują, a sztuka *Nenufarów* daje wzruszenie i zachwyt, ratuje przed zwątpieniem. W filmie *Pamiętać Paryż* jest dziewczyna, której rodziców zastrzelił w kawiarni terrorysta, „zabójca o twarzy anioła". Dziewczyna znajduje w rzeczach po rodzicach widokówkę, kupioną specjalnie dla niej przez mamę i tatę podczas oglądania *Nenufarów*. Jest na niej fragment obrazu. Dziewczyna idzie na wystawę i szuka obrazu, którego fragment znajduje się na widokówce, to ostatnia wiadomość od rodziców przed ich zabójstwem. Kiedy rozpoznaje motyw z widokówki, przeżywa szok, utracona miłość rodziców wywołuje łzy, szklące się w jej oczach. To najmocniejsza, poruszająca scena. „W każdym calu obrazu jest dowód pewnej sakralności, pewnej świętości materii życia" – Roman Opałka.

URSZULA BENKA

***

Mam teraz biały cień
i on płynie, potrafi falować, drgać,
potrafi stawać dęba.
I wtedy przyświecam sobie cieniem,
dosiadam cienia, kąpię się ze świata i Boga.
Bardzo dbam,
aby go nie uświnić żadnym sacrum,
nie ogłupić żadną granicą
szaleństwa czy rozpaczy.



Mariusz Kubielas, z cyklu *Podróż po chleb*, 2016

KRZYSZTOF RUDOWSKI

Smugi cienia

To przeszłość, światło już było.

Niemiłe, zimne, intensywne. W połączeniu z chłodem i nieprzyjazną surowością wnętrza wręcz bolesne. Sterylna biel i sprzęty noszące piętno jakiejś osobliwej masywności i przesadnej statyczności.

Osoby wykonujące czynności schematycznie jak robotnicy przy taśmie. Osoby, z którymi nie ma kontaktu, z którymi nie może być kontaktu. Jedynie krótkie, oznajmiające zdania rzucane w przestrzeń. Formuły, bardziej zaklęcia. Zastrzyk, tlen podany przez niepasującą do kształtu twarzy maskę. Trudność w złapaniu oddechu, a raczej problem z wydechem, który hamuje napływający tlen. Duże owalne lampy na statywach, jeszcze niewłączone.

Głęboki półcień pokoju pooperacyjnego. Przekładanie z noszy na łóżko. Trudny do zniesienia ból, który mają zniwelować kapiące miarowo krople wsączające się w moje ciało. Widok tych kropli jest kojący, przypomina, że czas się nie zatrzymał, że tam się nie zatrzymał.

Półcień zmienił się w cień. Wreszcie byłem w stanie rozejrzeć się po pomieszczeniu. Na szczęście nie dostrzegłem nienawistnej bieli, jaka prześladowała mnie wcześniej. Nic jednak nie było w stanie mnie zaabsorbować. Płaszczyzna sufitu, gładkość ścian; to wszystko. Nie, coś jeszcze. Obraz, reprodukcja w ledwie widocznej ramie. Ale jest za ciemno, by dostrzec, co wyobraża. Może tematem jest, jak to ostatnio najczęściej bywa, abstrakcja. Wtedy obraz mógłby być oryginałem; pękiem kresek, zestawem plam albo jedną plamą.

Krople są powściągliwe, mam wrażenie, że z trudem odrywają się od zawieszonej na statywie butli. Z wysiłkiem, a może bardziej z niechęcią patrzę, ponieważ nie mam ochoty niczego widzieć. Zauważam jednak, że pojemnik z aplikowaną cieczą zmienił się w inny. Zmieniło się również oświetlenie. Jest chyba ciemniej, półcień przeobraził swoją strukturę. Pojawiły się smugi. Smugi cienia.

Jedne smugi są jaśniejsze, inne bardziej nasycone, tak bardzo, że przenoszą w niebyt to, co przykrywają. Ta odmiana sprawia, że pomieszczenie, w którym się znajduję, jest większe, jakby poszerzyło się o wnęki czy wręcz korytarze znajdujące się za mrocznymi smugami.

Mam szczęście, ponieważ jasna smuga pada teraz na ten fragment ściany, gdzie zawieszono obraz. Z nicości wyłania się postać, którą malarz przeniósł na płótno, przeniósł z rzeczywistości, może z wyobraźni, a może jedno i drugie. Poważna twarz kobiety patrzącej przed siebie, ale gdzie – trudno powiedzieć. Trudno dopatrzyć się źrenic, tęczówek.

Mam podejrzenie, że pozostawiono mnie pod opieką tej kobiety. Kobiety z obrazu. Że to ona, a nie pielęgniarka, aplikuje mi środki przeciwbólowe i reguluje oświetlenie. I jej zasługą jest błoga i powściągliwa atmosfera tego miejsca.

Być może to dziwne oświetlenie sprawia, że postać wydaje się przestrzenna, ale może wynikać to również z jakości reprodukcji. Mam przecież doskonałą replikę obrazu Rembrandta – wykonaną na płótnie – za którą w pewnej niderlandzkiej manufakturze zapłaciłem krocie. Ale czy ktokolwiek chciałby inwestować w dekorację pooperacyjnego pokoju?

Portret wydaje się znajomy. Mam wrażenie, że tę twarz, a przede wszystkim oczy pamiętam z dzieła jakiegoś słynnego malarza. Ale może to zupełnie inny artysta naśladował wielkiego mistrza czy po prostu pozostawał pod jego wpływem. Nie, nie przyjrzę się dokładnie temu wizerunkowi. Czuję wyraźnie, że moja świadomość nie ma ciągłości. Przez powoli kapiącą ciecz, przez to, co działo się kilka godzin temu. Przez to, że jestem taki, a nie inny i często, w różnych okolicznościach, doznaję nielinearności czasu.

Przyglądam się włosom kobiety z obrazu. Usiłuję określić ich barwę. To jest bardzo trudne w tym świetle. Szczególnie że lekko się puszą, absorbując oświetlenie, w jakim znajdowała się modelka. Dlatego może to być każdy kolor.

Ta noc nie ma końca. Ale może się mylę, ponieważ okna, których zarys dopiero teraz dostrzegłem, nie są oknami, ale tylko atrapami okien. Pory doby ustalane są zaś odpowiednio do terapii. Teraz zdecydowano, że jest noc.

Nic się nie zmienia. Kropla w komorze kroplówki zawisła w połowie drogi i trwa w jakimś niepojętym stanie nieważkości. Podejrzewam, że i ja nic nie ważę, co zaczyna być niepokojące, biorąc pod uwagę przypominające mi się właśnie, czytane niegdyś, relacje ze śmierci klinicznych. Bezskutecznie wypatruję tunelu. O światełku nie może być nawet mowy.

Dziwne, ale dotąd sądziłem, że obraz przedstawia popiersie sportretowanej osoby, gdy tymczasem teraz widzę całą postać. Czyżby smuga cienia dorysowywała brakujące elementy? A może w ogóle nie ma tutaj żadnego obrazu?

Kropla pozostaje w zawieszeniu. Może również istnienie pozostaje w zawieszeniu. Tak wygląda styk dwóch światów? Symbolizuje go niewyraźny zarys sylwetki z obrazu. Z obrazu? Postać, choć rysująca się nieostro, jest widoczna w plastycznej perspektywie. Mam nawet wrażenie – choć wydaje się to niemożliwe – że patrzę na nią nie tylko z przodu, ale z boków i z tyłu. Zdumiewające, ale widok z tyłu jest najwyraźniejszy. Dokładnie widzę piękne dessous modelki, dessous w nasyconym kolorze niebieskim, jaki malarze określają mianem błękitu paryskiego.

Smukła postać, właściwie bardzo szczupła, ale w idealnych proporcjach, które podkreśla postawa na wspiętych palcach stóp obutych w szpilki. Ta poza jest jakimś rodzajem zaproszenia, zaproszenia do dialogu, dyskusji, konfrontacji, a może do porozumienia się czy wręcz zażyłości.

Uświadamiam sobie, że kobieta w takim stroju jest w gruncie rzeczy odkryta, wręcz naga, ale uwzględniając jej piękno i wytworną elegancję stroju, ubrana jest w najtrwalszą zbroję wypróbowaną po wielekroć w odwiecznej wojnie przeciwko mężczyźnie. Czuję, że jestem na straconej pozycji. Szczególnie w moim opłakanym położeniu, poddany reżimowi nieruchomości i środków uśmierzających ból, ale może nie tylko ból. Jedyny – jak na razie – ratunek dostrzegam w zawieszonej w połowie drogi kropli.

Moja świadomość jest płynna. Może sinusoidalna. Miarowa fala, raz pokrywająca piaszczysty pas, raz odsłaniająca go. Raz bardziej, raz mniej, ale zawsze w jakimś rytmie, w jakiejś pulsacji, którą po karkołomnych obliczeniach matematycznych chyba dałoby się wyliczyć. Może rzeczywiście sinusoida. W przybliżeniu.

Ktoś ułożył moją głowę tak, że patrzę w stronę ściany z obrazem. Oczywiście kątem oka widzę pozostałą część pomieszczenia, ale główną uwagę skierowano jednak w tamtą stronę. Mam przeświadczenie, że nie stało się to przypadkiem, choć jednocześnie jestem pewny, że moje konieczne unieruchomienie wymusiło właśnie taką, a nie inną pozycję. Taki, a nie inny układ ciała.

Układ ciała kobiety z obrazu pozostawał niezmienny. Postać stała, uchwycona w tej wyjątkowej pozie, w jakiej kobiety w butach na wysokich obcasach potrafią napiąć wszystkie mięśnie, by – być może podświadomie – wyeksponować swoje cielesne atuty. Ze względu na to, że mogłem – nadal nie rozumiejąc dlaczego – obserwować jej sylwetkę również z tyłu, widziałem uwypuklone naprężeniem mięśnie pośladków. A ponieważ okrywająca je bielizna, zgodnie z panującymi trendami, miała z tyłu jedynie wąski paseczek niknący między naprężonymi półkulami, widziałem je tak, jakby były nagie.

Nie mogłem oderwać oczu od tego rozkosznego widoku. Może czekałem na moment, kiedy po niewątpliwie wydanej wcześniej komendzie „baczność” nastąpi komenda „spocznij” i rozluźnione pośladki ukażą inną, równie uroczą formę egzystencji,

a może pragnąłem przekonać się, jak długo ta niezwykłej urody kobieta potrafi trwać w tym najdoskonalszym układzie swojego ciała.

W jaki jednak sposób mogłem oglądać tylnią część ciała modelki, gdy wcześniej dostrzegłem jej twarz? Cóż to za dziwny obraz, który na to pozwala? Jak przez mgłę przypomniałem sobie dzieło Diego Velázqueza Wenus z lustrem. Tak, tam oblicze leżącej do nas tyłem kobiety odbite było w lustrze. Spróbowałem wypatrzyć na portrecie twarz, ale widziałem tylko włosy rozsypujące się na pięknych, układających się w idealnie prostą linię ramionach.

Nie podejrzewałem, bym miał przed sobą hologram wyświetlający przestrzenny obraz, obraz, który mógł się obracać, aby jego przedmiot widzieć z każdej strony. Już prędzej przypisałbym tę wizję zaaplikowanym mi środkom. Tak, to było możliwe, choć miejsce, gdzie się znajdowałem, było miejscem, gdzie – z dużym prawdopodobieństwem – powinienem jednak się znajdować.

Z niepokojem spojrzałem na zawieszoną w pół drogi kroplę i z ulgą dostrzegłem, że spadła, robiąc miejsce następnej i następnej. Jednocześnie smugi cienia zadrżały i zmieniły nasycenie. Czyżby ona, kobieta z portretu, decydowała o tych zmianach?

Nie potrafiłem o niej nie myśleć. Poprzez swoją plastyczność zdała mi się rzeźbą, ale zestawienie nieodgadnionego koloru włosów i intensywności pigmentu szminki i dessous wskazywały na jakiegoś szczodrego w operowaniu barwą malarza. Przede wszystkim jednak zniewalała mnie jej twarz, twarz zastygła w jakimś mrocznym namyśle, do jakiego przyzwyczaił nas w swoich dziełach chociażby nieodżałowany Amadeo Clemente.

Jak urzeczony patrzyłem na wspięte na obcasach nogi, z delikatnie zarysowanymi – doskonale widocznymi przez mgiełkę pończoch – mięśniami. Były bardzo szczupłe, wręcz drobne, ale to dodawało im smukłości, a zatem nieodpartego czaru, jaki kobiety mają zaklęty w zgrabnych łydka, kolanach i udach. Spróbowałem wyobrazić sobie, co poczułbym, gładząc je, a może nawet pozbawiając pończoch, by móc złożyć pocałunek.

Moja myśl podążała dalej, natrafiając na lekko zaokrąglone biodra. Wyżej była jednak już tylko krótka – jak wszystko w kolorze błękitu paryskiego – halka, odsłaniająca mikroskopijną szerokość ciała na wysokości pasa. Silne pragnienie, by coraz dokładniej przyglądać się półnagiej piękności – zapewne niewskazane w moim stanie – sprawiło, że obraz się zatarł i nie widziałem już nic prócz smug cienia.

Zaniepokojony spojrzałem w miejsce, gdzie sączyły się krople, i zastygłem przerażony. Te ciekły teraz z niewiarygodną prędkością. Moje przypuszczenie, że kobieta z portretu jest sprawczynią tego, co dzieje się w tym pomieszczeniu, nabierało

sensu. Szczególnie teraz, gdy uświadomiłem sobie, z jaką szybkością sączy się ciecz z kroplówki.

Postać nie miała już na sobie halki. Piękny, elegancki stanik, w tym samym kolorze co pozostała bielizna, obejmował w znikomym stopniu jej ładne piersi, a ponieważ był półprzejrzysty, mogłem dostrzec pod jego materią ciemne aureole wieńczące ich kształt. Były ekscytująco duże w stosunku do objętości biustu, ale mieściły się w granicach idealnych proporcji, natomiast ich wielkość przydawała piersiom z lekka wyzywający czy nawet prowokujący wyraz.

Miałem wielką ochotę spojrzeć na pasjonującą przestrzeń między biustonoszem a figami, ale zmyślny pas od pończoch zasłaniał nieubłaganie ten obszar. Niemniej wysmakowanie tej części garderoby, a głównie jej funkcja, bardziej erotyczna niż praktyczna, sprawiały, że z niekłamaną przyjemnością patrzyłem na to smukłe, proporcjonalne ciało przystrojone w tak wyrafinowany dezabil.

Mój podziw dla malarza – który zapewne zdobył przychylność zjawiskowej modelki i przyoblekł ją w tak piękny strój, ale przede wszystkim potrafił nadać jej sylwetce pozór realności – nie miał granic. Było to szczególnie cenne w tak niewdzięcznym położeniu, które nie pozwalało mi właściwie w ogóle się poruszyć. Dzięki obrazowi wiszącemu na osi mojego wzroku mogłem do woli sycić się pięknem natury zaklętym w cudownym ciele kobiety.

Smugi cienia były jednak nieubłagane. Cały czas zmieniały swoje położenie i intensywność. Jedyne, co byłem teraz w stanie dostrzec, to zarys pokoju, stelaż kroplówki i ramy obrazu na przeciwległej ścianie. Reszty musiałem się domyślać. Ze mną włącznie, ponieważ pewność, że moje ciało nie pozostało tam, w nieprzytulnej, jasno oświetlonej sali, była niewielka. Nie miałem żadnego dowodu na to, że tu jestem, że jestem tutaj ciałem. Pozostawała metoda intelektualna mistrza René, którą jednak przez okrągłe czterysta lat wielokrotnie podważono, a nawet jej wręcz zaprzeczono.

Podejrzenie, że przebywam tutaj jedynie duchem, w kontekście wspomnianych już relacji ze śmierci klinicznych (nawet mimo śmiałych tez postawionych przez szacownego Richarda Dawkinsa), wcale nie wydawało się nieprawdopodobne. Nic przecież nie czułem, nic nie słyszałem, a jedyny zmysł, zmysł wzroku – a właściwie patrzenie czy raczej widzenie – nie dowodził niczego. W końcu każdy nasz sen jest projekcją z pominięciem oczu.

Tak, sen, sen był dla mnie ostatnią deską ratunku. Ale czy nie można wykluczyć teorii, że sen jest jedyną rzeczą, która zostaje po śmierci? Jeśli tak, to mój sen, sen ostateczny, nie jest najgorszy. To bowiem, co widzę, jest bardzo mi bliskie, będąc dokładnie tym, co zaprzątało zawsze moją uwagę, co decydowało o tak wielu sprawach. Piękno kobiecego ciała stanowiło mój życiowy motor, moje szczęście, moją rozkosz. I niczego bardziej nie pragnąłem niż to, co czeka w raju na zbawionych mahometan.

Czy kobieta z portretu była zatem hurysą? Musiałaby wtedy pod frywolnym stanikiem mieć wypisane imię Allaha. Jeśli dużą czcionką, z pewnością bym to już zauważył, jeśli małą, mogę się o tym przekonać, gdy zdejmie biustonosz. I ten akt wydał mi się zdecydowanie ważniejszy od filozoficzno-religijnych dygresji. Zobaczyć tę piękność nagą. Niezależnie od tego, czy jestem, czy mnie nie ma.

Smugi cienia były jednak nieubłagane, tak nieubłagane, jak płyn w kroplówce, który bezspornie mącił moje myśli. Mącił do tego stopnia, że już nie byłem pewny, gdzie się znajduję. Wspomnienie jasności stawało się coraz odleglejsze. Lecz odległe zaczynało być również wspomnienie pokoju ze smugami cienia, nie mówiąc już o obrazie, portrecie, postaci, którą zapewne wyśniłem. Ale kiedy, gdzie i po co…

Kosmiczna ciemność tuliła mnie do swojej nicości, przymilała się, upominała o zgodę na rozpuszczenie jaźni w wielkim nic. Byłem naprawdę bliski przyzwolenia. Już, już prawie powiedziałem „tak", gdy powróciły smugi i zaczęły stawać się znowu wyraźne, bardzo wyraźne. Kropla – jak wcześniej – zawisła w połowie swojej mozolnej drogi, zaś obraz, a właściwie to, co znajdowało się na nim, stało się na nowo widoczne.

Zadrżałem. I był to ten pierwszy raz, gdy poczułem własne ciało. Nie tylko myśl, sen, rojenie, ale odczucie fizyczności. Jak jednak mogłoby być inaczej w obliczu tego, co teraz widziałem. Modelka, którą kojarzyłem z jakimś słynnym portretem, była naga. Rzecz jasna, nie całkiem naga. Malarz pozostawił buty na obcasach, ledwie widoczne pończochy i pas, na którym się trzymały. Pas w kolorze nieba nad pogodnym Paryżem.

Wreszcie mogłem wykluczyć, że jestem w raju mahometan. Imienia proroka nie było na jej wspaniałych piersiach. Na piersiach, które swoim kształtem zdawały się przeczyć sile ciążenia; choć dlaczego autor wizerunku miał się takimi zjawiskami jak przyspieszenie ziemskie przejmować. Pokazał po prostu idealny biust. Idealny, ale i prowokujący, jakby ten fragment ciała dopominał się dłoni, które śmiało ścisną elastyczną tkankę.

Ale cóż to za obraz, który w miarę obserwacji odsłania coraz więcej tajemnic? Czyżby taki, jak łamigłówka Boscha, na którą można patrzeć i patrzeć, i ciągle odkrywać coś nowego, wnikając w kolejne szczegóły? Niemniej w jakimś sensie to, co miałem przed sobą, było (jeśli już mówimy o Boschu) ogrodem rozkoszy. Nie inaczej bowiem zawsze traktowałem ciało kobiety, za co nieraz byłem karcony i ganiony. Ale gdy tylko próbowałem dopisać jakąś uczuciową ideologię do tej sfery, czekał mnie kubeł zimnej wody i ponaglenie, by nie zaprzątać sobie głowy bzdurami i brać się do roboty, adorować i dawać rozkosz.

Adorowałem zatem ciało, które smugi cienia pozwoliły mi teraz oglądać. Ocierało się to o aspekt religijny, szczególnie w kontekście myśli o ostateczności, które od chwil spędzonych w jasnym, nieprzytulnym pomieszczeniu mnie nie opuszczały.

W gruncie rzeczy mógłbym to, co czyniłem, zaliczyć do augustyńskiej, drugiej adoracji, należnej również aniołom. Co tym łatwiejsze, że postać, którą miałem przed sobą, po dodaniu skrzydeł można by z powodzeniem uznać za anioła.

Ale obraz przede mną nie był święty, jak nie była świętą postać, którą sportretowano. Jej nagość była bowiem nagością pełną witalności. Od namiętnego spojrzenia oczu, poprzez układ ust gotowych na pocałunek, ułożenia piersi żądających pieszczot, po śmiało wysunięte ku przodowi biodra, bezwstydnie, a wręcz frywolnie ukazujące przestrzeń między udami. Udami, które nie bronią przed wzrokiem patrzącego obszaru intymności. Nad nim zaś delikatnie rysował się pozostawiony przez właścicielkę ledwie widoczny ciemniejszy prostokąt. Jego zarys przypominał kształtem kartonik biletu do metra, a zważywszy na barwę dessous (w błękicie paryskim), mógł to być bilet, dzięki któremu można było odbyć podróż, powiedzmy, do stacji Saint-Germain-des-Prés.

Podczas takiej podróży mógłbym spotkać modelkę, która pozowała malarzowi do aktu. Trudno jednak przypuszczać – skoro nie jestem malarzem – że byłaby łaskawa obdarować i mnie swoją nagością. Zapewne doprowadzenie jej do negliżu kosztowałoby sporo zachodu, wiele zaklęć, obietnic, a nawet przyrzeczeń, które – co przecież tak dobrze wiemy – nigdy nie zostałyby spełnione. Ale bez nich, jak bez czarodziejskich formuł, nie byłoby nagości i chwil szczęścia w ogrodzie rozkoszy.

Nie umiem stwierdzić, czy w moim aktualnym położeniu – w aktualnym braku świadomości swojego położenia – mogę mówić o radości i szczęściu. Nie potrafię jednak inaczej określić stanu, w jaki wprawia mnie widoczna poprzez łaskawe smugi cienia kobieca postać, szczodra w swoim pięknie, szczodra w swojej nieskrępowanej nagości. Mam wręcz wrażenie, że ta jej odsłona przeznaczona jest tylko dla mnie, choć nie wątpię, że zanim zdecydowała się podzielić ze mną swoim pięknem, musiała wcześniej zadowolić nim samą siebie.

Przeglądała się w lustrze, ćwiczyła pozy, odwracała, stawała bokiem. Założyła buty na wysokim obcasie, jedne, drugie, a może i trzecie, decydując się na te kształtujące najdoskonalej jej naprężone wspięciem się na palce pośladki.

Dlaczego wybrała taki, a nie inny kolor dessous? Czyżby wiedziała, że taka barwa będzie mi się podobać? A może, podobnie jak w przypadku doboru odpowiednich butów, ten właśnie kolor intymnej bielizny wyglądał na niej najlepiej, doskonale kontrastując z odcieniem jej skóry noszącej jeszcze namiętny ślad śródziemnomorskiej opalenizny?

A stanik, ledwie kryjący piersi? Czyż nie wypowiedziała, po założeniu go, sakramentalnego, a wręcz biblijnego stwierdzenia, że „jest dobry”? I to samo powiedziała przy figach, które w rzeczy samej nie zasłoniły nic z idealnych krągłości wieńczących jej uda?

Mogłem tego dociekać, bezkarnie patrząc na nagość tej pięknej kobiety, nagość, która – jak zresztą i wszystko, cokolwiek widziałem – zaczynała okrywać się cieniem, a właściwie jego smugą. Smugą coraz mniej przejrzystą, coraz mniej zrozumiałą, pozwalającą oglądać już tylko stelaż z pojemnikiem pełnym płynu powściągliwymi kroplami dostarczanego do mojego ciała. Ciała, którego nie czułem, którego nie byłem świadomy.

Mam podejrzenie, że niewiele z tego, co widzę, co wydaje mi się, że widzę, jest rzeczywiste. Może poza kroplami, których regularność przypomina dziecięce liczenie baranków, kiedy nie można zasnąć. Próbuję je więc liczyć. Kilka razy, ale bezskutecznie. Udaje mi się dojść do dziesięciu, dwunastu i zaczynam od początku, jakbym nie znał większych liczb. A może swojski tuzin to jak dla mnie najwyższa liczba? Wystarczy.

Smug cienia już nie ma. Jest światło dzienne. Atrapy okien okazały się oknami. Pokój pooperacyjny, przytulny, stonowane barwy ścian. Nie ma już stelaża z kroplówką. Pomiary dokonywane są za pomocą dopinanego żabką do palca czujnika. Przyklejane są elektrody do śledzenia parametrów funkcji życiowych za pomocą ustawionej obok aparatury.

Patrzę na osobę, która się tym zajmuje. Patrzę z nadzieją, że to ona, kobieta z obrazu, ale to jest ktoś inny. Ta postać chyba mignęła tam, w jasnym pokoju, gdzie straciłem przytomność. Jak zza przegrody słyszę słowa uspokojenia, że wszystko jest w normie. Wszystko w normie – powtarzam w myślach – wszystko w normie. Ale w jakiej, skoro dobrze wiem, że jestem kimś innym…

Wróciło czucie. Mogę unieść głowę, poruszyć palcami. Jestem świadomy oddechu. Mogę patrzeć, więc patrzę, oczywiście tam, gdzie w smugach cienia dostrzegłem obraz.

Nic już poza nim – jego istnieniem, a może nieistnieniem – mnie nie interesuje.

JERZY GROTOWSKI

Dwanaście wierszy

pożegnanie barw

moje oczy powoli umierają
barwy były pulchne
wonne
odurzające
przebijały się światłami
uderzeniem stalowych noży
ostre
palące
kwaśne
barwy przemieniały się w mętne bagniska
uciekały kołysząc się na boki
zamierały w niepewnych dygotaniach
dzisiaj barw nie uchwycę w palce
są płynne
niepewne
pełzające
przelewają się jedne w drugie
przykurzone wycinanki
przyczajone szare kłębowiska
w których trzepocze się
mój ptak

barwy odurzające
wzroku
oszałamiające
upojone tysiącem ptaków
malujących jesienne deszcze
upojone złotem zrodzonym z zieleni
kiedy lato
obgryźli
zjadacze jabłek
upojenie gorzkim oparem rozgrzanego piachu
upojenie krajobrazem
konającym
niby schorzała paleta
którą źle
zoperowano
w szpitalu
żegnam was

koniec miłości

wierzba zżółcona
kora odarta
liście
spękane
popiół i żużel

trawa zdeptana
szczęki zrośnięte
światło brunatne
słone rozdarte
płuca spróchniałe

rzeka bagnista
idą komary
niosą malarię

smażą się z trzaskiem
suche piołuny

wierzba zżółcona
kora odarta
liście spękane
smak spalenizny

jezuitom

przesłaniacie
piersi
i usta
okiennicą
maską i księgą
a wychodzą
wasze
pająki
wasze serca
szare
pająki
otępione żądzą
i lękiem
powyległe
z białych
gąsienic
gąsienice
toczą
padliną
powyległe
z białych
gąsienic
przyczajone
głodne
i wściekłe
rozpełzają
brudem
po ścianach
oblepiają
uszy i oczy
a ogarniają żyły po tętna
to rozdzielą swoją komunię
to odprawią swoje godzinki
abym musiał szemrać do rytmu
kadzidlanych dymów i dzwonków
póki głowy

w garść
podkurczonej
nie uchwycą
lepkie
kolana
by do wtóru
sercu mojemu
mogły tańczyć
wasze
pająki
mogły tańczyć
wasze
pająki
aż i ono stanie się szare
aż i ono
będzie
pająkiem



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

kawiarniarzom

noc
noc
po wszystkich ścianach biegają oślizłe latarnie
różaniec zmęczonej ulicznicy
szeleszczenie myśli

wiem
wiem
przecież mogę odjechać tramwajem
na igrzyska bokserów przy „czarnej”
a na skrzyżowaniach ulic
są prawdziwe pajęczyny dźwięków jazzu

ja nie chcę
ziemio
zabierz mnie
ziemio

sielska piosenka

miedzą zetlałą powracać
zboże rozgarniać gorące

miedza na bosych nogach
śpiewa pastuszą piosenkę
kłosy zalewa metalem
niebios mięsista płomienność
głowa obłapia słońce
w żyłach nagrzane powietrze
oddech jest suchym bajorem
żarzy się blady horyzont
ptaki jak ciemne żużle
gasną w ospałym trzeszczeniu
miedzą zetlałą powracać
w zbożu się nurzać gorącym

pieśń na potęgę wichrów

przysięgam
ziemio moja
pieśń
na potęgę wichrów
wichrów
wstających w ciemności
o długich szponach drapieżnych
wichrów
zrodzonych w otchłani wichrów
spłoszonych koni wichrów
żarzących się w pustce wichrów
gryzących przestrzenie wichrów
rosnących wieżami
wichrów
płynących strumieniem wichrów
w ogrodach serc wichrów
w pustyniach sumienie wichrów
w krwawych jutrzniach
płomieniach
ludów
wzburzonych

wichrów
dyszących ziemią
jesteście strugą oczyszczeń
batem na karku czasu
raną rosnącą na bliznach
blizną szumiącą na ranach
skrzydłem olbrzymich kruków
na
rozpadlinie historii
pięścią bijącą w nieba
niebem kruszącym pięści
krzykiem zranionej duszności

chmurą we włosach poety

przysięgam
ziemio moja
pieśń
na potęgę wichrów

wyznanie

wyszarpnijcie drzewo w owocach
z ziemi szarej
słodkiej żywicielki
a obróci swe ciało w kamień

oderwijcie mnie
od braci moich
towarzyszy
ogrodników ojczyzny
spowiedników
moich tęsknot niedorosłych
moich doznań
w posmakach życia

a opłynę krwią rannego serca
i zamilknę

Kenia

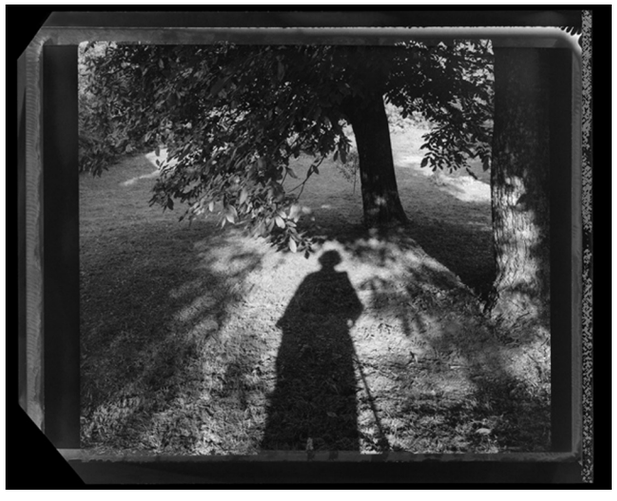
trupy rozpływające się w siności słońca
trupy nagie czarne oślizgłe i cuchnące
trupy szeleszczące na drzewach dziwaczne daktyle
trupy o głowach zrąbanych o pięściach krzyczących milczeniem
trupy idące w rzekach

te ciała były młode męskie i piękne
cieniem nocy zgarniały owoce dziewcząt
a gdy nadchodził czas odwiecznych obrzędów
w oparach ognisk rozgwieżdżonych jak niebo
tańczyły swoją młodość miłość i utęsknienie wolności

ziemia czarna matka zdeptana
jest żyzna swoimi dziećmi
krew zapładnia ją buntem
wonią murzyńskiej wiosny
stalą na głodzie serca
jutrznia czarnego pożaru

zioła zatrute

na promenadzie
młode mniszki
czarne habity
mniszki jędrne
usta czerwone
mniszki blade
głodne spojrzenia
sucha gleba
święci kwitnienie
święci ciemne
owocobrania
czarne szaty
pyłem okryte
w ustach
barwy zwiędły
w grymasie
kwadrę nieba
starły powieki
zioła zatrute



Janusz Leśniak, z cyklu *Gwoździec*, Polaroid, 1993

noc

jest moją żoną niewierną
utęsknieniem oczu i serca
miękką dłonią
na mojej twarzy
noc oddycha śpiewem gałęzi
zęby drzew sięgają po gwiazdy
przebijają ciężarne obłoki
oplątują włosy przechodniów

zanim jutrznie wytrysną fontanną
ulicznica ubrana w trykoty
noc
okrąży już wszystkie latarnie
bladym lampom odda swe ciało
noc jest moją niewierną
kusicielką lubieżnych kochanków,
jest
miłosnym odejściem w światło
noc jest moją żoną niewierną
jest wołaniem w napływach szeptu
jest milczeniem żywej pokusy
a samotna wyciągnie ramiona
i księżycem spojrzy mi w oczy
i zanuci senne szczekanie
spływające z wiejskich opłotków
wtedy jestem jej
jestem cieniem
jestem krokiem gasnącym w ciszy
jestem twarzą płynącą w latarniach
jestem tylko
jak kształt
jej ciemności

czas

rzeko płynąca niebem
chmuro jesiennych owoców
wiosno w mijaniu kwitnąca
czasie
jedyna „ucieczko”
jesteś obłędem odejścia
na którym kwitną jabłonie
chustą żałobnych tunik
w splotach miłosnych godów

pijany jestem twym winem
niknąc strugami potu
rosnąc pierścieniem ludu
wysiłkiem mojej ojczyzny
płomień zaklęty w pieśni
sięgam do twoich przepływów
wód ściekających błękitem
rzeźbiących szlak
mego serca

jesteś płynącą chorągwią
wiatrem na młyńskich kamieniach
nie od ciebie odbieżeń*
drzewo wieczystej przemiany
rzeko płynąca niebem
chmuro jesiennych owoców
wiosno w mijaniu kwitnąca
czasie
jedyna „ucieczko”

* Staropolskie – ten, kto kogoś lub coś porzucił, opuścił.

Jerzy Waszyngton

i zasadził
rękami miłującymi
drzewa dżungli
i napoił
krwią miłującą
suche korzenie
i oddawał
oddech ostatni
korze spękanej

a gdy powstały
drzewa dżungli
odepchnęły jego żebra
i kiedy szumią
drzewa dżungli
odnalazł swoja samotność

W tym roku minęła 25. rocznica śmierci Jerzego Grotowskiego. Przypominamy jego wiersze, by zwrócić uwagę, że ten wielki reżyser uprawiał także poezję. Więcej o tym w szkicu Zbigniewa Ikony Kresowatego na następnych stronach.



Jan Mikołajek, *Uwalnianie,* 2015

ZBIGNIEW IKONA KRESOWATY

„Pożegnanie barw”– o poezji Jerzego Grotowskiego

Jerzy Grotowski, znany głównie jako twórca Teatru Laboratorium, był również poetą, co odkryłem z dużym zaskoczeniem, gdy w 2009 roku otrzymałem album, który gromadził wiele z tego, co zostawił po sobie Grotowski. Znalazły się tam również jego wiersze zebrane w tomiku „Pożegnanie barw”. Czułem się wyróżniony, wiedząc, że i moje refleksje o nim trafiły do tej publikacji, która ukazała się w ramach obchodów Roku Jerzego Grotowskiego. Do swoich wspomnień o nim dołączyłem także zapis rozmowy, jaką kiedyś przeprowadziłem z Krzysztofem Miklaszewskim[1], bliskim współpracownikiem i przyjacielem Grotowskiego.

Krzysztof Miklaszewski, z którym miałem okazję wielokrotnie rozmawiać, był dla mnie nieocenionym źródłem wiedzy o „Grocie”. Nasze spotkania, zwłaszcza to w jego warszawskim mieszkaniu w 2004 roku, były dla mnie niezwykle inspirujące. Rozmowy z Krzysztofem pozwoliły mi nie tylko lepiej zrozumieć fenomen Grotowskiego jako reżysera, ale także odkryć jego poetyckie oblicze. Miklaszewski, który znał Grotowskiego od lat, opowiadał o ich spotkaniach we Wrocławiu i Krakowie, gdzie reżyser wystawiał między innymi sztuki „Krzesła” Eugene’a Ionesco, „Kobieta jest diabłem” Prospera Mérimée czy „Bogowie deszczu” Jerzego Krzysztonia.

Podczas jednej z takich rozmów Miklaszewski wspominał, jak – w trakcie ich spotkań – Grotowski nieraz dzielił się swoimi poetyckimi przemyśleniami, choć czynił to bardzo dyskretnie. To właśnie Miklaszewski zdradził mi, że Grotowski już w latach 50. i 60. XX wieku zwierzał się ze swoich poetyckich aspiracji Ludwikowi Flaszenowi. Choć, mimo iż wtedy ponoć zaznaczał wyraźnie, że nie chce łączyć swojej poezji z aktywnością teatralną, Flaszen nie przyjął tego jakoś entuzjastycznie. Może rozmawiali o jego wierszach, może opinie Flaszena o nich nie były najlepsze? Tego się już pewnie nigdy nie dowiemy. Ale może i dlatego Grotowski ukrywał przed światem swoją poetycką duszę w obawie, że mogłaby ona odwrócić uwagę od jego teatralnych osiągnięć.

1 Krzysztof Miklaszewski (ur. 1944 w Krakowie) – reżyser teatralny i filmowy, krytyk sztuki, dziennikarz telewizyjny i pedagog.

Miklaszewski często jednak wracał do tematu poezji Grotowskiego, zwłaszcza do momentu, kiedy reżyser zdecydował się złożyć swoje wiersze do druku w Wydawnictwie Poznańskim. Jak się dowiedziałem od Krzysztofa, projekt tomu „A ja nie mam się komu podobać”, później przekształconego na „Pożegnanie barw”, był dla Grotowskiego ważnym krokiem w jego artystycznym życiu. Niestety, cenzura uniemożliwiła wydanie tego zbioru, co było dla Grotowskiego osobistą porażką, mimo że redakcja doceniła jego poezję.

Wspomnienia Miklaszewskiego przywołały również obraz Grotowskiego jako człowieka pełnego wewnętrznych sprzeczności. Z jednej strony był reformatorem teatru i liderem wielu awangardowych działań, z drugiej zaś, jak się okazuje, wrażliwym poetą, który w swoich wierszach mówił o ekstremalności świata i życia czy o wieczystej przemianie. A to w tonacji pesymistycznej, a nawet apokaliptycznej. Wiersze takie jak „Pożegnanie barw” i „Koniec miłości” ukazują ten dualizm – artysta, który zmaga się z rzeczywistością, i człowiek, który tę rzeczywistość kontempluje w ciszy.

Jednak zanim jeszcze spotkałem Miklaszewskiego, już jako student słyszałem o Grotowskim i jego niezwykłym teatrze. Mówiło się o nim zwłaszcza w środowiskach artystycznych i studenckich. Pamiętam, jak wraz z grupą przyjaciół po raz pierwszy dotarłem „pod plakaty” teatralne Teatru Laboratorium, które były ręcznie wykonane i wywieszane głównie na Rynku, blisko siedziby teatru. Te plakaty miały w sobie coś magicznego, coś, co przyciągało jak magnes. A serce biło jeszcze mocniej, gdy zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie miały miejsce spektakle Grotowskiego.



Jan Mikołajek, *W7 okna*, 2015

Zacząłem regularnie bywać na próbach w ceglanej sali Teatru Laboratorium, uczestnicząc w różnych otwartych inscenizacjach i treningach. Często siadywałem obok reżysera, zafascynowany jego osobą i tym, co działo się na scenie. Byłem zahipnotyzowany, jak tylko Ryszard Cieślak, najbardziej ekspansywny aktor, lub Zbigniew Cynkutis wydawali z siebie rżenia przeszywające całą salę. Pamiętam, jak czasem bałem się tych dźwięków, ale nie mogłem oderwać wzroku od tego, co działo się na scenie. Milczałem, pochłonięty całą atmosferą i chłonąłem każdy moment tego niezwykłego spektaklu. Wówczas zasłyszałem od bliskiej mi osoby, że Grotowski nie tylko reżyseruje, ale również pisze wiersze. Była to dla mnie nowość, ale jakoś nie przywiązywałem wtedy większej uwagi do tych pogłosek. Kiedyś jednak zdobyłem się na odwagę i zapytałem o to samego Mistrza. Spojrzał na mnie przez swoje grube okulary, sapnął, mruknął coś pod nosem, jakby był zajęty czymś zupełnie innym, i wtedy dotarło do mnie, że może rzeczywiście coś w tym jest. To doświadczenie, choć wówczas jeszcze nie w pełni zrozumiane, sprawiło, że z jeszcze większą fascynacją odkrywałem później poezję Grotowskiego. Kiedy czytałem po latach jego wiersze, takie jak „Pożegnanie barw", w których pisze:

moje oczy powoli umierają
barwy były pulchne
wonne
odurzające
przebijały się światłami
uderzeniem stalowych noży
ostre
palące
kwaśne
barwy przemieniły się w mętne bagniska
uciekały kołysząc się na boki
zamierały w niepewnych dygotaniach
(...)
upojenie gorzkim oparem rozgrzanego piachu
upojenie krajobrazem
konającym
niby schorzała paleta
którą źle
zoperowano
w szpitalu
żegnam was

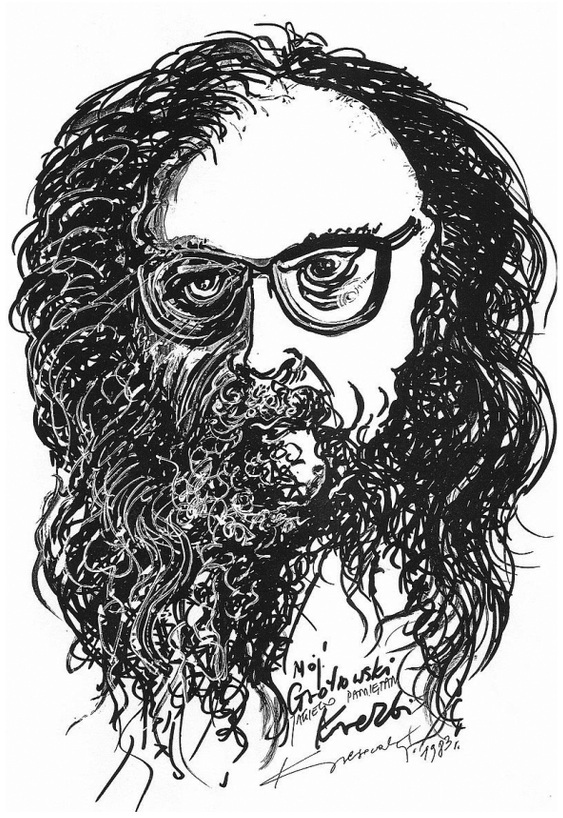
zrozumiałem, że Grotowski ukazywał w nich nie tylko swoją wizję świata, ale także swoje osobiste zmagania. Były to zmagania artysty, który szukał swojego miejsca między sztuką a życiem, między teatrem a poezją i niezwykle empatycznie przeżywał, przywoływał brutalność i cierpienie, które widział w świecie. Weźmy choćby wiersz „Kenia" – powstał on prawdopodobnie pod wpływem doniesień o krwawym stłumieniu przez Brytyjczyków powstania Mau-Mau w Kenii (1952–1956) przed uzyskaniem niepodległości przez tę kolonię. Grotowski pokazywał brutalne

obrazy ofiar tamtych zdarzeń. „Trupy rozpływające się w siności słońca / trupy nagie czarne oślizłe i cuchnące" – to jakby turpistyczna scenografia dla niezwykle lirycznej retrospekcji:

te ciała były młode męskie i piękne
cieniem nocy zgarniały owoce dziewcząt
a gdy nadchodził czas odwiecznych obrzędów
w oparach ognisk rozgwieżdżonych jak niebo
tańczyły swoją młodość miłość i utęsknienie wolności.

Jego zdaniem młodość, miłość i piękno nie zostały jednak zgładzone bez sensu. I Grotowski – poeta chciał ów sens widzieć i głęboko weń wierzył, bo mistyczny akt zapłodnienia matki – ziemi „buntem" miał przynieść „jutrznię czarnego pożaru".

ziemia czarna matka zdeptana
jest żyzna swoimi dziećmi
krew zapładnia ją buntem
wonią murzyńskiej wiosny
stalą na głodzie serca



Zbigniew Kresowaty, portret *Jerzego Grotowskiego,* 1983

Ten akt idący w parze z uwrażliwieniem na krzywdę najprostszych ludzi łączył się, z pewnością, z wielkim zaangażowaniem autora reagującego nawet na stan relacji państwo – kościół i sprzeciwiającego się instrumentalizacji człowieka, który był jedynie używany do politycznej gry. Dowodem niezgody na to jest jego wiersz „wyznanie" ukazujący wielki dystans wobec obu stron ideologicznego sporu:

oderwijcie mnie
od braci moich
towarzyszy
ogrodników ojczyzny
spowiedników
moich tęsknot niedorosłych
moich doznań
w posmakach życia
a opłynę krwią rannego serca
i zamilknę

To jednak nie było takie proste, gdyż jako aktywny twórca był z jednej strony bacznie obserwowany przez służby bezpieczeństwa i jego działania artystyczne również podlegały cenzurze, z drugiej natomiast spotykał się z ostrą dezaprobatą hierarchii kościelnej w Polsce. Dość powiedzieć, że w roku 1976 arcybiskup Bronisław Dąbrowski zażądał zdjęcia „Apocalipsis cum figuris" z afisza. Pisał o tym dokładnie przed sześciu laty Leszek Kolankiewicz.

> Jak wynika z ujawnionych dwadzieścia lat później tajnych dokumentów kościelnych, cztery miesiące wcześniej, w styczniu 1976 roku, w poufnych rozmowach sekretarza Konferencji Episkopatu Polski z kierownikiem Urzędu do Spraw Wyznań oraz z nadzorującym sprawy wewnętrzne sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR, biskup Bronisław Dąbrowski złożył protest „przeciwko bluźnierczym wydawnictwom i spektaklom graniczącym z pornografią", a wśród nich „Apocalypsis cum figuris" i „Białemu małżeństwu" [Tadeusza Różewicza – red.]. Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań Kazimierz Kąkol zgodził się z nim, potwierdzając, że utwory te szkodzą zdrowiu moralnemu narodu, i poradził zwrócić się do ministra kultury, by „wystąpić mocno przeciwko tym nadużyciom"[2].

Podczas uroczystości ku czci św. Stanisława 8 maja 1976 r. w sanktuarium na Skałce w Krakowie odniósł się do tego także prymas Kościoła katolickiego w Polsce, kardynał Stefan Wyszyński. A mówił między innymi tak:

> Bóg przywrócił wolność, a co my z niej czynimy? Na co ją wykorzystujemy? Czy to ma być tylko wolność picia i upijania się, alkoholizmu i rozwiązłości, wolność wystawiania obrzydliwych sztuk teatralnych? Jak gdyby naszych artystów nie było już stać na nic lepszego tylko na jakieś tam „Białe małżeństwo" czy „Apocalypsis cum figuris". Obrzydliwości, które się drukuje, wystawia się potem w teatrach, a Polacy, chociaż mówią o tych przedstawieniach – to prawdziwe świństwo – ale idą na nie, płacą pieniądze, siedzą i spluwają. Czy na to odzyskaliśmy wolność?[3].

Pamiętam, że pod teatrem, pośrodku wrocławskiego Rynku stało zawsze wielu studentów, outsiderów… uczniów szkół średnich i innych zainteresowanych, także spoza Wrocławia. Ale największą „popularność" – jak sądzę – przyniosła Grotowskiemu i Teatrowi Laboratorium ta „klątwa" prymasa i kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Co do twórczości poetyckiej Jerzego Grotowskiego, to – według znawców – od czasu odrzucenia przez cenzurę „Pożegnania barw" zamilkł on jako poeta i prawdopodobnie nie zapisał później już ani jednego wiersza. A te, które ocalały, tak pełne bólu i pesymizmu, są nadal czymś więcej niż tylko artystyczną kreacją. Jest w nich głębokie pragnienie prawdy, dobra i piękna.



Jan Mikołajek, *WS9 widok wnętrza 2,* 2015



Jan Mikołajek, *WS9 widok wnętrza 5,* 2015

2 Zob. Leszek Kolankiewicz, *Świntuch, bluźnierca, pantokrator, guru, heretyk, Grotowski*, „Didaskalia" 2018, nr 147, s. 12.

3 Cyt. za: Tadeusz Kornaś, *Apologie. Szkice o teatrze i religii*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2017, s. 20.

MIŁOSZ KAMIŃSKI

To nie był dobry czas

Mogliśmy być? Smakiem, zapachem papierówki
z drzewa w zgasłej wyobraźni, czy dla Redenów
kimś bardziej, w przyszłości scalonym układem,
z tą samą przyrodą na wyciągnięcie ręki, jak dym
i mgła, wątek i osnowa, że w pustych mauzoleach

Wiatr traci oddech: *Niejasna przyszłość, hrabio!*
Koniec okresu wegetacji, w gorączce i nicości,
w samotności i saunie, za oknem na kamieniu
zima nóż ostrzy, para i elektryczność wracają
w motywie miłosnymi podwójnym, stają się

Wielkim epizodem: Rozsypka w puzzlach, jesteś
Katoliczką, więc ta wojna ci nie posłuży: *Poezja?*
Silesia! Zmysły są teraz radarem, łowią w pustym
pokoju, niebo w inwersji: światło nas pokona i nici
z dowodu, jacy byliśmy: *Szwedzi pod miastem.*

Dłonie na twych piersiach, za oknem legendy
spijane z ust: *Bardziej pasuje srebro czy złoto?*
Lato wznosi się, może szybowiec nad miastem,
w lesie zaczyna się północ: wierząca lub nie,
na jaki grzech mi ty? Na jakie teraz, jakie zawsze?

Komu w drogę

Od dawna nie uśmiechasz się do zdjęć i tych,
których kochasz, liczę podwójnie za zmarłych
i pochowanych pod kocem zimowego smogu,
w gęstym wierszu, że nie wystarcza oddechu:
wszystkie kardiografy kapitulują ze spokojem

Z mapy światła zostało tysiąc ciemnych miejsc,
gdzie mak sieją do zachodu, chłodna precyzja
kelnerów, ze sztućców odczytana wróżba nocy,
gdy otwierają rajskie wrota i jesteśmy na wpół
spotkaniem noża i widelca, echem kieliszków
Kiedy się całowaliśmy, w mieście ustawiano
choinki, na prześwietlonych kliszach wystaw
rosły prezenty i święta pęczniały jak brzuchy
ciężarnych: poranek za porankiem wygrywał
melodyjki z pozytywki i nie było za nas ceny

Piosenki po zmarłych

Kamień po kamieniu budzę się
z ciebie, `staję się sypką ziemią
Niepewna czegoś w krajobrazie,
skądinąd podmienionego języka
Przydrożny głóg żegna wygnanych,
cierpki do łez jest owoc poznania
Żal znaczy chusteczka haftowana:
cztery rogi, komu rzucę ją pod nogi

Śpiewam: najlepsze zawsze wino
przyszłego roku, nie będzie takiego
Czym płacić, odkąd nie ma Śląska,
pisze Agnieszka, granica dzieli świat
Żywych i zmarłych: którzy się starali
i tych, którzy mają ogród dany za nic
Prężу się czas, nabierając powietrza:
do pieczenia chleba ciebie tu potrzeba

Więc ziemia pokazuje stare sztuczki,
zapewnia z nagrobka: *nie łamie miłości*
Oddech obok, dłoń zaciśnięta na mojej
i światło, gdy w Jaworze kogut pieje
nic po Agnieszce, która wszystko traci
ze śmiercią Bolka, myśli układa gęsto
Śni na potęgę drzewo nie posadzone:
my się go boimy, na palcach chodzimy



Jan Mikołajek, *Obecność,* 2015

WALDEMAR OKOŃ

Bez początku[1]

Powracam jak malarze do linii przeciętych piórami, miazgą wzroku, bez celu. Rozmyślania nie mają kierunku i dzieją się na okręgu albo w środku magicznej kuli. Przeczucie wzrostu, pomniki z przyklejonymi podartymi kartkami. Muszę je skleić, poprawić dukt pisma, wyprostować marginesy. Powstanie latający dywan, który zawiezie mnie do szczęśliwej krainy, gdzie wszystkie tablice są nadal niezapisane, a nasze dzieci się jeszcze nie narodziły. Przemilczymy kolejne pory roku, najłatwiej jest, jak zawsze, przemilczeć zimę. Będę tym samym człowiekiem, który ukrywa się w swoim niedokończonym dziele, dosłownie.

To musiało wydarzyć się na pobliskiej łące. Mam kilka pobliskich łąk i las w zapasie. Idą kosiarze i niosą snopy zgłoszone do konkursu. Tak niekiedy wygląda słońce, w którego blasku migoczą kosy. Ktoś zabił puszystość zwierząt i miękkość trawy. Zapada noc, zawsze zapada noc, to na szczęście nie jest jeszcze nasza śmierć, powiesz, nie nasza. Zawsze, jak wiesz, umierają inni. Weź ode mnie zadumę światła, naręcza pąków, poszum spłoszonego sitowia. Bierz, co chcesz, proszę jedynie, abyś o mnie, kochana, nie zapomniała. I ja pamiętać będę o przyćmionych oczach radości i gniewu.

Nikt nie chce ze mną zostać, powrócić, muszę iść sam, prostować ścieżki, dokonywać słusznego wyboru. W powozach, które mnie mijają, siedzą ślepi woźnice w żółtych liberiach, wołają, aby ustąpić im z drogi, powołując się na swoje kalectwo, są słabi. Wsiądziemy kiedyś do wyłożonego lustrami środka, litery uniosą nas ku górze. Jeszcze ukłon przed towarzyszem podróży, zmięte rękawiczki na siedzeniu pokrytym pluszem. Spojrzymy wtedy za siebie, usłyszymy oddech jakiegoś człowieka i kim wtedy będziesz ty, kim będziesz? Zawsze fragment, powiesz, czy coś w tym rodzaju, patrząc na mosiężne klamki wytarte od wielu szorstkich dłoni. Tak odejdzie ostatni z nas, zasypany kurzem dróg i hałasem świata. Istnieje przecież powracający obsesyjnie schemat ostatnich, pustych rzędów.

Zmarszczki coraz wyraźniej spod teczek, spod stosów papieru. Nie mam już siły, moje mury obronne pękają w wielu miejscach. Stara klawiatura, nie wchodzą „ę" i „a", tracę cierpliwość. Nie rozmawiam już też z duchami, wytrzymałość prawej komory serca jest coraz mniejsza. To dobrze, trzeba być współczesnym swojej epoce. Na szczęście nie łysieję, zakola, które miał ojciec, ominęły mnie niespodziewanie,

1 Drugi fragment tekstu ukończonego 29.12.2015 r., przygotowywanego obecnie do druku.

podobnie jak wrzask polityki i kilka przypadkowych rozwiązań sytuacji. Coś się od nas oddala, we śnie widziałem owładnięte deszczem miasto, zamknięte zegary, pół czerni i pół bieli. Nie umiem tego wyjaśnić, słyszałem opowieść o klęczących kościołach i wiedziałem, że nie ma w niej zbyt wiele sensu. Tekst pierwotny przesłaniały chmury, pokutnicy grali w golfa na ołtarzu, świstały bicze biczowników i nikt nie był bez winy. Chodziliśmy po ostrych krawędziach, rozumieli zamyślenie latarni. Trudno było odnaleźć właściwy numer domu, byliśmy zmęczeni, przerdzewiała tabliczka uderzała rytmicznie o okiennice. Obok nas przejeżdżała dorożka samobójców, ich skóry powiewały na wietrze, na twarzach rysowało się charakterystyczne dla śmierci zamyślenie.

To, czego pragniemy, być może nie jest pragnieniem, to, czego żądamy, nie jest żądaniem, to, o czym marzymy, nie przychodzi, ginie w pękniętych pieczęciach, w próbie ucieczki od realności. Widzę ten obraz, przecieram oczy, pieczęcie są z laku i srebra, pada na nie strumień światła, w szczelinach gnieżdżą się tajemnicze zwierzęta, noże przebijają źrenice. Musimy założyć przepaski dla niewidomych, wtedy słowa nabierają większej wagi, a nasi bohaterowie mogą odejść do odległych pokoi. Siadamy przy nakrytym stole, w ciemnościach podają nam kolejne dania nagie czarnoskóre tubylki. Nakrycia są ważne, przypominają o luksusie sztuki, o wielkim żarciu epoki. Mogą być więcej warte niż goście w tej restauracji, którzy odejdą, a my nie dostrzeżemy żadnej zmiany. Zawsze fragment, kawałki nóg, ust, warg używanych do niespiesznego żucia. Musimy jakoś je spoić, ubrać w nowe ubrania, posadzić na porcelanowych nocnikach. Usłyszymy wtedy rytmiczne uderzenia metalu o szklane nierealia, usłyszymy nasz głos wołający niezbyt głośno i śpiew niezbadanej, malowniczej puszczy.

W przeciwieństwie do snu obrazy realności mogą ujawniać w sobie głębokie symptomy choroby wieku. Żółte stroje zacierają barwę wnętrza, w klatce trzymamy kilku niewolników, uczymy ich śpiewu na komendę, dajemy okruchy cukru. Pręty klatki są nieco spróchniałe, ale nie przeszkadza to nam w nauce. Minął wiek pary i atomu, nadchodzi epoka żelaznych gardeł i całopalenia. Śpiew niedługo się skończy, nawet ten wyuczony i mechaniczny. Pozostaniemy sami, patrząc na wirujące liście klonu, na utrwalony na wieczność timbre naszego głosu. Jego brzmienie jest ważne, nie powtórzy się już nigdy. O tym, że nie wszystko jest jeszcze skończone, przekonuje nas przechodzący ulicą równoległą Zbawiciel. Staramy się go zrozumieć, wydobywamy z siebie ścieśnione, ciemne dźwięki. Nasza krtań jest ściśnięta przez łzy i krew spopielonych. Nasz katastrofizm ma szansę na rozgłos w mediach i licznych ostatnio, nielegalnych organizacjach.

Nie mamy szans na zbyt długi koncert. Instrumenty zapadły się pod ziemię, nastrój uleciał, poszukujemy prawdy nadaremnie. Na krucjatę też jest już za późno, te, które się odbyły, w zupełności wystarczą. Dzieci nam wydoroślały, stare lalki gdzieś się zagubiły. Staliśmy się tacy jacyś zwyczajni i nic już nie potrafi nas zaskoczyć. Rozwiązujemy z pewnym trudem zadania z trzeciej klasy szkoły podstawowej,

muzyka sfer powoli milknie, wyciszając swoje dźwięki w opustoszałym pokoju. Coś z niej zostaje, drogi biegnące obok nas, szum strumieni, pytania bez odpowiedzi. Niesiemy swój krzyż albo laskę proroków, kawałek kija wytartego na obu końcach o ostre kamienie. Nasz styl podniosły nie bawi już znudzonej publiczności. Trumny bywają puste, symfonie niezbyt doskonałe. Wydobywam coś z dawnych sformułowań, ratuję od ostatecznej śmierci palimpsesty. Wokół nas roztaczają się pętle pustego pola, płaczą opuszczone matki, drgają ostatnie nuty. Ta kompozycja nie była zbyt udana, może jakaś inna, może milczenie oprawne w złote struny przyniesie nam pocieszenie, ulgę po dobrze spełnionym obowiązku.

Są miasta podniebne i są miasta nieocenione, bez wartości, znaki czasu, liczby pozbawione sensu. Widzę je wyraźnie, ich miarę szklaną, miazgę śmiałego widzenia. Uwielbiam słowa rzadkie i niespodziewane, zawsze je kochałem bardziej niż ludzi. Piętra pełne ptaków, to jest mój rejon, moja tajemna zona, tam mieszkam, w ptasich gniazdach skulonych na najwyższych gzymsach. Pióra wypadają mi z rąk, spadając na półksiężyce czerni widziane z daleka. W dole sady kwitnące o tej porze roku, ziarna pelargonii, okruchy żarówki zgubionej przez moje nieuważne dziecko. Nikt nie zamyka tych miast, nikt nie karmi ich chlebem powszednim. Nad moją głową złota aureola skupiona i milcząca. Drewniane dzwonki biją coraz wyraźniej. Jest noc, nieoceniona za życia wszystkich zmarłych. Sąd Ostateczny już się odbył, to jedno pociesza mnie nieustannie.

Stoję na perskim rynku, słucham melodii sprzed lat. Zawoje perskiego oka i wyklęty powstań, ludu ziemi. To nic nie znaczy, nie można tego do końca zrozumieć. Gdzie Rzym, gdzie Krym, litery przywołują nieprawdę. Patrzę na rośliny, które nie zaznały jeszcze mężczyzny. Figi, brzoskwinie, pomarańcze uciekają i chcą być ujęte, spłynąć gorącym sokiem. Kupuję kilka owoców mango i granatu na zwiększoną potencję, parę ostryg, ich rybi zapach, ich muszle jak szlifowane przez ocean negatywy podwodnych zdjęć. W kufrach całe moje mienie, złote szaty cesarza, turecka fajka, kilka kropel Orientu. Znam cenę każdego z tych przedmiotów, lubię nieoszlifowane diamenty i opowieści o ucieczce grzesznych. Dokąd oni uciekają, kto ich ściga? W załomach moich szat jest sporo kurzu wieków, zacerowane epoki, historie opowiedziane nie do końca. Trzej królowie przyglądają mi się uważnie. Daję im złoto, kadzidło i mirrę, może zawiozą je gdzieś daleko, mnie już nie są od dzisiaj do niczego potrzebne.

Od pewnego czasu piszę bezrękie poematy o mocnym początku i niezbyt wyraźnej kodzie. Są uwięzione we mnie i muszą się uwolnić. Bronię dzięki nim niesłusznych wiar i nieprawomyślnych poglądów. Pustka zalewa nam twarz, rewolucje nie chcą się dopełnić. Świat i tak przetrwa, bez względu na siłę naszych zdań i piękno sformułowań. Nie potrafimy go zburzyć, nasze mięśnie są zbyt słabe, nasze ołtarze zbyt niskie i pospolite. Zapomniałem już kilku religii, staram się sobie przypomnieć te ostatnie, modne i wyjaśniające istotę stworzenia. W kilku krajach ścinają za to głowy, pieśni z pianą na ustach, z wyrwanymi rękami. Stoję najniżej, na najniższym stopniu, patyna pokrywa okoliczne dachy. Jestem coraz starszy, wokół moich palców owija się skóra węża. Barykady zostały dawno zdobyte, więzienia otwarte, ofiarnicy odeszli w stronę małej bastylii. Musimy się umówić co do terminu najbliższej egzekucji osób kalekich, chorych i bezrękich.

Stoimy tak w niemodnych strojach na środku ulicy. Prosimy o wsparcie dobrych ludzi, zawieszamy najwyższe drzewa na nitce wyciągniętej z podartej koszuli. Stać nas na wiele, możemy przerobić wytarte szwy na struny nieznanych instrumentów, zniknąć poza horyzontem szczęścia, poprosić o szklankę wody. My, wielcy poeci nie boimy się zadawnionego krzyku, zachwianej równowagi, harmonii sfer. Nasze pułapki mają inny wymiar, stoimy w szeregu potępionych, którzy nigdy nie dostaną nowej sukni. Mleczne gwiazdy świecą jasno nad nami, klucze natchnienia przekręcają się w zardzewiałych zamkach. Jesteśmy odurzeni jednostajnym spadaniem, anioł stróż nie może za nami nadążyć. Dyskretnie zamieniamy smutek w radość, ekstazę w upodlenie. Ciekawe mogą być eksperymenty z nagością ludzkiego ciała. Nagość naszą powszednią zachowaj nam, Panie. Nie zamieniajmy jej na nic innego, niech lśni piękna i wyzwolona, do czasu kary i potępienia.

Muzyka odchodzi, ludzie umierają, duże dzieci są nieprzystosowane do życia. Musimy je prowadzić na smyczy, za zużyte słowa, na pasku wytartym i starym. Nic nie jest zwyczajnie, jak to w niedzielę, dzień święty, który trzeba święcić, zwracamy się do przyszłości ufni i ulegli, jak to w niedzielę. Ktoś musi nas tam zaprowadzić, jakiś Przewodnik albo demon, duże dzieci bezradnie gryzą wędzidło. Idą w karnej grupie, pojedynczo, lecz z rękami założonymi z tyłu głowy, jak więźniowie otoczeni przez czujność błękitną. Patrzą na oś świata, która obraca się w drugą stronę, na szczęście nie wpadają w samouwielbienie. Zabierzemy im wszystko, co ostre, nie mogą się skaleczyć przed ostatecznym wyrokiem. Jeżeli skaleczy się niepogodzony z życiem, jego krew może przerwać wszystkie tamy i zalać kilka kontynentów. Tego roku przeciętna zbiorów jest niezła, w ogóle jest nieźle, dopóki żyjemy.

Odzyskałem dziś kilka wspomnień. W trakcie poszukiwań dotarłem na terytorium, o którym zapomniałem, że istnieje. Dotarcie tam zabrało mi kilka dni, pół życia. Zdarłem wszystkie buty, osie kół rozgrzały się do czerwoności, zabiłem po drodze kilku krytyków, którzy nie zrozumieli mojej ody na cześć złotej uprzęży. W poszukiwaniu korzeni przedarłem się przez największą dżunglę w okolicy. Głód zajrzał mi w oczy, pobliskie podziemia ujawniły swą trywialną twarz, a zwrotnice na stacji uległy ostatecznemu zamknięciu. Jestem w środku chaosu, a poszukuję centrum, miejsca, z którego zaczyna się odejście, odnalezienie właściwego kierunku. Idziemy razem, ja i ty, mamy swoje obowiązki, rusztowania zbudowane z przesądów i codziennych przyzwyczajeń. Jest coraz mniej miejsca na radość, na pewno to zauważyłaś, jest coraz mniej miejsca dla nas. Poszukujemy dalej, widzimy rzeczy w zastępczych opakowaniach, widzimy naszą skórę po latach, błyszczy w ciemności, wołamy z niej donośnie do Pana.

Myślałem o tradycji, stary rok, nowy rok, o moim kalekim istnieniu, o rozpaczy. Tętnice jest tak łatwo otworzyć, nic mnie dzisiaj nie uderzyło, idę ulicami, nie patrząc. Spotykam miejsca, które niegdyś opuściłem, rzeki, po których płynąłem z prądem razem z ojcem, chleby rozkrajane, wiarę, która ode mnie odeszła. Jestem uległy i cichy, moje będzie królestwo. Nie pożądam władzy ani żadnej rzeczy, odbijam się od ludzi, padam na kolana, kiedy trzeba, daję jałmużnę żebrakom grającym w rynku na gitarach elektrycznych. Okruchy moich rąk utrzymują nadal sklepienie niebieskie, stygnące o tej porze roku do zera w skali galaktycznej. Nacinam bruki nowym ostrzem, podwiązuję bandaże parków, moje miasto dopiero się zaczyna. Zapowiedź niedługiej przyszłości, oczywistość śmierci i życia po życiu. To lubię, tego rodzaju opowieści, piszę księgi umarłych dla żywych.

Spotkałem dzisiaj ludzi czerwonych dębów. Nie wiem, kim są i dlaczego się tak nazywają. Pływają po morzu, wiosłując usilnie i wytrwale, potrafią zwalczyć zbyt silne przypływy, budować okręty z dębowych desek. Z daleka obserwują cieniste aleje i nasze zamki nadmorskie, często wyprawiają się po złote runo. Ich wyobraźnia nie ma granic. Oczekujemy wraz z nimi na najbliższą falę, kochamy metafory, księżyc w nowiu, światy zapomniane na zawsze. Daleka ziemia wydaje się być coraz bliższa, osiągamy dzięki niej stan doskonałości, patrzymy, jak znika powierzchnia żołędzia, jak wykluwa się z niego drzewo. Nasiona tańczą nad matką w nieustannym tańcu, prawda ma podwójne oblicze. Unosimy się lekko, coraz lżej w uniesieniu niezbędnym dla artysty.

Tak mówiliśmy, a teraz nie pamiętamy o czym, tak mówimy o cywilizacji, o kilku maskach tuż przed karnawałem, o najszybszym przejściu na drugą stronę lustra. W pudełku talia kart, podnosimy, sprawdzamy, mówimy: sprawdzam i otwiera się niebo, jesteśmy w tym dobrzy. Czas się do nas uśmiecha, pod ścianami rozwijają taśmy zapisane przed laty. Jeżeli rozwiną się w pismo, spróbujemy je odczytać. To są narzędzia naszej cywilizacji, media o wygładzonych brzegach, to jest mówienie o tym, jak było dawniej, pismo zabiło pamięć, obraz zabija pismo, kto zabije obrazy, ktoś to musi zrobić. Wrócimy wtedy do źródeł, będziemy z nich czerpać bez końca i bez początku. Patrzę, jak pod moimi palcami zmieniają się teksty, były takie łagodne i co się teraz z nimi stało. Światło odbija się od liter, granice uciekają coraz dalej, źrenice przypominają młyńskie koła, spod zużytych narzędzi wypływa treść gorejąca, słowa ułożone w dowolnej kolejności. Cywilizacje są do jednorazowego użytku, nie można ich powtórzyć drugi raz, tak jak my, jak nas, jak nasze dzieci poranne, po poronieniu.

Nienarodzeni ludzie żyją na pustyni aloesu, w oazach uśpionych grobami, spieczonych bielą i ochrą. Pragną spotkać pełzającą pośród dzbanów żmiję, cień życia, odczytać wzory na jej skórze, zobaczyć jeszcze raz dalekie miraże. Ponad nimi przelatują żurawie, są niezwykle piękne, na ich piórach ktoś umieścił tablice gwiazdy pełne, zapisane cyframi przyniesionymi z głębin mądrości i doświadczenia. Ich stoły są zasypane pragnieniem, znakami, które nie rzucają cienia, nasyconą do bólu poezją. Kopuły widoczne na horyzoncie nie są prawdziwe, przyczyny mylą się ze skutkami, sucha skóra napina niebezpiecznie. W tle przemyka pusty w środku, niedowiedziony do końca i być może złudny skorpion. Koło z ognia zaciska się wokół niego, krople ułudy spadają nieustannie.

Poszukiwałem dzisiaj właściwego punktu ciężkości, patrzyłem na kolejne klawiatury fortepianów. Mój zmysł obserwacji ulegał nieustannym przemianom. Niepokoiły mnie fontanny i gejzery wybuchające za oknem. Świat polityki ubierał irchowe rękawiczki, był bezwładny i groźny zarazem. Czy musimy o nich pisać, zajmijmy się lepiej lodem, który skuwa nasze jeziora, kataraktami, które przesłaniają nam oczy, czymś pożytecznym. Będziemy prostować wygięte łuki, nasze zgarbione plecy nareszcie przyjmą właściwą postawę. Noc zamieni się miejscem z dniem, przyjdziemy z pomocą słońcu, ciężary będą coraz lżejsze. Obiecać można wszystko, nawet życie wieczne. Świat o zmienionym punkcie ciężkości dopiero się zaczyna, jest pozbawiony uroku, ale przesycony pragnieniem władzy. Praca, praca i jeszcze raz praca. Igrzyska zaczynają się wyjątkowo nad ranem.

Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni. Piękna fraza, coraz piękniejsza. Jeszcze pobrzmiewają opuszczone słowa, rwane niecierpliwie głosy, echa, dla których nadmierny pośpiech jest niewskazany. Jeszcze jest w nich ciepło i dobro, i prawda stopione razem w papierową kulę, która toczy się w dół naszych schodów. Czy słyszysz tę melodię, rysunek perskich dywanów, alabastrową ciszę. Nasze dłonie są coraz bardziej bezradne, przypominają wymarłe zwierzęta, które ukryły się w przedpotopowej puszczy. Musimy trzymać wodze fantazji pewną ręka, przetrwamy każdą próbę wytrącenia nas z bogactwa realizmu. Lubię to słowo, jest takie realistyczne. Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim, pękną liany, dżungla ulegnie zagładzie, minie ucisk piersi i nasze serca zabiją wspólnym rytmem. Prosisz o niezmienny poziom opuszczenia. Nie wiesz, że nie ma tu nadmiernej różnicy, wysokość jest równa poniżeniu, wzniosłość podłości, upadek podniesieniu. Musimy się przed nimi bronić, żeby przetrwać, ale po co to wszystko, i tak jesteśmy samotni i nadzy wśród wilków.

Pełnia życia, mówisz, pełnia życia, a ja nie wiem, kim tak naprawdę jesteś, dlaczego mnie prześladujesz. Moje głosy wewnętrzne stają się coraz bardziej niespokojne, wychodzą na brzeg spoza gór i rzek. Język jest usłużny, jest jak kamerdyner albo sługa uniżony. Podsuwa mi gotowe zdania, pokazuje na skały nadbrzeżne, na lawiny schodzące nagle z gór. Jest jak Natura, pomaga obsiać łąki cieniste krokusami i umrzeć w fioletowym powiciu. Tam mieszkają Parki widoczne początkowo jedynie z daleka, na środkowej przełęczy, niedaleko szczytów. Owijają się w kokony z przędzy, przypominają pająki o ostrym spojrzeniu. I w godzinie śmierci naszej amen, jest ich wiele, tańczą podczas pełni księżyca. Ja, syn odległej matki, widzę to wyraźnie. Potrafię żyć bez powietrza, ale nie wiem, co mam wybrać, jednoznaczność czy chwilę szczerości, twarde zasady czy przezroczystość lawiny. Legendy się przędą i nici są coraz dłuższe, miesiące, lata, przędź się, przędź, wrzeciono.

Poszukujemy treści gorejącej, odrodzenia marzeń, opisu bez początku i końca. Nasze gniazda wypełnione pierzem i smołą, nasze kary nie do końca odbyte w największym ze wszystkich więzień. Jesteśmy pokoleniem, które przeżyło przełom tysiącleci, czekaliśmy na ogień i wodę, na powietrze i wojnę, na śmierć pięknych komputerów. Trwa właśnie pożegnanie, odczuwamy ulgę, że coś się skończyło. Nasze teksty profetyczne zawinięto w stalowe tuby i porzucono na wietrze. Przetrwają wieczność i nas, można odetchnąć, pora deszczowa dopiero się zaczyna. Pomimo to nic mi się nie układa w większą całość, strzały odbijają się niezupełnie od tarczy, orły nie dość dokładnie krążą nad moją głową. Nadchodzi pora pierwsza, pomniki zaśniedziały, a nie mamy jeszcze nowych. Niewiara w sens przyszłości trwa i nic na to nie możemy poradzić. Najważniejsze są ptaki nocy spłoszone nieuchwytnym łopotem, żądaniem jutra, potrzebą krwi świeżej.

Markizy niewierne płyną łodziami, ukrywając się przed światłem i cieniem. Płyną gondolą o mocnych burtach i czarnych wiosłach, tasują karty, w których trójka, siódemka i as ze starej opowieści. Nie muszę niczego wyjaśniać, jestem artystą spontanicznym. Na stolikach blady świt odbija się kolejnymi strofami o przymglonych piersiach, o znużeniu miłością i drewnem moknącym w kanałach nocy. W kieszeni mam list od pięknej nieznajomej przybity do wewnętrznego ciała, szpilki pod powiekami, obrazy skłóconej z morzem fali. Na wybrzeżu iskry tryskają z zapalonej jak zapałka czarownicy. Czarne koty przypominają żołnierzy. Żałobne wdowy uwielbiają męskie członki. Wysysają je uważnie i w skupieniu, tak jakby od tego miały zależeć losy świata. Trzymam w dłoniach szklaną kulę, wróżę z fusów, nie wiem, czy moje przepowiednie się sprawdzą. Muszę pojechać tego ranka do Wenecji. Moja tancerka z ołowiu śpi jeszcze. Wszystko jest na opak. Nasz karnawał niedługo się zacznie.

Ujrzałem pierwszy siwy włos na mojej skroni, chciałem go uratować przed zagładą. Włosy nas przetrwają, podobnie jak szczury i karaluchy. Na giełdach dźwięczy złoto, upadłe kobiety liczą pieniądze. Monety mają ich twarze. Widzę, jak szyny, po których jadę, zwijają się w tajemnicze linie, dźwięczą jak odznaki na czapkach dróżników, jak lniane kamyczki. Mój pies przypomina mi o realności, realność pozwala nam na obcięte paznokcie i wizytę u fryzjera. Po raz pierwszy użyłem tego słowa, muszę to odnotować jak zwykle w środku nieistniejącego komina, na warstwie sadzy. Fryzjerzy nie gościli dotąd w mojej prozie, powinienem ich godnie przywitać. A tak naprawdę, dzięki kontaktom z rzeczywistością, staję się coraz bardziej interesujący dla młodych krytyków, dla wilczków o wyliniałej przedwcześnie sierści. W formalinie na oknie stoją sztuczne kwiaty. Sztuka powinna być sztuczna, krytycy krytyczni, fryzjerzy zręczni w swym zawodzie. Mamy coraz większe upodobanie w rozszerzających się niebezpiecznie lustrach, w odchodzącej nie wiadomo gdzie młodości, w przypadłościach wieku średniego. Ocalałem, chociaż nikt mnie nigdzie nie prowadził, jestem bezgrzeszny, walczę z czarną materią. Chciałem więcej od życia, ale się nie udało, dobre i to, elegancja, elegia, eleusis, eleuter siemiginowski, kto ich wszystkich pamięta, oprócz mnie, posiwiałego w jednej sekundzie.

Czekaliśmy na jakieś sensowne zakończenie, wodząc palcami po mokrej szybie. Odczuwaliśmy posmak naszej krwi, naprężenie skóry. Żar ogarniał myśli chłodzone chłodem późnej zieleni, kroplami rosy, które o tej porze dnia nie były już nikomu potrzebne. Zima nadchodziła powoli w zbroi z mokrego kryształu, ponad nami dźwięczał błękitny ton sygnaturki, którą ktoś porzucił i zapomniał o jej istnieniu. Poezja była blisko, kwiaty zamarzały na mrozie, nasze niebanalne serca przenikał jeden oddech unoszący nas ponad mostami i zatorami z pierwszej w tym roku białej kry. Mogliśmy zbudować zamek ze śniegu lub rozdzwonić jeszcze bardziej dzwonek. Pod nogami rozpościerała się tajemnicza mapa gór, drogi biegły na niej donikąd, szczyty zapadały się niespodziewanie, tworząc ciemne doliny. Było coraz chłodniej, zamykaliśmy krąg naszego ciała, naszych ciał ciaśniej i ciaśniej, aż powstał jeden punkt, rozkołysane palce, poruszenie, ptasi trzepot, sygnał dla innych wspinających się na dzwonnicę.

Moja muza natchniona ma ręce z żyletek, lepiej jej nie dotykać, może zranić, wypuścić z dłoni ostrza, przebić pancerze. Na każdym palcu ma pierścień wypełniony próchnem, jest dziewicą od urodzenia, ma powody do dumy, nie ma żadnych uprzedzeń, lubi walczyć z godnym jej przeciwnikiem, uwielbia światło i nicość, mówiąc dokładnie: poczucie nicości. Nigdy się ze mną nie pogodzi ostatecznie, ponieważ wie, że róża jest różą, jest różą, jest różą. Czasami przypomina stado owadów, ma jedno życie i to jej wystarczy, ponieważ klucz do niego zgubiła dawno temu. Muszę ją cierpliwie znosić, nie mogę jej namalować, nie jest alegorią, poddaje mnie próbie ognia i cierpliwości, uderza w twarz, obwąchuje jak zwierzę. Rozumie, że chcę o niej coś napisać, coś, co pewnie jest zupełnie niezrozumiałe. Wyśmiewa tę próbę, podrzuca nowe tematy. Na przykład mówi: opisz pogrzeb żyletek, lot świetlików w świętojańskim ogrodzie, coś w tym stylu.

Wołanie o słońce nad światem, słucham, staram się zrozumieć, patrzę na ślady zgubione tutaj przede mną, jestem patetyczny. Ludzie odmawiają różaniec, nie rozumiem tych słów, ziarna przesuwane mechanicznie parzą palce, oplatają jak powój, przypominają głębię piekieł i prostą drogę grzechu. Jestem grzeszny, patrzę spokojnie w przepaść, praca czyni mnie wolnym, moja pamięć ma kolor rdzawy i niespokojny. Coś mnie zatrzymuje, nie pozwala wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Miejsca się zmieniają, jesteś zawsze przy mnie. Być może powinienem o tym powiedzieć wcześniej, ziemia i niebo przeminą, ale ty nie przeminiesz. Nasza religia jest zamknięta w tym pokoju, na tym łóżku, jesteśmy jedynymi jej wyznawcami. Pada deszcz, przez szyby widzę drugą stronę ulicy, odbija się tam światło, ciemność kryje w zaułkach. Oddycham uważnie, wciągam do płuc wyblakłe powietrze, twój nieśmiertelny zapach, nasze mijające lata.

Chciałem kiedyś objąć wszystko, nie cały świat, wszystko. To zdanie prześladowało mnie podczas snu i na jawie, przytulić do piersi, usłyszeć bicie ogromnego serca, które bije regularnie raz na sto lat. Traciłem czas, czułem, jak słowa odbiegają ode mnie, jak wzrasta odległość pomiędzy nimi i mną. Przypominały ławicę

ślepych ryb, która płynie w stronę kamiennej tablicy gdzieś na dnie morza i nie może nigdy się zatrzymać. Budowałem obrazy, patrzyłem na wszystkie twarze jednocześnie, oglądałem albumy, w których stare kobiety przechowywały zwiędłe liście. Chwiałem się jak trzcina na wietrze, mój litanijny ton unosił się do chmur, gryzłem źdźbła słomy posypane cukrem, lukier zalewał mi usta. Było słodko aż do znudzenia, ręce, piersi, głowy, wszystko osobno, jakby się ktoś umówił i pociął ten krajobraz na tysiące kawałków. Każdemu według jego potrzeb, każdemu oddzielnie do miski, bom wszędzie cząstkę duszy mej zostawił.

Opisy bywają wieczne, nie są, ale bywają, posiadają moc nowo narodzonych, giną z bólu, nurzają się we krwi miesięcznej, bywają obrzydliwe. Czasami pojawiają się w glorii i chwale na wysokościach, lubią niespodziewane porównania, wieńce i mirty na czole artysty, zielony nalot na dachach z miedzi, trucizny i soki wyciskane z mandragory. Nie można ich uchwycić, ulatują na wietrze, są urojone i rzeczywiste jednocześnie jak miodne pszczoły. Ich pracowitość jest wprost legendarna, potrafią zdobyć się na gwałt, mówią o literach wbijanych nam powoli pod paznokcie. Ich kształt jest niepewny i przypadkowy, ponieważ nie mają końca. Lubią teoretyków, praktycy nudzą je i męczą, są wolne i potrafią wyssać miąższ z owoców mango, dobrze czują się ogrodach i na zapleczu tanich barów. Sosy słodko-kwaśne są ich ulubioną potrawą. Niekiedy w dużych słojach przechowują pestki z jabłek i brzoskwiń, uwielbiają tarzać się z kochankami w sierści różowych łąk. Przypominają ludzi chłodzących się nad ranem szklanką czarnej żółci. Towarzyszy im bogini Melancholia, śpiewne trwanie na białych kartach. Kocham je nad życie.

Jestem coraz dalej, uczestniczę w licznych przygodach na Białym Lądzie, strzelam z dwururki do zwierząt i do ludzi. Dzisiaj jest mi wszystko wolno, kończy się rok, coraz więcej osób, które spotykam, jest wypchanych trocinami i solą. Są wieczni, uzyskali stałość myśli i pewność ręki. Mumie i manekiny schowane w antycznej wazie potrafią opowiadać interesujące historie. Mój świat składa się z historii mało interesujących, tamte gdzieś mi się zapodziały, przeniosły się do powieści pisanych przez kobiety dla kobiet. Mężczyźni nie mają tam wstępu, muszą się bronić hartem ducha, śmiało wyprężonym pod wiatr członkiem. Są coraz słabsi, poszukują podkowy szczęścia, klepią konia na postoju, patrzą na szyby, których nie udało im się potłuc. Niewinność chłopców jest w coraz większej cenie, stoją na widnokręgu ziemi i myślą o niebieskich migdałach. Muszę ich wyrwać z tego stanu, wbić kopytami w trzciny, przekonać do twardej pornografii i miękkiego gwałtu. Zbliżyć się do nich za wszelką cenę.

Ponad naszymi głowami unosi się mgła, żyjemy w mglistym kraju, nasze losy i przyszłość są niepewne. Obok nas przepływają łodzie wypełnione piaskiem, spojrzeniem niezmiernym, drzewami ściętymi przedwcześnie. Płyną przez morza pozbawione dróg, przez pola posępne, drążą w ogniu bezdenne przepaście, pieką na nim ryby o błękitnych skrzelach. Taki pejzaż rozjarzony lotem, mimowolny. Nie wiem, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Moje amulety nie chcą wyjawić mi prawdy

o mnie. Nasze sieci zaplątały się w wodorostach. Na brzegu stoją matki z zapalonymi latarniami. Nie wolno im ich zgasić w ciemności, inaczej łodzie zabłądzą i popłyną na drugą stronę lustra. Jest odpływ, czekamy na nasz księżyc i na nowe zadania. Nasze dzieci są już duże, nasze światło nie musi być tak bardzo intensywne. Ten obszar coraz bardziej się zawęża, aż do nieistnienia.

Ponownie prześwietlam rzeczy, powstaje poezja przywracana światłu i przedmiotom. Jej lata świetlne równe są latom przedmiotów. Potrafi trwać przeciwko Światłości Wiekuistej, ma ją najczęściej gdzieś i nic sobie z niej nie robi. Najłatwiej jest zostać wiązką promieni, wychodząc od pojedynczego lotu. Pozostawiona sama sobie potrafi odbić się od luster, stworzyć smugi, których nikt nie zdoła zatrzeć. W ten sposób osiągam nieśmiertelność, tworzę żagle, których żaden żal nie jest w stanie wyjaśnić ani rozwinąć. Moje miasto słońca świeci o północy, jest w nim wielu nienarodzonych, mój grzech i cierpienie na zawsze. Przy bramach ktoś postawił ruchome lampiony, zdobycze wieczności są coraz mniej trwałe. Mój styl, muszę o niego walczyć z cieniem, otwieram oczy, ożywiam umarłych. Są gotowi na jasność, chociaż tyle lat żyli w ciemności. Ci pierwsi zapomnieli o swoim wzroku, o możliwości widzenia. Odnajdujemy coś po drodze, jakieś resztki, odpadki innych cywilizacji. Są nikomu niepotrzebne, tak jak my. Nie mają władzy, nie liczą już na nic. Nasz margines pełen jest kurzu i starych fotografii. Na ziemi leży podeptana zasłona, która niczego już nie rozgranicza i od niczego nas nie osłania. Nawet od nadmiernego światła.

Wrocław, 29.12.2015 r.

ADAM BĄKOWSKI

Satie

Nędza przyszła „jak smutna dziewczynka o wielkich zielonych oczach”.
Błyskotliwy Erik Satie umiera pośród własnych odchodów:
jeszcze jeden, któremu odbiło,
szczypta soli ziemi, podejrzanej przyprawy.
Jego „Gymnopédies” mogłyby opowiadać
o nocy i deszczu (to jest temat!), nie o tańcu efebów.

„Żal mi nieraz, że i ja zstąpiłem na ten padół;
nie dlatego, że nienawidzę tego świata.
Nie... Kocham świat. Ale po com przybył na tę Ziemię
tak ziemistą i tak przyziemną?
Mam tu jakieś misje do spełnienia?
Posłano mnie tu, bym zabawił się? Rozerwał nieco?
Bym zapomniał o nędzy jakichś tam zaświatów,
z których nie mam żadnych wspomnień? A jeślim tu nie w porę?
Jaka odpowiedź na te pytania?”

Wszystko jest nie w porę
prócz zielonookiej dziewczynki wyżerającej mózg.
Wszystko nie w porę wyjąwszy noc, deszcz
i idealny akord, z doskoku, nagły, doskonały.

Wypełnić pięciolinię kroplami deszczu,
noc nie jest głucha. Fortepian jest deszczową chmurą.
Pod jego wiekiem znaleziono nieczystości, zgniliznę.
Jak to pod wiekiem.

Tańczą chłopcy, rozchlastują ich krople deszczu,
trawa kaleczy stopy. Po co przybyli tu chłopcy tańczący,
ochłapy mięsa cierpiące, natchnione?
By ktoś zabawił się, rozerwał?
Na łące pełnej księżyca muzyka do tańca śmierci,
musique d’accompagnement, gędźba tęskliwa, nieustępliwa.
Jak wkomponować w nokturn ulgę ciszy?
Czarny kot zliże krew. Trawa podniesiona zatrze ślady.
Piołun zdeptany spęcznieje sokiem.
Nieprędko ktoś tu zajrzy. Tony toną w toni deszczu.
Kwaśne jest wino Montmartre’u.
By ugasić pragnienie, wybierz coś innego.
Bo niby jest wybór?
Nuty ciemnieją z szybkością urągającą światłu.

Pośród własnych odchodów, robactwa
– „co do skromności, nie boję się nikogo” –
w asyście dwustu parasoli,
pięćdziesięciu sztucznych kołnierzyków,
sześćdziesięciu par butów,
czterech tysięcy zapisanych i zarysowanych
kawałków papieru, i listów z wielu lat,
od Picassa, Diagilewa i innych,
na które skrupulatnie odpisywał, choć nigdy nie otworzył.
Nie jest sól ziemi, by pod korcem stała
ni po to (chociaż?…), by wam smak psowała,
możecie woleć już na zawsze cukier
(ach, cukier, cukier! – innym razem o nim,
bo godzien temat ten jest poematu,
podobno nawet przyprawia o tycie,
lecz nie ma mody dziś na poematy).
A światło – światło? – wije sobie gniazdo
za zamkniętymi wiecznie żaluzjami,
tam w gabinecie cieni, za szybami,
którym już obca czystość-przezroczystość.
Pod sonatiną kurzu, w chorałach pajęczyn,
w wieży z kości próchniejącej, do której
przez dwadzieścia siedem lat nikogo nie wpuścił.
Dziś tam może muzeum? Zamknięte w nocy na głucho.

Atak wyrostka

Pan uprości malarstwo.
Gustave Moreau miał tak powiedzieć swojemu uczniowi Henri Matisse'owi

Atak wyrostka robaczkowego
skutki mieć może nieopisane (więc piszmy, piszmy):
martwe natury buchające życiem,
rozpasane kolory, śródziemnomorskie pejzaże,
karnawał kształtów i perspektyw,
muzyka malowana przy muzyce,
szczęście i radość w tytułach obrazów,
ekstaza tańca, katedra Notre-Dame widziana
z okna (przy lekkim wychyleniu w prawo)
przy quai Saint-Michel pod dziewiętnastym, gdzie później mieszkał
przez jedenaście miesięcy ten wierszokleta
Bąkowski, który nigdy nic nie namalował,
a katedry nie widział ze swego okienka.
Co on zresztą widział.
(Widział ją nocą, wracając do chaty,
co wieczór inną, czarną, chociaż jeszcze przed pożarem).
Sztuka ma czasem takie źródła, że aż wstyd:
gruźlica, nałóg, zbrodnia, zwyrodnienie, przemoc, obłęd,
niczego nie skreślać, to owo dorzucić.
(Miejmy nadzieję, że łosoś płynący
pod prąd z ulgą przyjmuje cios niedźwiedziej łapy.
Czerwone rybki w akwarium pojmują ulgę
być może inaczej. Jeśli pojmują).
Światło szpitalnej sali (jak świt nad Niceą)
jawi rzeczy-oczywistość.
Nigdy nie byłem w jego kręgu.
Ślepa kiszka nie przywróci mi już chyba wzroku.

Zaczyna prószyć

Zaczyna prószyć noc.
Krążą ptaki.
Umrą przede mną.
Jeśli pójdzie dobrze.

Poszło dobrze, pamiętam ich krzyk.
Pamiętam tyle rzeczy.
Niepamięć nie jest sztuką łatwą,
a często byłaby na rękę.

Myślę o moich przyjaciołach
przebitych szpikiem niewygody.
Słyszę ich szept i widzę
niedowierzające światło oczu.

Ponury blask słońca przegnała noc.
Szczęśliwego nowego mroku.
Noc wycina w cień.
Nie umierajcie, przyjaciele, przede mną.

A oni nie słuchają.

MAŁGORZATA SKAŁBANIA

I am, you are

Dziwnie, cudzoziemiec żyje w nas: jest ukrytym obliczem naszej tożsamości,
miejscem, które rujnuje nasze zadomowienie.
Strangers to Ourselves, Julia Kristeva

I am—yet what I am none cares or knows.
I Am!, John Clare

Okręty z Loches i Issoudun

Szkic opowiadania powstał w Loches. W tym dniu nieustannie padało. Chowanie się po wydłubanych przez mieszkańców jaskiniach nie wystarczało, by nie nasiąknąć wilgocią. Miałam wrażenie, że zapamiętałam już większość wyskrobanych w lochach rysunków, ciągów kresek, znaków, dat, imion. Żyłam tam blisko więźniów, którzy opowiedzieli mi w najprostszy sposób o swoim istnieniu. Nie było tam wulgarnego rysunku. Miękki, wapienny kamień z łatwością poddawał się ekspresji ludzi trzymanych za kratami. Niektórzy próbowali rzeźbić reliefy, niszcząc w ten sposób ślady poprzedników. Widziałam przedstawienia pojedynków i wspaniałych okrętów. Podobnych do graffiti przy wejściu do l'Hospice Saint-Roch d'Issoudun. Statki musiały wykonywać dalekie podróże w głowach ich budowniczych. Kiedy patrzyłam na te dzieła, stawałam się portem więźniów i chorych zamkniętych w hospicjum. Portem z jedyną, żywą osobą. Zamkniętą celą przyjaciela artysty. Tak było dokładnie w celi Ludovica Sforzy, sponsora Leonarda da Vinci. Miejscowi opowiadali, że kiedy książę Mediolanu wyszedł na wolność z Loches, spotkanie ze słońcem sprawiło, że zasłabł i stał się niewidomy. Szybko potem umarł. Ta historia mówiła o dwóch wolnościach. Podobnie jak u Byrona w wierszu *Więzień Czyllonu* lub u Iwaszkiewicza, który przekraczał żelazną kurtynę bez przeszkód, jednak posiadał wrażliwość człowieka ze zniewolonego narodu. Wodziński w sztuce Iwaszkiewicza do Sand: „Sądzę, że rzeczywistość pani nie jest taka przykra. Żyje pani sobie w wolnym kraju, na wolnej ziemi […]". Na co Sand: „Wydaje się, że prawdziwa wolność osiągalna jest jedynie w jakiejś idealnej republice, którą nieprędko ujrzymy na ziemi […]".

***Opéra Comique* według Emmanuela Lansyera**

Kiedy wyszłam z lochów na światło, stanęłam za oknem salonu Emmanuela Lansyera. Znałam jego obrazy z publikacji i zza szyb domu. Ulewa sprawiła, że weszłam do środka. Wspaniale malowane pejzaże. Obok gorsze prace, zbyt ładne, wysyłane na Salony paryskie. Genialne sprawozdanie stanu Opéra Comique (teatru otwieranego przez samą Marie-Antoinette) po ugaszeniu pożaru. W nocy z 25 na 26 maja 1887 roku w trakcie przedstawienia kawałek dekoracji spadł na palnik gazowy i stanął w płomieniach. Wypadek, wpisany na bardzo długą listę katastrof konstrukcji teatralnych w tym czasie, stał się tematem najlepszych prac Lansyera. Udało mu się przed śmiercią uwolnić od opinii krytyków, gustów klientów. Malował ekspresyjnie, nakładając grube warstwy farby. Trochę jakby rzeźbił gigantyczny chaos w małym formacie. Apokalipsa, cena za nowoczesne oświetlenie sceny teatru, gdzie wcześniej technikiem był Jean-François Carré. Ten znał się na swojej robocie. Jak bardzo potrzebował teatru do życia, przekonał się dopiero w niewoli.

Société of the Théâtre

Wygnanie z Lublina zaczęło się od pobytu w Anglii w pobliżu The English Channel. Miejsca naznaczonego lękiem przed Francją, nienawiścią i pogardą do Napoleona. Nie wiedziałam wtedy, że będę podążać śladami cesarza wiele lat. Pracowałam blisko Portchester Castle. Więzienia, gdzie przybyli, kiedyś wzięci do niewoli i zatrzymani wcześniej w Cabrery, żołnierze La Grande Armée. Byli wśród nich, między innymi, aktorzy, muzycy, tancerze, stolarze. Niektórzy do dzisiaj znani są z imienia i nazwiska. Osadzeni szybko wskrzesili w nowym więzieniu grupę teatralną zawiązaną w Cabrery. W dawnym Portus Adurni, potem Portchester przy porcie Portsmouth, nazwali swoje twórcze stowarzyszenie „Société of the Théâtre des Variétés of Portchester Castle". Ciekawa mieszanka angielskiego z francuskim w tym krótkim wyrażeniu dawała mi wyobrażenie o języku dialogu między wewnętrznym a zewnętrznym światem. Inicjatorem tego artystycznego przedsięwzięcia był Jean-François Carré. Kiedyś technik paryskiej sceny w Opéra Comique.

Carré miał pomocnika, drugiego technika sceny, byłego studenta sztuki w Paryżu, Louisa Gille'a. Zespół liczył sześćdziesiąt sześć osób. Odkrywanie tożsamości niektórych przypominało mi odczytywanie porcelanowych tabliczek z XIX w. na grobach Cimetière de la Souterraine (blisko Limoges). Miałam wrażenie, że ręcznie pisane na kruchym materiale dotrwały po to, by je odczytywać. Wiadomo o byłym tancerzu z opery w Portchester. Nazywał się Pierre Perret. O waltorniście po konserwatorium Marcu-Antoine. O dwóch aktorach więziennego teatru, którzy mieli wzrost Johna Clare'a (około stu pięćdziesięciu centymetrów) i maksymalnej wysokości róży nazwanej jak angielski poeta. Hippolyte Sutat ze względu na smukłą budowę ciała otrzymywał role kobiece. Posiadał dziewczęce spojrzenie Aleksandra I Romanowa. Wielkie, błękitne oczy z portretu cara z Château de Valençay. Hippolyte Sutat nie był jak car blondynem, miał ciemne, brązowe włosy. Kiedy przybył do portu, wpisano jego wiek: dwadzieścia dwa lata. Drugim, niskim, ale na odmianę tęgim aktorem był Jacques Belin de Balu. Wcielał się często w rolę złoczyńcy. Ten miał piwne oczy i czarne włosy. Bohaterskie, główne role męskie otrzymywał Lafontaine. Domyślałam się, że był wysoki i piękny.

Zbiegiem tragicznych okoliczności François Carré awansował z paryskiego człowieka podscenia na „dyrektora artystycznego" teatru w murach rzymskiej, potem średniowiecznej twierdzy. Historycy badający to miejsce pisali, że od września 1810 do stycznia 1811 roku teatr więźniów mógł pochwalić się wystawieniem co najmniej

siedmiu sztuk w trzech aktach, w tym sześciu melodramatów, hitów z francuskiej stolicy prosto z Paryża dzięki kontaktom François Carrégo. Przyjaciele technika przysyłali mu bowiem scenariusze zaraz po paryskich premierach. Być może, że to nie Londyn przodował wtedy w nowinkach teatralnych z Francji, tylko więzienie w maleńkim miasteczku.

„Nigdy nie umieraj przed premierą", (Tadeusz Kantor)
Jak bardzo więźniowie angażowali się w życie teatru, świadczy morderstwo z zazdrości opisane w „The Times" i „Hampshire Telegraph": „8 marca, 1813 roku, o godzinie 19:30 francuski więzień Antoine Tardif w szale zazdrości dźgnął nożem współwięźnia Jeana Lequeya". W „Hampshire Telegraph" rozwinięto notatkę o analizę przyczyn zbrodni. „Antoine Tardif zazdrościł koledze nadzwyczajnego talentu w pisaniu krótkich utworów scenicznych. Przez wiele dni przygotowywał do zbrodni nóż. Ostrzył jego czubek. W obawie przed spoceniem się własnej dłoni owijał rękojeść sznurkiem. Morderca został powieszony".

Kapitan William Paterson
Incydent nie spowodował zamknięcia teatru, który był aktywny do 1814 roku. Uznano, że mimo śmierci scenarzysty teatr przynosi ogromny pożytek dla więźniów i strażników. Anglicy nie marzyli wcześniej o kontaktach z Paryżem i uczestnictwie w przedstawieniach artystycznych. Carré i jego grupa teatralna mieli szczęście trafić w nowym miejscu na kapitana Williama Patersona. Pełniąc obowiązki dowódcy zamku, stał się poniekąd naczelnym dyrektorem teatru odpowiedzialnym za zaspokojenie materialnych potrzeb świątyni sztuki. Sprowadził więźniom drewno, płótna i inne materiały niezbędne do zbudowania sceny, lóż, dekoracji. Ustalono, że na parterze donżonu zmieści się nawet około trzystu widzów. Zespół odkrył, że więźniowie, którzy nie będą mogli zejść na widownię (przebywających w niewoli było około trzech tysięcy), usłyszą grających aktorów.

Dokądże to? Do Châteauroux?*„La chambre bleue"*
Tym razem przebyłam drogę do pracy z Anglii przez Ajaccio, Niceę, Warszawę, Poznań (gdzie zatrzymywał się Napoleon) do Déols-Châteauroux. Spokój, pod miastem krowy na pastwisku. Rzeka Indre, o której Iwaszkiewicz wspominał na początku komedii *Lato w Nohant*. Baronowa Sand kąpała się w „Indrze". Zabrzmiało mi to zabawnie w ojczystym języku. Delacroix, pływając z Chopinem w tych wodach, z pewnością byłby zdziwiony słowem „indr". Rzeka obrośnięta wierzbami mogłaby pozować do plakatu V Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina, 1955 r., projektu Tadeusza Trepkowskiego. Artysta samouk bez matury wykonał go tuż przed swoją śmiercią. Iwaszkiewicz podjął już próbę porównywania Berry do „polskich stepów". Wprowadził również moje Châteauroux do dialogu. Antoni Wodziński, przyjaciel Chopina (brat narzeczonej Chopina, pianistki i malarki Marii), odpowiada na pytanie George Sand.

- Dokądże to? Do Châteauroux?
- Do Châteauroux byłoby za daleko w tym stroju. Staję się za ciężki do konnej jazdy.

Te dwa zdania powtarzałam za każdym razem, wracając z wycieczek po okolicy. Byłam przekonana, że polski pisarz użył słowa „Châteauroux" jako symbolu cofania się w czasie. Dziadkowie George Sand (dziadek, Louis Claude Dupin, poborca podatkowy, osiadł tu, w Château Raoul, dysponując liczną służbą, końmi, wydając bale, koncerty, zostawiając rodzinę z długami). Wykonana przez nieznanego artystę kopia portretu dziadka, według pastelu anonima z Le musée Carnavalet, zdobiła Le musée Bertrand (generała wojsk napoleońskich urodzonego na zamku Raoul) w Châteauroux. Dziadek pozował na artystę malarza. W prawej dłoni trzymał pędzel, w lewej paletę (kiedyś myślałam, że zajmował się przede wszystkim malarstwem). Odszedł, zostawiając małżonkę z synem Maurice'em. Chłopiec do dziewiątego roku życia, do czasów rewolucji mieszkał z matką w le Château Raoul. Potem uciekli do Paryża. W końcu Madame Dupin de Francueil zakupiła posiadłość wiejską w Berry, w Nohant.
Myślałam o nowym etapie banicji bez deptania po śladach wojen napoleońskich. Zamieszkałam w krainie Berry. Miejscowi mówili na nią ziemia George Sand. W rzeczywistości była to też ziemia generała, który po powrocie z wyspy św. Heleny poświęcił się tworzeniu i rozpowszechnianiu legendy napoleońskiej. Nic dziwnego, że i w zamku Sand Imperator był często wspominany, a dla Maurice'a Sanda został ważną postacią. Rozbawił mnie jednak w Nohant-Vic widok kukiełki Bonapartego.

„La chambre bleue"
Gospodarze przydzieli mi *„la chambre bleue"*. Nazywali go tak samo jak tytuł sztuki George Sand napisanej dla syna. Pożółknięty afisz z tym tytułem wisiał w gablocie z innymi pamiątkami po teatrze Maurice'a. George Sand zamówiła go u drukarzy. Nie znalazłam scenariusza *La chambre bleue*. Wiedziałam jedynie, że bohaterką jej sztuki jest przestrzeń, gdzie matka Maurice'a długo cierpiała i w końcu zmarła. Wieczorami, wpatrzona w moją tapetę, myślałam o jej domu. Czytając, odkryłam, że Pierre Balandard zbyt długo czekał na dyliżans w Châteauroux. Spędził tu więc niezapomnianą noc. Była to kukiełka stworzona przez Maurice'a o cechach swojego twórcy. Postać Pierre'a Balandarda otrzymywała role artysty, impresario, malarza, reżysera i aktora słynnej trupy. Zabawna, atrakcyjna, przyjazna postać mówiła nosowo, ponieważ Maurice często był przeziębiony.
Tak oto przed zaśnięciem tworzyłam swój teatrzyk. Aktorzy z Francji mogli w końcu poznać swoich rodaków zamkniętych w angielskich lochach. Kukiełka Napoleona chwaliła się przed Balandardem swoim angielskim: *I am, you are* (Bonaparte uczył się w Longwood języka wroga). Balandard odpowiadał słowami Johna Clare'a: *I am—yet what I am none cares or knows;I Am!.*
Pierre wchodził przede wszystkim w rolę impresario, przydzielając ze swojego banku twarzy rysy wykreowanych postaci: Stanislasa, Polish lord Polowitza, Polinskiego, Caskiego, Walko, Fresci i Metuszki. Aktorzy z Porchester Castle mogli jak żywi występować przed samym Imperatorem, który zamiast wiernego generała Bertranda z Châteauroux miał u boku Balandarda z Nohant-Vic. Sztuka rozgrywała się w Polsce, ponieważ zgodnie z ocalałym scenariuszem trzyaktowego melodramatu *Roséliska* akcja spektaklu z Portchester była w Polsce. Scenopis powstał na

potrzeby więzienia, inspirowany jakimś przedstawieniem świeżo wystawionym nad Sekwaną. Stanislas po wojennych wyprawach wracał do żony, Roséliski. Służący Walko i Fresca przygotowywali dom na powrót bohatera. W tym czasie przyjaciel Stanislasa, Polish lord Polowitz, wyznał miłość żonie powracającego. Napięcie wzrastało. Pozytywne postacie trafiły do więzienia, ale były z niego uwolnione. Mąż spotkał się z wierną żoną.

Eden

Zapytałam koleżankę z Anglii, która wychowała się w Portchester, czy znała te wszystkie historie. Odpowiedziała, że nie, że forteca była światem jej dzieciństwa. Dzieci czuły się tam bezpiecznie. Dziedziniec otoczony był murem. Na nim zawsze otwarty kościółek, do którego mogli się chować. Biegali tam całymi dniami po rzymskich i późniejszych ruinach. Kiedy rodzinie przydzielono mieszkanie w innym miejscu, koleżanka odczuła to jak wygnanie z raju.



Jan Mikołajek, *Okienko*, 2015

WALDEMAR OKOŃ

Idumea

Dziecko nocy
Idumei
zabija sen
kołysze
przywiera do warg
muszlą nieżywego morza

Idumea
przemyka pośród wysp
gasi gwiazdy
chce się kochać z włóczęgą
który nie jest jej godny
jest brudny
i przyjechał tu rano

Idumea obnaża się przed podmyciem
przegląda w liściu powstałym z niczego
z nocy z grymasu z piąstki
zaciśniętej na ławicy motyli

prosisz o szum przypływu
czysty powiew sól jaśmin tiule
zamiast odoru śmierci

Idumeo
czyje jest dziecko
znalezione na brzegu
czyje drzewa przykryte
wonną korą
do kogo należy tajemnica
ukryta w głębi
twojego brzucha

tego dnia usłyszałem pierwszy raz kilka słów zesłanych
aby ukoić moje dni
z moich dłoni nie cieknie krew
mojego boku nie przebito
muszę kłamać
budzę fale oceanu
Idumei
zabijającej wszystko co żyje
nierządnej i lekkiej
rodzącej potwory i karły
miłość i nienawiść
pochłaniającej to co poza nią
z grymasem zwycięstwa
na zakrytej twarzy.



Jan Mikołajek, *Zmartwychwstanie, 2015*

Salem

Krucza miłość
ciemnia
dwie lampy
kruk połyka pestki jałowca
mrok zamknięcie
granatowe skrzydło
wargi w kuli
w głębi góra Salem

kreślę abstrakcję
porównuję z dzwonem
bijącym na trwogę
zlizuję ślinę
pochłonięty powrotem
do ziemi do nagości
dwie lampy nie gasną
pomagają spalić
kolejną noc

otwórz rzeki głębokie
ciało zorzę poranną
w której gniazda lśnią chłodem
głodne

jedna z lamp gaśnie
dzioby broczą krwią
gardła nie zostały nasycone
goreje zdobycz
na języku smak muszli wełny
złotego runa

kruk został zabity
i nie ożyje
aż do odwołania
zamieniono go w szept skowyt
tych którzy śpią ze sobą żyją
którzy nie przejrzeli

nie wiedzą jak daleko płonie skóra
miasto niedaleko góry
martwy język bez lamp
już zamykamy
przyjdźcie jutro
otwieramy wcześniej
zapewniamy dyskrecję
piękną śmierć
i odejście
bez śladu.

Wiersze z tomu *Motyw Tespazjosa*, Kraków 2013.



Jan Mikołajek, *Uwalnianie 6,* 2015

SARA NOWICKA

Szczeliny śnienia

Potrzebujemy mroku, by doświadczyć światła.
Ciemność objawia, uwalnia ukryte światło[1].
Fred Kelemen

Bezustanna jasność

Żyję w ciągłym świetle. W dużym mieście latarnie, neony czy światła sklepów i mieszkań skutecznie odgradzają od ciemności. Ruch uliczny słyszę także w nocy. Urządzenia w trybie uśpienia są gotowe do nieustającej aktywności, podobnie jak ludzie przyzwyczajeni do stałej produktywności. Firmy są otwarte przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Odpoczynek jest teraz nazywany regeneracją i ma na celu polepszenie wyników pracy. Współczesna kultura nie pozostawia miejsca dla nocy i ciemności. Cień zawsze był wypierany – jako wszystko, czym jednostka albo zbiorowość nie chcą być[2]. To odpad socjalizacji. Jednak zmiana polega na tym, że to, co wypierane, jest obecnie widoczne w pełnym świetle. Mechanizm *cancel culture*, czyli kolektywnego wymazywania problematycznych osób i zjawisk z życia społecznego, opiera się właśnie na początkowym nagłośnieniu i napiętnowaniu tego, co ma zostać wykluczone. Obraz transparentnej rzeczywistości, w której wszystko jest jawne, to tylko pozór. Nowy mit, kolejna próba ucieczki od głębokiego namysłu i duchowości w stronę powierzchownych działań.
W dominującej kulturze brakuje mi dziś niuansowania, światłocienia. Coraz bardziej spolaryzowana społeczność, zdominowana przez zerojedynkowy sposób myślenia, zamiast dążenia do połączenia binarnych opozycji, eliminuje jedną z nich. Nie widzę tu przestrzeni na jungowskie zintegrowanie się z cieniem, czy *coniunctio*, zjednanie przeciwieństw, takich jak światło i cień. Stawianie światła nad ciemność jest błędem, uniemożliwiającym zrozumienie, że jedno nie istnieje bez drugiego.

Współczesny system wypiera to, na czym nie można zarobić. Jednym z ostatnich bastionów wolnych od zewnętrznych wpływów jest śnienie. Szczególnie zgadzam się z tym, co Jonathan Crary napisał w pracy *24/7. Późny kapitalizm i celowość snu:*

1 F. Kelemen, M. Sadowska, *Fred Kelemen. W blasku ciemności*, Gdańsk 2017, s. 91.

2 C.G. Jung, *Praktyka psychoterapii*, tłum. R. Reszke, Warszawa 2007, s. 293.

Sen – stan bezużyteczny i zasadniczo pasywny, generujący niepoliczalne straty czasu produkcji, obiegu i konsumpcji dóbr. (…) Sen to radykalna przerwa w kradzieży naszego czasu dokonywanej przez kapitalizm. Większość z pozoru naturalnych potrzeb czy procesów, takich jak głód, pragnienie, pożądanie, a od niedawna potrzeba przyjaźni, zostało utowarowionych lub zmonetyzowanych. Sen – jako potrzeba i związany z nią czas – nie daje się skolonizować ani zaprząc do wielkiej maszynerii opłacalności, pozostaje więc zaburzającą ciągłość anomalią i kryzysowym punktem globalnej teraźniejszości[3].
Jeśli ciemność zdefiniujemy jako coś tajemniczego, nad czym kultura nie ma kontroli, to sen we współczesnym świecie będzie jednym z ostatnich jej elementów. Śnienie to cień, w którym można się skryć przed niebieskim światłem smartfonów i laptopów. Jaskinia, odseparowana od świata produkowania i konsumowania.

Sny, które możesz kupić za pieniądze

Czytanie doniesień o odkryciach w zakresie nowych technologii pozwala mi myśleć, że uzyskanie kontroli nad snem jest szczególnie ważne dla kapitalizmu. Podczas gdy jedni naukowcy badają, co zrobić, by żołnierze mogli nie spać przez wiele dni, inny sprawdzają, jak wpływać na treść snów. Badacze z MIT potrafią już manipulować marzeniami sennymi, łącząc specjalną aplikację z urządzeniem do śledzenia snu o nazwie Dormio. W początkowej fazie snu mechanizm monitorujący komunikuje się z aplikacją, która dostarcza śniącej osobie odpowiednich bodźców dźwiękowych, wpływających na kształt snu, zaprojektowanego wcześniej przez naukowców. Podobny cel realizują akademie świadomego śnienia oraz wirtualni specjaliści od technik programowania snów – pozwalają swoim klientkom i klientom śnić o rzeczach, które same wybrali, a nie które są wytworem ich podświadomości.
Często wraca do mnie tytuł surrealistycznego filmu z 1947 roku w reżyserii Maxa Ernsta i Hansa Richtera *Sny, które możesz kupić za pieniądze*. Okazał się proroczy. Wtedy odnosił się do kina, „fabryki snów", dziś nabiera dosłownego kształtu. Trzeba przyznać, że współczesna popkultura naznaczona jest przez surrealistów. Salvador Dali i René Magritte byli jednymi z pierwszych artystów silnie związanych ze światem reklamy. To, co w stworzonym sto lat temu ruchu nadrealistów było elementem buntu i eksplorowania podświadomości, niemal natychmiast zostało wykorzystane do promowania produktów i wspierania status quo. Prawdą jest to, co Agnieszka Taborska zauważyła w *Spiskowcach rozkoszy. Surrealizmie*:

Szybko, zachłannie i skutecznie surrealizm został wchłonięty przez establishment, reklamę, wielkie korporacje, kreatorów niedostępnej dla zwykłych ludzi mody. Przez tę pokaźną część ludzkości, której surrealiści wypowiedzieli przez chwilę zwycięską wojnę. Przyśpieszenie cywilizacyjne zrobiło jednak swoje i wytoczony w owej wojnie oręż dawni oponenci ruchu przetopili na złoto[4].

3 J. Crary, *24/7. Późny kapitalizm i celowość snu*, tłum. D. Żukowski, Kraków 2022, s. 13–14.

4 A. Taborska, *Spiskowcy wyobraźni. Surrealizm*, Gdańsk 2013, s. 289.

Wszystko, co kocham w surrealizmie – estetyka, rewolucyjność, zdjęcie gorsetu sztywnych zasad, szyderstwo z burżuazji, gloryfikowanie szalonej miłości, rozpasana wyobraźnia, poczucie humoru, fascynacja tkanką miejską i psychoanaliza – zostało w mniej lub bardziej dochodowy sposób przetłumaczone na język reklamy. Wiara nadrealistów w sprawczość jednostki jest dziś kultem indywidualizmu – jej sens odbił się w krzywym zwierciadle. Podobnie z poetyki snu pozostawiono tylko wierzchnią warstwę, świetnie sprawdzającą się w promocji i karmiącą masową wyobraźnię tworzonymi na podstawie algorytmów filmami, okularami VR i grami komputerowymi. Żeby zanurzyć się głębiej, trzeba się odciąć od kapitalistycznych przekonań. Wrócić do pierwotnych znaczeń, prób odczytania onirycznych symboli czy metafizycznego ujęcia codziennych doświadczeń. W tym najbardziej pomaga mi literatura.
Wznowienia lub pierwsze wydania nieobecnych na rynku polskim książek pozwalają na chwilę wyskoczyć z objęć zbyt mocno ściskającej współczesności. Lektura *Furii i innych opowiadań* Silviny Ocampo z 1959 roku jest dla mnie kojącym zejściem do ciemnych światów. Mrok, paradoksalnie, pozwala tu zobaczyć więcej.



Andrzej Jerzy Lech, *Jelenia Góra*, 1985

Furia w ramionach nieświadomości

Silvina Ocampo, argentyńska pisarka, tworząca daleko (geograficznie i mentalnie) od grupy nadrealistów, miała z nimi kilka punktów wspólnych. Studiowała malarstwo u Giorgia de Chirico, prekursora surrealizmu. Podobnie jak przedstawiciele ruchu, czerpała ze świata snów, mitologii, baśni, ale też codzienności. Druga strona lustra w jej twórczości prowadziła do przestrzeni domu, a nie poza nią. Wychodzenie poza schemat i konwencję dla surrealistów i Ocampo było jednym z głównych celów.

Pisarce najbliżej jest do Leonory Carrington, surrealistycznej autorki, która większość życia spędziła w Meksyku. Kontekst Ameryki Południowej jest nie bez znaczenia – upał i ostre światło bywają tu trudne do zniesienia, a ciemność jest kojarzona z wytchnieniem. Chłód nocy obu artystkom przynosił fascynujące sny i inspirację do tworzenia. Obie często przyjmowały punkt widzenia postaci funkcjonujących poza sztywnymi zasadami ładu społecznego. U Ocampo będą to dzieci i zwierzęta, głównie psy, u Carrington starsza kobieta *(Trąbka do słuchania)* i zwierzęta, szczególnie hieny i konie *(Siódmy koń)*. Wybór takich bohaterów pozwala autorkom okazać pogardę wobec zastanego porządku, ale też przyznać głos tym, którzy zwykle go nie mają. „Być może (i ta myśl teraz nie daje mi spokoju) najważniejsze dzieło życia powstaje w chwilach nieświadomości (istnieje, nawet jeśli zna je tylko ten, kto je stworzył)”[5] – pisze Ocampo w jednym ze swych opowiadań. Muszę przyznać, że czytanie *Furii* to jak dryfowanie po morzu podświadomości. Jest tu zstępowanie do piekieł, które, podobnie jak średniowieczne obrazy religijne o zejściu Jezusa do podziemnych czeluści, można zobaczyć jako symbol procesu indywiduacji. Są teksty, które można wykorzystać do pracy z cieniem, jak *Sybilla*, opowiadana z perspektywy okrutnego mężczyzny, bez wstydu przyznającego, że zabił kota sąsiadki. Symbole są tu wykorzystane w nietypowy sposób, jak w *Ślubie*, gdzie pająk oznacza nadzieję, ale jest też narzędziem śmierci.
Powracającym motywem opowiadań w *Furii* jest konflikt między jednostką a światem – konkretnie tym, jak osoba widzi siebie, a jak jest widziana przez innych. Narratorki i narratorzy często nie zgadzają się ze swoim zewnętrznym obrazem. „«Ślimak», wołali na mnie, kiedy biegałem, «Pociąg Pośpieszny», kiedy się nie śpieszyłem, «Brudas», kiedy się wykąpałem, «Palmolive», kiedy zaniedbywałem kąpiel”[6] – wyznaje bohater *Sybilli*. Proza Ocampo czerpie z przeciwieństw i zasadza się na antagonizmach. Blisko jej do dwóch jungowskich tomów: *Domu dziennego, domu nocnego* Olgi Tokarczuk i *Baśni* Hermanna Hessego. Podobnie jak Tokarczuk, argentyńska autorka buduje swój świat między codzienną krzątaniną a światem snów. Z niemieckim pisarzem łączy Ocampo klarowność i prostota języka. *Furia* to zbiór krótkich opowiadań, liczących kilka stron. Mimo tego, że wiele w nich elementów baśniowych, trudno nazwać je tym słowem. Dlaczego – tłumaczy Alberto Manguel w posłowiu do tomu:

5 S. Ocampo, *Furia i inne opowiadania*, tłum. T. Pindel, Kraków 2024, s. 152.

6 *Ibidem*, s. 53.

Kiedy opowiadania Ocampo po raz pierwszy ukazały się drukiem, recenzenci mówili o ich „baśniowości". To mylące rozpoznanie. Baśń już na wstępie lektury przyjmuje nasze dowody tożsamości za dobrą monetę, nie ukazuje nam naszego „zakazanego oblicza". Utwory Ocampo przeciwnie – pozwalają nam sądzić, że wkraczamy do komfortowego, codziennego świata konwencjonalnych, wręcz dziecinnych dialogów i scenerii, by następnie z przebiegłą zręcznością zasiać w nas nieprzyjemną wątpliwość, niepokojącą bezsilność[7].

Tak jak współczesna kultura dąży do kołysania nas w nadmiernym komforcie, tak Ocampo uporczywie z niego wybija. W porzuceniu poczucia bezpieczeństwa nie widzę jednak zagrożenia, ale powrót do pełnego doświadczenia bycia człowiekiem. Już sam tytuł książki – *Furia* – odsyła do mitologicznych bogiń zemsty, uosabiających kobiecy gniew. To emocja, która zarówno w 1959 roku, jak i dzisiaj jest tłumiona przez społeczeństwo. Tym w pewien sposób jest proza Argentynki – przestrzenią, w której może wybrzmieć to, co jest wygłuszane przez kulturę.

„By móc śnić, gotowa jestem spać przez całe życie"[8]

Sny są materiałem, z którego Ocampo szyje szczególnie chętnie. W *Ostatnim wieczorze* bohater dziedziczy pieniądze i sen brata, *Kara* to oniryczny eksperyment – wiwisekcja związku oglądanego w lustrze. W opowiadaniach ze zbioru pisarka przedstawia punkt widzenia innych od siebie postaci: mężczyzn, kobiet z różnych sfer, dzieci, zwierząt. Przypomina to marzenie senne, w którym można się wcielić w rozmaite istoty. Autorka posługuje się narracjami w różnych osobach, co też jest charakterystyczne dla poetyki snów. Jaskrawo widać to w *Karze*, gdzie w trakcie opowieści żony, mąż mówi nagle: „– Dlaczego mówisz o mnie w trzeciej osobie? / – Bo Sergio to jest inna osoba"[9]. *Furia* to księga snów, których język Ocampo opanowała do perfekcji.

Arcydziełem onirycznej prozy jest opowiadanie *Sny Leopoldyny*. Trudno udowodnić, że to inspiracja, ale widzę w nim echa myśli Samuela Taylora Coleridge'a, którą przyjaciel Ocampo, Jorge Luis Borges, umieścił w *Księdze snów:*

Gdyby człowiek mógł we śnie przejść przez Raj i dostałby kwiat na dowód, że jego dusza rzeczywiście tam była, i gdyby przebudziwszy się, dostrzegł kwiat w swej dłoni – ach, co wtedy?[10]

Tytułowa Leopoldyna doświadcza takiego daru – kiedy budzi się ze snu, obok swojego krzesła znajduje przedmioty, które się w nim pojawiły: kamienie, gałązki, piórka. Rodzina staruszki od razu widzi w tym możliwość zysku i stara się zaprogramować sny krewnej w taki sposób, by pojawiały się w nich różne bogactwa. Leopoldyna, jak sama mówi, ma jakieś sto dwadzieścia lat, zawsze była biedna i nie zależy jej na pieniądzach. Bliscy ignorują jej wolę i coraz agresywniej starają się przejąć kontrolę nad jej snami. Jedynym sprzymierzeńcem bohaterki jest pies, który spisał jej historię.

Sny Leopoldyny doskonale pokazują opisane wcześniej podejście kultury 24/7 do snów. Próba zawłaszczenia cudzych marzeń sennych jednoznacznie kojarzy się z tym, jak kapitalizm próbuje je opanować. Podobnie jak rodzina Leopoldyny, dominujący system nie wykazuje zainteresowania duchowością i metafizyką – chyba że ich instagramową wersją, którą można łatwo spieniężyć, na przykład w kosztownych ceremoniach czy kursach afirmacji bogactwa. Sny są współcześnie interesujące jedynie, jeśli można z nich „wyciągnąć" jakiś produkt, jeśli da się na nich zarobić. Widzę analogię pomiędzy tym, jak Ocampo traktowała przestrzeń prozy, z tym, jak teraz możemy traktować sny – to przestrzeń wolności. Miejsce, do którego system ani przyjęte konwenanse nie mają dostępu.

Jolanta Brach-Czaina w 1992 roku w *Szczelinach* istnienia opisywała, jak istniejemy w codzienności, i wyjęła powszedniość z niebytu, nadając jej należną rangę. Być może dzisiaj, kiedy doceniliśmy już znaczenie zwykłości, warto ocalić od zapomnienia także nadrealność? Sny są istotne nie tylko dla artystów – są ważne dla wszystkich. Nawet jeśli pozbawia się je aspektu duchowego, są ważne jako narzędzie „czyszczące" psychikę, pozwalające na domykanie procesów emocjonalnych i umacnianie osobistej tożsamości. Marzenia senne działają dwutorowo – podtrzymują indywidualne ja oraz dzięki symbolom i archetypom wprowadzają je do kolektywnej wyobraźni. To właśnie śnienie jest szczeliną, w której cień łączy się ze światłem. Przestrzenią wypełnioną światłocieniami, niuansami – przeciwieństwa są w niej ze sobą spojone i nie sposób ich od siebie oderwać, rozróżnić. Szczeliny śnienia to miejsca, gdzie jeszcze nie sięga kapitalizm, gdzie jeszcze możemy być sobą. Miejsca najważniejsze.

7 *Ibidem, s. 179.*

8 *Ibidem, s. 172.*

9 *Ibidem, s. 136.*

10 S.T. Coleridge, *Próby*, tłum. Z. Kubiak [w :] J.L. Borges, *Księga snów*, Warszawa 2006, s. 78.

PRZEMYSŁAW ZNOJEK

Kukła

Od betonowego, kwadratowego rynku Miasteczka odchodziły cztery drogi: północna, południowa, wschodnia i zachodnia. Tędy w odległych, zapomnianych czasach jeździły kolasy wypełnione dobrami, wystawianymi na sprzedaż. Tutaj handlowano, targując się przy tym zawzięcie, niejednokrotnie dochodziło do rękoczynów, w czasie których interweniowali strażnicy pilnujący porządku publicznego. Przestrzeń, brukowaną krzywą kostką, pokrywały klatki ze zwierzętami, klamotami czy bibelotami. Wśród wszechobecnej tandety królowały pstrokate przedmioty przykuwające wzrok miejscowych. Tam, w prowizorycznych kramach, nieco na uboczu, rozkładał marionetki starszy mężczyzna o egzotycznej urodzie przypominającej ówczesnego nomadę. Skupiony, poprawił stary papier, na którym później układał większe i mniejsze marionetki. Niektóre wyglądały zabawnie niczym miękkie, pluszowe zwierzęta, inne zaś przypominały te żywcem wyjęte z pałacu grozy.

Dzień nieuchronnie zbliżał się ku końcowi. Słońce ustępowało miejsca księżycowi, który swym pełnym kształtem rozpychał się na siniejącym niebie. Rozczarowany nomada ze złością wpychał z powrotem towar zawinięty w brudnożółty papier na dno furmanki. Upychał go rękami o niedźwiedzim kształcie, przeklinając raz po raz pod nosem w niezrozumiałym języku. Wszedł na kozła, złapał energicznie lejce, zmuszając tym samym leniwego konia do ruchu. Drogi: południowa, wschodnia i zachodnia, odchodzące od rynku, zatamowane zostały odjeżdżającymi kupcami, przeliczającymi utarg, brzęk monet szczelnie wypełniał rynek. Starszy mężczyzna, wyraźnie podirytowany, wybrał drogę północną, którą podążali tylko nieliczni z handlujących. Prowadziła ona bowiem przez jedną z najbardziej zaniedbanych części Miasteczka: na jej obraz składały się obleśne rynsztoki, popękane okna kamienic czy pijani osobnicy, śpiący na środku ulicy, wydalający i wymiotujący gdzie popadnie, nie zważając na fakt, że znajdowali się w miejscu publicznym. Nomada starał się skupiać wzrok przed sobą, nie zerkać na boki, nie zważać na zaczepki ulicznic. Pozostawiał z tyłu wyzwiska i niedopowiedziane słowa, które uleciały wraz z nadchodzącym wieczorem. Zostawiając za sobą obskurną bramę z odpadającymi szarymi cegłami, jego uwagę przykuła ciemna witryna amatorskiego teatru kukiełkowego. Ujrzał w niej ogromną kukłę, wzrostu dorosłego, nad wyraz wysokiego mężczyzny, o niespotykanej, długiej szyi, głowie przypominającej nieco strusia, ptasie rysy podkreślała rzadka kępka białych włosów, na myśl przywodząca pióra. Wygląd lalki wzbudzał zaniepokojenie, skrywał w sobie ukryty strach skumulowany i odebrany wszystkim mieszkańcom Miasteczka. Widok kukły przyciągał nomadę, podchodzącego coraz bliżej szklanej witryny. Teraz przyglądał się jej z bliska, opierając niedźwiedzie ręce na szklanej powierzchni. W pewnym momencie mężczyzna poczuł napływ skumulowanej złości, na którą składał się przede wszystkim kiepski utarg z dnia handlowego, a także powracający niczym echo wulgarny krzyk wymierzony w niego. Zacisnął pięści, mięśnie przedramienia lekko drgnęły, napinając się kurczliwie, wtedy wyprowadził prawy prosty, cios wymierzony w grubą taflę szkła. Brzęk tłuczonej powierzchni rozległ się na uliczce, w obawie przed stróżami prawa szybkim, zwinnym ruchem zerwał kukłę, ukrył ją w kolasie i ruszył przed siebie, w górę, w stronę pomarańczowego księżyca. Adrenalina buzowała w nim, nie zauważył zatem, że z poharatanej dłoni kapie strużka brunatnej krwi, a jej ślady zostają na kocich łbach kamiennej drogi. Nie przypuszczał, że krople krwi spłynęły także na lalkę, brudząc jej biały, zewnętrzny plusz – jej sztuczną skórę.

Wiosenne noce najczęściej przynoszą ukojenie od ciepłego dnia, pozwalając rozpłynąć się w krainie snu, zaznać wewnętrznego spokoju regenerującego ciało. Cisza sielskiego krajobrazu, krajobrazu mieściny znajdującej się daleko od głównej, piaszczystej drogi, okalała niewysokie, drewniane zabudowania skromnego domostwa, a w przynależącej do niego rozklekotanej szopie nocował nomada. Skrzypiała krzywa podłoga wykonana z rosnących w pobliżu drzew, delikatny ruch wiatru wpadał przez maleńkie dziury w ścianach, działał niczym dzisiejsza klimatyzacja. Warunki dla dobrego snu wydawały się wręcz idealne, jednak mężczyznę dręczyły niepokojące wizje. Powracał obraz ciemnej, zaniedbanej uliczki, wulgarne krzyki, szare postaci przypominające zjawy. Podniósł ciężkie powieki tylko na sekundy, zaciągnął się wiosennym wiatrem, by znowu zasnąć. Tym razem obudził go mimowolny odruch złapania głębokiego oddechu, czuł wyraźny ucisk w okolicach szyi. Powoli otworzył zmęczone oczy – ku swojemu przerażeniu dostrzegł tuż przed sobą ptasią, pluszową twarz, długie, chude ręce zaciskały się coraz mocniej na szyi. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, wysuwał do przodu siny język, jego oczy bliskie były wytrzeszczu. Ciało drgało delikatnie w ostatnich objawach życia; trwało to jednak niezbyt długo, kiedy bezwładny Nomada wyzionął ducha, który ulotnił się w stronę sufitu prosto z otwartych ust. Pluszowe ręce nawet wtedy nie dały za wygraną, dusiły w zabójczym amoku, utrzymywały uścisk aż do nastania nowego dnia.

Późnym popołudniem rynek Miasteczka pustoszał. Mieszkańcy mieli przed sobą tylko jeden cel: jak najszybszy powrót do domostw. Mijali innych szybkim krokiem, nie rozglądali się dokoła, wpatrzeni w kamienny bruk bądź w otwartą dłoń, na której znajdował się utarg z całego dnia. Pogrążeni w nienazwanym amoku, wybiegali myślami w przyszłość, nie interesując się teraźniejszością, dlatego nie zauważali podejrzanej postaci we franciszkańskim habicie z kapturem na głowie. Materiał wyraźnie wisiał na personie, nie był dopasowany do sylwetki przybysza, na nikim jednak nie zrobiło to wrażenia.

Tuż przy rynku, po jego lewej stronie, niewielki zakład rzemieślniczy samodzielnie prowadził szewc Kopytko. Starszy, leciwy mężczyzna całymi godzinami siedział na zydlu, reperując zniszczone podeszwy czy łatając popękane, dziurawe miejsca w butach. Mieszkańcy chętnie zlecali mu prace nad obuwiem, wiedząc, że szewc do zadania podejdzie z pełnym pietyzmu zapałem. Kopytko był osobą bezdzietną,

nie miał rodziny, jego żona odeszła w młodym wieku z powodu gruźlicy. Tego dnia powoli zamykał składający się z dwóch izb zakład, kiedy dostrzegł cień padający na jedną ze ścian. Ruszył w jego kierunku, sądząc, że to nowy klient przyszedł ze swoimi znoszonymi butami. Mylił się – zastana postać sprawnym ruchem zrzuciła brązowy habit, a wtedy przed sobą ujrzał kukłę wielkości dorosłego mężczyzny. Zanim zdążył zrobić jakikolwiek ruch, długie pluszowe dłonie uczepiły się szyi starszego człowieka. Ich ucisk mocny, zwierzęcy powalił szewca na brudną posadzkę zakładu, nie ustępował, dopóki ciało mężczyzny nie przestało drgać. Upewniwszy się, że Kopytko nie żyje, przybysz powoli podszedł do wewnętrznego szyldu zakładu, odwracając drewnianą tablicę z napisem „zamknięte".

W Miasteczku krążyły plotki, mówiło się, że szewc Kopytko zaginął, a może wyjechał, ktoś inny twierdził, że wybrał się na pieszą pielgrzymkę do sanktuarium. Zakład pozostawał zamknięty, a w środku panowała przerażająca ciemność. Nikt nie domyślał się, że w jednej z izb, tej oddalonej od wejściowego szyldu, na zydlu siedzi kukła, która niedbale przykleja łaty różnych materiałów, raz na pozostawione do naprawy buty, raz na ciało szewca Kopytki.

Kto wie, ile dni, miesięcy, a może lat mogłaby spędzić we wnętrzu zakładu, gdyby nie fakt, że w Miasteczku pojawiły się nieproszone, obce wojska. Zniknął ruch na rynku, nie zostało nawet śladu po dniach targowych, dźwięk brzęczących monet zastąpiły głośne, marszowe kroki podkutych butów czy charakterystyczny trzask kul wylatujących z metalowych luf karabinów. Wszystkie kamienice przylegające do rynku zostały zajęte, większość zakładów zrabowana, a potem doszczętnie zniszczona. Dochodziły do niej dźwięki tłuczonego szkła, łamanych mebli, głośne prośby o litość, uciszane seriami z karabinów, a potem cisza. Głucha cisza. Przyszła kolej na zakład szewca Kopytki. Najpierw żołnierze rozbili szklaną witrynę, potem wyważyli drzwi. Demolowali pierwszą z izb, miotali popsutymi butami na prawo i lewo, docierając do drugiego, mniejszego pomieszczenia. Tam, ku swemu zaskoczeniu, pod brązową płachtą odkryli zwłoki starszego mężczyzny, udekorowane niepokojąco łatkami z różnego rodzaju materiału. Trup zaczął tym samym przypominać szmacianą lalkę z zaszytymi oczami i ustami. Sprawca zabójstwa nie został na miejscu, dlatego żołnierze zdecydowali się podłożyć ogień w pomieszczeniu, w wysokie płomienie wrzucili także drewniany szyld z dwustronnym napisem „otwarte/zamknięte".

W czasie kiedy ostatecznie kończyła się historia warsztatu szewskiego, przybysz-kukła uciekł otworem, do którego wyrzucono śmieci. Przemykał zakamarkami kamienic, mijał połączone klatki schodowe prowadzące do pomieszczeń gospodarczych. Wyszedł na jedną z bocznych uliczek, śmierdzących i zaniedbanych, teraz pokrytą ludzkimi truchłami – ofiarami obcych żołnierzy. Z otwartych na oścież okien niskich kamienic dochodziły krzyki, gdzieś w oknie pojawiały się wysokie płomienie, w kolejnym w powietrzu unosiło się pierze. Minął koślawym krokiem obraz ludzkiej nędzy przypominający *Triumf śmierci* Bruegla, udając się wprost do miejsca wcześniej mu znanego – teatru kukiełkowego. Zewnętrzna witryna owego miejsca została całkowicie zniszczona, drewniany szyld pękł w kilku miejscach pod naporem podkutych żołnierskich butów. Wnętrze teatru zostało zupełnie zdemolowane, wśród połamanych mebli, powyrywanej posadzki leżały szczątki – pozostałości po marionetkach: pourywane głowy, ręce, nogi. Pomieszczenie przypominało cmentarzysko zabawek, triumf dorosłości nad dzieciństwem. Gdzieniegdzie spod pobojowiska patrzyło pojedyncze plastykowe oko, w jego czerni odbijał się ostatni tego dnia promień zachodzącego słońca. Wtedy kukłę przeszyły strzały: czterech żołnierzy z wycelowanymi karabinami wypaliło wprost do pluszowego ciała, wyrywając resztki materiału wypełniającego marionetkę. Przybysz padł na plecy obrócony siłą wystrzałów, po chwili nad nim pojawili się sprawcy. Przypatrywali się niezrozumiałemu zjawisku, bowiem z miejsc, w które trafiły kule, zaczęła wypływać ciecz, do złudzenia przypominająca krew. Osłupiali żołnierze wycofali się do wnętrza dawnego teatru, wrzucając do środka pochodnie, wcześniej polane benzyną, a później podpalone. Ogień trawił kawałek pod kawałku pomieszczenia domu lalek, płomienie stawały się coraz wyższe. „To był diabeł, trzeba zawiadomić dowódcę" – przerażonym głosem odrzekł żółtodziób w mundurze. Pozostałych trzech kamratów nie usłyszało jego słów, w tym samym czasie ustawiali bowiem tyłem do ściany niskiej, obskurnej kamienicy czteroosobową rodzinę.



Andrzej Jerzy Lech, *Yokohama,* 1983

DARIUSZ SAS

Konsystencja pamięci

(Ojcu)

Jest cieniem świadomości.
Przechodziłem przez nią po wielokroć.
Ma tajemnicze znaczenie komentatora

Raz będąc gliniarzem zabijającym młodego kibica,
Raz będąc dziadkiem piszącym wiersze dla lepszego spania wnuka,
Bezsilnym i pogodzonym z tym, co nieuniknione.
To znowu beztroskim człowiekiem goniącym uciekające ciało.

Jest dużo mniejsza od słowa *nie*,
Od piąstki wzniesionej przez dziecko.
Słodka i gorzka kulka krąży pod językiem.

Gdyby się dobrze zastanowić, właśnie ona wyściela gwiazdy.
W niej bulgoce krew i przepadłe pokolenia,
Które tak wiele zła uczyniły, tak wiele dobra.
Dzięki niej rozwijam myśl coraz słabszy, nie gorszy.

Jest rozciągliwa w czasie,
Jak wyżuta guma bywa zostawiana pod siedzeniem autobusu.
Przykleja się do innych szukających palców.



Jan Mikołajek, *Okienko*, 2015

PIOTR MRAS

Smok i Złota Róża

Jestem częścią tej siły, która pragnie złego, lecz wciąż tworzy dobro.
JOHANN WOLFGANG GOETHE, *Faust*

Wystawa *Sztuka i Alchemia*, Kunstpalast Düsseldorf, 10 maja 2014 roku. Nuży oglądanie setek eksponatów i czytanie zawiłych objaśnień. Dwa piętra. Ekspozycja skupiona wokół fizycznego procesu poszukiwania złota, jakby kuratorzy nic nie słyszeli o alchemii duchowej. Sięgam po leżącą na stole książkę Herberta Silberera *Probleme der Mistik und ihrer Symbolik (Problemy mistyki i jej symbole)* (1914). Początek rozdziału *Wiedergeburt (Ponowne narodziny):* „Po udanym przejściu przez proces introwersji, gdy »smok« zostanie pokonany, wyzwolona zostaje olbrzymia duchowa moc, drogocenny »skarb«, konieczny do ponownych narodzin".

Oniemiałem z wrażenia. W kółko czytałem to jedno zdanie. Uznałem te słowa za tajemne przesłanie. Omen. To po to przyjechałem drugi raz na tę wystawę! „Smok chroni twój skarb" – pouczał wewnętrzny Głos. „Gdy go pokonasz, uzyskasz jego moc i dostaniesz Złotą Różę".

Po trzech latach introspekcji traciłem siłę koncentracji. Iluminacja słabła. Byłem zmęczony, zniechęcony. Dręczyła mnie niepewność – co dalej? Jedynym wyjściem z impasu było pokonanie smoka i pozyskanie jego magicznych mocy.

Któregoś dnia, szukając starych notatek i fotografii, z dna szuflady wydobyłem mały, kwadratowy obrazek z dziecięcej układanki. Był na nim zielony smok. Wcale nie taki straszny. Znalazłem go akurat teraz, gdy myśl o smoku mnie nie opuszczała.

„Zabij go!" – polecił Głos. Położyłem obrazek na kuchennym stole i kipiąc ze złości, wbiłem w niego stare nożyczki. Dźgnąłem go podwójnym ostrzem jeszcze kilka razy. Na koniec zostawiłem przebitego nożyczkami na blacie.

Wrocław, 17 maja 2014 roku. Idę na szabatowe modlitwy. Odra lśni srebrnym, chłodnym blaskiem. Długo stoję na nadbrzeżu. Wchłaniam promienie, oddycham światłem. Przed czasem dochodzę do synagogi. Lubię tę starą, zaniedbaną, małą bóżnicę na piętrze, pamiętającą dawnych polskich chasydów. Fascynuje mnie zwłaszcza zasłona starej szafy ze zwojami Tory, z naszytymi gęsto kolorowymi szkiełkami. Stoję blisko niej, dotykam czołem drzwi arki, obejmuję szafę, proszę Wszechmocnego o pomoc w walce ze smokiem. Wchłaniam lśnienie szklanych rubinów, szmaragdów, szafirów… Bawię się ich blaskiem uwięzionym w barwnych wnętrzach.

W sali modlitw parę osób. Rudy rabin zerka na mnie ukradkiem. Mówi, że czyta książkę *Oneiron* i mu się podoba. „Ja dużo o tobie myślał, Pioter" – dodaje łamaną polszczyzną, uśmiechając się boleśnie.

Nie ma minjanu. Dopiero pod koniec szabatowych modlitw dochodzą dwaj wiekowi podróżni. Jeden tęgi i niski, z bujną siwą brodą. Drugi wygląda na ascetę – wysoki, chudy, gładko ogolony. Siadają ławkę za mną. Mamroczą jakieś modlitwy nad moją głową. Wyraźnie słyszę wypowiadane uroczyście niezrozumiałe dla mnie słowa.

Rabin zaprasza wszystkich na kidusz. Waham się. Nakładam kapelusz, wychodzę. Jestem już w bramie na Włodkowica, gdy słyszę, że ktoś mnie woła. Biegnie czarnowłosy młodzian, podobny do Hiszpana. „Kidusz, kidusz… Potrwa tylko dwadzieścia minut, deszcz pada, może w tym czasie przejdzie". Błaga, bym został. „Jest dwóch podróżnych z Nowego Jorku, chcą cię poznać".

Woda, wino, chałka, na dużym owalnym półmisku jakaś brunatna, ponętnie pachnąca potrawa, chyba bigos. Magda i Józek chciwie jedzą, zerkają w moją stronę, zachęcając do wspólnej uczty. Nikt inny nie je. Dominuje nastrój smutku. W końcu sięgam po talerz i nakładam porcję. Smakuje drętwo, trochę przypomina paprykarz rybny. Magda i Józek jedzą już coś innego na drugim końcu sali. Rabin podchodzi, strapiony i blady: „Pioter, musisz zjeść, co oni, to cię uratuje". Nie wiem, czego on chce, odganiam go. Ogarnia mnie dziwna słabość. Ten niski podróżny pyta, jak może mi pomóc. „Nijak" – odpowiadam chłodno. „Mieszkam w Nowym Jorku, mogę szukać twojej rodziny…". Nie reaguję. „Nie słuchasz swojego rabiego" – mówi suchym szeptem, odchodzi.

Rabin wspomina kabalistów hiszpańskich, Zorah, Lurię. Na koniec mocny akcent: pieśń sefardyjska *Ana BeKoach*. Milczę, siedzę bez ruchu, bezmyślnie patrzę w okno. Tych dwóch obcych uważnie mi się przygląda. Stoją w drzwiach. Muszę się między nimi przecisnąć, aby wyjść na korytarz. Patrzę w oczy tego ascety. „Dlaczego?" – pytam w myślach. Żadnej reakcji, puste, bladoniebieskie spojrzenie.

Na korytarzu łapie mnie zupełna niemoc. Ledwo idę, trzymając się ściany. Ktoś pomaga mi zejść ze schodów. Drzwi wyjściowe na dole są zamknięte. Rabin biega gorączkowo po korytarzu, woła zlęknionym głosem: „Klucz, kto ma klucz, po co zamyka drzwi?".

Świeży powiew powietrza otrzeźwia. Idę na kawę do „Mleczarni". Coś mnie zatyka, piecze od środka, pali z siarczaną namiętnością. Siadam na ławce przed wejściem. Palę papierosa. Duszę się, mam torsje. Gnębi mnie straszliwa chandra. Nie wiem, co robić. Ciągle pada. Wracam do domu, ledwo wlokę się w deszczu, przemoczony do suchej nitki.

„Spać, spać" – mamroczę półprzytomny. Chaotycznie ściągam i rozrzucam po pokoju mokre ubranie. Niemal natychmiast wolno zapadam w sen. I w tym momencie moją świadomość rozdziera wewnętrzny krzyk: „Nie możesz teraz spać, bo umrzesz!". Natychmiast, jak oparzony, wyskakuję spod kołdry. Olśniony pojmuję scenariusz i cel tego kiduszowego spektaklu. „To śpiączka!" Smocze zaklęcie było w potrawie, którą zjadłem. Odebrano mi duchową moc. Nie usłuchałem rabina, nie przyjąłem antidotum, jak Józek i Magda. Dlatego jestem ledwo żywy, tracę przytomność, odchodzę w nicość.

Ogarnął mnie gniew wymieszany z upokorzeniem i żalem. „Nie poddawaj się, walcz!" – powtarza w kółko, jak papuga, wewnętrzny Głos. Intuicyjnie wiem, co mam robić. Zamykam wszystkie drzwi do przedpokoju. Robi się ciemno. Zapalam świecę. Skupiam wzrok na odbitym w lustrze, ledwie widocznym blasku lewego oka.

Po kilku godzinach koncentracji moje oczy są jednak ciągle martwe. Nie potrafię wejść w siebie, przywołać iluminacji.

Wieczorem idę na hawdalę. Duża synagoga Białego Bociana pełna ludzi. Stoję z boku, ukryty za słupem, nie zwracam na siebie uwagi. Na bimę wchodzi rabin z młodym Kubą. Obaj promieniują radością. Ich twarze lśnią. Rabin mówi coś o drugiej duszy w szabat, zapala świecę, odmawia brachę nad światłem ognia. Gasi w winie splecioną, podwójną świecę. Koncentruję wzrok na gasnącym z sykiem płomieniu. Wchłaniam go. Czuję w sobie rosnącą moc świętego ognia. Uspokojony wolno wracam do domu.

Wyjmuję stary klejnot, który miał mnie chronić. Dopiero teraz sobie o nim przypomniałem. Złota szpila z głową lwa zjadającego diament, z rubinami w oczach. Olivier, koneser biżuterii z Utrechtu, mówił, że ktoś oddał go specjalnie dla mnie, za symboliczną kwotę. „Będziesz go potrzebował. Zaczarowany lew cię uratuje" – powiedział, uśmiechając się tajemniczo.

„Ratuj mnie" – powtarzam kilkakrotnie, dotykając lwem czoła, ust, lewego i prawego oka. „Pomóż mi, jesteś moim magicznym lwem!" Całuję go, tulę do serca. Szpilę przylepiłem plastrem do czoła tak, by głowa lwa znajdowała się w miejscu 'trzeciego oka'. Skupiam całą uwagę na świetle oczu. Lekko kołysząc się, szukam punktu, z którego diament błyśnie. Po pewnym czasie jest krótki blask, potem znowu i znowu. Błyski są coraz dłuższe, diament iskrzy teraz intensywnie. Zauroczony, godzinami wchłaniam jego jaskrawość. Cudowna, świetlista energia przenika do duchowego centrum, do Jaźni. Wypełnia mnie ciepło. Oczy odzyskują dawne, głębokie lśnienie.

Noc z 18 na 19 maja, z niedzieli na poniedziałek. Już od zmroku zaczynam intensywną introwersję. Około drugiej czuję silny napływ energii. Strzelają wgniecenia plastikowych butelek po wodzie. To znak narastania mocy. Nastrój robi się tajemniczo-uroczysty. Stoję nieruchomo i czekam na cud. Po niemal dwóch godzinach koncentracji słyszę na schodach mozolne, ciężkie kroki. Są coraz bliżej. Dudnią w uszach. Drzwi wejściowe skrzypią, jakby ktoś je otworzył. Czuję powiew zimna na plecach, łagodny przypływ energii.

Ktoś wszedł, promieniuje mocą. Bezwiednie wyciągam prawą rękę w bok. Niewidzialna Istota ściska moją dłoń, potrząsa nią w geście powitania. Naciąga mi nadgarstki i palce obu rąk. Obejmuje mnie. Jej subtelna moc całkowicie mnie wypełnia i pochłania. Odczuwam stan cudownej błogości, uspokojenia. Ogromne wzruszenie, ciepło, radość…

Ulegam tajemniczej, obcej Istocie. Wszelkie próby oporu są zresztą bezskuteczne. Panuje nad moim ciałem i umysłem. Wykonuję wielokrotnie te same czy podobne, dziwne, niby-gimnastyczne ćwiczenia. Ciągną się godzinami, męczą mechanicznym rytmem. Ruchy są zawsze wolne, dostojne. Jakbym celebrował uroczyste rytuały. Nago lub ubrany w długi czarny szlafrok stoję nocą przed lustrem, adorując samego siebie, swego zwierciadlanego Sobowtóra.

Ręce opuszczone rozkładam na boki, do pozycji ciała 'człowieka witruwiańskiego'. Koncentruję wzrok, wyciszam umysł. Skupiam uwagę na swoim ciele. Czuję kolejno każdy jego fragment, każdy oddech. Zwłaszcza nogi mocno wrośnięte są w podłogę.

Wyciszam umysł i wchodzę w magiczny trans. Dłonie szeroko rozstawionych rąk mają złączone palce w kształt chochli. Kręcę nimi w rożne strony, nabieram mocy.

Następnie wolno unoszę je wysoko nad głowę. Dłonie, złączone razem, coś ciągnie mocno w górę. Ledwie dotykam stopami podłogi. Opuszki palców stykają się, tworząc kulistą przestrzeń. Opuszczam ręce, wcieram zgromadzoną w nich ognistą moc w głowę, twarz, ramiona, w całego siebie. Jakbym robił masaż ciała albo się mył. Czynności te powtarzam wielokrotnie, aż do utraty tchu i zupełnego znużenia.

Cykl skłonów w dół, splecionymi dłońmi dotykam podłogi. Palcami kreślę na niej linie poziome, pionowe, kółka, jakieś dziwne, magiczne znaki. Mocne, wielokrotne wyginanie pleców w tył. Karkołomne skręty ciała, śmieszne pozy, teatralne ruchy. „To nie jest zabawa" – upomina surowo Głos.

Inną, częstą pozycją wyjściową magicznych działań był układ pentagramu. Stoję z nogami rozstawionymi na boki, z rękoma uniesionymi i zgiętymi w łokciach, z dłońmi zaciśniętymi w pięść, opartymi na biodrach. Przez dłuższy czas tkwię w takim ułożeniu ciała. Potem następują opisane wyżej lub podobne zabiegi wzmacniające moje wewnętrzne moce. Zastanawiała mnie ich cykliczność i różnorodność.

Wychodzę na balkon, oddycham głęboko i otwierałem szeroko usta, w myśl kabalistycznej maksymy: „Otwórzcie usta wasze, a będzie wam dane". Powiew chłodnego wiatru otrzeźwia, oczyszcza.

Celem wszystkich wielogodzinnych magicznych zabiegów było przyjęcie duchowych mocy, tworzenie warstw ochronnych, ich naprawa i oczyszczanie. Tak to przedstawił wewnętrzny Głos. Bez niego byłbym tylko bezwolną mechaniczną marionetką. Dzięki jego słowom wszystkie te dziwne zabiegi, przypominające często absurdalną pantomimę lub karkołomne ćwiczenia niby-gimnastyczne, stawały się tajemniczym, magicznym rytuałem. Nabrały znaczenia.

Pamiętam dobrze jeden z zabiegów służący do uzyskania powłoki ochronnej. Unoszę wysoko ręce, gromadzę w dłoniach energię (jak opisałem wyżej). Następnie opuszczam je nisko, nad głowę. Luźno splecione palce wykonują szybkie ruchy, jakby coś strzepywały. Nie dotykam nimi głowy. Głos oznajmia uroczyście: „Dostajesz moc, której już nikt nie odbierze, żadne magiczne zaklęcia, czary czy demony". Cały ten zabieg przypominał niewinną, dziecięcą zabawę. A jednak to była magia.

Kolejne noce mają podobny scenariusz. Ceremoniał i rytuały są te same: świeca, lustro, koncentracja na świetle oka, milczenie umysłu. Po pewnym czasie słyszę i czuję wejście niewidzialnej Istoty. Jej moc mnie wypełnia. Znów prowadzę szereg magicznych ćwiczeń, jak już opisałem je wyżej.

Darzę niewidzialną Istotę całkowitym zaufaniem. Czuję jej troskliwość i ciepło. Bawi się ze mną, łaskocze w głowę, plecy lub gwiżdże mi w ucho. Jakbym był dzieckiem. Nie pytam, kim jest, bo i tak nie uzyskam odpowiedzi.

W czwartek już od zmierzchu stoję skupiony, wyczekując przyjścia tajemniczej Istoty. Około drugiej w nocy wokół głowy pojawia się blask, twarz i czoło zaczynają świecić. W powietrzu unosi się świetlista mgła. Rośnie nastrój tajemnicy. Coraz więcej błysków, światła, dziwnych dźwięków. Rozpoczyna się objawienie Białej Róży. Wszystko wokół promieniuje jaskrawym białym i srebrzystym blaskiem. Iskrzą krawędzie mebli, ścian, lustra. Sobowtór stoi w świetlanym obłoku. Wygląda jak

pulsująca, świecąca dioda. Iluminacja zapierała dech, olśniewa. Trwa około dwóch godzin. Kończy się, jak zwykle, o brzasku.

Nie idę na kabalat ani na modlitwy sobotnie. Nie opuszczam domu, z nikim nie rozmawiam. Szabat jest siódmym dniem od ataku smoka. O zmierzchu zapalam dużą żółtą świecę. Stoję przed lustrem w pełnej koncentracji, całą świadomość skupiam na świetle lewego oka. Po trzech godzinach zaczynam tracić cierpliwość. Pierwsza w nocy. Ciążą i bolą mnie nogi, zwłaszcza stopy. Mam już dość. Niespokojnie krążę po mieszkaniu. „Stój, koncentruj się. Nie poddawaj się" – upomina Głos.

Przed drugą zaczyna się szalona biała iluminacja. Powietrze jaśnieje, gęstnieje, migocze, świeci. Ciemność lśni, głęboka, nieprzenikniona i dostojna. Wokół snują się jasne, mgliste obłoki, mieszając się z bezmiarem czerni. Zjawiają się punktowe blaski na ścianach, meblach, w powietrzu. Przypominają zakwitające i szybko gasnące ogniste róże. Nagłe rozbłyski jak głuche błyskawice rozrywają ciemność. Słyszę głośne, miarowe kroki. Tuż obok, w pokojach, na strychu, na schodach. Odgłosy mnożą się, dudnią, są bardzo wyraźne. Ich dźwięk przeszywa dreszczem ciało i umysł. Zza okna, z ulicy dochodzą ciche, wesołe rozmowy, śmiechy. „Orszak Świętego Króla" – objaśnia Głos.

Stoję zauroczony, nieporuszony niczym fakir. Powtarzam w kółko szeptem jak katarynka „Przyjdź do mnie, czekam". Kątem oka widzę jakąś ogromną, czarną, świetlisto-diamentową postać. Stoi na środku pokoju, tego z lewej strony. Patrzy na mnie, czuję to. Słyszę miarowe, zbliżające się wolno mocne kroki. Zamieram cały w oczekiwaniu na długo zapowiadane spotkanie tajemniczego Świętego Króla.

Nagle przy lewej górnej krawędzi lustra ukazuje się smukła kobieca dłoń z dużym rubinem na palcu. Po dłuższej chwili zaczyna się marszczyć, stopniowo staje się stara, pożółkła, koścista. Znad szafy wyłania się twarz staruchy. Patrzy na mnie kpiącymi oczami, ironicznie się uśmiecha, bezgłośnie rechocze.

Wykonuje ręką teatralny ruch, jakby podnosiła zasłonę z lustra. I w tym momencie następuje metamorfoza obrazu. Starucha odsłania iluminację złocistej światłości. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki światło srebrzystobiałe przemienia się w jaskrawą złocistość.

Twarz, głowa, ramiona emanują złotym światłem. Trudno wyrazić słowami wspaniałość żywego fenomenu Złotej Róży. Zauroczenie, olśnienie i fascynacja jednocześnie. Światłość wokół jest intensywna, pulsująca, iskrząca. Złocisty blask razi, męczy oczy. Po policzkach spływają mi łzy. Szczerozłoty Sobowtór stoi w złotym nimbie, jak święty pański na świętej ikonie. Doskonały w swoim świetlistym, idealnym kształcie.

Dopiero po dłuższym czasie medytacji zdziwiony widzę, że poświata nad głową Sobowtóra to w rzeczywistości subtelny, ledwie dostrzegalny złoty ogień. Cały obraz tworzą złote płomienie różnej barwy, intensywności i kontrastu. Widok oszałamia, powoduje cielesną rozkosz, niemal ekstazę. Wizja staje się niezwykle precyzyjna. Ognistozłoty Sobowtór płonie na tle gęstej, tajemniczo lśniącej ciemności.

Wokół słychać ciche rozmowy, śmiechy, a nawet oklaski. Niewidzialna widownia była wyraźnie poruszona obrazem ognistozłotego Sobowtóra. Zostałem ustawiony w jakiejś karkołomnej pozycji ciała. „Musisz tak stać godzinę, aż do przyjścia

Świętego Króla" – oznajmił Głos. „Godzinę…? Nie ustoję nawet minuty… Padam ze zmęczenia". „On ci pomoże…"

W tym momencie widzę, jak moje uszy rosną i zaczynają się poruszać. Stają się jak u fauna, długie i spiczaste. Kusząco falują. „Nie patrz na uszy… to matnia!" – woła Głos. Nie mogę inaczej. Stoję oczarowany niezwykłym widokiem moich pulsujących uszu. I po chwili, jak lunatyk wiedziony magiczną siłą, bezwolnie idę spać.

Natychmiast po przebudzeniu obejrzałem pokój, ten duży, ze wschodniej strony, w którym stał królewski orszak. Szukałem jakichś śladów pobytu Świętego Króla. Na podłodze odkryłem okazałą kroplę wody. Miała słony smak.



Janusz Leśniak, *z cyklu Gwoździec*, Polaroid, 1993

ADAM LIZAKOWSKI

Drugi wiersz o świętym Franciszku w San Francisco

W wieku 24 lat wrócił z wojny w Wietnamie
jak Walt Whitman nie zabijał a opatrywał rany
doświadczył wizji – usłyszał głos Boga
jak Allen Ginsberg
z czasem wyrzekł się bogactwa i opuścił
rodzinny dom w Kolorado
tak jak stał i co miał na sobie w tym
przybył do San Francisco
zastosował teorię inteligentnego spadania
wodospadu po kamieniach
zmuszając je do śpiewu

gwiazda nie pyta oko o pozwolenie oglądania siebie
język nie powie słowa zanim usta się nie otworzą
ten co potrafi zawiązać but dziecka starcu podać kromkę
ten co liczy mnoży dodaje jest pochwalony
ten co dzieli odejmuje jest wynagradzany
rozpoczął pokutne życie, pomagał biednym i potrzebującym
w latach 70. ubiegłego wieku został
pracownikiem Salvation Army Thrift Store
co zbiera niepotrzebną odzież, meble
artykuły gospodarstwa domowego
ten niesie światło wytworzone przez
Maszynę Boską

Wspierał ludzi potrzebujących drugiej szansy
w wolne weekendy stał na rogu ulic Post & Powell
śpiewał swoje pieśni, pieśń słoneczną;
Pochwalony bądź, mój Panie, ze wszystkimi Twymi stworzeniami,
nade wszystko z panem bratem Słońcem,
bo jest on lampą dnia i nim rozświetlasz naszą drogę.

Jakże on piękny, promieniejący i pełen blasku.
O Tobie, o Najwyższy, daje nam wyobrażenie.
Pochwalony bądź, mój Panie, przez siostrę Księżyc i gwiazdy:
stworzyłeś je na niebie, jasne, cenne i piękne.
Pochwalony bądź, mój Panie, przez brata Wiatr
i przez powietrze, słotę, spiekotę i każdą pogodę,
którymi wspierasz wszystkie Twe stworzenia.
Pochwalony bądź, mój Panie, przez siostrę Wodę,
która jest bardzo użyteczna, i pokorna, i czysta.
Pochwalony bądź, mój Panie, przez brata Ogień,
który rozświetla mroki nocy:
piękny on, radosny, nieprzejednany i silny.

A tak pięknie śpiewa że miejskie gołębie zlatują się
do niego
a tak pięknie śpiewa że bezpańskie psy i koty lgną
do niego
a tak pięknie śpiewa że miejscowe grajki są zazdrosne
o niego mówiąc:
śpiewaj sobie śpiewaj Franciszku
ofiaro pękniętego kondoma i tak ciebie nikt nie słucha
twoje pieśni nie są dla ludzi
wyzwali go od *motherfucker* and *son of the bitch*
zazdrośnicy chcieli spuścić mu wpierdol
ale psy i koty rzuciły się na nich
podrapały i pogryzły
gołębie stanęły w jego obronie
i obsrały ich twarze i języki
W promieniach złotego słońca
Franciszek wędruje ulicami miasta
zakochany w naturze, w każdym liściu,
jego serce bije w rytmie ziemi,
światło odbija się w jego oczach,
jakby Bóg sam w nich zamieszkał,
on idzie dalej, śpiewając pieśń radości

Światło i Franciszek dwie istoty się przenikają
kosmos gwiazd zapatrzony w ziemski pył
kosmos pyta człowieka człowieku potrzebujesz człowieka?

Trzeci wiersz o świętym Hieronimie ze Strydonu

Tradycja korzystania z Biblii sięga Jerzego Waszyngtona w 1789 r. Tej „Biblii Waszyngtona" używali następnie prezydenci: Warren G. Harding, Dwight D. Eisenhower, Jimmy Carter i George H. W. Bush. Niektórzy posługiwali się dwoma egzemplarzami Pisma Świętego: kopią „Biblii Abrahama Lincolna" oraz własnymi. Tak postąpili Barack Obama i Donald Trump.

Hieronim zespawał atramentem słowo boże z papierem
nadając mu siłę wiary i kształt księgi –
ile użył młotów ciężkich aby wyklepać każdy psalm
ile chwil musiał spędzić nad polerowaniem każdego zdania
a ewangelii nadać błysk jasności połysk dobra
ile musiał mieć obrabiarek i komputerów z programami
CNN aby powstało dzieło poetyckie z którego lecą
iskry niebieskie przy szlifowaniu fraz zdań idiomów
ile musiał mieć ramion aby w jednej chwili nadać
kształt książce poruszającej czasem ziemskim
i nieziemskim. Wulgata powstała z żaru serca
masy betonu mózgu
każdym wersetem z jego przekładu zbudowano
wielki gmach zachodniej cywilizacji
każde słowo boże było każdym ziarnem
a każde ziarno było chlebem a każdy chleb
był kościołem wybudowanym
dla chwały Najwyższego Matematyka Ojca
Wulgata potoczyła się kołem maszyny dziejów

– Hieronima mistrza światła boskiego
wykuwającego jasne słowa Boga
one oświetlają drogę tym co chcą nią iść
aby noc stała się dniem a dzień mądrością
on zawsze w słonecznej hali fabrycznej Pana Boga –
właściciela łąk i gór rzek i mórz
gwiazd i wschodów i zachodów słońca
szlaków ptaków i autostrad międzystanowych

śpiewów duszy i melodii bez słów
słów rozgrzewających w najzimniejszych krainach
modlitw na wyspach niespokojnych oceanów

Powstał Wielki Amerykański Naród widziany
jako stado wilków, lwów, drapieżników
padlinożerców, wyzyskiwaczy, handlarzy niewolnikami
wstrętnych kapitalistów, imperialistów, milionerów
tchórzliwych ich polityków i przywódców
wodzów plemiennych w limuzynach wędrujących
od kłamstwa do kłamstwa, od przekupstwa do przekupstwa
paskudni złodzieje panoszący się na Pensylwania Avenue
boskie słowo zapisane w Biblii stało się światłem
dla ich nóg na drodze pomiędzy Atlantykiem i Pacyfikiem

Najpiękniejsza najjaśniejsza kraina Ameryki Kalifornia
staje się nowym słońcem oświetlającym równiny w cieniu
Gór Skalistych swoim złotem i bogactwem natury
powstała z zimnego prądu oceanicznego z Alaski
mgły i napływu chłodnego powietrza znad Pacyfiku
kto przyjedzie do niej nie będzie chodził w ciemności
jej światło mieszało się z cieniem jak chłód z ciepłym
powietrzem unoszącym się z Doliny Centralnej
tworząc idealne warunki dla uprawy winorośli

Prezydenci Ameryki przysięgają na Biblię
dzieło wielkiego spawacza chrześcijaństwa
dojrzewającego nad morzem Śródziemnym
popijając wino słońca kalifornijskiego dojrzewającego
nad Pacyfikiem

SZAMIL IDIATULLIN

Oddzwonię

Ania powiedziała pospiesznie:

– Mamo, nie mam akurat czasu, wybacz, zadzwonię później.

Mama próbowała dopowiadać piekielną, całkiem jak w codziennym talk-show, historię ciotek rodziny Tani, która denerwuje telefonami wszystkich po kolei, ale Ania rzuciła na wydechu: „Dość, dość". Rozłączyła się, myśląc ze zirytowaniem: „Przecież oddzwonię", i chwyciła za szarą jazgoczącą słuchawkę.

Na szczęście nie był to szef, więc Ania, nie dosłyszawszy końca rozmowy, przerwała połączenie i zajęła się dokończeniem prezentacji. Wszystko w jak najlepszym porządku: szef nie zadzwonił, co oznacza, że może pojawić się przed jego zachmurzonymi oczami z dopracowanymi briefami, bez przypomnienia i godzinę przed planowanym terminem. Nieraz tak lubi. Nieraz odrobina miłości przypada wykonawcom. Nieraz czują się z tego powodu szczęśliwi.

Szczęście jednak ją ominęło, ale radość zaczepiła słonecznym skrzydłem: szef jej nie zabił, nie zwymyślał, nawet nie przyrównał do żadnego zwierzęcia, ale powściągliwie pochwalił za operatywność i kazał przerobić osiem stron. Ale jak kazał: pokreślił ołówkiem wzdłuż oraz w poprzek i powiedział: „Klient jest oczywiście idiotą, ale nie aż takim. Zrób nieco gęściej, ale jednocześnie dostępnie".

I tak przez dwie doby, można powiedzieć, że bez rozkładania nóg, Ania zapewniała niezbędny stosunek gęstości – Bożeńku, przebacz mi i nie zapomnij, jeśli to możliwe – z dostępnością. Radik naturalnie nie miał problemu z dostępnością – trzeba było utrzymać dobrą formę i pozostawać w uniesieniu, a niepowodzenie natychmiast zapewnia zarówno uniesienie wewnętrzne dla ciebie, jak też zewnętrzne – nie dla ciebie, Radik, wybacz i uspokój się, choćby dlatego, że też dla nikogo innego. Radik wszakże nie chciał się uspokoić, stopień stosunków i uczuć rósł, Ania promieniała, zgrzytała zębami i nakładała jedną piękniejszą kreację po drugiej – zakochała się.

Szef w zachwyt nie wpadł. Popatrzył pobieżnie, ponuro rzucił okiem na kalendarz i na zegarek, dając jasno do zrozumienia, że ty, kozo, pod presją czasu wykręciłaś mi ręce i capnęłaś za gardło, inaczej udeptywałabyś blat biurka niczym wesoły Syzyf, aż stałby się doskonale gładki i przejrzysty. Mruknął, wskazując losowo wybrany slajd: „O, zrób tutaj po ludzku", i zagłębił się w raport roczny, co oznaczało, że audiencja dobiegła końca, a wolność z czystym sumieniem: oto one, tam, za oknem.

Ania rzeczowo przytaknęła, rzeczowo doszła do swojego miejsca pracy, rzeczowo zaklęła, rzeczowo zrobiła po ludzku, a następnie wprowadziła poprawki do prezentacji szefa i usunęła niepotrzebne, odetchnęła z energiczny pomrukiem, rozejrzała się przestraszona i zaśmiała się z własnego lęku. Nikt się nią nie przejmował, wszyscy byli pokryci pianą i mydłem, a Ania ma już z głowy. Zuch z niej, nie dość, że piękna, to jeszcze zasługująca. Na wszystko na świecie i od razu.

Zadzwoniła do Radika i wynegocjowała znaczną część tego, na co zasłużyła. Oczywiście nie od razu: Radik zrzędził i próbował się gniewać tak bardzo, że nie wyrabiał z dynamiką, ale Ania, dziewczyna zręczna, poradziła sobie z prezentacją, zmieściła się w terminie, ocaliła przed dziadkiem, babcią, zającem, wilkiem i szefem, wszystkim do kupy w jednym niezadowolonym pysku. Ale już ty, kochany Radiku, nie zdołasz się przede mną obronić, i tak będziesz mój i wszystko będziesz gotować, robić i myśleć po mojemu, spotykamy się o siódmej.

Ania rozłączyła się i z zadowoleniem zerknęła w okno. Było jeszcze nieumyte, w słońcu pyszniły się zakurzone wzory, ale nie przyćmiewały ani słońca, ani wiosny, ani żadnego świeżego piękna, lśniącego i dźwięcznego, całkiem jak w dzieciństwie, gdy zaspałeś, bo mama cię nie obudziła, i wtedy przypominasz sobie: są wakacje – i całe życie przed tobą.

Uśmiechnęła się tak bardzo, aż zabolało ją pod oczami, i zadzwoniła do mamy. W końcu obiecała. Telefon zabuczał, zakrztusił się i powiedział, że wybrane połączenie nie jest obsługiwane. Widocznie wykończył się z radości.

Ania zadzwoniła jeszcze raz. Wybrane połączenie nie jest obsługiwane.

– Nie rozumiem – rzekła zachmurzona i ponownie wybrała numer, nie odrywając oczu od ekranu smartfona.

Numer otworzył się na cały ekran, zawiesił, po czym drgnął pod napisem „nieobsługiwany" i kipnął pod wygaszaczem ekranu z porannym widokiem Montmartre.

Ania jęknęła i sprawdziła numer. Wydawał się prawidłowy, ale kto je pamięta? Być może sieć padła lub obraziła się na Zotowo. Albo, co bardziej prawdopodobne, mama zapomniała doładować konto. A twojej ukochanej jedynaczce, wyobraź sobie, nic do tego.

Skrzywiła się, weszła do banku internetowego, znalazła potrzebny szablon i wrzuciła pięćset rubli na numer matki. Teraz może zadzwonić także na domowy bez obawy przed wiecznym: „Całkiem zapomniałam, ale siedzę bez kontaktu, bez jedzenia, bez wody, chora- stara-bezradna". Mama zacznie tak nadawać, a Ania jej odpowie: „Rzuciłam ci trochę na telefon, tylko czy naprawdę muszę się tym zajmować? Nasza siła leży w przezorności".

Ania wybrała znany od dzieciństwa numer, wysłuchała, że połączenie nie jest obsługiwane, i uznała, że problem stwarza jej operator. Trzeba będzie zadzwonić z miejskiego. Spoglądając na smartfona, wystukała na klawiszach biurowej słuchawki numer komórkowy, następnie domowy mamy – z tym samym rezultatem. Wybrane połączenie nie jest obsługiwane.

Smartfon zaszeleścił esemesem. Płatność nie została zrealizowana.

– No tak – powiedziała Ania, nie wiedząc, co zrobić. – Tak.

Wstała, usiadła i poszła sprawdzić, czy kod Zotowa się zmienił. Listy i bazy danych w Internecie były wyjątkowo idiotyczne. Zotowa nie wyszukiwało się alfabetycznie, według starego kodu także nie. Jestem głupia, uświadomiła sobie Ania. Trzeba zapytać Lizkę. I o kod, i o zerwanie łączności z Zotowem.

Szukała w telefonie numeru Lizki, ale nie mogła go znaleźć. Oszołomiona, z trudem uświadomiła sobie, że po ostatniej głupiej rozmowie usunęła ją ze wszystkich kontaktów i komunikatorów. A przechowywanie cudzego numeru we własnej pamięci było czymś, co nie zdarza się w naszym stuleciu.

Nie pamiętała też żadnych dobrych kolegów klasowych, z jednego roku, sąsiadów i innych ziomków oraz znajomych, więc weszła na Facebooka. Z telefonu oczywiście: dostęp do portali społecznościowych i komunikatorów ze służbowych komputerów został zablokowany i zakazany osobistym rozkazem szefa. Ależ z niego palant, dziewczyny.

Ania przeczesała Facebooka, zastygła w zdumieniu, ogarnęła sytuację i rzuciła się na popularne VKontakte i Odnoklassniki. Nie pomogło.

Przerażało ją nie to, że nie zdołała znaleźć choćby jednego znajomego z Zotowa. Byłoby to przynajmniej logiczne, ponieważ przez dziesięć lat ani o nich nie myślała, ani też żadnego nie spotkała. Przerażające, że na portalach społecznościowych jakby w ogóle nie było nikogo z Zotowa. Ani jednej osoby w wieku od roku do pięćdziesięciu lat. I do dziewięćdziesięciu dziewięciu też nie – sprawdziła Ania.

– Tak – powtórzyła nieco rozpaczliwie.

Przechodząc od przerażonego zmieszania do irytacji i z powrotem, Ania znalazła serwis komunikacji międzymiastowej, milcząco oburzona bezczelnością podanych usług i cen, zawahała się trochę, ale ostatecznie zadzwoniła i poprosiła o połączenie z numerem jej matki.

– Jakie miasto? – zapytała operatorka, w której głosie prawie nic nie okazywało radości z kontaktu z pierwszym chyba od pięciu lat klientem. – Komórkowy, rozumiem, a miasto?

– Nie komórkowy, domowy. Nie zrozumiała pani, nie komórkowy. Miasto Zotow w obwodzie sarasowskim.

– Saratowskim?

– Nie Saratow, a Sarasowsk, Sa-ra-sowsk… Proszę spojrzeć na mapę…

– Dziewczyno, co mi tu głowę zawracasz! Kod podaj.

– Gdyby u mnie kod przechodził, nie dzwoniłabym do pani. Cóż, kod pięć-cztery-trzy-trzy.

– Na początku ósemka?

– No tak, osiem lub nawet plus siedem. Kod bez ósemki, od razu pięć.

– Nie ma takiego kodu, powtórz.

– Jak to nie ma? – oburzyła się Ania. – Dzwoniłam po nim milion razy. Może powie pani jeszcze, że i Zotowa nie ma!

– Rozumiem – powiedziała operatorka i rozłączyła się.

– Ech! – wykrzyknęła Ania, zdając sobie sprawę, że jej ukochani koledzy nie tylko spoglądają na nią, ale także gromadzą niepotrzebne wrażenia i faktury. W gruncie rzeczy miała to w nosie teraz i w przyszłości. – Naślę na was Roskomnadzor[1], wy jednookie pokraki! Rozumie… Co takiego rozumiecie, kretyni? Dla was nie ma takiego kodu!

1 Federalna Służba ds. Nadzoru w Sferze Łączności, Technologii Informacyjnych i Komunikacji Masowej (przyp. tłum.).

Wściekłość Ani była tak wielka, że nie zdołała się powstrzymać przed wejściem na stronę internetową służby nadzorczej. Tam, mamrocząc ściszonym głosem, zaczęła wklepywać oskarżenia, bo czegoś takiego nie sposób pozostawić bez kary. Przez chwilę pomyślała, że może nie zdążyć dotrzeć do restauracji na siódmą, ale uspokoiła się: Radik zaczeka.

Radik czekał. Przyszła dokładnie o siódmej, wcale nie specjalnie, ale samo tak wyszło. Jeszcze idąc, trzymała się, chociaż przed oczami jej pływało, a nogi szukały okazji, aby wymknąć się i uciec. Natomiast kiedy dotarła, odniosła wrażenie, że ściana akwarium została podniesiona, woda wypływa, a rybka plusk-plusk na podłogę, umiera w nieznanym, obcym świecie.

Ania opadła na krzesło naprzeciwko Radika, uroczystego i wytwornego, jękliwie westchnęła i zaryczała. Co zrobić, jeśli wokół panuje wyłącznie bezmyślna brunatna magma?

Radik podskoczył, wszyscy wokół biegali, gdakali, cmokali, lecz pomóc oczywiście nie mogli, więc całkiem słusznie ich odgonił. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywał się zaskakująco właściwie: czekał tyle, ile trzeba, pytał, ile trzeba, zapytał ponownie, nie tracąc cierpliwości, wysłuchał, zadał kilka krótkich uściślających pytań – i co najważniejsze, prawie wszystko zrozumiał. Chociaż sama Ania niczego nie pojmowała. Płakała, krztusiła się, wszystkiego się bała i użalała się nad sobą.

– Radik, piszą, aby wybrać region, ale go nie ma! Nigdzie, nawet w Wikipedii! Na mapach, na Google Maps, sama pokazywałam mamie nasz dom, ale obecnie Zotowa w ogóle tam nie ma! I nie ma autobusów, nie kursują! Poszłam na policję i powiedziałam: Google zostało zhakowane, Yandex też, całe miasto zniszczone, czemu siedzicie! A oni rżą! Obudź się, mówią, wtedy ci pomożemy! Nie ma żadnego Zotowa! Mówię: oto paszport, jest zapisane miejsce urodzenia: Zotow, a oni, że to fałszerstwo, podróbka dokumentów, konfiskujemy! Uciekam! Każą stać! A ja…

Ania rozkojarzyła się zupełnie, patrząc tępo, jak Radik delikatnie wyjmuje z jej rąk paszport, który, jak się okazało, ściskała mocno, przeglądając, kładąc na stole i wyciągając rękę jeszcze po coś innego. Och, po telefon. O nim również zdążyła opowiedzieć i kontynuowała, podając aparat Radikowi:

– No patrz, rozmowy z mamą, domowy wybierałam, oto kod, pięć-cztery-trzy-trzy, widzisz? I oni mówią, że takich od piątki w ogóle nie ma, to nie Rosja! Oni sami nie są Rosją! I zdjęcie, tu mama, u nas, u siebie, w Zotowie, w tym roku robiłam, widzisz, w maju, jest data i są tam te geotagi, nie potrafię, ale tym możesz…

Ania zamilkła, zagryzając palce i błagalnie wpatrując się w Radika, który położył jej telefon na stole i zagłębił się w swój własny.

– Radik – powiedziała cicho. – Zwariowałam, tak?

– A kto nie zwariował – mruknął Radik, nie odrywając wzroku od ekranu. – My wszyscy, biorąc pod uwagę fakt urodzenia… An, zamówmy coś szybko, musimy zjeść, bo cała się trzęsiesz. Potrzebujesz siły, droga jest długa.

– W jakim sensie? – zapytała Ania, gotowa rozpłakać się lub wybuchnąć, lub to i to naraz. – Jakie jedzenie, jaka droga? Gdzie chcesz mnie wysłać?

– Nie ciebie. Pojedziemy razem, kupiłem już bilety do Sarasowska, tam wynajmiemy samochód albo car-sharing. Odlot jest za trzy godziny, w sam raz, aby zjeść i spokojnie udać się do Aeroexpressu. Będziesz miała swój Zotow.

Ania zastygła i wyszeptała:

– Bardzo drogo…

– Daj spokój, i tak zasadniczo cienko przędę.

– Przecież chciałeś do Paryża…

Radik się uśmiechnął.

– Po pierwsze, nie ja chciałem, ale ty i ja, po prostu razem. Po drugie, taki Paryż jest zawsze z tobą, zdążymy go sto razy odwiedzić. A Zotow cyk – i nie ma. Dużo ciekawsze, prawda? I obiecałeś mamie. Nie wolno jej oszukiwać. Swoją drogą, jesteś do niej bardzo podobna. Młody człowieku, chcemy złożyć zamówienie, tylko proszę się pospieszyć.

Samochód był zarezerwowany jeszcze przed odlotem, więc przy kasie w hali przylotów czekał zaspany urzędnik z kluczykiem. Ania nie płakała, chociaż czuła się dziwnie niczym ryba w pustym akwarium, które wrzucono do wzburzonego morza. Znajomy świat trwał obok, ale nadal go nie akceptowała. Doszła do siebie, gdy wynajęty solaris minął drogowskaz na Sarasowsk i wyrwał ku odległemu dudnieniu i cieniutkim białym szczelinkom, czasem rozsuwając ledwo zauważalne połączenie nieba i ziemi.

– Tą autostradą jakąś godzinę, potem tunelem, przed następnym tunelem skręcamy w lewo i po pół godzinie mamy Zotow – wyjaśniła Ania.

– Zdążyliśmy wylądować przed burzą, mieliśmy szczęście – stwierdził Radik, wpatrując się w horyzont. – I oby tak dalej. Dlaczego Zotowa nie ma na znaku?

– Nigdy nie było – powiedziała Ania w roztargnieniu i oderwała się od telefonu. – Nadal nie wierzysz, prawda?

Radik westchnął, bardzo wyraziście przypominając, gdzie są, co robią i jak bardzo wiąże się to z zaufaniem oraz innymi sprawami międzyludzkimi.

Ania na sekundę przytuliła policzek do jego ramienia i ponownie zanurkowała do telefonu. Połączenia do mamy nie były realizowane, esemesy wysłane przed wyjazdem pozostały niedoręczone, ale wybrała numer i wysłała kolejne wiadomości, dawno straciwszy rachubę i nie do końca pojmując, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy we śnie. Jeśli we śnie, to gdzie śpi: w samochodzie przelatującym już przez ulewę, na domowej kanapie czy w łóżku szpitala psychiatrycznego, gdzie wreszcie ułożyła ją troskliwa policja? Łoskot deszczu na jakiś czas zmienił się w jednostajne dudnienie, a kolejny esemes powiadomił, że skończyły się pieniądze na koncie.

– An! – zawołał Radik, zwalniając.

– Zaraz – powiedziała Ania, zajęta doładowaniem konta.

Samochód stanął i zabłysnął światłami stopu, ledwie widocznymi w ponownie gęstniejącym deszczu.

– Co się stało, dlaczego stoimy? – zapytała niecierpliwie Ania.

– Tunel minęliśmy, przed nami drugi, ale nie ma zakrętu – wyjaśnił Radik. – I nie było. Żadnego zakrętu, żadnego drogowskazu.

Ania chciała zapytać, czy dobrze się rozglądał i czy przypadkiem nie przegapił, ale zdała sobie sprawę, że byłoby to niewłaściwe i obraźliwe, więc zamknęła usta. Popatrzyła jedynie na niego, starając się ukryć błaganie, lecz nie mogła. Radik odwrócił wzrok i zapytał:

– To jest właściwe miejsce, dokładnie to?

Ania rozglądała się gorączkowo, nawet wychyliła przy sykaniu Radika, zatrzasnęła drzwi i powiedziała, automatycznie strząsając krople z głowy:

– No, bardzo podobne… Jak długo jechałeś?

– Osiemdziesiąt pięć.

– Tak, tutaj – zgodziła się i cicho zapłakała.

Telefon zabrzęczał, Ania wzdrygnęła się, lecz było to potwierdzenie, że konto zostało uzupełnione. Radik zerknął w bok na ekran i polecił, ostrożnie zawracając i wjeżdżając na przeciwną stronę drogi:

– Nie płacz. Powoli jedziemy z powrotem, patrzymy na pobocze: może po prostu zamknęli drogę w celu naprawy i tak dalej. Następnie należy znaleźć właściwy zakręt, nie tutaj, za tunelem lub przed pierwszym. Poszukamy, mamy czas…

Rozbłysła błyskawica i Ania zapiszczała, wskazując palcem na przednią szybę:

– Jest drogowskaz!

– Gdzie? – zainteresował się Radik, włączając długie światła i redukując prędkość.

– Był tam, stał, właśnie tu, tutaj – rzuciła pospiesznie Ania, z przerażeniem uświadamiając sobie, że się usprawiedliwia. Zaczęła powątpiewać, czy naprawdę widziała chudą literę „T", migającą szaro pośrodku szerokiej, białej stop-klatki rozmytej smugami kropel, i dodała przygnębionym tonem: – Jest odwrócony, dlatego nie widać, co napisane, ale…

– Ale jasne, że zakręt – dokończył spokojnie Radik. – Nie widać w normalnym oświetleniu. Fantastycznie, kurza melodia. Niebezpiecznie jest tu zawracać, ktoś wyskoczy z tunelu i w nas. Przejedziemy prosto, tam na otwartej przestrzeni zawrócimy i uważnie popatrzymy. Przy okazji poczekajmy na błyskawicę.

Zrobili tak, i to dwa razy. Radik, rozebrawszy się, żartujący w stylu „wysadźmy YouTube", również przeszedł cały teren, w obrębie którego Ania zobaczyła znak. Wrócił mokry, wytarł się podkoszulką i powiedział dziarsko:

– W porządku, działamy zgodnie z pierwotnym planem: będziemy szukać dalej, nie znajdziemy, wtedy ponownie tu wrócimy.

Znowu zawrócili i odjechali z lotniska. Ania zapłakała.

– An, nie trzeba – poprosił Radik. – Znajdziemy, obie…

– Zdjęcia się nie otwierają – szepnęła. – Te z mamą. Nie otwierają się.

Radik zerknął na ekran, zaklął i przyspieszył, stwierdzając:

– Usterki od błyskawicy, zresetuj…

Telefon dźwięknął esemesem, Ania zdołała zobaczyć „Abonent jest już dostępny", sapnęła, a telefon natychmiast zabrzęczał i zadzwonił, rzucając na ekran słowo „Mama". Pisnęła:

– Stój, stój, tunel, zaniknie!

Radik wcisnął hamulec, samochodem rzucało po śliskiej drodze, z tyłu leciało coś ciężkiego, oślepiającego i ryczącego, a Ania, nie zwracając na nic uwagi, krzyknęła do telefonu:

– Mamo, mamusiu, gdzie jesteś? Jestem tutaj, jadę do ciebie, nie znikaj!

– An, co się stało? – zapytała wystraszona mama. – Dostałam od ciebie dziwnego esemesa, myślałam, że przez pomyłkę albo hakerzy cię podrobili, noc przecież… Podobno jedziesz… Dokąd jedziesz?

– Mam, do ciebie, do ciebie, jesteśmy blisko, nie znikaj! – zdzierając gardło, Ania przekrzykiwała oburzoną syrenę ciężarówki. Wycie umilkło wreszcie w tunelu, Radik odetchnął głęboko, ostrożnie wracając samochodem na pas. Ania powtórzyła:

– Mam, u mnie wszystko w porządku!

Oślepła i odleciała pod wpływem ogłuszającego, strasznego uderzenia.

Ciężarówka, która wyskoczyła z tunelu, jednym prztyczkiem wrzuciła solarisa do przydrożnego rowu niczym wysuszoną muchę z parapetu, skręciła, zwolniła, zawarczała i uciekła. Ania tego nie słyszała i nie wiedziała, że solaris obróciwszy się, bokiem od strony kierowcy, z przeciągłym zgrzytem rozorał rów i utknął w strumieniu jak sękata, nienaturalna tama. Starała się nie wypuścić, a następnie znaleźć telefon wyrzucony jej z rąk, które pod wpływem uderzenia trzęsły się na podobieństwo mokrych ręczników strzepywanych nad suszarką.

Samochód tykał, deszcz tykał mocniej i częściej, po stronie Radika woda syczała i bulgotała, w głowę i szyję przy najmniejszym poruszeniu wbijał się coraz głębiej kołek ostrego bólu, na skroń spadały chłodne i niemal przyjemne krople z szyby, bardzo bolała klatka piersiowa, ramiona i lewe ramię, w prawej nie było telefonu. Ania, zwinięta w kłębek, wisiała na pasie bezpieczeństwa. Samochód leżał nierówno na drzwiach kierowcy z rozbitą przednią szybą zwróconą w stronę drogi, stąd, z czarnego rowu, prawie niewidoczną. Woda wypływała, a ryba plusk-plusk.

– Radik – odezwała się ochryple Ania. – Radik, nie widzisz mojego telefonu?

Radik milczał, pochylony w stronę drzwi. Między nim a kierownicą nadmuchała się nierówna biaława kula. Ania dotknęła gęstej powłoki, skrzywiła się z bólu w dłoni, przez chwilę pomyślała z urazą, że nie dostała takiej piłki i że niepotrzebnie Radik spowodował wypadek dokładnie w tym momencie, gdy mama się dodzwoniła.

Nie było jednak potrzeby się obrażać: zobaczyła telefon. Utknął w szczelinie pod przednią szybą. Jęcząc z bólu, chwyciła go i raz, potem drugi przesunęła palcem po ekranie. Zamiast mydlanej śliskości wyczuwała grubą warstwę kurzu. Palec zapiekł. W niebieskiej poświacie deski rozdzielczej z trudem dostrzegła, że ekran pokrywała pajęczyna drobnych pęknięć, na których dopiero co w dwóch etapach zdarła skórę z palca. Pół biedy krew na ekranie, teraz telefonu nie da się aktywować odciskiem palca. Dzieje się tak, jeśli urządzenie w ogóle działa.

Pracował, choć słabo. Ania zdołała ponownie uruchomić urządzenie i za trzecim razem, ostrożnie wycierając ekran i ściskając krwawiący palec, wybrać kod aktywacyjny. Nie było żadnych nieodebranych połączeń od mamy. Czyli oddzwoni. Na wszelki wypadek sama wybrała numer, zignorowała obojętną odpowiedź automatycznej kobiety, zaczęła wybierać „sto dwanaście", ale natychmiast porzuciła ten pomysł, zdając sobie sprawę, że podczas rozmowy może przegapić telefon mamy.

Otrzepała wodę, która spłynęła jej na głowę, i zaczęła ostrożnie, z trudem uderzając w zamazujące się litery, pisać wiadomość.

Radik zabulgotał cichutko i niemal zabawnie, po czym zaczął ociężale przebierać nogami. Najwyraźniej szuka pedałów, pomyślała w roztargnieniu Ania i mruknęła, kończąc esemesa:

– Zaczekaj, Radik, napiszę mamie, że mam tylko skrzynkę odbiorczą i zaraz…

Co zaraz, nie do końca sobie wyobraziła, ból w klatce piersiowej stał się silniejszy, ale głos nie był już ochrypły, więc mama nie przestraszy się, jeśli zadzwoni. Kiedy zadzwoni.

Muszę napisać, żeby ciągle wybierała numer, bo nie wszystkie połączenia dochodzą do skutku, uświadomiła sobie Ania, tworząc nową wiadomość. Radik ucichł. Najwyraźniej uspokoił się i również postanowił spokojnie poczekać.

Teraz poczekamy, pomyślała, uśmiechnęła się i wygodnie uchwyciła telefon, który wypełnił się ciepłem, ciężkością i delikatnym światłem. Oddzwoniłam, mama oddzwoni. Teraz na pewno się doczekamy.

Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego: Musa Çaxarxan Czachorowski
Шамиль Идиатуллин, *Я наберу*



Janusz Leśniak, *z cyklu Gwoździec*, Polaroid, 1993

JAN STRZĄDAŁA

Zamykam oczy w słońcu

Kolorowy kurz oczy mi oprószył
od środka
jaskrawością krwi
Zakrywam ramieniem tańczące drzewa
ich cienie we mnie mierzą
Jestem plamą ciała
spiralą przestrzenną
lęku i bólu
W cieniu moich ust
umierają słowa
W czarnych korytarzach ciała
szukają duszy
Jej białe ślady
milkną
w mózgu
rosną
w gorącej katedrze serca
Złota igła zawału
spada przez cienie drzew
W czarnej źrenicy
wschodzi słońce
które już
nigdy nie zajdzie.



Jan Mikołajek, *Okienko*, 2015

JAROSŁAW PETROWICZ

Bliżej nieznane

Każdemu, kto wchodzi do kościoła pw. św. Wawrzyńca w Dąbrowie i zechce spojrzeć w prawo, głoszę górnolotną wykutą w moim brązie maksymę: „Zwycięstwa przodków są nakazem dla potomnych".

A dalej informuję o Janie Mężyku z Dąbrowy, wybitnym mężu stanu, staroście krzepickim i ostrzeszowskim, wojewodzie lwowskim, od 1403 r. sekretarzu królewskim, który w bitwie pod Grunwaldem w 1410 r. wchodził w skład osobistej ochrony króla Władysława Jagiełły, a w 1413 r. poświadczył swą pieczęcią akt unii horodelskiej oraz w 1423 r. akt przymierza polsko-węgierskiego. Wiem oczywiście znacznie więcej.

Dąbrowa wzięła swój udział w początkach królewskiego miasta Wielunia. To tutaj kaliski książę Władysław Odonic, zwany Plwaczem, wyprawił się na niedzielne polowanie, bo kiedyś tu rósł las dębowy. Krążył po kniejach, błądził, w końcu zobaczył dorodnego jelenia. Gonił za nim do utraty tchu, by nieoczekiwanie ujrzeć między jego rogami hostię. Nie mógł więc rogacza upolować, bo do Boga strzelać nie można. Dotarło do niego, że łamie trzecie przykazanie, więc w ramach pokuty w pobliżu osadził zakon augustianów. Wokół powstała osada, a potem miasto, które wzięło nazwę od jelenia: Jeleń, Wieleń, Wieluń.

Po dwóch wiekach od przygody Odonica z rączym jeleniem z okolic Środy Śląskiej przybył na ziemię wieluńską Hanusz Mężyk, potomek rodu Wadwiczów, pochodzącego z Łużyc. Nabył naszą wioskę ponad sześćset lat temu i odtąd się pisał „z Dąbrowy". Piastował urząd łożnego królewskiego; szykował monarsze sypialnie, był odpowiedzialny za pościel i bieliznę osobistą króla. Syn Hanusza, Jan, został podczaszym i cześnikiem królewskim. Dbał o piwnicę i podawał wino na ucztach. Przede wszystkim jednak był zaufanym rycerzem Władysława Jagiełły, człowiekiem do specjalnych poruczeń. Zasłużył się licznymi misjami do sąsiednich krain. Grunwaldzką bitwę opisał Henryk Sienkiewicz w dziewiętnastowiecznej powieści historycznej *Krzyżacy*. Nazywał właściciela Dąbrowy Jaśkiem Mążykiem i zaliczał do grona najsłynniejszych paladynów: „prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący". Podczas poselstwa „szlachetnie urodzonych bandytów" przekładał z niemczyzny Jagielle słynne na cały świat obelżywe słowa zakonnego herolda: „Mistrz Ulrych […] wzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną, i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze".

Podczas gdy składał broń białą u stóp polskiego króla, drugi komtur dorzucił żmijowe zdanie: „Mistrz Ulryk kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach".

Jak powszechnie przez wieki wiadomo, król odparł: „Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc — amen".

Po ogorzałych policzkach spłynęły mu dwie wielkie łzy. Co oznaczały? Wiedzę o cierpieniu, śmierci, sromocie, które przynosiła wojna z Zakonem. Polacy i Litwini pokonali Krzyżaków. W takim to wydarzeniu nasz dziedzic Dąbrowy musiał brać udział i zębami zgrzytać, kiedy Krzyżak pluł w twarz monarchy fałszywymi dźwiękami mowy.



Janusz Leśniak, *z cyklu Gwoździec*, Polaroid, 1993

Niedługo po śmierci Anny Cylejskiej Jagiełło ożenił się ze szlachcianką Elżbietą Granowską. Nasz rycerz jako jeden z nielicznych sprzyjał władcy w tej kwestii. Długosz w swoich *Rocznikach, czyli kronikach Królestwa Polskiego* opisuje, jaka kara spotkała rycerza za wierność panu. Otóż w sierpniową sobotę o późnej już porze w powozie urządzonym na kształt kolebki król przemieszczał się z Poznania w stronę Środy Wielkopolskiej w towarzystwie szlachty, między innymi Jana Mężyka z Dąbrowy:

„Alić gdy pod wsią Tulce wjeżdżał do lasu przy jasnym i pogodnym niebie, nagle ściemniło się i gwałtowna powstała burza z błyskawicami i grzmotem. Na samym wstępie, pod górą przytykającą do lasu uderzył piorun z wielkim trzaskiem, który cztery konie zaprzężone do kolebki królewskiej i dwóch z służby dworskiej idących pieszo przy powozie, aby się nie wywrócił, nazwiskiem Bachmat i Maciej Czarny, woźnicę tylko pominąwszy, zabił. Niemniej pozabijał konie, na których jechali Mikołaj sandomierski i Sędziwoj poznański, wojewodowie, Henryk z Rogowa, Jan Mężyk i siedmiu innych rycerzy; sami jeźdźcy nie doznali żadnej obrazy. Zabił na koniec wierzchowca królewskiego, na którym jechał za królem giermek Forsztek z Czczycy z rohatyną w ręku; na tym suknię potargał, samego pachołka nie nadwerężył".

Takie to były czasy. Albo i takie nie były. Ile to prawdy, a ile zmyślenia, sam kronikarz wiedział, a i to nie jest pewne.

Warto pamiętać o szlachetnym i pobożnym rycerzu, który kiedyś władał naszymi ziemiami. Wiemy, kiedy się urodził i kiedy umarł. Znamy jego chwalebne czyny. Mam także mniejszy napis wykuty w brązie: „Swemu wybitnemu rodakowi w 600-lecie wiktorii grunwaldzkiej tablicę ufundowali mieszkańcy Dąbrowy i samorząd miasta Wielunia".

Niby wszystko dobrze i jak należy, ale mnie bardziej niepokoją żony Jaśka. Niewiele o nich wiadomo. Pierwsza, Katarzyna, musiała być wykształcona i światła, gdyż wychowywała córkę Władysława Jagiełły i Anny Cylejskiej – Jadwigę, polską królewnę i litewską księżniczkę w jednej osobie. Słabowita Jadzia zmarła młodo. Istnieje hipoteza, że otruła ją macocha Zofia, czwarta żona Jagiełły. Kasia nie ma tablicy pamiątkowej jak Jaśko, ale ja o niej pamiętam. Nie uhonorowano też pamiątką Anny z Rytwian. Mężyk niosąc siódmy krzyżyk na karku, poślubił młodziutką szlachciankę, która jednak szybko została wdową. Fortunę pozostawioną przez męża w złocie, srebrze i kamieniach szlachetnych pod jej nieobecność rozgrabiła przybyła na pogrzeb rodzina.

Matki i żony rycerskie, gdzie zgubiły się ich historie? Czemu nic prawie nie wiemy o Ani Rytwiańskiej, zmuszonej wyjść za starca, któremu tuż po ślubie się zmarło? A „bliżej nieznana" Kasia prawdopodobnie była nieszczęśliwa, bo nie mogła mieć dzieci. Nie znalazłem ani słowa o rodzicielce Mężyka. Mówią, że „matka" należy do najważniejszych i najpiękniejszych słów świata. A w żadnych znanych mi dokumentach ani widu, ani słychu o niej. Urodziła, wykarmiła, wychowała i nic o niej nie wiemy?



Janusz Leśniak, *z cyklu Gwoździec*, Polaroid, 1993

WOJCIECH KORYCIŃSKI

Wieluń? A gdzie to jest? Centon literacki

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, mieszkańcu: ziemia spustoszona
Wieluńska leży, a czytelnik sprosny,
Nad Wartą siedząc, dzieli łup żałosny.

Parafraza pierwszych wersów pieśni Jana Kochanowskiego niech się stanie wątkiem przewodnim tego eseju.

Czy odległe czasy tak bardzo się różnią od współczesnej napiętej sytuacji politycznej, wojennej tu i teraz (i w sensie dosłownym, i metaforycznym)? Wystarczy sobie uzmysłowić, że podczas danego wydarzenia nie ma świadka, który zapamięta, zapisze, utrwali dany moment dziejowy. Wtedy ten moment przepada w otchłani dziejów. Albo odwrotnie – jest wielu świadków, wiele mediów, chaos informacyjny, wojna hybrydowa – jaką mamy pewność, że dane źródło informacji zmierza do prawdy? Żadnej. Co byśmy wiedzieli o sytuacji z 1545 roku, gdyby nie świadectwo Jana Kochanowskiego? Co byśmy wiedzieli o ziemi wieluńskiej, gdyby nie mozolna praca regionalisty Jarosława Petrowicza? I jeszcze jedno pytanie: czy uda się historykowi literatury z kolejną publikacją przebić do ogólnopolskiego obiegu czytelniczego? Tego życzę.

Spośród różnych, sprzecznych relacji, ważny jest głos człowieka odkrywcy, badacza, który stara się ogarnąć pamięć o danej przestrzeni, biorąc pod uwagę utrwalone w piśmie świadectwa różnej wartości artystycznej, rozmaitych optyk, dykcji literackich i paraliterackich. A dodatkową wartością, moim zdaniem, jest to, że mamy do czynienia z człowiekiem przybyszem, który na(d)stawia ucho/policzek i kieruje oko ku nowemu dla siebie światu. Taki przybysz z Głuchołaz, Jarosław Petrowicz, jest tak samo potrzebny mieszkańcom Wielunia, jak i mieszkańcy tego miasta (przede wszystkim działający w Wieluńskim Towarzystwie Naukowym) jemu.

Niewierny łazik psy zapuścił swoje,
Którzy zagnali piękne wiersze twoje
Z prozą pospołu, ale masz nadzieje,
By kiedy mogły nawiedzić swe knieje.

Literacka ziemia wieluńska Jarosława Petrowicza jest zatem pamiątką, narracyjnie polifoniczną, napisaną na cześć wielu osób, z ich prywatnymi życiorysami, nierzadko pozostającą jedynym śladem ich istnienia. Ale też, na to warto zwrócić uwagę, będącą pewnym drogowskazem, mapą pamięci, a nawet przewodnikiem turystycznym, będącym wynikiem oswajania nowej przestrzeni, jej przeżywaniem, a w konsekwencji bycia jej częścią.

Jedny za Odrę Niemcom zaprzedano,
Drugie za Bosfor daleko zagnano;
Strofy szlacheckie (żal się mocny Boże!)
Psom bisurmańskim brzydkie ścielą łoże.

Nie znam aż tak dobrze historii ziemi wieluńskiej, ale jestem przekonany, jako miłośnik regionalizmu, że zawsze w opowieściach utrwalających pamięć pojawia się jakieś zewnętrzne zagrożenie, jakiś wróg (nie chodzi mi tutaj tylko i wyłącznie o znamienny wrzesień 1939 roku, a to stanowi, wydaje mi się, wyjątkową cezurę i jest żywe w pamięci mieszkańców oraz utrwalone w tekstach). I w tym sensie opowieści o ziemi wieluńskiej stanowią skarbiec tego, co dla lokalnej społeczności stanowi centrum działania, a co jest obce. Książkę Jarosława Petrowicza można czytać właśnie z takiej perspektywy – kto jest autochtonem, kto przybyszem, kto uchodźcą, kto jest przejazdem i utrwalił w jakimś obrazku rodzajowym ludzi, krajobraz lub „skojarzył" miejsce z odpryskami swojej biografii.

Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy na sztukę pieniędzy żałują;
Pod parasolem albo w autach siedzą,
A zamiast naszych dzieł kebaby jedzą!

Oczywiście jesteśmy w toku narracji eseistycznej, która często daleka jest od historycznych, faktograficznych ujęć danych problemów. Ale nie sposób w tym miejscu nie podjąć ważnych dla regionalistyki i zasadniczych kwestii. Trzeba zwrócić uwagę, że eseistyczna (we wstępie) książka Petrowicza, a w dalszej części mająca charakter „wypisu" (biogram i fragment tekstu) stanowi źródło bezcenne dla kogoś, kto nie miał okazji w Wieluniu i jego okolicach być. Zamieszczone biogramy mają większą wartość niekiedy niż pozostawione teksty, rodzą w każdym czytelniku różnorodne skojarzenia. I żeby nie być gołosłownym – mój strumień świadomości à propos spisu treści prezentuje się następująco:

„Józef Ignacy Kraszewski – *Stara baśń* – czytana przeze mnie podczas studiów, potem obejrzany film *Kiedy słońce było bogiem*, wreszcie po latach odkryta na jednej z kamienic na ulicy Zamkowej w Wilnie tablica pamiątkowa poświęcona Kraszewskiemu; Oskar Kolberg – etnograf, cóż, gdzie nie był i czego nie zapisał, utrwalając dorobek regionalnych twórców; Władysław Bełza – *Katechizm polskiego dziecka* – wiadomo: szkolna edukacja, a po latach podczas moich podróży Cmentarz Łyczakowski – grób autora; Stefania Różewiczowa – matka Tadeusza Różewicza, moje

studia polonistyczne we Wrocławiu; Jan Brzechwa – bajki z dzieciństwa i przewodnik po świecie magicznych, dziecinnych doznań – *Akademia Pana Kleksa*, a na studiach odkrycie, że to kuzyn Bolesława Leśmiana; Irena Jurgielewiczowa – szósta/siódma klasa podstawówki – *Ten obcy*; Stanisław Różewicz – brat Tadeusza i Janusza; Tadeusz Różewicz – *Przepaść*, *Ocalony* i *Warkoczyk*; Andrzej Zawada – mój promotor na polonistyce, wspaniały człowiek – postać warta osobnego eseju".

Ten „strumień świadomości" powoduje, że czytam dalej, poznaję kolejne postaci i ich teksty. Bo książka Petrowicza jest zaproszeniem, otwartymi drzwiami prowadzącymi do domu, do czyjejś prywatnej przestrzeni.

Jakiego serca przyszłości oddamy,
Jesli tak lekkich ludzi się słuchamy?
Ledwieć nam książki mecenas wydawa;
Duchową strawę za to dostawa.

Wydaje mi się, że współcześnie regionalizm to klucz do rozumienia zasadniczych rzeczy dotyczących pojedynczego człowieka, którego percepcja skupia się na tym, co jest mu bliskie, dostępne tu i teraz. Profesor Andrzej Zawada nazywa to zjawisko „formatem powiatu". Choć sprawa wydaje się otwarta, zwłaszcza dziś, podczas działań wojennych, zdynamizowana, nieokreślona, chaotyczna, to jednak zawsze mentalnie określamy się wobec najbliższej, doświadczalnej i odczuwalnej przestrzeni.

Zetrzy sen z oczu a czytaj o sobie,
Wieluniaku! Kto wie, jemu czyli tobie
Szczęście chce służyć? A dokąd wyroku
Apollona nie ma, nie ustępuj kroku.

Literacka ziemia wieluńska jest antologią. Nie dla wszystkich to może być oczywiste. Greckie *anthos* to „kwiat", a *lego* „zbieram". Zatem antologia to „zbiór kwiatów". Nie trzeba być florystą, by wiedzieć, że nie każdy kwiat należy do bukietu wkomponować. Wystarczy jednak przeczytać wstęp do książki Petrowicza, by wiedzieć, że jest ona poświęcona „miejscu" i jest wyborem autora. Przy tego typu publikacjach pojawia się wiele kontrowersji ze strony tych, którzy coś wydali, a nie zostali „w bukiecie" umieszczeni. Zwłaszcza głos podnoszą lokalni grafomani. Daję głowę, że też takie przypadki pojawiły się przy okazji publikacji tej antologii. Bo nie przez przypadek w *Przedmowie* Zdzisława Włodarczyka przywołany jest dwuwiersz Bohdana Urbankowskiego: „Krytyk i eunuch z jednej są parafii / Obaj wiedzą jak, lecz żaden nie potrafi".

A teraz k'temu obróć myśli swoje
Jakobyć wersy nieprzyjaciel twoje
Krwią swą nagrodził i omył tę zmazę,
Której dziś niesiesz prze swej ziemie skazę.

Jak to zwykle w małych miastach, tfu, mniejszych ośrodkach o dużym potencjale kulturalnym, pojawia się instytucja, która coś inicjuje. I cudem udaje jej się cel osiągnąć. A akurat Wieluńskiemu Towarzystwu Naukowemu udało się wydać książkę Jarosława Petrowicza, to 42. publikacja tej instytucji. To od razu pojawiają się obrażeni oponenci z innych instytucji. Ja tego nie wiem. Ale tak mnie uczy doświadczenie wyniesione z mojego świdnickiego regionu. Zaczyna się wojenka podjazdowa. Często najważniejszą figurą w niej jest postać burmistrza lub prezydenta. No i widzą Państwo, nie przez przypadek ta, a nie inna pieśń Kochanowskiego – o spustoszeniu.

Wsiadamy? Czy nas kredyty trzymają?
Biedne kredyty, czego te czekają?
To pan, i jadać w McDonald's godniejszy,
Komu bóg sztuki będzie spoleglejszy.

I tu pojawia się ważny problem – czy literatura regionalna służy jakimś wyższym celom. Czy jedynie zaspokaja potrzeby i dowartościowuje mieszkańców regionu. Wydaje mi się, że każdy człowiek, który podjął wędrówkę i zetknął się z inną przestrzenią, ludźmi, obyczajami, wie, że nie ma powrotu do „macierzy", a jeśli jest, to w bogatszej formie.

Skujmy sygnety na talery, skujmy,
A pisarzowi pieniądze gotujmy.
Inszy to hojnie nagrody miotali,
A my nie damy, bychmy w cale trwali?

Jestem ciekaw, ile Jarosław Petrowicz za tę publikację wziął pieniędzy. I czy pokusiłby się jeszcze raz o taką benedyktyńską pracę. I czy ma propozycję kontynuacji tej antologii.

Czytajmy, bierzmy księgi! Sami siebie
Ku gwałtowniejszej nie dajmy potrzebie.
Nie miecze, nie tarcze, nie harmaty
nas bronią, lecz wiersze i poematy.

Podróż jest czymś nieodwołalnym. Nie ma powrotu. I w czytelniczej podróży po niezwykle bogatej książce Jarosława Petrowicza można stwierdzić – a przynajmniej ja tak robię – że dla „obcokrajowca" spoza ziemi wieluńskiej w pierwszym odruchu kojarzą się nazwiska znane – Różewicz, Kraszewski, Bełza itd. Potem – kolejny krąg wtajemniczenia – stanowią go krainy, które każdy mógł gdzieś po drodze zwiedzić, a następnie prywatne historie, a to najciekawsze.

Cieszy mię ten rym: „Wieluń mądr po szkodzie";
Lecz jesli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Wieluń sobie kupi,
Że ten tom wcale nie jest głupi.

Cóż, *Literacka ziemia wieluńska* stanowi wyimek pracy twórczej Jarosława Petrowicza. Zazdroszczę ziemi wieluńskiej takiego „kustosza pamięci". Jego praca doktorska *Związek z miejscem. Śląsk historyczny w prozie, eseistyce i reportażu polskim po 1989 roku* odbiła się szerokim echem w gronie naukowców, krytyków, a także zwykłych czytelników. Kontynuacją pracy badawczej okazał się zbiór esejów o miejscach *Wielopolis*, który doczekał się wielu dobrych recenzji w prasie ogólnopolskiej, a także w „Roczniku Wieluńskim". Do tych dwóch pokaźnych publikacji dołącza trzecia, tym razem antologia, *Literacka ziemia wieluńska,* stanowiąca akt szacunku dla przeszłości literackiej regionu. A co do przesłania ostatniej strofy pieśni Kochanowskiego – bardzo inspirująca jest końcowa część antologii, w której pojawiają się najmłodsze roczniki autorów. Szanujmy ich najbardziej. Kraszewski, Różewicz, Zawada – też kiedyś byli młodzi. Bukiet kwiatów jest efektem końcowym.

Jarosław Petrowicz, *Literacka ziemia wieluńska,* Wieluńskie Towarzystwo Naukowe, Wieluń 2023.



Jan Mikołajek, *Droga 2,* 2017

KAMIL BRYKA

Szczęściarz Antoni i… sofistyka literacka

Jak podaje w „Złotej legendzie" Jakub de Voragine, św. Antoni pustelnik żył lat sto pięć. Czy był szczęściarzem?

Długiego żywota rzeczywiście można mu pozazdrościć, a również miana pierwszego mnicha, choć nosić powinien je św. Paweł pustelnik, który urodził się odrobinę wcześniej. Niemniej w odróżnieniu od św. Antoniego prawie nie kontaktował się ze światem, więc na dobrą sprawę nie było komu o nim opowiedzieć.

Dopiero po napisaniu początku tego tekstu uświadomiłem sobie, że taki sam tytuł nosił stary polski film, w którym grał (osiem lat po tym, gdy odtwarzał na ekranie postać Fryderyka Chopina) Czesław Wołłejko. Jak na okres, gdy film powstał (środkowa gomułkowszczyzna), pomysł skrajnie perwersyjny, skoro scenarzyści (i jednocześnie reżyserzy) Bielińska i Haupe dali współczesnemu bohaterowi w prezencie… czołg (oczywiście T-34). Zważywszy, że był to czas pokoju, co prawda kruchego, zimnowojennego, ale jednak pokoju i wyciszenia, zwanego w pewnym aspekcie naszą małą stabilizacją, surrealność tej sytuacji była godna podziwu. Trochę jak we wspomnianej „Złotej Legendzie" o św. Antonim pustelniku, gdzie anachoretę kuszono nie tylko takimi precjozami jak czołgi (czy ich dawniejsze odpowiedniki w postaci błyskawic), ale i rzeczami, które mogły mu umożliwić władzę nad światem, a nawet wszechświatem.

Niejednemu świętemu Antoni. Chyba bardziej popularnym kanonizowanym jest św. Antoni Padewski, znany u nas głównie z absurdalnych łańcuszków (ich autorzy straszyli nieszczęściem tych, którzy dalej nie roześlą „dobrych" wiadomości).

Jedna z moich wizyt w czarodziejskiej Lizbonie wiąże się właśnie z tym świętym, który nie urodził się w Padwie, ale właśnie w stolicy Portugalii, gdzie na chrzcie, w roku pańskim 1191, dano mu piękne imię Fernando. Święty Antoni odszedł z tego świata 13 czerwca i właśnie tę datę obchodzą wyjątkowo hucznie mieszkańcy Lizbony. Z jednej strony są taneczne pochody, które z pewnością dały inspirację portugalskojęzycznemu Rio de Janeiro, z drugiej – frenetyczna całonocna fiesta w Alfamie. A nad wszystkim unosi się woń grillowanych w dosłownie każdym możliwym miejscu sardynek. W związku z tym obchody te najczęściej zwie się Świętem Sardynki.

Wykorzystując swój pobyt w Lizbonie, nie omieszkałem wsiąść do wagonika, który odrobinę przypomina stare wrocławskie tramwaje, i wybrać się w miejsce bliskie chyba każdemu miłośnikowi wielkiej literatury, a mianowicie do muzeum poświęconego Fernandowi Pessoi (jeszcze raz Fernando). Tam pochyliłem się nad ogromną skrzynią, gdzie złożone są niepublikowane jeszcze rękopisy tego twórcy. I zadumałem się, że nie każdy pisarz ma takie szczęście (znowu szczęście), że ktoś będzie miał ochotę grzebać w jego niedrukowanej spuściźnie.

Kiedy wracałem ze skromnego muzeum, mignęła mi zdumiewająca reklama piwa, do której bezpardonowo wykorzystano postać Zbawiciela, a dalej, gdy przechodziłem przez uroczy park, w samym jego centrum przykuła moją uwagę stylowa budka z napisem *Biblioteca de Jardim*. Tych słów nie muszę chyba tłumaczyć.

Oddalając się od centrum Lizbony, ale jeszcze przed uroczym Belém (z którego odpływały armady do Nowego Świata, ale i w którym znajdziemy najlepsze w Portugalii *pastéis de nata*), można trafić do Narodowego Muzeum Sztuki Dawnej. W tym niepozornym przybytku kultury znajdziemy istną perłę, tryptyk Hieronima Boscha „Kuszenie św. Antoniego". Rzecz jasna, chodzi o św. Antoniego pustelnika, którego imię przywołałem na początku tego tekstu. W prawej części tryptyku dostrzeżemy nagą kobietę w pęknięciu drzewa przypominającym kształtem waginę, dokładnie naprzeciw anachorety odwracającego od niej głowę. W lewej – ptaszysko z ludzkimi nogami, które na głowie ma odwrócony do góry nogami lejek, podobnie jak Cynowy Drwal z „Czarnoksiężnika z Oz". Znowu film, ale tym razem amerykański, który premierę zdążył mieć ledwie trzy tygodnie przed pierwszym dniem września 1939 roku.

Też na Półwyspie Iberyjskim, w madryckim Prado mamy inne dzieło Boscha, starsze o ponad dziesięć lat, również poświęcone św. Antoniemu. Tym razem pustelnik siedzi nad rzeczką, ale najciekawsza jest tu sceneria – mury jakiegoś ogromnego, wyjętego ze snu miasta. W tej samej galerii znalazł swoje miejsce i wspomniany wcześniej św. Paweł pustelnik, którego w XVII wieku namalował Diego Velázquez. Tym razem w tle mamy wysoką skałę, nad którą leci ptak niosący w dziobie kanapkę dla dzielnego eremity. Ale to nie wszystko, jest tu bowiem i nasz szczęściarz, który odwiedza kolegę po fachu.

Święty Antoni doczekał się wielu fantastycznych (i ze względu na kunszt, i ze względu na treść) obrazów ukazujących to, czym był kuszony, a może bardziej to, co rodziło się w jego pustelniczej głowie. Chętnie przypomnę dzieło Witkacego z roku 1922 namalowane piętnaście lat przed Guernicą, w kompozycji bardzo bliskie arcydziełu Picassa, niemniej stylowo rozpięte między secesją a kubizmem. Oczywiście i tu jest urodziwa pani, od której pustelnik, o cokolwiek podejrzanym wyrazie twarzy, odwraca się z niesmakiem.

Koloru nie brakuje „Kuszeniu św. Antoniego" autorstwa Salvadora Dalego, gdzie nagi święty (nawet podobny do malarza) w wojowniczej postawie przegania krzyżem nękające go zjawy, wśród których prym wiodą dwie dostatnio obdarzone przez naturę niewiasty, ale najpiękniejsze są słonie i konie na niewiarygodnie długich nogach.

Idąc ścieżką erotyzmu, nie sposób nie dotrzeć do obrazoburczego przedstawienia Féliciena Ropsa, gdzie ponętną naguskę rozpięto na krzyżu, z którego usunięto Chrystusa (jest widoczny, jak spada). Tu św. Antoni łapie się ze zgrozy za głowę, co nie byłoby dziwne, gdyby nie leżała przed nim otwarta księga z ilustracją zatytułowaną „Wstrzemięźliwość Józefa", przedstawiającą nagiego mężczyznę obłapianego przez również pozbawioną odzienia kobietę.

Ani dzieła Dalego (1946), ani obrazu Ropsa (1878), ani, rzecz jasna, wizji Witkacego (1922) nie mógł widzieć szacowny Gustaw Flaubert, który w roku 1874 opublikował tekst (świadomie zwę to tekstem, a nie powieścią) „La Tentation de saint Antoine", którego temperatura i wizyjność mogłyby wchłonąć wszystkie te obrazy, które już powstały, i te, które jeszcze powstaną, bowiem w literaturze naprawdę trudno o przykład bardziej szalonego (a może nawet szaleńczego) dzieła. Polskim czytelnikom przybliżył utwór Antoni Lange – postać tajemnicza i w dużym stopniu zapomniana. Nowego przekładu dokonał sto lat później Piotr Śniedziewski i zrobił to bardzo starannie, ale ja wolę stare tłumaczenie, które nie było może doskonałe, ale bliższe w czasie pierwowzorowi, a czynnik młodopolski dodał mu swoistego wdzięku. Nie ma tu takiej różnicy, jaką odnajdujemy między przekładem „Rękopisu znalezionego w Saragossie" dokonanym przez Edmunda Chojeckiego (godnego obszernej biografii przyjaciela nie kogo innego tylko Gustawa Flauberta), a dramatycznie nieudanym tworem (wytworem) Anny Wasilewskiej, któremu nie dość, że zabrakło translatorskiego polotu tłumaczki, to jeszcze czasu, by redaktor opracowujący tekst zdążył poprawić wszystkie błędy (oczywiście nie mają tu nic do rzeczy różnice między „Rękopisem 1805" i „Rękopisem 1810", które dotyczą głównie układu powieści).

Wróćmy do Antoniego Langego, który był na naszym gruncie prekursorem fantastyki (określanej wtedy fantastycznością), a powoływał się na świetne nazwiska: Jana Potockiego, Henryka Rzewuskiego, Edgara Allana Poego czy E.T.A. Hoffmanna. Nie uchroniło to Langego przed słusznym zapomnieniem jego urojonych opowieści, które – z dzisiejszej perspektywy – wydają się wtórne i nudnawe, nie mając w sobie nawet tej nuty tajemniczości, jaką znajdziemy u Stefana Grabińskiego. Niemniej przekład dzieła Flauberta ma w sobie to coś, co nie pozwala oderwać się od lektury, nim nie pojawi się napis „Koniec".

Z dzisiejszej perspektywy rzecz, dzięki której Flaubert stał się sławny, a zatem „Pani Bovary", jawi się jako romansowa opowiastka, szczególnie że powstała tam, gdzie wcześniej grasował Donatien Alphonse François de Sade. Niemniej, podobnie jak lubieżny markiz, i Gustaw Flaubert doczekał się sądu nad niestosowną rozwiązłością swojej bohaterki, zupełnie jak kilkadziesiąt lat później (co prawda za kanałem La Manche) D.H. Lawrence ze swoim „Kochankiem Lady Chatterley".

Zatrzymajmy się jednak przy „Kuszeniu św. Antoniego", które ma w sobie i pierwiastek postponowanej przez los Justyny, i rozwiązłej pani Bovary, i niewiernej lady Chatterley. A nie dość na tym, bo aspekt religijny, a wręcz antyreligijny, sięga tutaj szczytów.

Mam wrażenie, że utwór nie został należycie przeanalizowany w czasie, kiedy się ukazał, ponieważ nie mógł zostać przeanalizowany. A to dlatego, że i dzisiaj jest

trudny w percepcji, nawet w przystępnym tłumaczeniu Antoniego Langego. Jest karkołomną karuzelą skojarzeń, dialogów i dygresji. To istne literackie szaleństwo.

Zastanawiam się, czy niedawno omawiany na łamach „Formatu Literackiego" tekst Urszuli M. Benki „Melodia opętania" nie był przypadkiem inspirowany dziełem Flauberta. Szczególnie w kontekście innego jej utworu, znanego tylko nielicznym, a mianowicie powieści „Magdalena". Rozpatrując bowiem teksty te wspólnie (a aż się o to proszą!), mamy z jednej strony w „Melodii opętania" zestawienie wizji, nieprawdopodobnych skojarzeń, szaleńczych wolt, odniesień do skrajnie różnych obszarów kulturowych, ale i prostotę ludowych przypowieści i dziecięcych wyliczanek, a z drugiej, w „Magdalenie", prowokacyjną historię ewangelicznej bohaterki i oszałamiający ładunek wiedzy o czasach biblijnych. Tak obszerny, że przedzierając się przez tę kilkusetstronicową powieść, nie byłem w stanie zrobić kroku bez obłożenia się pozycjami encyklopedycznymi dotyczącymi naprawdę wielu dziedzin. Aby uświadomić sobie, jaki ogrom informacji znajduje się w tej powieści, zdobyłem się na eksperyment. Otworzyłem ją na chybił trafił i z jednej tylko strony wypisałem wszystkie nazwiska i imiona, jakie znalazłem w tekście. Było ich około siedemdziesięciu. Należały do postaci historycznych, mitologicznych i biblijnych. Żadnej fikcji. I zapewniam, że na innych stronach książki nie jest ich mniej. To samo dotyczy zresztą detali geograficznych czy przyrodniczych.

Tymczasem z radością informuję, że znalazł się poważny wydawca, który przymierza się do publikacji „Magdaleny" (już podziwiam przyszłego redaktora pochylającego się nad prawie tysiącstronicowym dziełem, przez które nie sposób przebrnąć bez encyklopedii). Witryna OdeSFa robi poważny krok w przyszłość, która z pewnością oceni ten na pozór hermetyczny tekst, jak oceniła choćby to, co napisał Raymond Roussel czy u schyłku życia właśnie Flaubert.

A autor „Pani Bovary" – podobnie jak Benka w „Magdalenie" – nie szczędzi w „Kuszeniu" szczegółów. I również zdumiewa rozległą wiedzą, głównie tą dotyczącą pierwszych stuleci chrześcijaństwa. Oczywiście niebagatelna jest tu również forma. W jego utworze przemawiają do nas – jak w klasycznym dramacie – konkretne postacie (prawdziwe, mitologiczne i ewangeliczne). Tekst układa się bowiem w klasyczną strukturę dramaturgiczną.

Jak widać, Antoni to prawdziwy szczęściarz. W starym polskim filmie jeździ czołgiem, a na obrazach mistrzów otacza go tak fantastyczny świat, jakby zażywał przynajmniej LSD. Co ciekawe, skład chemiczny alkaloidów sporyszu, czyli formy przetrwalnikowej grzyba, buławinki czerwonej, substancji wywołujących ergotyzm, chorobę, od której jakoby chronił nasz święty, jest bardzo zbliżony właśnie do struktury kwasu LSD.

Relikwie św. Antoniego złożone są we francuskim Viennois. I właśnie tam najwcześniejsze uzdrowienia w jego intencji dotyczyły akurat ergotyzmu, zwanego „ogniem świętego Antoniego". Chorobę przypisywano szatanowi, choć dzisiaj wiemy, że przyczyną było zakażone sporyszem zboże.

W pisaniu pomagały Flaubertowi zgniłe jabłka, które trzymał w szufladzie biurka. Czyżby działały narkotycznie? Z kolei Salvador Dalí znany był z tego, że kategorycznie stronił od używek. Na stole artysty gościło jednak wino, o czym

wnioskować możemy z jego książki kucharskiej, czyli „Les Dîners de Gala" (trudno nie mieć w pamięci szklanki stojącej przed płowowłosym Chrystusem na tajemniczej, prześwietlonej zachodzącym słońcem „Ostatniej wieczerzy"). Witkacy oczywiście eksperymentował z narkotykami. Pod ich wpływem malował i pisał. A Ula Benka jest namiętną palaczką papierosów. Nie sposób sobie wyobrazić ciekawej rozmowy z tą genialną poetką bez obłoku tytoniowego dymu. Prawda?

Jakie to jednak ma znaczenie…

Do jednych przychodzi muza, a od innych stroni. I tego się trzymajmy.

PS Tak rozpisałem się na temat św. Antoniego, że miejsca zabrakło na temat drugi, czyli SOFISTYKĘ LITERACKĄ. Termin nieznany, ale intuicyjnie chyba łatwy do rozszyfrowania, szczególnie w kontekście tego, co poniżej.

Pisałem niedawno na temat tomu wierszy Jacka Dehnela „Bruma". Z jednej strony chwaląc kunszt poetycki autora, a z drugiej mając zastrzeżenia do tematu większości wierszy. Co prawda aktualnego i naprawdę ważnego – czym w rzeczy samej jest sytuacja na granicy polsko-białoruskiej – ale jakoś trudno było mi uwierzyć, że problematyka nie została podjęta z przyczyn czysto koniunkturalnych, wpisując się w krąg tematów środowiska literackiego związanego z demokratyczną orientacją polityczną. Żeby nie było dwuznaczności, orientacją bliską również mnie. Do końca zeszłego roku powstało zresztą sporo tekstów literackich, w tym scenariuszy, podejmujących tę tematykę. I nagle, choć konflikt na granicy eskalował – cisza. Literaci zamilkli. Żywię tylko nadzieję, że pragną uzyskać odpowiednią perspektywę i dystans do tego, co się dzieje, a nie wzbraniają się przed krytyką działania zaprzyjaźnionego gabinetu…



Jan Mikołajek, *Moment światła,* 2015

ANDRZEJ SAJ

Łowcy światła i cieni

Mistrzami w „portretowaniu" światła oraz jego zróżnicowanych gradacji czy niewiarygodnych projekcji, ale także w chwytaniu skutków jego odbicia, a więc cieni – są zwykle fotograficy. To oni, uzbrojeni w optyczną kamerę (następczynię camera obscura), potrafią wytropić w naturze lub w każdym innym sztafażu powstające tam promieniujące „odciski" światła, będące właśnie dowodami lśnienia, odblasku czy innej formy (niczym w strudze laserowego promienia) ingerencji w fotografowane otoczenie. Taki przykład zapisu prezentuje między innymi zdjęcie Bogdana Konopki. Inne, pochodne dowody świetlnych ekspozycji, czy to w przyrodzie, czy w otoczeniu różnych przedmiotów zgromadzonych we wnętrzach, prezentują choćby zebrane tu zdjęcia Marka Likszeta, Krzysztofa Saja czy Andrzeja J. Lecha. Są to prace wyraźnie przedstawiające ich fotogeniczne – źródłowo – pochodzenie; i w tejże „poetyce" zestawień plam jasnych i ciemnych oddają czułość i wrażliwość ich autorów w spojrzeniu na fotografowaną rzeczywistość. W istocie w całym nurcie twórczości uwypuklającej jej fotogeniczne źródła podkreślana jest szczególna, magiczna natura i rola światła oraz jego oddziaływanie na otoczenie. Twierdzi się bowiem, że fotogenia niejako ujmuje wewnętrzny czy specyficzny proces promieniowania fotografowanych obiektów; tak jakby one same „wysyłały" ku obiektywowi aparatu swe świetlne, o sobie, komunikaty, jakby „parły" ku swej widzialności. A twórcy zdjęć „tylko" ten proces tropią i w odpowiednim (decydującym) momencie go rejestrują, czyli ujawniają.

Natomiast niektórzy autorzy zdjęć, jak na przykład Janusz Leśniak, skupiają się w swej twórczości wyłącznie na tropieniu cieni – tych „negatywowych" form świecenia. Jest on stąd swoistym „łowcą cieni", co także zmusza go do poszukiwania owego momentu ujawnienia się odbicia słonecznych promieni (lub ich braku) na tle przyrody bądź we wnętrzach domostw. Aura i poetyka tych fotografii jest również bliska fotogenicznej stylistyce zdjęć, znamiennej dla twórców z Dolnego Śląska (szczególnie kręgów tak zwanej „Szkoły Jeleniogórskiej"), ale nie tylko. Ciekawe w wydaniu fotografii Leśniaka jest to, że zwykle „ścigał" on na zdjęciach swoje odbicie, realizował swój cieniowy autoportret (czasami z towarzyszeniem innych osób). Tropiąc swe odbicia w głuszy natury czy w sztafażu wnętrz, wnikał niejako w swą jaźń, w swe duchowe wnętrze; wszak cienie symbolicznie (według Junga) oddają naszą duszę, są pomostem do interpretacji psychologicznych, ale także kulturowych: w tym w sztuce i mistyce.

Ontologiczny związek cienia z obrazem fotograficznym był potwierdzany już od początku powstania tej techniki i sztuki. Tak zresztą początkowo definiowano fotografię jako sztukę cienia, rysowania cieni… Nawet powstanie malarstwa – według legendy – przypisano obrysowaniu cienia kochanka przez córkę garncarza na ścianie warsztatu.

Cienie ujawniają także fotoobrazy Jana Mikołajka, który w swych pracach prezentuje efekt dynamicznego ujęcia sylwetki modela. Osiągane to jest w wyniku zapisu ruchu danej postaci.

Tak pojawiają się owe „duchy", zależne od krótkiego czasu ekspozycji, i tak prezentuje się na obrazie tylko pewien zarys cienia postaci, niepełny obraz fotografowanej osoby. Zdjęcia te można czytać jako „mgnienia" osób wyłaniających się z niebytu i w tę niejasność i zwiewność na powrót wracających. W tych migawkowych ujęciach przekazują widzom swe pozy, skłony i niewyraźne ślady albo fragmenty zarysu form je reprezentujących. Ale też udało się Mikołajkowi, w niektórych ujęciach, zaopatrzyć te cienie w jakby promienne „skrzydła" – blask od nich bije jakby od postaci aniołów… To piękne prace, wyjątkowy przykład ujawnienia światła razem z jego „duchem", to jest cieniem. Ulotność tych obrazów zaprasza do ich dopełniania w wyobraźni, w refleksji nad nieoczywistością świata, który nas otacza, co z kolei nawiązuje znów do pojęcia fotogenii (według E. Morina), który interpretował ją jako efekt obecności w świecie cieni, widm, odbić… ale też tego, co, zrazu niewidzialne, prze ku ujawnieniu.

Nagroda Literacka „GNOMA” im. Marianny Bocian za rok 2024 dla Andrzeja Saja

Tegorocznym laureatem Nagrody Literackiej „GNOMA” ustanowionej przez Fundację Artystyczną Pomocy Twórcom i Artystom Polskim ERANOS został Andrzej Saj, nasz redakcyjny kolega, poeta, teoretyk i krytyk sztuki, wieloletni wykładowca Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu oraz redaktor naczelny czasopisma „Format”.

Nagroda „GNOMA” ustanowiona została przez artystów zrzeszonych i niezrzeszonych… po śmierci poetki Marianny Bocian. Jest przyznawana cyklicznie za twórczość niezależną, wybitną i krzewiącą wartości ekologiczne, tak jak to czyniła jej patronka.

Dotychczas tę honorowa nagrodę, w formie bryły szlifowanego kryształu, otrzymali:

Alicja Tanew – artystka poetka i pieśniarka z Krakowa,

Edmund Borzemski – poeta, historyk, pisarz, animator kultury,

Tadeusz Karabowicz – poeta, tłumacz, profesor UMS w Lublinie,

Janusz Wójcik – poeta i wieloletni organizator Najazdów Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu,

Krystyna Konecka – poetka, pisarka i dziennikarka.



Janusz Leśniak, *Ogrody Pendereckich*, 2011

URSZULA M. BENKA

Kronika kultury

W ramach wymiany jeńców opuścił polskie więzienie agent GRU Paweł Rubcow. Podawał się za dziennikarza hiszpańskiego – Pablo Gonzaleza. Prawicowe media u nas nazywały go *dziennikarzem niepokornym*. Istotnie, od 2019 roku zaczął pojawiać się na spotkaniach, w których udział brali ludzie mediów. W kontaktach pomogła mu polska dziennikarka, a prywatnie partnerka (nazwisko zastrzeżone). Jak opisuje portal frontstory.pl, przez ich warszawskie mieszkanie przewijali się ludzie świata nauki i mediów, także opozycjoniści z Rosji, Gonzalez chodził na piwo z korespondentami, budował relacje, chętnie pomagał doładować czy poprawić coś w smartfonie. Co ciekawe, polscy koledzy nie czytali jego rzekomych hiszpańskich publikacji. Partnerka wróciła do pracy dziennikarskiej, relacjonuje sytuację na granicy, bywa w Sejmie, a nawet przygotowuje materiały o specsłużbach.

Rząd chce podatkiem od nieruchomości objąć tak zwaną „małą architekturę", na przykład kapliczki, krzyże, rzeźby ogrodowe, krasnale, bociany, a nawet murowane grille, wodotryski, pergole, oczka wodne, kaskady, alpinaria, piaskownice, ławki, huśtawki, drabinki, wiaty na wózki, słupki, śmietniki. „Puls Biznesu" uczula, że od wielu lat podatek od nieruchomości był tym, który rodził najwięcej sporów interpretacyjnych.

Pomimo wygaszenia znicza XXXIII Letnich Igrzysk Olimpijskich w Paryżu trwa oburzenie na to, że podczas ceremonii otwarcia pokazano karykaturalną ucztę. Na paterze pełnej owoców mianowicie spoczywał goły do pasa, tłusty, pomalowany na niebiesko („jak Smerf") artysta Philippe Katerine w otoczeniu tancerzy i postaci przebranych w stroje płci przeciwnej, tak zwanych drag queens. Obraz uznano za „Ostatnią Wieczerzę" Leonarda da Vinci, na jakiej nie uświadczysz wprawdzie ustanowienia Eucharystii, a tylko wyjście Judasza z zamiarem zdrady. Część obserwatorów orzekła „upadek cywilizacji", „koniec chrześcijańskiej Europy". Nie pomogły wyjaśnienia reżysera widowiska, Thomasa Jolly, że ukazał dorobek wyłącznie własnego kraju – a Leonardo nie był Francuzem. Jolly przetworzył zupełnie inny obraz, „Święto bogów" (inny tytuł: „Uczta bogów") utrechckiego caravaggionisty Jana van Bijlerta (w muzeum w Dijon) – bogów na weselu Peleusa i Tetydy. Niebieska postać przedstawia zatem Dionizosa, boga misterium teatru, istoty życia oraz wina. Po prostu archetypowa symbolika wykwitła także Przeistoczeniem wina w Krew Pańską.

Olimpiada dostarczyła okazji, aby posmakować, jak bardzo już rozbiegły się odczytania powszechnie znanych dzieł sztuki: na przykład znakomity komentator sportowy, Przemysław Babiarz, nazwał odegrany na otwarciu igrzysk „Imagine" Johna Lennona z 1971 roku, utwór zaśpiewany teraz przez Juliette Armanet, „wizją komunizmu". „Świat bez nieba, narodów i religii. To jest wizja komunizmu, niestety" – impulsywnie rzucił Babiarz. Po tych słowach został zawieszony. Jak napisano w komunikacie prasowym TVP: „Wzajemne zrozumienie, tolerancja, pojednanie – to nie tylko podstawowe idee olimpijskie, to także fundament standardów, którymi kieruje się nowa Telewizja Polska. Nie ma zgody na ich łamanie". Zdaniem prezydenta Andrzeja Dudy wprost przeciwnie: „twórczość artystyczną można interpretować na różne sposoby i nikt nie powinien tego zabraniać. Widzę, że u nas zapanowała jakaś nowość, że jednak nie wolno przedstawiać swojego punktu widzenia". Niemal identycznie odczytał sytuację, jako zakaz wolności słowa, były prezes TVP Jacek Kurski: nazwał piosenkę Lennona „lewackim manifestem" i zagroził, że „przyjdzie czas, gdy winni odpowiedzą za krzywdzenie ludzi i zniszczenie Telewizji, a podsądni będą sędziami", co sugeruje marsz za kratki. Owszem, Lennon, który był związany z ruchem kontrkultury, mówił: „«Wyobraźcie sobie, że nie ma już religii, nie ma już kraju, nie ma więcej polityki» jest właściwie manifestem komunistycznym, mimo że nie jestem szczególnie komunistą i nie należę do żadnego ruchu". Nazwał „Imagine" piosenką „antykonwencjonalną". Piosenkę zainspirował mu modlitewnik. Mówił w „Playboyu" w 1980 roku tak: „Jeśli potrafisz sobie wyobrazić świat, w którym panuje pokój, bez wyznań religijnych – nie bez religii, ale bez tego całego «mój Bóg jest większy od twojego Boga» – to może to się ziścić".

Nieporozumienia mnożą się na poziomie wręcz kolokwialnym. Tym większy smutek, że niedawno zmarł Zbigniew Mikołejko, wybitny filozof i historyk religii, autor między innymi „Katolickiej filozofii kultury w Polsce w epoce modernizmu" oraz w 2017 roku „Między zbawieniem a Smoleńskiem. Studia i szkice o katolicyzmie polskim ostatnich lat". Jego badania stanowią kapitalne uzupełnienie studiów prof. Marii Janion nad polskim „wampiryzmem" i rozumieniem zła.

A co z krytyką profesjonalną, na domiar tyczącą arcydzieł ogniskujących tragedię kulturową Zachodu XX wieku? Malarz i myśliciel Janusz Jaroszewski zauważył od siebie: „Jakoś nie boję się, że nowe pokolenie będzie od nas lepsze, wręcz przeciwnie, sądzę, prawie pewny jestem tego, że do reszty wszystko do imentu spierdolą. Świadomie użyłem tego dosadnego określenia, bo w głównym wydaniu *Wyborczej* ukazała się recenzja z wystawy Rothki autorstwa jakiejś krytyczki młodego pokolenia. Zasadniczo wszystko, co merytorycznie miała do powiedzenia, zerżnęła z Internetu i katalogów wcześniejszych, ale żeby błysnąć od siebie, dodała, że owe dzieła «wyrywają flaki» i potrafią «zryć banię», czyli, że są zajebiste".

Uniewinnienie! W maju paryski sąd orzekł, że Roman Polański miał prawo nazwać słowa brytyjskiej aktorki Charlotty Lewis „ohydnym kłamstwem". W 2010 roku oskarżyła reżysera o gwałt, a trzy lata później można było ją oglądać w „Piratach",

przy czym jednemu z brytyjskich tabloidów opowiadała o swojej fascynacji legendą twórcy „Pianisty". Zarzut wykorzystywania seksualnego stawiało Polańskiemu kilka kobiet, on sam przyznał się jedynie do gwałtu z 1973 roku na trzynastoletniej wówczas Samancie Geimer, która wielokrotnie podkreśla, że zawarła z nim ugodę sądową i wybaczyła mu. Na marginesie: problem dewastacji psychicznych u ofiary, która nie wybacza. Otóż opera Terence Blancharda, trębacza i kompozytora jazzowego z Nowego Orleanu, do libretta Kasi Lemmons „Fire Shut Up in My Bones", pierwsza zresztą w dziejach opera stworzona i wykonana przez czarnoskórych, a transmitowana potem w technologii HDTV w Filharmonii Łódzkiej, mówi o pragnieniu zemsty u molestowanego w dzieciństwie – i o tym, jak zakochanie i miłość wyzwala z tragicznych złogów. „Uginamy się, ale nie poddajemy. Kołyszemy się!" – śpiewa chór w drugim akcie.

„Traumaland" Michała Bilewicza, psychologa dyskryminacji, traumy, mechanizmów pojednania i antysemityzmu, stawia kwestię tego, jak wyrwać się spod wpływu historycznej traumy. Czy istnieje droga wyjścia ze świata lęków i nadwrażliwości, przełamania narcyzmu i jakiegoś wyegzorcyzmowania upiorów przeszłości? Szczególnie cenne wydają się fragmenty poświęcone czasom okupacji i stosunkom polsko-żydowskim, mechanizmom pojednania. Jak podkreślają recenzenci, ogromnym atutem „Traumalandu" jest mnogość przywoływanych polskich i zagranicznych badań naukowych między innymi na temat zbiorowego narcyzmu.

Potwierdzono autentyczność „Wiejskich chat" van Gogha. Można je oglądać w oddziale Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego, mieszczącym się w Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie. Trafiły tu z Galerii Porczyńskich w 2022 roku. Wcześniej kolejni właściciele nie zdawali sobie sprawy z artystycznej, historycznej i finansowej wartości „Wiejskich chat". Dzięki współpracy z Laboratorium Analiz i Nieniszczących Badań Obiektów Zabytkowych Muzeum Narodowego w Krakowie oraz Van Gogh Museum w Amsterdamie do zbadania użytych pigmentów wykorzystano zaawansowane techniki, takie jak promieniowanie UV, rtg, mikroskopy oraz skanery.

Ernest Bryll nie żyje, wybitny powojenny poeta, pisarz, autor tekstów piosenek, dziennikarz, tłumacz, krytyk filmowy i dyplomata. Zadebiutował w 1958 roku utworem „Wigilie wariata". Odszedł też wielki aktor Jerzy Stuhr.

Po informacji o śmierci Aleksieja Nawalnego w syberyjskim łagrze zabrał głos Donald Trump: „Ja też jestem prześladowany, a Ameryka zamieniła się w Rosję". Powiedziałby ks. Tischner, że tys prawda. Dowód? Portal X, którego właściciel Elon Musk, przeciwnik wspierania Ukrainy, sponsoruje Trumpowi kampanię prezydencką, na kilkadziesiąt minut zawiesił konto Julii Nawalny, wdowy po opozycjoniście.

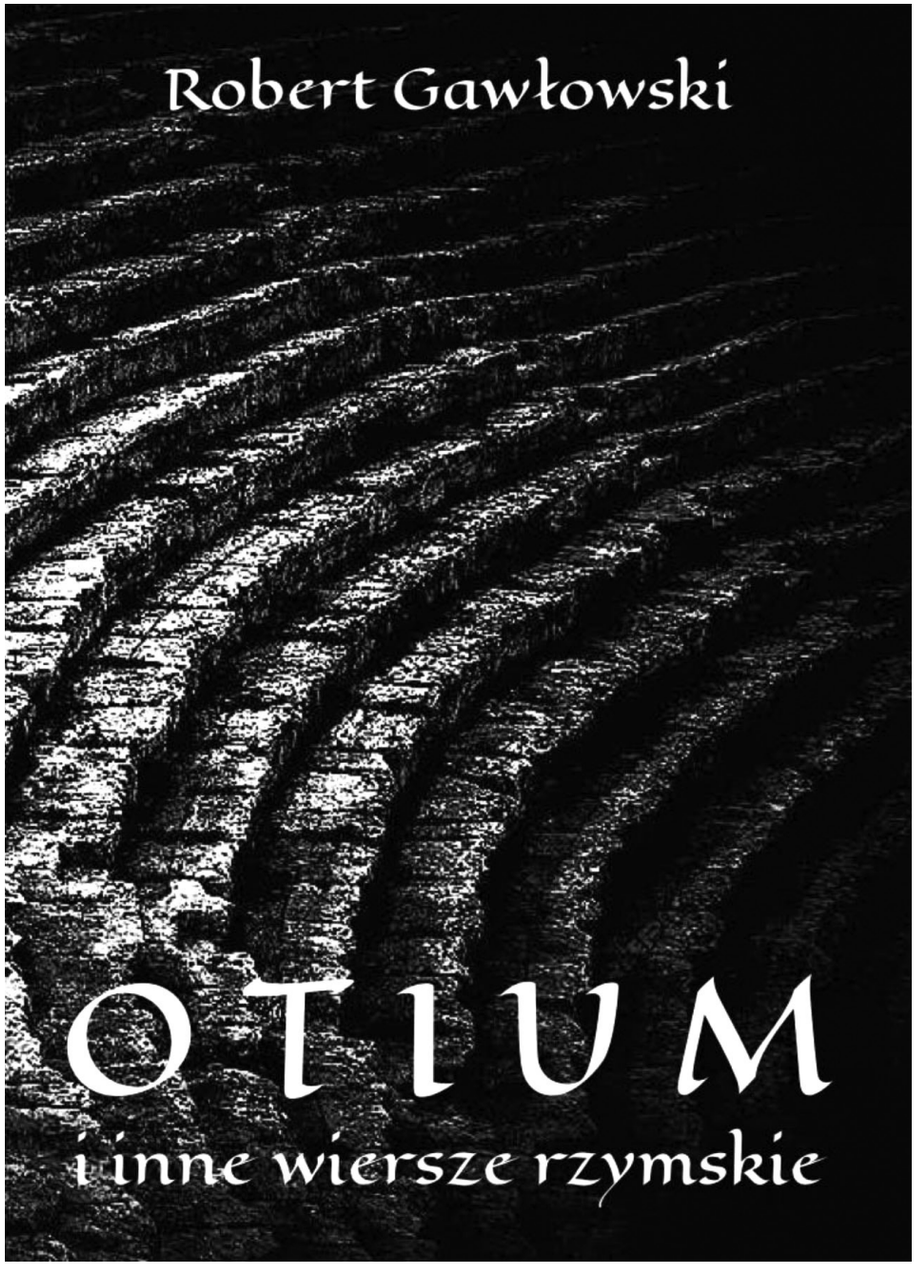
„Co artysta miał na myśli i czy prezydent Sutryk Jacek te myśli popiera?", pytał dziennikarz Janusz Życzkowski, zamieściwszy w serwisie X zdjęcie plakatu ulicznej

wystawy we Wrocławiu: oto naga lalka z długą, siwą brodą, na wysokości lędźwi związana pasem z dzieckiem, przytulonym główką do jej brzucha. Gabloty promujące wystawę zostały zdewastowane, a plakaty zamazane sprayem. SZEWSKA to dziewięć dwustronnych witryn ekspozycyjnych przy ul. Szewskiej. Galeria chce pokazywać zjawiska w młodej sztuce, a także kultową już epokę awangardy tutejszej, w ścisłym powiązaniu z Art Transparent i galerią Mieszkanie Gepperta.

Uczelnia Collegium Humanum powstała w 2018 roku, czyli po tym, jak minister Macierewicz nocą rozwalił placówkę NATO, piszą „Newsweek" i OKO.press. Dziś uczelni postawiono prokuratorski zarzut zorganizowanej grupy przestępczej, na której czele miał stać jej rektor. Studia były fikcją, a fałszywych świadectw całe setki, wystarczyło zapłacić. Podobnie z dokumentami doktoratu oraz habilitacji. OKO bada też nowy wątek: relacje z działaczami środowisk prorosyjskich, na przykład jedną z najbardziej zaufanych uczelni Putina, Rosyjską Akademią Gospodarki Narodowej i Administracji Publicznej przy Prezydencie FR oraz Białoruską Państwową Akademią Łączności, która podlega białoruskiemu Ministerstwu Łączności i Informatyzacji. W 2022 roku do kadry Collegium Humanum należała osoba oskarżona o szpiegostwo na rzecz Rosji. Wśród absolwentów są politycy i oficerowie Wojska Polskiego, w tym czynni generałowie włącznie z szefem w Międzynarodowym Sztabie Wojskowym w Kwaterze Głównej NATO. Collegium część informacji udostępnia jedynie w języku słowackim i uzbeckim.

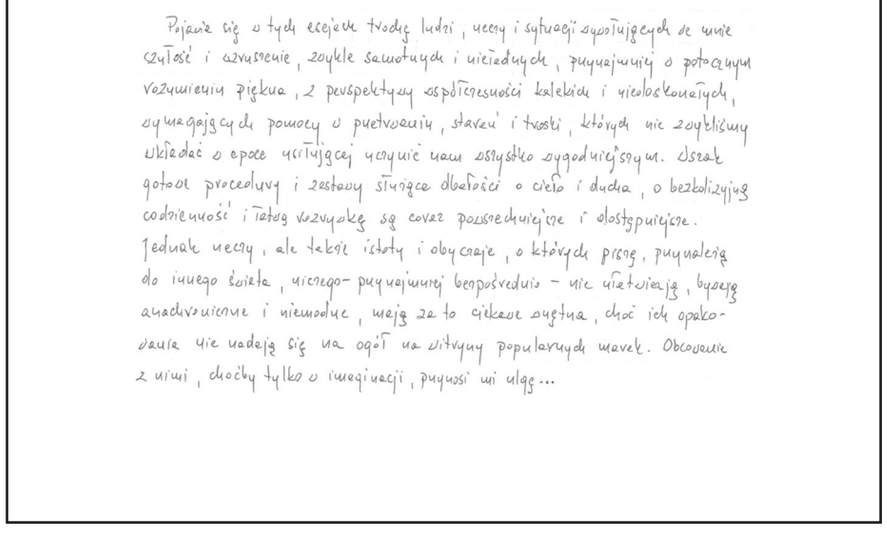
„Format Literacki" witał już „Nieme kino", inspirowanych kinem tomik wierszy Gabriela Leonarda Kamińskiego, toteż zwracam uwagę na „Spekulacje o kinie" – książkę Quentina Tarantino, gdzie reżyser łącząc elementy krytyki i teorii filmu oraz brawurowy reportaż, opowiada o kształtujących mu pasję filmową amerykańskich dziełach lat 70.

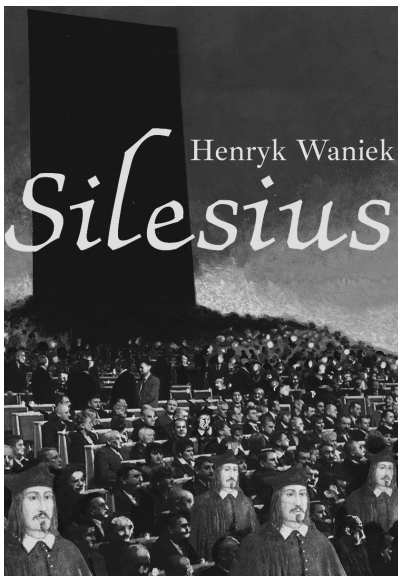
Sztuka urbexu! Pod Częstochową w wyrobisku dawnego kamieniołomu powstał w 2011 roku Park Miniatur Sakralnych „Złota Góra": kilkanaście makiet słynnych świątyń katolickich, ogrody „inspirowane tymi biblijnymi i bliskowschodnimi", a całość zdobiła 14-metrowa, najwyższa na świecie rzeźba Jana Pawła II, którego twarz, zauważano dowcipnie, przypominała Leszka Millera. Na teren obecnie można wejść przez przewrócone ogrodzenie. Miniatury sanktuariów gniją, zarastają chwastami. Zniknęły też figury Jezusa, Jana Chrzciciela, Mojżesza i dzieci fatimskich, wyschło oczko wodne udające rzekę Jordan. W katakumbach pierwszych chrześcijan brakuje gipsowych czaszek. Co do infrastruktury i ekstra atrakcji: okna wybite, wnętrza zdemolowane, po największym kulkolandzie w Polsce ani śladu, rozmontowana zjeżdżalnia. Trwa tylko figura papieża z rękoma wyciągniętymi ku Jasnej Górze. Powód prosty wręcz ewangelicznie: ceny biletów, cios dla rodzin z dziećmi, a w Częstochowie zaległo wtedy głębokie bezrobocie.



Monika Braun

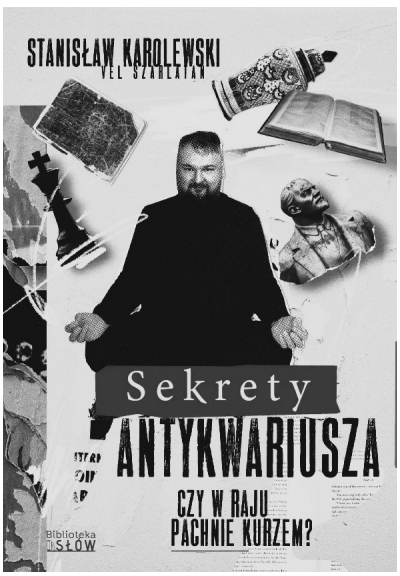
Przeciw powtórzeniu




Henryk Waniek
Silesius


SAS
PLECIONKA
Z SITOWIA
AKWEDUKT


GABRIEL LEONARD
KAMIŃSKI
WIERSZE
ZEBRANE


STANISŁAW KAROLEWSKI
VEL SZARLATAN
Sekrety
ANTYKWARIUSZA
CZY W RAJU
PACHNIE KURZEM?
Biblioteka
ŚLÓW